

# EMILY HENRY

Powieść autorki bestsellera

BEACH READ

# HAPPY PLACE



# EMILY HENRY

# HAPPY PLACE

Przełożyła  
Małgorzata Fabianowska



*Dla Nooshy, przy której bezpiecznie mogę być sobą  
i która na pytanie „Dlaczego nie?” regularnie odpowiada:  
„Bo nie”. Nieustająco Cię kocham.*



## Moje szczęśliwe miejsce Knott's Harbor, Maine

Domek na skalistym wybrzeżu z fasadą z sękatych sosnowych desek i niemal zawsze otwartymi oknami. Woń iglaków, słona woń, niesiona bryzą i białe Iniane zasłony, leniwie tańczące na wietrze. Bulgotanie ekspresu do kawy i pierwszy, głęboki haust chłodnego, oceanicznego powietrza, kiedy wychodzimy na kamienne patio z parującymi kubkami w dłoniach.

Moje przyjaciółki: smukła Sabrina o miodowych włosach oraz lekko nieobecna Cleo ze srebrnym kolczykiem w nosie i głową całą w warkoczykach z kolorowymi końcówkami. Moje dwie najukochańsze osoby na całej planecie od czasu, kiedy poznałyśmy się na pierwszym roku Mattingly College.

Ciągle jeszcze się dziwię, że nie wpadłyśmy na siebie same, tylko musiał nas połączyć jakiś nudny komitet studencki zajmujący się przydziałem pokoiów w akademiku w Vermont. Tak jakoś się składa, że najważniejsze przyjaźnie mojego życia były wypadkową czyichś decyzji. Nawet sobie żartowałyśmy, że naszymi losami rządzi jakiś rządowy eksperyment. Oficjalnie nic nas nie powinno łączyć.

Sabrina była rodowitą manhattańską dziedziczką, ubierającą się w klasycznym stylu Audrey Hepburn i mającą regały wypełnione powieściami Kinga. Cleo była malarką, córką średnio znanego producenta muzycznego i bardzo znanej eseistki. Dorastała w Nowym Orleanie, a do Mattingly przychodziła w pochłapanym farbami kombinezonie i starych martensach.

No i ja, dziewczyna z południa Indiany, córka nauczyciela i recepcjonistki z kliniki stomatologicznej. Trafiłam do Mattingly, bo ta mała prestiżowa akademia sztuk wyzwolonych oferowała najlepszy system stypendialny, co było istotne dla studentki kursu przygotowującego do egzaminów na medycynę, która następną dekadę swojego życia zamierzała poświęcić nauce.

Już pierwszej nocy, kiedy zamieszkałyśmy razem, Sabrina usadziła nas na swoim łóżku i oglądałyśmy *Słodkie zmartwienia* na jej laptopie, jedząc dobrze zbilansowany mix popcornu i gumowatych żelków w kształcie robaków. Pod koniec pierwszego tygodnia zamówiła dla nas indywidualnie zaprojektowane koszulki, zainspirowane przez nasz pierwszy prywatny żart.

Sabrina miała napis: „Dziewica, która nie prowadzi”.

Ja: „Dziewica, która prowadzi”.

I Cleo: „Nie dziewczyna, ale prowadzi jak szatan”.

Nosiłyśmy je non stop, ale tylko w dormitorium.

Uwielbiałam nasz zatęchły pokój w odrapanym budynku z białym sidingiem. Uwielbiałam wałęsać się ze swoimi przyjaciółkami po polach i lasach otaczających kampus. Kochałam pierwszy dzień jesieni, kiedy można było jeszcze uczyć się przy otwartych oknach, pijąc wonną herbatę albo kawę bezkofeinową z syropem klonowym i wdychając woń opadających z drzew liści. Uwielbiałam akt przedstawiający mnie i Sabrinę, który Cleo namalowała na zaliczenie w klasie rysunku i powiesiła nad drzwiami naszego pokoju tak, że jego widok zegnał nas, kiedy wychodziłyśmy na zajęcia. Z obu stron obrazu przykleiłyśmy taśmą zdjęcia z polaroida przedstawiające naszą trójkę na imprezach, piknikach i w kawiarniach w mieście.

Lubiłam patrzeć na Cleo zatopioną w twórczej pracy, z warkoczykami związanymi neonowo zieloną gumką, śmierzdzącą terpentyną. Lubiłam, jak Sabrina odrzucała głowę do tyłu w napadzie chichotu, skopując z nóg lordsy w stylu Grace Kelly, gdy przeczytała coś szczególnie śmiesznego. Uwielbiałam ślęczeć nad podręcznikami do biologii i wypisywać kolejne fluorescencyjne mazaki, bo wszystko wydawało mi się ważne i warte podkreślenia – zamiast sprzątać pokój, kiedy przypadał mój dyżur.

Ale w końcu każda cisza pękała i zaśmiewałyśmy się jak dzikie z wiadomości od nowej, rokującej dziewczyny Cleo, albo piszczałyśmy ze strachu, zerkając przez palce na krwawe horrory, które serwowała nam Sabrina.

Byłyśmy głośne. Nigdy dotąd nie byłam tak głośna. Wychowałam się w cichym, spokojnym domu,

gdzie krzyk rozlegał się tylko wtedy, kiedy moja siostra pojawiała się z nowym kolczykiem w nieakceptowalnym miejscu albo z nową sympatią, albo z jednym i drugim. Po krzyku zwykle zapadała jeszcze głębsza cisza, więc zatykałam uszy, żeby nie słyszeć tego kontrastu, bo nienawidziłam ciszy i napawała mnie ona lękiem.

Ukochane przyjaciółki nauczyły mnie nowego rodzaju ciszy – pełnej spokoju, jaki wynika z poczucia, iż znamy się i rozumiemy tak dobrze, że nie trzeba ciągle wypełniać pustki słowami. A także nowego rodzaju hałaśliwości, kiedy głośno, spontanicznie wyrażało się zachwyt nad samym faktem istnienia – tu i teraz.

Jeszcze nigdy nie byłam tak szczęśliwa i zachwycona wszystkim, co mnie otacza.

Tak było, dopóki Sabrina nie ściągnęła nas tutaj, do letniego domu swojej rodziny na wybrzeżu Maine. I dopóki nie poznałam Wyna.

## W realu Poniedziałek

„Myśl o swoim szczęśliwym miejscu” – poucza mądry głos w mojej głowie.

„Wyobraź je sobie”. Lśniąca, błękitna toń zdaje się obmywać mi oczy.

„Jak ono pachnie?” Mokrymi skałami, słoną bryzą, masłem, skwierczącym w rondlu i kroplą soku cytrynowego na czubku języka.

„Co słyszysz?” Śmiech, uderzenia fal o skarpę, syk odpływu cofającego się po piasku i kamieniach.

„Co czujesz?” Wszechobecne słońce. Nie tylko na swoich nagich ramionach i na czubku głowy, lecz także we mnie – totalne ciepło, które cię ogarnia, kiedy znajdziesz się we właściwym miejscu, w towarzystwie właściwych ludzi.

Samolot schodzi do lądowania, biorąc kolejny ostry skręt. Lekko sztywnieję i zaciskam palce na podłokietnikach. W zasadzie nie boję się latać, ale na to konkretne lotnisko zawsze lecę małym samolotem, który wygląda, jakby zrobiono go z posklejanego taśmą złomu.

Nagranie z apki medytacyjnej skończyło się w najmniej pożądanym momencie, więc dodaję sobie otuchy, powtarzając: „Myśl o swoim szczęśliwym miejscu, Harriet”. Podnoszę zasłonkę w okienku. Serce mi drży z zachwyty na widok wspaniałego przestworu nieba. Wyobraźnia nie ma tutaj nic do roboty. Mam listę miejsc i wspomnień, które zawsze przywołuję, gdy chcę się uspokoić, jednak to jest zdecydowanie na jej szczycie.

Wiem, że to działanie psychosomatyki, ale nagle się tam przenoszę, naprawdę. Słyszę przeciągłe krzyki krążących nad moją głową mew i czuję powiew bryzy we włosach. Rozkoszuję się łykiem zimnego piwa, smakiem dojrzałych jagód.

Za parę minut, po najdłuższym roku mojego życia, znów zobaczę swoich ulubionych ludzi i swoje najbardziej ulubione miejsce na świecie.

Koła samolotu podskakują na pasie startowym. Paru pasażerów z tyłu klaszcze, a ja zdejmuję słuchawki i niepokój rozwiewa się jak nasiona dmuchawca. Obok mnie siwiejący współpasażer, który przechrapał cały ten ryzykancki lot, budzi się, mrugając gwałtownie. Patrzy na mnie spod białych, kędzierzawych brwi i zagaduje:

– Na Festiwal Homara?

– Co roku jestem tam ze swoimi przyjaciółmi – odpowiadam.

Przytakuje.

– Nie widziałam ich od zeszłego lata – dodaję.

Odchrząkuje.

– Chodziliśmy razem do szkoły, ale teraz mieszkamy w różnych miejscach i trudno jest nam zgrać terminy.

Brak zainteresowania w jego spojrzeniu mówi wyraźnie: „Jedno pytanie i odpowiedź tak/nie”.

Uważam siebie za ideał współpasażerki. Wolę ryzykować zapalenie pęcherza, niż poprosić sąsiada, żeby wstał i mnie przepuścił. Mało tego, kiedyś nawet nie obudziłam człowieka, który zasnął na moim ramieniu, śliniąc mi ubranie. Potrafiłam popilnować komuś dziecka czy pierdzącego psa terapeutycznego. Wyjmowałam z uszu słuchawki, aby wysłuchiwać panów w średnim wieku, którzy czuli, że zginą, jeśli natychmiast nie opowiedzą mi historii swojego życia, oraz prosiłam stewardesę o papierową torbę dla nastolatka wracającego po wiosennych feriach, który siedział koło mnie i robił się coraz bardziej zielony. Dlatego od razu się orientuję, że ten facet kategorycznie sobie nie życzy, abym mu opowiedziała o swoim magicznym tygodniu z przyjaciółmi, ale jestem tak podekscytowana, że nie potrafię przestać. Muszę zagryzać usta, żeby nie wyśpiewać *Vacation*, hitu Go-Go's prosto w tę jego naburmuszoną gębę, kiedy w nieznośnie powolnym tempie wędrujemy do wyjścia.

Zabieram walizkę z rozklekotanego transportera i wreszcie wychodzę z budynku, czując się jak kobieta z reklamy tamponów: buzująca radością, olśniewająca, gotowa na każdą fizyczną aktywność, jak choćby kręgle z przyjaciółmi albo jazda na plecach nienachalnie urodziwego młodzieńca, którego wynajęłam, żeby odgrywał mojego chłopaka.

Jednym słowem: jestem szczęśliwa.

Myśl o tej chwili pomogła mi przetrwać wykańczające zmiany w szpitalu, a potem bezsenne noce, które się po nich zdarzały. W tygodniu, który mnie czeka, życie będzie wyborne jak białe wino czy homarowa kanapka, a ja będę się zaśmiewała do łez ze swoimi przyjaciółkami.

Z parkingu słychać trąbienie. Uśmiecham się, jeszcze zanim ją zobaczę.

– O, Harriett, moja Harriett! – krzyczy Sabrina, wywieszona ze starego wiśniowego jaguara swojego tatusia.

Jak zwykle wygląda jak platynowa Jackie O., z tymi swoimi perfekcyjnie opalonymi ramionami, w klasycznych czarnych cygaretkach i – jakżeby inaczej – z jedwabną chustką vintage, zawiązaną na lśniącym bobie. Jej widok uderza mnie niezmiennie od chwili, kiedy się poznałyśmy. Jest jak urodzona gwiazdka, przeniesiona z innej epoki. Efekt nieco psuje karton, którym dziko wymachuje, z powitalnym napisem nagryzmołonym pismem seryjnej morderczyni: „POWIEDZ, ŻE TO KOLEDNICY” – nawiązanie do filmu *To właśnie miłość*, idealnie pasujące do kontekstu.

Puszczam się truchtem przez rozgrzany słońcem parking. Sabrina nie przestaje piszczeć i wymachiwać kartonem, aż wreszcie ciska go na ziemię, wyskakuje z jaguara i pędzi mi na spotkanie. Zderzamy się w imponująco niewygodnym uścisku. Sabrina ma wzrost tak wymierzony, że jak zawsze barkiem odcina mi dopływa powietrza, a ja nie mam się jak zrewanżować.

Buja mną w przód i w tył, gruchając:

– No jeeesteś!

– No jeeestem – odpowiadam.

– Niech ci się przyjrzę. – Odsuwa mnie na odległość ramion i lustruje spojrzeniem. – Zmieniłaś się.

– Nowa twarz – wyjaśniam.

Strzela palcami.

– Wiedziałaś! – Otacza mnie ramieniem i prowadzi do wozu w ciągnącej się za nami chmurze Chanel No.5. To jej zapach, od kiedy skończyła osiemnastkę. Ja nadal używam mieszanki Bath & Body Works, która pachnie jak wata cukrowa nasączona wódką.

– Twój lekarz się popisał – mówi z kamienną twarzą. – Wyglądasz trzydzieści lat młodziej. Jak osesek.

– Nie, to nie była operacja plastyczna – prostuję. – To zakłęcie z Etsy.

– Tak czy inaczej wyglądasz świetnie.

– Ty też! – piszczę, ściskając ją w talii.

– Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje – mówi.

– Długo trwało – przyznaję.

Milkniemy w ten charakterystyczny, superkomfortowy sposób, w jaki dzielą ciszę ludzie, którzy mieszkali razem przez prawie pięć lat i nadal w pamięci swojego ciała mają zapisane, jak ze sobą współistnieć.

– Jak ja się cieszę, że udało ci się dostać tę pracę – mówi Sab, gdy dochodzimy do samochodu. – Domyślam się, ile miałaś roboty w szpitalu. Czy w szpitalach? Bo chyba cię przenosili, nie?

– W szpitalach – przytakuję. – I szłam jak burza.

– Mam rozumieć, że wybiegłaś w połowie operacji mózgu? – śmieje się Sabrina.

– Ależ skąd! Po prostu darowałam sobie operację mózgu. Ciągle jeszcze mam skalpel w kieszeni.

Sabrina chichocze jak szalona. Ów szatański chichot kompletnie nie pasuje do jej wystudiowanego looku. Przez pierwszy tydzień naszego wspólnego mieszkania podskakiwałam za każdym razem, kiedy go słyszałam. Teraz uwielbiam te jej proste reakcje.

Sabrina otwiera bagażnik i wrzuca moją ciężką torbę z łatwością, która kontrastuje z jej drobną sylwetką. Na wierzch kładzie powitalny karton.

– Jak tam lot?

– Ten sam pilot, co ostatnio.

Unosi brwi.

– Ray? Znowu?

Kiwam głową.

– Z ray-banami na tyle głowy.

– Zawsze je nosi w ten sposób.

– Pewnie ma drugą parę oczu na karku.

– Innego wyjaśnienia nie ma. Boże, współczuję, bo od kiedy Ray nie pije, lata jak umierający trzmiel.

– A jak latał, kiedy jeszcze pił? – pytam.

– Och, tak samo. – Sabrina wskakuje za kółko, a ja sadowię się na miejscu pasażera. – Ale jego gadka przez interkom jest zajebista.

Wyszarpuje ze schowka zapasową chustkę i rzuca mi ją – gest troskliwy, lecz całkowicie nietrafiony, bo mój kok uwity z burzy niesfornych czarnych kędziorów jest nie do uratowania po trzech przesiadkach i sprintach na lotniskach w Denver i Boston Logan.

– Niestety, dzisiaj w niebie wiało nudą – stwierdzam.

– Fatalnie. – Sabrina odpala silnik i z piskiem opon wyjeżdża z parkingu, kierując się na wschód ku oceanowi.

Słońce pieści naszą skórę przez opuszczone szyby. Nawet tutaj, godzinę jazdy od oceanu, podwórka są zawalone ustawionymi w stopy pułapkami na homary.

– Jak się czujesz?! – Sabrina próbuje przekrzyczeć ryk wiatru.

Mój żołądek zachowuje się jak na huśtawce. Buja się od absolutnej euforii z powodu upajającej jazdy z przyjaciółką do mdlącego, podłego poczucia, że zaraz wsadzę jej kij w szprychy i zrujnuję plany.

Jeszcze nie, myślę. Nacieszmy się tym, zanim wszystko zepsują.

– Dobrze! – odkrzykuję.

– A jak twój angaż? – pyta.

– Dobrze! – odpowiadam znów.

Gdy na mnie zerka, pasemko jasnych włosów wymyka się jej na czoło spod chustki.

– Nie rozmawialiśmy od tygodni i tylko tyle masz mi do powiedzenia?

– Cholerna robota – dodaję.

Wyczerpująca. Przerażająca. Ekscytująca, choć nie zawsze w zdrowy sposób. Czasami nie do wytrzymania. Często wykańczająca.

Przy czym tak naprawdę mam niewiele do czynienia z chirurgią. Dwa lata pracy, a ja głównie odwalam czarną robotę. Ale momenty, gdy asystowałam przy operacjach, były tak spektakularne, że potem nie mogłam się wyłączyć z myślenia o pacjencie, jakby to było ważniejsze niż cała reszta.

Na szczęście typowa oddziałowa harówka nigdy nie była dla mnie męcząca. Większość jej nienawidzi, ale mnie odpowiada ta powszedniość. Już kiedy byłam dzieckiem, sprzątanie, organizowanie i wypełnianie drobnych domowych obowiązków dawało mi poczucie stabilizacji i kontroli nad rzeczywistością.

Pacjent leży w szpitalu, a ja muszę go obsłużyć. Komuś trzeba pobrać krew i ja to robię. Trzeba wprowadzić dane do komputera. To i miliony innych czynności, drobnych, konkretnych, zróżnicowanych, niezbędnych, które sprawiają, że robisz dobrze sobie i innym.

– A jak tam Wyn? – pyta Sabrina.

Moja wewnętrzna huśtawka znów się buja. Bystre spojrzenie szarych oczu przeszywa mi umysł. Do moich nozdrzy napływa fantomowa woń sosen i koniczyny.

Jeszcze nie teraz, myślę.

– Co?! – wrzeszczę, udając, że nie dosłyszałam.

Wiem, że ta rozmowa jest nieunikniona, ale nie ma mowy, żebym ją odbyła teraz, kiedy pędzimy drogą w małej blaszanej puszcze z lat sześćdziesiątych. Poza tym wołałabym ją przeprowadzić w obecności Cleo, Partha i Kimmy, by nie musieć kilka razy rozdrapywać jednej rany.

I tak już długo czekałam. Parę minut niczego nie zmieni.

Sabrina, nie zważając na szalejący w kabinie huragan, powtarza:

– Wyn! Co z Wynem?

Elektryzujący, choć niekoniecznie w pozytywnym sensie? Czasami do wyrzygania? Okazjonalnie



dewastacyjny?

– Myślę, że dobrze. – Słowa „myślę, że” pomagają mi ukryć kłamstwo.

I pewnie jest z nim dobrze. Kiedy ostatni raz go widziałam, dosłownie promieniał. Bez porównania z tym, jak wyglądał wcześniej.

Sabrina kiwa głową i zmienia stację w radiu.

Dzieli dom i przypisane do niego samochody z prawie dwudziestoma pięcioma członkami rodziny Armas, ale w tej komunie obowiązuje jedna bezdyskusyjna zasada: po powrocie trzeba ustawić stację tatuśka, aby każda następna trasa zaczynała się od klasycznego czadu Elli Fitzgerald, Sammy’ego Davisa Juniora czy innych wielkich tamtej epoki. *Summer Wind* Sinatry niesie nas po szosie, naznaczonej cieniami sosen, do domu, który rozsiadł się na skalistym klifie.

Zawsze robił na mnie wrażenie.

Choć tak naprawdę nie on. I nie ta iskrząca się woda. Ani klify.

Bo w rzeczywistości rezydencja pochłonęła domek, choć teoretycznie tylko schowała się pod jego daszek – niczym wilk mówiący cienkim głosem i udający babcię. Bo od tysiąc dziewięćsetnego roku jeszcze do niedawna był to zwykły dom rodzinny i jego część ciągle stoi. Ale z tyłu i z boku rozrasta się nowa tkanka, idealnie imitująca oryginalny styl.

Z jednej strony znajduje się garaż na cztery auta, a za strumieniem widać domek dla gości, zdominowany przez mech, paprocie i drzewa zreumatyzowane od morskiej soli.

Sabrina mija garaże i gasi silnik przed wejściem do domu. Ogarnia mnie fala nostalgii, ciepła i szczęścia.

– Pamiętasz, jak pierwszy raz przywiozłaś tutaj mnie i Cleo? – pytam. – Ten gostek, Brayden, totalnie mnie przerażał, a ty i Cleo zrobiłyście mi prezentację w PowerPoincie na temat jego najgorszych wad.

– Brayden? – Sabrina odpina pas i wyskakuje z auta. – Chyba chodzi ci o Bryanta?

Odlepiam uda od rozgrzanej skóry fotela i wysiadam.

– Miał na imię Bryant?

– Twierdziłaś, że za niego wyjdiesz – przypomina mi z uciechą. – A teraz nawet nie pamiętasz, jak biedak miał na imię.

– To była tylko sugestywna prezentacja w PowerPoincie – mruczę, wyszarpując swoją torbę z bagażnika.

– Tak, albo ma to coś wspólnego z panią Cleo James, która przez cały tydzień terapeutyzowała nas za friko. W rezultacie mój stary oświadczył się Żonie Numer Trzy, pamiętasz?

– A, tak! – Wreszcie kojarzę. – To ta, co miała dużo psów.

– Nie, to Żona Numer Dwa miała psy – koryguje mnie Sabrina. – I nie dużo naraz. Zupełnie jakby zamontowała sobie drzwi obrotowe, które jakimś magicznym sposobem wypluwały z siebie designerskie szczeniaki, jednocześnie zasysając dorosłe psy do utylizacji.

Wzdrygam się.

– Brr, niemiłe.

– No. Ale są też miłe rzeczy. W tym roku wygrałam zakład o rozwód kuzyna i w ten sposób zyskałam dostęp do letniego domu w czasie Festiwalu Homara. Strata kuzyna Frankiego stała się naszym zyskiem.

Składam dłonie jak do modlitwy.

– Kuzynie Frankie, gdziekolwiek jesteś, składamy ci dzięki za twoją ofiarę.

– Nie produkuj się. Myślę, że teraz Frankie byczy się na katamaranie gdzieś na Ibizie. – Sabrina zabiera mi torbę i ciągnie mnie za rękę do wejścia. – Chodź, wszyscy już czekają.

– Jestem ostatnia?

– Parth i ja przyjechaliśmy wczoraj – informuje. – A Cleo i Kimmy dziś rano. Siedzą jak na szpilkach, wyczekując twojego przybycia.

– Wow, szykuje się niezła orgietka!

Sabrina komentuje moje słowa swoim popisowym śmiechem i przekręca gałkę.

– Tylko nie myśl, że skoro szpilki, to od razu sdomaszo.

– Szkoda – wzdycham.

Uchyła drzwi, znów szczerząc się w uśmiechu.

– Czemu patrzysz tak... wyczekująco? – pytam.

– Wydaje ci się.

Odpowiadam jej spojrzeniem spod zmrużonych powiek.

– Czyż prawnicy nie są biegli w kłamaniu?

– Zgłaszam sprzeciw. Brak realnych dowodów.

– Czemu nie wchodzimy, Sabrino?

Bez słowa otwiera szerzej drzwi i zaprasza mnie gestem do środka.

– Okeeej... – Wymijam ją i wchodzę.

W chłodnym przedpokoju uderza mnie zapach lata: zakurzonych półek, rozgrzanej słońcem werbeny, kremów do opalania i tej specyficznej, słonej wilgoci, która wchodzi w kości w każdym starym domu w Maine i która nigdy nie wysycha.

Z końca korytarza na parterze, gdzie znajduje się kuchnio-salon (oczywiście jako część wielkiej przybudówki), słyszę miękki tembr głosu Cleo, a potem stłumiony chichot Partha.

Sabrina zrzuca sandały, odkłada kluczyki na stolik i woła:

– Jesteśmy!

Dziewczyna Cleo, Kimmy, pierwsza zbiega do holu, jak burza krągłości i loków w kolorze zwanym truskawkowy blond.

– Harry! – krzyczy. Jej wytatuowane palce sięgają do mojej twarzy, kiedy wyciska mi całusy na policzkach. – Czy mnie oczy nie mylą? – Potrząsa mnie za ramiona. – To naprawdę ty?

– Nie poznajesz jej, bo ma nową twarz z Etsy – wyjaśnia Sabrina.

– Ha! A ja się zastanawiałam, co tu robi Danny de Vito.

– To już być może sprawa mojego apetytu – odpowiadam z kamienną twarzą.

Kimmy się nie śmieje. Kimmy eksploduje śmiechem. Jakby każdy z tych radosnych spazmów był z niej wyduszany przez chwyt Heimlicha. Jest stosunkowo nowym dodatkiem do naszej trzódki, ale ma się wrażenie, jakby była z nami od zawsze.

– Strasznie się za tobą stęskniłam – mówię, ściskając ją za nadgarstki.

– Ja bardziej! – Gdy klaszcze w dłonie, jej czerwonozłocisty kok trzęsie się jak wielki pompon. – Już wiesz? – pyta.

– Co mam wiedzieć?

Kimmy zerka na Sabrinę.

– Czy ona wie?

– Nie wie.

– Co mam wiedzieć? – powtarzam.

Sabrina ujmuje mnie za łokieć.

– O niespodziance dla ciebie.

Z prawej strony Kimmy także bierze mnie pod ramię i razem prowadzą mnie korytarzem.

– Co za niespo...

Zatrzymuję się tak gwałtownie, że walę Kimmy łokciem w żebra. Ledwie słyszę jej zbolące stęknięcie, bo moje zmysły całkowicie skupiają się na mężczyźnie, który na mój widok zaczyna wstawać od marmurowego stolika.

Ma włosy w ciemnym odcieniu blond, szerokie bary, nieprawdopodobnie łagodne usta, kontrastujące z twardymi rysami, i oczy, które z daleka lśnią stałą, lecz z bliska – co nieraz sprawdziłam osobiście – obramowane są zielonym mchem. Pamiętam o nim jeszcze inne rzeczy – jak choćby to, że kiedy leżało się z nim w skotłowanej pościeli, rozproszone światło nocnej lampki malowało jego skórę złotem i nadawało głębię jego szeptom.

Ramiona ma zrelaksowane, jego twarz też wyraża totalny spokój, jakby przebywanie ze mną w tym samym pomieszczeniu wcale nie było najgorszą rzeczą, jaka może się przytrafić każdemu z nas. Ja w każdym razie czuję się jak butelka coca-coli, do której wrzucono miętówkę. Zaczyna we mnie buzować panika, grożąca eksplozją moich szarych komórek.

Jedź do swojego szczęśliwego miejsca, Harriet! – myślę desperacko, po czym uświadamiam sobie, że właśnie jestem w takim miejscu. I on też.

On. Tu. Jest.

Ostatnia osoba, której się spodziewałam.

Ostatnia osoba, którą chciałabym tu widzieć.

Wyn Connor.

Mój narzeczony.

## W realu Poniedziałek

Okej, już nie jest moim narzeczonym, ale (1) nasi przyjaciele jeszcze o tym nie wiedzą; (2) kiedy jest się z kimś tak długo, jak ja byłam z Wynem Connorem, myśli się o nim często, zwłaszcza nocami.

Nawet po upływie miesięcy.

Bo tyle czasu udawaliśmy, że nic się nie stało.

Ta ściema miała się skończyć w tym tygodniu, właśnie w trakcie mojego pobytu tutaj.

Ale bez Wyna.

Uzgodniliśmy szczegóły esemesowo, po przyjacielsku spierając się o ostateczną wersję. Dogadaliśmy, jak będziemy się wymieniać w przyjazdach, zupełnie jakby nasi przyjaciele byli zamieszanymi w nasze rozstanie dziećmi.

Wyn sam nalegał, żebym przyjechała pierwsza. Dlaczego więc jest tu teraz? Dlaczego stoi w kuchni pomiędzy Parthem a Cleo niczym wielka nagroda w jakiejś spontanicznie zorganizowanej grze?

– Niespooodzianka! – pieje Sabrina.

Szczęka mi opada. Gapię się bez słowa. Stoję jak słup soli, a huśtawka w mojej piersi wychyla się z siłą katapulty.

Włosy tak mu urosły, że zakłada je za uszy – wyraźny znak, że rodzinny biznes renowacji mebli walczy o życie. Zapuścił również brodę, lecz ani nie złagodziła ona twardej linii jego szczęki, ani nie nadała surowości tym rozkosznym wargom. Nadal jestem boleśnie świadoma, że prawy kącik tych słodkich usteczek w kształcie łuku Kupidyna jest uniesiony nieco wyżej niż lewy. Dobrze, że zarost przynajmniej zakrył dołeczki w policzkach.

– Cześć, kochanie. – Jego ciemny, aksamitny głos wypowiada te słowa jak kwestię z porno-sztuki.

Ten facet nigdy nie mówił do mnie „kochanie”. Nie nazywał mnie nawet Harry, jak inni przyjaciele. Kiedyś, gdy miałam koszmarną grypę, powiedział do mnie „dziecinko”, a mój rozpalony gorączką mózg uznał, że to dobra pora, aby się rozryczeć. Poza tym jednym wyjątkiem zawsze byłam dla niego po prostu Harriet – obojętnie, czy się śmiał, czy się frustrował, zdzierał ze mnie ubranie, czy kończył nasz związek podczas czterominutowej rozmowy telefonicznej.

„Harriet, myślę, że oboje wiemy, jak to się skończy”.

– Aaaa! – piszczy Kimmy. – Patrzcie na nią. Odjęło jej mowę!

Faktycznie, większą część mojej sieci mózgowej sparaliżowało nagłe zwanie.

– Ja...

Zanim zdążę wydusić z siebie drugie słowo, Wyn dopada do mnie w kilku krokach, obejmuje w talii i przyciąga do siebie.

Brzuch do brzucha, żebra do żeber, nos do nosa.

Usta do ust.

Teraz już cały mój mózg płonie. Randomowe strzępki świadomości fruwią niczym ptaki u Hitchcocka. Smak cynamonowej pasty do zębów. Szybki łomot serca. Szorstkie dotknięcie brody. Dotyk warg, miękki, ale roszczeniowy.

On mnie całuje! – uświadamiam sobie dobre parę sekund po tym, jak pocałunek się skończył.

Nogi mam jak z waty, a moje stawy w tajemniczy sposób zanikły. Ramię Wyna nadal mnie obejmuje, gdy on sam odsuwa się o krok – i całe szczęście, bo inaczej rozkwasiłabym sobie nos o sosnowe deski podłogi.

– Co za niespodzianka. – Jego szare oczy wysyłają mi komunikat w stylu: „Witaj w piekle; ja, szatan, zapraszam na salony”.

Wszyscy się gapią w oczekiwaniu, że powiem coś więcej.

Udaje mi się wykrztusić:

– Nie myślałam, że tu będziesz.

– Czasem plany się zmieniają. – Z niezadowoleniem przygryza usta.

– On chce powiedzieć, że Sabrina go sterroryzowała – mówi Parth, przejmując mnie od Wyna i zamykając w niedźwiedzim uścisku, od którego chce mi się kaszleć.

Sabrina odstawia moją torbę.

– Po prostu pragnę rozwiązać problem, ale do tego potrzebny jest Wyn. I oto on.

Mówi się, że przeciwności się przyciągają, i pewnie to prawda. Wyn jest nerwowym, mało subtelnym synem byłych ranczerów, a ja początkującą chirurgką, której najbardziej zmysłową fantazją jest samotne nocne sprzątanie oddziału. Jednak Parth i Sabrina należą do tych nielicznych par wyciętych jakby z jednego specyficznego wykroju. Podobnie jak ona Parth ma urodę rodem z Photoshopa (gęste, ciemne, wijące się włosy, silną szczękę, perfekcyjnie biały uśmiech) i jest typem obiecującego prawnika z utrwalonym, osobistym zestawem zapachów (Tuscan Leather, Tom Ford). Pomimo wielu podobieństw tych dwoje potrzebowało śmiesznie długiego czasu, aby zrozumieć, że są w sobie zakochani.

– Nie dzwoniłaś i nie pisałaś! – wytyka mi Parth.

– Wiem, przepraszam, miałam straszny młyn.

– Na szczęście wreszcie jesteś. – Mierzwi mi włosy palcami. – I wyglądasz...

– Na zmęczoną? – dopowiadam.

– Po prostu masz nową twarz – wyjaśnia Kimmy, sadowiac się na stołku barowym i chciwie zanurzając palce w torebce ognistych chrupek Takis Fuego.

– Wyglądasz bosko. – Cleo sięga za plecami Partha, żeby mnie uściskać. Otacza mnie jej nienachalny lawendowy zapach, kiedy delikatnie wsuwa głowę pod mój podbródek. Nawet różnica wzrostu pomiędzy Cleo, Sabriną i mną zdaje się dowodzić, że jesteśmy jedną drużyną i równoważymy się nawzajem.

– Zdecydowanie bosko, ale robię się głodny – stwierdza Parth. – Masz ochotę na kanapkę albo coś w tym stylu, Har?

– Może takisy? – Kimmy podsuwa mi lśniąca fioletową torebkę.

– Niech będą – mówią moje usta.

Jest cholernie niedobrze, niepokoi się mój umysł.

Cleo marszczy czoło.

– Serio będziesz jadła? Bo wyglądasz jakoś blado.

Sabrina przygląda mi się spod oka.

– Oni mają rację, Har. Jesteś taka... biała jak mleko. Wszystko w porządku?

Bynajmniej. Czuję się tak, jakbym miała zaraz rzygnąć i zemdleć, tylko jeszcze nie wiem, w jakiej kolejności. Troska i skupienie na mnie wszystkich tylko pogarszają sytuację. A najbardziej dobija mnie zachłanna wręcz uwaga Wyna, który nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Nic mi nie jest – zapewniam.

Nie mogę sobie darować, że nie włożyłam stanika na podróż i nie zrobiłam prawdziwej fryzury. Nie musiałam też aż tak bardzo pochłapać sobie musztardą cycków, kiedy jadłam hot doga na lotnisku.

O Boże. Jego nie powinno tu być!

Gdybym następnym razem miała go spotkać, będę w seksownej kiece z metką Reformation, z przystojnym chłopakiem u boku i w pełnym makijażu. (W tych rojeniach potrafiłam się nawet umalować!) No i oczywiście nawet nie mrugnę okiem na jego widok.

Dupa, dupa, dupa.

O ile przez parę miesięcy nie mogłam się zebrać, żeby powiedzieć przyjaciółom prawdę o naszym zerwaniu, o tyle teraz pragnę jak najszybciej wyrzucić ją z siebie i uwolnić się od Wyna.

– Słuchajcie, chciałabym...

– Kochanie. – Wyn znów staje przy mnie i obejmuje mnie w tali, jakby zaraz miał mnie przerzucić przez ramię i wynieść stąd, jeśli będzie trzeba. – Sabrina i Parth mają ci coś do powiedzenia – mówi z naciskiem. – Nie tylko tobie, wszystkim.

Skóra mnie świerzbi pod jego dotykiem. Przez moment jestem przekonana, że nie mam na sobie majtek, ale tak nie jest – po prostu jakimś magicznym sposobem czuję przez dżinsy te zaborcze palce. Kiedy próbuję się wyzwolić z jego objęć, zaciska je mocniej. „Nie ruszaj się” – ostrzega spojrzeniem.

„Wal się” – usiłuję mu odpowiedzieć równie bezgłośnie.

Prawy kącik ust Wyna krzywi się z irytacji.

Sabrina wyjmuje butelkę szampana ze stalowo-szklanej lodówki, ale nie sprawia wrażenia, jakby chciała świętować. Przeciwnie, wygląda na totalnie zdołowaną.

Parth szybko staje za nią i kładzie jej dłonie na barkach.

– Chcielibyśmy powiedzieć wam parę rzeczy – zaczyna Sab. – Wyn już wie, o co chodzi, bo... Cóż, musieliśmy przedstawić mu pełen obraz sytuacji, aby zrozumiał, dlaczego jest tak ważne, by zjawił się tu w tym tygodniu. Żebyście wszyscy się zjawili.

– O Boże! – Kimmy niemal krzyczy, taka jest podekscytowana. – Czy wy będziecie mieć...

– O Boże, nie! – zapewnia natychmiast Sabrina. – Nie, nie! Absolutnie nie. Chodzi o... Chodzi o dom. – Przerzywa, żeby wziąć oddech, po czym przętyka i unosi brodę. – Tata go sprzedaje. W przyszłym miesiącu.

W kuchni zapada martwa cisza. Jesteśmy w szoku.

Cleo osuwa się na stołek przy barku.

Wyn szybko mnie puszcza i odsuwa się na bezpieczny dystans, najwyraźniej porzucając myśl o wyjawieniu naszego sekretu.

Ja zaś lewituję jak astronauta, który oddzielił się od statku i teraz dryfuje bezwładnie w nicość.

Kiedy straciłam kogoś, kogo miałam poślubić, przeprowadziłam się na drugi koniec kraju, daleko od najlepszych przyjaciół. A teraz ten dom – nasz dom, ów malutki wszechświat, który zawsze był naszym miejscem, gdzie bez względu na wszystko czuliśmy się bezpieczni i szczęśliwi – on też miał zniknąć.

Panika, która mnie ogarnęła, kiedy znalazłam się tu w pułapce z Wynem, natychmiast ustępuje pola nowemu zmartwieniu.

Nasz dom.

W tym domu latem, po drugim roku Mattingly, Cleo, Sabrina i ja spałyśmy pokodem na materacach, które przytargaliśmy do salonu, tworząc z nich „superłoże”. A właściwie nie spałyśmy, tylko gadałyśmy i chichrałyśmy tak długo, aż pierwsze promienie świtu wpadały przez prowadzące na patio drzwi.

To tutaj Cleo szeptała, jakby to był sekret albo modlitwa: „Nigdy nie miałam takich przyjaciółek jak wy”, a ja i Sabrina solennie kiwałyśmy głowami, po czym odpływałyśmy w sen, trzymając się za ręce.

Tu, przy kominku, zamiast paktu krwi (który wydawał mi się ryzykowny i niehigieniczny), wszystkie trzy przytknęłyśmy palce wskazujące do rozgrzanej kraty paleniska, a potem zaśmiewałyśmy się do łez, wymyślając najbardziej niedorzeczne sytuacje, w których wykorzystujemy nasze pokreślone bliznami odciski placów, aby bezkarnie dokonywać kryminalnych czynów.

Drewniane schody domu, na których Parth zaimprovizował kiedyś wyścigi w zjeżdżaniu w kartonach. Niewielka biblioteka z boazerią, w której przed kominkiem Cleo pierwszy raz powiedziała nam o dziewczynie o imieniu Kimmy. Sterczący z pomostu gwóźdź, którym rok później Kimmy przebiła sobie stopę, i skrzypiące stopnie, po których Wyn wniósł ją na górę, gdzie zażądała, abyśmy podawali jej winogrona prosto do ust i wachlowali ją niewidzialnymi wachlarzami.

No i Wyn.

Tutaj pierwszy raz go pocałowałam.

Pierwszy raz go dotknęłam, kropka. Tutaj.

Ten dom jest wszystkim, co by po nas pozostało.

– To nasz ostatni wyjazd. – Sabrina ściąga chustkę z głowy i rzuca kawałek jedwabiu na blat. – Ostatnia podróż tutaj.

Jej słowa zawisają w powietrzu. Zastanawiam się, czy inni też tak rozpaczliwie szukają wyjścia z sytuacji – na przykład zrzutki, co kto ma, aż uzbieramy sześć milionów dolarów i wykupimy dom.

– Przecież nie możesz... – zaczyna Kimmy.

– Nie. – Sabrina od razu jej przerywa. – Podejrzewam, że Żona Numer Sześć nie chce, żeby ojciec miał ten dom, bo kiedyś kupił go dla mojej mamy. I nieważne, że są jeszcze cztery późniejsze żony, na których mogłaby skupić swoją zazdrość. Nie, ona musiała wybrać akurat tę pierwszą. – Przewraca oczami. – Tata ma już kupca i w ogóle. Klamka zapadła.

Parth masuje ramiona Sabriny, próbując ją rozluźnić.

Wędruję spojrzeniem ku Wynowi, bo podświadomie ciągle liczę, że mnie odstresuje jego widok.

Zamiast tego, gdy nasze spojrzenia się krzyżują, serce zaczyna mi walić jak młotem. Odwracam wzrok.

– Na szczęście nie wszystkie wieści są złe – odzywa się Parth. – Mamy też dobre. Wręcz fantastyczne.

Sabrina patrzy na nas znad butelki szampana, z której odrywa folię.

– Zgadza się. Jest coś jeszcze.

– Och, zgadza się, jest coś jeszcze – zabawnie parodiuje ją Parth. – Nie traktuj naszych zaręczyn jako nagrody pocieszenia.

– Waszego czego?

Początkowo nie wiem, komu się to wypsnęło.

Mnie. To ja zapiszczałam.

A dokładniej ja i Cleo, która tak gwałtownie zerwała się ze stołka, że ten się zachwiał i musiała przyduścić go biodrem do kuchennej wyspy.

Chichot Sabriny plasuje się gdzieś pomiędzy głupawką a niedowierzaniem.

– Wasze co? – powtarzam.

– Stara, jestem tak samo zaskoczona jak ty – odpowiada.

Kimmy chwyta dłoń Sab i tłumi okrzyk na widok wielkiego szmaragdu pyszniącego się na jej palcu serdecznym.

Niemal w tym samym momencie uświadamiam sobie, że ktoś może zauważyć brak pierścionka zaręczynowego u mnie. Wsuwam dłoń w kieszenie. Bardzo naturalny gest. Dziewczyna usiłująca zacisnąć pięści w malutkich, niepraktycznych damskich kieszeniach.

– Mówiłaś, że nigdy nie wyjdiesz za mąż – mówi Cleo. Pomiedzy jej brwiami pojawia się sceptyczna bruzda, kiedy wpatruje się w klejnot w oprawie z białego złota. – Pod żadnym pozorem. Nawet gdyby ci przykładano pistolet do głowy.

Nie dziwiłyśmy się, że tak mówiła. Jakby nie wystarczył cały ogon byłych żon, który ciągnął się za jej starym, Sabrina była adwokatką specjalizującą się w rozwodach. Co najmniej przez osiem godzin dziennie zgłębiała wszelkie możliwe powody, aby nie wychodzić za mąż.

– Opowiedz nam tę historię – zachęca Kimmy.

– Kiedyś powiedziałaś mi, że wolałabyś spędzić pięć lat za kratkami niż rok jako żona – dorzuca Cleo.

– Kotek! – Kimmy szturcha ją w żebra. – Zapominasz, że mamy świętować. Po prostu Sabrina zmieniła zadanie. To się ludziom zdarza, wiesz?

Ludziom może się zdarza, ale Sabrinie Armas?

Czasami tak długo nie mogę się zdecydować, co chcę na śniadanie, że wreszcie nadchodzi pora lunchu. Tymczasem Sabrina niezmiennie co rano zjada ten sam typ jogurtu z granolą. Co najwyżej zmieniają się sezonowe owoce, które do niego dodaje.

Sabrina obejmuje Partha w pasie.

– No dobra. Wiadomość, że musimy się pożegnać z domem, w pewien sposób ułatwiła mi sprawę. – W jej głosie czuć ślad wahania, ale szybko nabiera stalowych tonów. – Bez względu na to, czy Parth i ja weźmiemy ślub, czy nie, za długo już się znamy i mam dosyć udawania mądrej kosztem własnego szczęścia. Ja zwyczajnie chcę być szczęśliwa i nie zamierzam ściemniać, że jest inaczej.

Kimmy przykładła dłoń do serca.

– To piękne...

Parth uśmiecha się do Sabriny, z czułością pocierając jej ramię. Sabrina przenosi spojrzenie na mnie i w jej oku widzę błysk. Czerwone wargi rozciągają się w uśmiechu.

– Można powiedzieć, że inspiracją dla nas był...

Czuję się jak chwilę przed wypadkiem samochodowym, kiedy koła tracą przyczepność i wiesz, że zaraz może się stać coś strasznego, ale ciągle jest szansa, że odzyskasz panowanie nad kierownicą i nigdy się nie przekonasz, jakiego koszmaru uniknęłaś.

Sabrina mówi dalej:

– Popatrzcie na Harry i Wyna. Są razem już prawie dziesięć lat i udaje im się, choć muszą żyć z dala od siebie. Najwidoczniej miłość potrafi pokonać każdą przeszkodę.

– Osiem – koryguje Wyn.

Kimmy unosi kciuk w geście aprobaty.

– Osiem lat i ciągle dzielą was nie więcej niż trzy stopy.

W mojej ocenie od Wyna dzielą mnie obecnie dwie stopy jedenaste i trzy czwarte cala, ale on, słysząc te słowa, od razu otacza ręką moją szyję i mówi:

– O tak, po tych wszystkich latach Harriet potrafi sprawić, że czuję się, jakbym dopiero ją poznał.

Kimmy znów łapie się za serce, nie wyczuwając ironii. Ta przeznaczona jest tylko dla mnie.

W salonie rozlegają się wiwaty, kiedy Sabrina uwalnia korek z szampana. Mam wrażenie, jakbym się unosiła nad własnym ciałem. Adrenalina wyczynia ze mną dziwne rzeczy.

Normalnie wolałabym się sturlać po zboczu zalanym lepką smołą z odłamkami szkła, niż wywołać konflikt, ale wiem, że im dłużej się to będzie ciągnęło, tym trudniej będzie nam wypłatać się z naszego kłamstwa.

– Jestem pod wrażeniem. – Mój głos wznosi się o dwie i pół oktawy. – Ale muszę wam powiedzieć pewną...

– Harriet. – To znów on, tuż za mną. Obejmuje mnie od tyłu i czuję jego podbródek na czubku głowy. Fraza „Myśl o swoim w d...ę j...m szczęśliwym miejscu” kołacze się w mojej głowie, na moment ustępując myśli: „Wolałabym nadal być na pokładzie latającej trumny Trzeźwego Raya!”.

– To jeszcze nie koniec przemowy – upomina mnie Wyn.

I znów Kimmy z wrażenia łapie się za serce.

– Ciągle nie jestem w ciąży – zaznacza Sabrina.

Kimmy wzdycha.

Parth promienieje uśmiechem pod tytułem: „Mam dla was fantastyczną niespodziankę”. Z takim samym uśmiechem anonsował urodziny w nowoorleańskim klimacie, które wyprawił Cleo, i prezentował mi stetoskop z wygrawerowanymi życzeniami z okazji ukończenia studiów medycznych.

Oboje z Sabriną uśmiechają się tajemniczo.

Kimmy rzuca Sabrinie w głowę chipsem, a potem drugim.

Sabrina ogania się od nich.

– Dobra, dobra! Powiedz im.

– Bierzemy ślub – oznajmia Parth.

W salonie następuje wymiana zdezorientowanych spojrzeń.

– No... tak się zwykle dzieje po zaręczynach – zauważa Cleo.

– Konkretnie bierzemy ślub w tę sobotę – uściśla Parth. – I ma na nim być cała nasza szóstka. Nic wielkiego. Kameralna uroczystość na pomoście w ścisłym gronie przyjaciół.

Ciało mi lodowacieje, a potem się rozpala. Twarz i ręce mam zupełnie odrętwiałe.

Wyn kolejny raz mnie puszcza, a kiedy napotykam jego spojrzenie, widzę swoje własne niedowierzanie odbite w jego twarzy.

Jesteśmy w pułapce.

W uszach mi dzwoni, głosy przyjaciół się rozmywają. Ktoś wciska mi w drżące palce smukły niebieski kieliszek, bo zaraz mamy wznieść toast. Odzyskuję słuch na tyle, by dotarło do mnie, jak Parth woła:

– Za wieczną miłość!

A Sabrina dodaje:

– I za naszych wiecznych, cudownych przyjaciół! Ostatni tydzień w tym domu nie może się obyć bez was!

Jedź do swojego przekłętą szczęśliwego miejsca, Harriet, myślę.

A potem: Nie, tylko nie tam!

Za późno.



## Moje szczęśliwe miejsce Mattingly, Vermont

Ulica w śródmieściu z rzędami starych domów z czerwonej cegły. Mieszkanie nad Maple Bar, naszą ulubioną knajpką, kiedy byliśmy na trzecim roku. Cleo i ja tylko raz widziałyśmy wcześniej naszego nowego współlokatora, Partha, ale Sabrina zeszłej wiosny chodziła z nim na zajęcia z prawa międzynarodowego. Kiedy jej powiedział, że w tym domu zwalniają się pokoje do wynajęcia, zaraz się tym zainteresowałyśmy.

Jest starszy od nas i studiuje na czwartym roku. Dwóch jego współlokatorów już skończyło uczelnię, a trzeci, studiujący ekonomię, na semestr jesienny ma się przenieść do Australii. Umawiamy się, że ja przejmę pokój tego ostatniego, bo z kolei wiosenny semestr mam w Londynie. Dzięki temu możemy się łatwo wymienić w czasie ferii zimowych.

Mattingly jest niewielką uczelnią i choć nie znamy Partha Nayaka, dotarła do nas jego sława jako Króla Imprez z Paxton Avenue. Zasłużył sobie na ten tytuł po części dzięki niesamowitym tematycznym imprezom, jakie urządza, a po części dlatego, że ma zwyczaj wparowywać na inne przyjęcia z markowym alkoholem, gromadką atrakcyjnych dziewczyn i oszałamiającą playlistą. Po prostu jest legendą Mattingly.

Życie z nim również jest oszałamiające, choć on i Sabrina – urodzeni przywódcy – od czasu do czasu biorą się za łby. Prawdziwy Parth jest jeszcze bardziej niesamowity niż jego mit. Nie tylko dlatego, że jest odjazdowy. Ten gość kocha ludzkość. Kocha urządzać imprezy dla wszystkich, żeby się dobrze bawili, wręczać im wyjątkowe prezenty, poznawać ze sobą ludzi, którzy według niego powinni się poznać, czy wyłuskiwać z kątów nieśmiałe osoby i wprowadzać je w wir wydarzeń. Z nim świat wydaje się miły i dobry. Jakby każdy był twoim potencjalnym przyjacielem i mógł ci zaoferować coś fascynującego i olśniewającego.

Kiedy mam lecieć do Londynu, niemal żałuję, że nie mogę zostać. Oczywiście Londyn jest wspaniały – z tymi wszystkimi starymi murami, obrośniętymi bluszczem, płynnie przechodzącymi w smukłe wieże ze stali i szkła. Dzięki temu ostatniemu angielskiemu semestrowi nauczyłam się socjalizować z nieznanymi ludźmi. Zawsze znajdowali się chętni z programu wymiany na wieczorny wypad na piwo do jednego z niezliczonych westminsterskich pubów. Albo kupowało się smakowicie wysmażoną rybę z frytkami zawiniętą w gazetę i jedząc, spacerowało brzegiem Tamizy. W weekendy organizowaliśmy sobie pikniki z szampanem na trawnikach angielskich parków, chodziliśmy po galeriach sztuki czy godzinami buszowaliśmy po kultowych londyńskich antykwariatach i księgarniach, takich jak Foyles, Daunt Books lub dziesiątki innych na deptaku Cecil Court.

Z czasem nawiązywały się przyjaźnie i związki. Dzięki temu mogłam choć na chwilę zapomnieć o tęsknocie za przyjaciółmi, których zostawiłam w naszym narożnym apartamencie w ceglany śródmieściu Mattingly. Coraz więcej czasu spędzałam ze swoim rodakiem o imieniu Hudson. Mimo to w czasie nauki, a także poza nim, często wyobrażałam sobie widoki zmieniające się za wykuszowym oknem – topniejące zasy śniegu, odsłaniające kobierzec rozkwitających wiosennych kwiatów: psizębów, bodziszków i epimedium wielkokwiatowego.

Im bliżej lata, tym mniej potrzebowałam Hudsona. Częściowo dlatego, że oboje obsesyjnie zakuwaliśmy do egzaminów, a częściowo dlatego, że to, co nas łączyło – romans z potrzeby chwili – zaczęło tracić datę ważności i oboje o tym wiedzieliśmy.

Rodzice pisali do mnie, lekko licząc, pięćset razy częściej, niż gdy byłam w kraju.

**Nie możemy się doczekać Twojego powrotu i opowieści o studiach w Londynie** – to tata.

A mama: **Panie rejestratorce z przychodni doktora Sherburga chciałyby cię zaprosić na lunch, jak przylecisz. Bo wiesz, syn Cindy zastanawia się nad Mattingly.**

Znów tata: **Nagrałem dziesięcioodcinkowy serial o dinozaurach.**

I mama: **Mam nadzieję, że znajdziesz chwilę, żeby pomóc w ogródku? Ta kłeska mnie przerasta.**

Początkowo zamierzałam wpaść do nich na krótko przed powrotem do Vermontu, ale ich entuzjazm mnie przeraził. W rezultacie, choć przez dwa miesiące liczyłam dni, które mnie dzielą od Indiany, poleciałam prosto do Maine na spotkanie z przyjaciółmi w czasie Festiwalu Homara.

Lot wypadł późno. Jest już ciemno i upał dnia w końcu zastąpił chłodny, wilgotny wiatr. Na parkingu stoją samochody z wygaszonymi światłami i przez chwilę szukam sportowego wiśniowego auta. Sabrina właśnie zrobiła prawko i tego lata wreszcie możemy sobie pojeździć.

Ale to nie Sabrina stoi oparta o maskę, z twarzą podświetloną poświatą ekranu komórki. Unosi głowę. Mocna szczeka, wąska talia, burza złotych włosów zaczesanych do tyłu, z pojedynczym kosmykiem, który spada mu na oko, kiedy nasze spojrzenia się spotykają.

– Harriet? – Głos ma aksamitny.

Dreszcz zaskoczenia przebiega mi po krzyżu, jakby ktoś rozsunał suwak.

Znam go ze zdjęć przyjaciół z ostatniego semestru i wcześniejszych, z kampusu, ale na każdym było go widać z daleka, uchwyconego w ruchu. Z bliska wygląda nieco inaczej. Być może jest mniej przystojny, ale robi większe wrażenie. Kolor jego oczu nie jest tak intensywny jak na ekranie komórki. W ich kącikach przedwcześnie formują się kurze łapki. Sprawia wrażenie, jakby był wykuty z granitu, z wyjątkiem ust, żywych niczym ruchome piaski. Miękkie, pełne, w kształcie łuku Kupidyna, z jednym kącikiem uniesionym nieco wyżej.

– Minał cały semestr – mówię – a ty nic się nie zmieniłaś, Sabrino.

Symetryczne dołeczki pojawiają się z obu stron warg.

– Serio? Przecież obcięłam włosy, założyłam kolorowe soczewki i urosłam o cztery cale.

Mierzę go spojrzeniem spod zmrużonych powiek.

– Hm, jakoś tego nie dostrzegam.

– Sabrina i Cleo wyżłopały o karton wina za dużo – informuje i dodaje: – Na osobę.

– Och... – Wzdrygam się, kiedy powiew wiatru wpada mi za kołnierz. – Przykro mi, że wrobiły cię w podwózkę. Mogłam się zabrać autobusem.

Wzrusza ramionami.

– Nic się nie stało. Umierałem z ciekawości, czy słynna Harriet Kilpatrick dorasta do swojej legendy.

Patrzy na mnie tak intensywnie, że czuję się jak sarna w świetle reflektorów.

Albo jak sarna osaczona przez kojota. A mógłby być drapieżnikiem, z tymi dziwnymi oczami pełnymi błysków, z tą siłą i swobodą ruchów. Emanuje pewnością siebie właściwą tym, którzy potrafią ukrywać swoje gorsze strony.

Tymczasem ja swoją nikłą pewność siebie musiałam z trudem wykuwać w dzieciństwie, zdominowanym przez aparat korekcyjny i fryzurę na popieprzonego pudła.

– Sabrina – mówię – ma tendencję do koloryzowania.

W tym przypadku jej opis nawet się nie zbliżył do oryginału. Wiedziałam, że ten chłopak się jej podoba, dlatego spodziewałam się kogoś innego. Bardziej uładzonego, czarusiowatego. Kogoś w stylu Partha, jej serdecznego przyjaciela.

Kąciki ust mu drgają, kiedy odrywa się od maski auta. Moje serce gubi rytm, gdy nagle sięga ku mnie, jakby zamierzał ująć mój podbródek i obrócić głowę, sprawdzając, czy moje zalety nie są przeszacowane.

Ale on tylko zdejmuje mi torbę z ramienia.

– Mówili, że jesteś brunetką.

Zaskakuję sama siebie, prychając śmiechem.

– Cieszę się, że takie mają o mnie mniemanie.

– Bo mają. Ale na razie mogę zweryfikować tylko to. Otóż nie jesteś brunetką.

– Definitywnie jestem brunetką.

Wrzuca torbę na tylne siedzenie i znów się do mnie odwraca, opierając się biodrami o drzwi. Przekrzywia głowę w namyśle.

– Twoje włosy nie są całkiem czarne. W świetle księżycy mają niebieskawy odcień.

– Niebieskawy? Twoim zdaniem mam niebieskie włosy?

– Smerfowy niebieski – uściśla. – Nie widać tego na zdjęciach. W rzeczywistości wyglądasz inaczej.

– Zgadza się – potwierdzam. – W realu jestem trójwymiarowa.

– Obraz – mówi z namysłem. – Tam jesteś podobna do siebie.

Od razu wiem, o jaki obraz mu chodzi. Ten, na którym mnie i Sabrinę przedstawiono jako Boga i Adama – stary dyplomowy rysunek Cleo. Tygodniami wisiał na wydziale sztuki Mattingly i mijały go tysiące ludzi, ale nawet wtedy nie czułam się tak naga jak teraz.

– Bardzo dyskretnie dajesz mi do zrozumienia, że widziałeś moje cycki – zauważam.

– Kurde. – Odwraca wzrok i z zakłopotaniem pociera kark. – Chyba zapomniałem, że to były akty.

– Większość kobiet marzyłaby o usłyszeniu czegoś takiego.

– Nie, absolutnie nie zapomniałem, że jesteś tam naga – uściśla. – Natomiast zapomniałem, iż nie wypada komuś mówić, że wygląda tak samo jak na rozbieranym obrazku.

– Coraz lepiej nam idzie – przyznaję.

Z westchnieniem przeciąga dłonią po twarzy.

– Przysięgam, że zwykle jestem lepszy w te klocki.

Ja zwykle staram się być miła dla wszystkich, ale jest coś satysfakcjonującego w wytrącaniu go z równowagi. Satysfakcjonującego i pociągającego.

– W jakie klocki? – dopytuję.

Przezesuje włosy palcami.

– Chodzi o pierwsze wrażenie.

– Zanim zawrzesz nową znajomość, powinieneś najpierw podesłać jej swój akt od dupy strony – radzę. – U mnie to zawsze działa.

– Wezmę pod uwagę twoją radę.

– Nie wyglądasz na Wyndhama Connora.

Unosi brew.

– A jak miałbym wyglądać?

– Nie wiem – przyznaję. – Może granatowa marynarka ze złotymi guzikami? Kapitańska czapka? Wielka biała broda i potężne cygaro?

– Czyli Santa na jachcie – podsumowuje.

– Albo pan Monopoly na urlopie – dorzucam.

– Cóż, ty też nie odpowiadasz stereotypowemu wizerunkowi Harry Kilpatrick.

– Wiem. Nie jestem dickensowską sierotką w kaszkiecie małego gazeciarza.

Śmieje się i oczy znów mu rozbłyskują. Teraz wydają się bardziej bladezielone niż szare – raczej jak woda w oparach mgły niż sama mgła.

Obchodzi maskę samochodu i otwiera dla mnie drzwi.

– No cóż, Harriet. – Spogląda na mnie, a moje serce gubi rytm od jego intensywnej uwagi. – Gotowa?

– Tak – mówię, z niejasnego powodu mając wrażenie, że kłamię.

W sposobie, w jaki Wyn prowadzi jaguara przez ciemne kręte drogi, jest sportowy, a nawet artystyczny sznyt. Jedna muskularna ręka spoczywa na kierownicy, a druga luźno na dźwigni automatu. Kolano podskakuje w niezmordowanym rytmie, ale noga na gazie w pełni kontroluje sytuację. Kiedy zbliżamy się do oceanu, opuszczam szybę i wdycham znajomą, słoną woń. Wyn robi to samo i wiatr mierzwi mu włosy, zaburzając jego niewzruszony profil. Jedno niesforne pasmo dziwnym trafem zawsze potrafi znaleźć drogę w dół, przez jego czoło, jakby jakaś niewidzialna nić łączyła je z wybrzuszeniem łuku Kupidyna.

Dostrzega moje badawcze spojrzenie i jego brwi wyginają się w idealnej synchronizacji z ustami.

Ruchome piaski. Ta myśl wraca do mnie, a pierwotny, zwierzęcy instynkt zdaje się jej wtórować. System limbiczny wysyła sygnał do moich mięśni: „Przygotować się do ucieczki; jeśli dopuścisz go bliżej, dopadnie cię”.

– Patrzysz na mnie – mówi. – Podejrzliwie.

– Po prostu się zastanawiam, czy naprawdę jesteś współlokatorem moich przyjaciół, czy jednak mordercą, który ukradł auto swojej ofiary – wyjaśniam.

– I jeszcze zdążył odebrać jej przyjaciółkę z lotniska?

– Moim zdaniem większość morderców jest punktualna.

– Dlaczego uważasz, że nasze pokolenie powinno w każdym węszyć mordercę? – pyta ze śmiechem. – Ja tam nie spotkałem jeszcze żadnego, a przynajmniej nic o tym nie wiem.

- To tylko znaczy, że nie spotkałeś złego mordercy.
- Zerka na mnie, muśnięty przez pasmo księżycowego światła.
- Widzę, że jesteś swego rodzaju geniuszem, Harriet Kilpatrick.
- Co ci mówiłam o Sabrinie i jej tendencji do koloryzowania?
- Czyli nie jesteś aspirującą chirurgką mózgową?
- Z naciskiem na „aspirującą” – odpowiadam. – A ty? W czym się specjalizujesz?

Ignoruje moje pytanie.

- A ja myślałem, że z naciskiem na „chirurgkę”.

Parskam śmiechem. Wyn uśmiecha się do siebie, nie spuszczać wzroku z drogi, i mam wrażenie, że moje kości napełniają się helem.

Zerkam przez okno.

- A ty? – powtarzam.

Po długiej chwili ciszy odpowiada pytaniem:

- Co ja? – Wydaje się lekko zniesmaczony.
- Czy wszystko, co mi o tobie mówiono, jest prawdą?

Spogląda w lusterko i przygryza pełną dolną wargę.

- To zależy, co ci mówiono.
- A jak myślisz?
- Harriet, nie mam ochoty zgadywać.

Często zwraca się do mnie po imieniu. I za każdym razem jego głos rezonuje mi w żołądku jak zbyt mocno naciągnięta struna. Mój układ sympatyczny uznał, że należy przepompować dodatkową porcję krwi do mięśni. To nie motyle trzepoczą mi w brzuchu. To tylko naczynia krwionośne kurczą się i rozkurczają wokół moich organów.

- Dlaczego nie? – pytam. – Sądziś, że powiedzieli coś złego?
- Zaciska szczęki i jego spojrzenie wraz z reflektorami przecina mrok.
- Nieważne. Nie chcę wiedzieć.

Kolano znów idzie w ruch, jakby rozpięta energia szukała ujścia.

- Powiedzieli mi, że nie sposób rozróżnić, czy flirtujesz, czy nie.

Śmieje się.

- No, teraz to próbujesz mnie wprawić w zakłopotanie.
- Możliwe. – Sama nie wiem, co mnie naszło. – Ale oni naprawdę tak mówili.

Dokładniej mówiąc, Sabrina narzekała, że nigdy tego nie wie, jednocześnie twierdząc, że za bardzo go lubi, aby się nad tym zastanawiać. I za bardzo skomplikowałyby to ich sytuację mieszkaniową.

- W każdym razie – mówi Wyn – jestem lepszy we flirtowaniu, niż się wydaje.

– Czy kiedykolwiek się zastanawiałeś – wychylam się, aby wejść w pole jego widzenia – że to może być problemem?

Uśmiecha się.

- Flirtowanie jeszcze nikogo nie zabiło, Harriet.
- Najwyraźniej nie słyszałeś o pojedynkach z okresu regencji.
- Och, słyszałem, ale nader rzadko zdarza mi się flirtować z niezamężnymi córkami potężnych książąt, więc nie muszę się obawiać.

- Uważasz, że odpuszczę sobie fakt twojej niewiedzy o realiach regencji?

- Harriet, uważam, że ty niczego sobie nie odpuścisz.

Znów mimo woli wybucham głośnym śmiechem i dołeczki w policzkach Wyna się pogłębiają.

- A skoro mowa o arystokracji, czy nie uczono cię, jak powinna się śmiać dama?

- Nie – przyznaję. – Takich rzeczy trzeba się uczyć przez całe pokolenia.

- Nie wątpię. Przy okazji, ja nie należę do tych pokoleń.

- Nie masz we krwi dyskretnego śmiechu, wiesz, takiego przez nos?

Zadziiera brodę i spogląda na mnie z góry.

- Może postrzegasz mnie inaczej, ale ja nie igrzm z uczuciami innych. Mam swoje zasady.

- Zasady? – podchwytuję. – Jakie?

- Między innymi takie, że nigdy nie zdradzam ich komuś, kogo dopiero poznałem.

– Och, przesadzasz. Mamy wspólnych przyjaciół, czyli jesteśmy jakby przyszywanymi przyjaciółmi. Mnie możesz je zdradzić.

– Nie. Przede wszystkim Parth i ja zawarliśmy pakt, że nie będziemy podrywać swoich przyjaciół ani przyjaciół naszych przyjaciół. – Wyn zerka na mnie z ukosa. – Co prawda nie wiem, jak się ma sprawa z przyszywanymi przyjaciółmi...

– Zaraz, zaraz – mówię. – Nie podrywasz swoich przyjaciół? To kogo ty podrywasz, Wyn? Wrogów? Obcych? Złe duchy zmarłych w kamienicy, w której mieszkasz?

– Takie zasady są zdrowe – upiera się. – Pozwalają uniknąć kłopotów.

– Tu chodzi o podryw, Wyn, a nie o wybór dań z grilla. Chociaż, z tego co słyszałam, tobie może być wszystko jedno.

Patrzy na mnie spod rzęs i cmoka.

– Chcesz ze mnie zrobić dziwkarza, Harriet?

– Bynajmniej – zaprzeczam. – Uwielbiam dziwki! Wiele moich najlepszych przyjaciółek jest dziwkami. Sama się puszczam na prawo i lewo.

Kolejna smuga księżycowego światła na moment rozjarza jego oczy, które lśnią teraz jak przydymione srebro.

– I co, nie służy ci to? – zgaduje.

– Nie wiem, nie miałam szansy spróbować – przyznaję.

– Bo się zakochujesz.

– Bo mężczyźni tak naprawdę mnie nie podrywają.

Śmieje się.

– Okej.

– To nie znaczy, że umniejszam swoją wartość – zaznaczam. – Kiedy mają okazję lepiej mnie poznać, czasami są zainteresowani, ale nie należą do tych kobiet, za którymi faceci się uganiają. I muszę jakoś z tym żyć.

Jego spojrzenie przesuwa się po mnie.

– Więc mówisz, że twój urok uwalnia się powoli?

– Dokładnie tak.

Taksuje mnie jeszcze przez moment.

– Jesteś inna, niż się spodziewałem.

– Trójwymiarowa i niebieskowłosa.

– Między innymi.

– A ja się spodziewałam kogoś w stylu Partha 2.0 – przyznaję.

Wyn mruży oczy.

– Myślałaś, że będę bardziej odpicowany?

– Niż wyciągnięta koszulka i džinsy? Ależ skąd!

Zdaje się nie słyszeć moich słów, tylko obserwuje mnie spod ściągniętych brwi.

– Twój urok wcale nie uwalnia się powoli – stwierdza po chwili.

Odwracam wzrok i kręcę galką radia, a w piersi rozlewa mi się żar.

– No wiesz – mówię – większość ludzi nie zaczyna znajomości ze mną od zapoznania się z moim aktem.

– Nie o to mi chodzi.

Czuję moment, kiedy jego spojrzenie porzuca mnie i wraca do szosy, ale już zdążył wycisnąć nim piętno. Odtąd ciemne klify, wiatr buszujący we włosach, cynamon w połączeniu z koniczyną i sosną – wszystko to będzie dla mnie znaczyło jedno: Wyn Connor. Drzwi zostały otwarte i wiem, że nie zdołam ich już zamknąć.

Regencja czy nie, pod wieloma względami ten facet mnie rozwała.

## W realu Poniedziałek

Pozostajemy uwięzieni w kuchni na czas kolejnych trzech toastów za wieczną miłość, aż w końcu Wyn przeprosza wszystkich i wychodzimy, żeby się „zainstalować”.

Kimmy wydaje zmysłowy pomruk, a Parth przybija jej piątkę. Cleo się wzdyga, bo dla niej taka piątka zgrzyta jak pociągnięcie paznokciem po tablicy.

Wyn i ja pędzimy na górę po schodach, w milczeniu walcząc o moją torbę. Początkowo ja ją dźwigam, ale szybko mi ją zabiera i przekłada sobie do drugiej ręki, żebym nie mogła do niej sięgnąć.

– Przystań zgrywać dżentelmena – syczę. – Nikt nie patrzy.

– Nikogo nie zgrywam – zaprzecza.

– Akurat.

– Nie. – Odsuwa bagaż poza mój zasięg, kiedy usiłuję go odzyskać. – Robię to dla czystej przyjemności drażnienia się z tobą.

– Jeśli o to chodzi, nie musisz się aż tak starać. Sama twoja obecność wystarczy.

– Wiem. Rzecz w tym, Harriet, że ty zawsze każesz mi mierzyć wyżej.

Już prawie udało nam się uciec, kiedy za nami wyrasta Sabrina.

– Słuchajcie, zapomniałam wam powiedzieć, że tym razem macie podwójne łoże.

Stajemy jak wryci, niemal z piskiem, jak w kreskówkach, a Wyn chwyta mnie za rękę, bo gdyby tego nie zrobił, Sabrina mogłaby z wrzaskiem upuścić swojego szampana, w takim byłaby szoku, że zastała nas dalekich od in flagranti, w pełni ubranych i niedotykalających się.

Na szczęście jeszcze nie zdążył złapać mnie za tyłek.

– Podwójne łoże – powtarza i kładzie mi dłoń na dole pleców. Napieram na niego tak, że musi się oprzeć barkiem o ścianę, żebyśmy nie upadli.

Zastanawiam się, czy chociaż w części sprawiamy wrażenie zakochanej pary, czy raczej widać, że odgrywamy scenę rywalizacji rodem ze spaghetti westernu.

– Zawsze spaliśmy w dziecięcym – protestuję.

Tak nazywa ten pokój rodzina Sabriny, bo są tam dwa bliźniacze łóżka, a nie wielkie podwójne łoża, jak w pozostałych dwóch sypialniach.

– Cleo i Kimmy poprosiły o dziecięcy – wyjaśnia Sabrina. – Wy widujecie się ledwie raz na miesiąc, więc uznałyśmy, że należy się wam wspólne łoże.

Tak długo, jak Wyn i ja byliśmy razem, po prostu zsuwaliśmy łóżka.

– Nie ma sprawy – mówię.

Sabrina przewraca oczami.

– Dla ciebie nigdy nie ma sprawy, królowo spolegliwości. Ale dla nas to był problem, bo Cleo i Kim już się zainstalowały w dziecięcym.

– Ale...

Wyn mi przerywa:

– Dzięki, Sabrino. Zawsze się o nas troszczyliście.

Zanim zdązę nieśmiało zaprotestować, Wyn zapędza mnie do największej sypialni w domu niczym owczarek krnąbrną owcę.

W momencie, w którym zamykają się za nami drzwi, obracam się ku niemu, gotowa na atak, kiedy niespodziewanie uderza mnie intymność tej sytuacji; dziwna intensywność naszej bliskości w tym zamkniętym pokoju.

Czuję tętniący w gardle puls. Stoimy tak blisko siebie, że widzę, jak jego źrenice się rozszerzają. Jego ciało uznało, że jestem zagrożeniem, na które należy jak najszybciej zareagować. Wrażenie jest obopólne.

Łatwo jest się wkurzać, kiedy jesteśmy wśród przyjaciół. Teraz jednak czuję się, jakbym stała naga w świetle reflektorów, poddana jego ocenie.

Wreszcie Wyn wydobywa z siebie głos, niski i chrapliwy:

– Wiem, że to nie jest idealna sytuacja.

Poraża mnie głupota tej konstatacji.

– Tak, Wyn. Spędzenie tygodnia w czterech ścianach sypialni z byłym chłopakiem z pewnością nie jest idealną sytuacją.

– Z byłym narzeczonym – poprawia mnie.

Nie spuszcza z niego wzroku. To on umyka spojrzeniem w bok i drapie się w głowę.

– Przepraszam – mówi. – Po prostu nie wiedziałem, co zrobić. – Znów na mnie patrzy, teraz już łagodnie, nazbyt znajomo. – Sab zadzwoniła do mnie z całą tą przemową. Mówiła, że kończy się pewna epoka. Że nigdy mnie o nic nie prosiła i robi to tylko ten jeden raz. Próbowałem się do ciebie dodzwonić, ale włączała się poczta głosowa.

To by wyjaśniało, dlaczego się nie odzywał.

– Zablokowałam twój numer – wyznaję.

Byłam już zmęczona tymi wszystkimi nocami, kiedy nie mogłam zasnąć i leżałam z kciukiem przyczajonym nad jego imieniem, marząc, aby zadzwonił i powiedział, że to wszystko było pomyłką. Musiałam w końcu uwolnić się od czekania.

Oczy mu ciemnieją. Wargi się rozchylają. Gdy zerka w stronę balkonu, bruzda pomiędzy jego brwiami się pogłębia. Przypominam sobie, że zawsze miał twarz stworzoną do udręki. Taki już jest, ale z pewnością nie potrzebuje mojego pocieszenia. To on jednym czterominutowym telefonem wykoleił nasz związek.

Nagle mięsień w jego żuchwie ożywa i oczy koloru jasnego dymu znów wbijają się we mnie.

– Co według ciebie powinienem zrobić, Harriet?

Znaleźć wymówkę.

Po prostu odmówić.

Nie łamać serca i postępować tak, jakby chodziło o zmianę terminu kolacji w ostatniej chwili.

Nie dawać powodu do kochania.

Kręcę głową.

Wyn podchodzi bliżej, aż skłania się nade mną niczym znak zapytania.

– Pytam serio – mówi.

Z westchnieniem opuszczam wzrok i masuję skronie.

– Nie wiem. Ale teraz nic już nie możemy zrobić. Nie można ze sobą publicznie zerwać na ślubie. Zwłaszcza kiedy ma być na nim tylko czwórka gości. – Przenoszę wzrok na sufit, kupując sobie czas. A nuż w ciągu tych paru sekund skończy się świat, oszczędzając mi decyzji.

– Harriet – naciska Wyn.

– Dobra – wyduszam z siebie wreszcie. – Myślę, że jakoś to przeżyjemy.

Mruży powieki, aby łatwiej rozszyfrować, co się kryje w mojej twarzy.

– Jesteś pewna?

Nie.

– Tak. Będzie dobrze. – Siadam na skraju łoża.

Wyn po chwili się odpręża.

– Cieszę się, że nadajemy na tych samych falach.

– Ja też.

Kiwa głową.

– Fajnie.

– Fajnie. – Zrywam się z łóżka.

Wyn cofa się o krok, zachowując dystans pomiędzy nami.

– Możemy im powiedzieć coś w stylu, że mieliśmy trudne dni, ale widok ich szczęścia uświadomił nam, ile tracimy.

Czuję ukłucie w piersi. Jego słowa są echem innych, które wypowiedział do mnie przed miesiącami: „Kiedy zaczęła się nasza znajomość, byliśmy dziećmi, ale sytuacja się zmieniła i czas to zaakceptować”.

– Naprawdę myślisz, że nie będą niczego podejrzewać?

– Harriet. – Oczy mu rozbłyskują. – Oni nawet nie wiedzieli, że od roku ze sobą chodziliśmy.

Robię krok w tył, zapominając, że mam za sobą łóżko, i żeby nie upaść, w ostatniej chwili wychylam się w jego stronę.

Momentalnie odskakujemy od siebie, jakbyśmy chcieli się nawzajem uządlić, ale delikatna smużka jego zapachu już zdążyła wsączyć się w moje nozdrza.

– Ale teraz może być trudniej – stwierdzam cierpko.

Dłoń Wyna przygląda włosy i jego T-shirt podjeżdża do góry, odsłaniając skrawek talii tak zmysłowo, jakby z boku stał reżyser, wykrzykując wskazówki, jak odegrać tę scenę.

Zmuszam swoje oczy, aby z powrotem poszukały jego twarzy.

– Jedną noc wytrzymamy.

Słowa „jedna noc” wymawia tak, jakby chodziło o głupie parę minut, ale ja wiem swoje. Kiedy jesteście razem, czas nigdy nie płynie normalnie.

Pocieram oczy pięściami.

– Powinniśmy już dawno im powiedzieć.

– Ale nie powiedzieliśmy.

Początkowo w ogóle o tym nie myśleliśmy. Byłam zbyt oszołomiona, zrozpaczona i ratowałam się wyparciem. A potem, parę dni po zerwaniu, na moim progu pojawiło się pudło z moimi rzeczami. Bez żadnej karteczki, aż zaczęłam się zastanawiać, czy nie podrzucił mi go w drodze do najbliższej firmy kurierskiej.

Wściekłam się i jeszcze tego samego dnia odesłałam mu jego rzeczy. Dołożyłam nawet pierścionek zaręczynowy, luzem, bo nie mogłam znaleźć pudełka z niebieskiego aksamitu.

Trzy dni później przyszła druga paczka – tym razem mała, opakowana w brązowy papier. Odesłał mi pierścionek. Znałam go na tyle dobrze, aby wiedzieć, że zrobił to w dobrej wierze, co jeszcze bardziej mnie rozwścieczyło. Oczywiście natychmiast mu go odesłałam. Gdy go dostał, po raz pierwszy od dwóch tygodni napisał mi esemesa: **Powinnaś zatrzymać pierścionek. Jest Twój.**

**Nie chcę go** – odpowiedziałam. **Nie mogłabym go nosić.**

**W takim razie go sprzedaj.**

Po pięciu minutach napisał jeszcze raz, pytając, czy powiedziałam Cleo i Sabine. Zemdlilo mnie na samą myśl. Taka wiadomość mogła rozbić nasz przyjacielski krąg i posłać w kosmos dorobek dziesięciu ostatnich lat.

**Czekam, aż będę mogła powiadomić je obie jednocześnie** – wyjaśniłam.

Skłamałam tylko w połowie. Powiedziałam o tym paru współpracownikom w szpitalu, ale bardzo rzadko pisałam do Cleo i Sabrinie. Byłyśmy wszystkie zbyt zajęte. Sabrina i Parth pracowali w swoich kancelariach do późnych godzin, a czasem nawet nocami, natomiast Cleo i Kimmy kładły się spać z kurami, bo prowadzenie farmy wymagało wstawania o czwartej rano.

A gdzieś w Montanie Wyn Connor z pomocą matki prowadził rodzinny warsztat renowacji mebli.

No i ja, w swojej strefie czasowej w San Francisco, po dwóch latach praktyki w klinice Uniwersytetu Kalifornijskiego. Przez większość czasu działałam na granicy zmęczenia, który wychodzi daleko poza ziewanie i opadające powieki, sięgając do samego rdzenia. Moje organy są wycieńczone. Moje kości są na skraj wyczerpania. Czas wolny spędzam zwykle na warsztatach z ceramiki w pobliżu swojego domu albo na sprzątaniu mieszkania, podczas którego oglądam stare odcinki serialu *Napisala: Morderstwo*. To mieszkanie wynajęliśmy z Wynem dwa lata temu, kiedy wszystko było jeszcze dobrze. Później u jego mamy wykryto parkinsona i musiał wrócić do Montany.

Związek na odległość miał być chwilowy, dopóki młodsza siostra Wyna nie obroni doktoratu i nie wróci, by przejąć opiekę nad Glorią. Więc wyjechał i jakoś to się kręciło. Aż przestało.

Nie musiałam pytać, czy Wyn powiedział o naszym zerwaniu Parthowi. Gdyby tak było, wszyscy by już wiedzieli. Zamiast tego zapytałam o jego mamę.

**Czy Gloria wie?**

**Nie czas na to** – odpisał. A po minucie dodał: **Namawiała mnie, żebym wrócił do SF. Czuje się winna, że mnie tu trzyma. Bez mojej wiedzy próbowała załatwić sobie miejsce w domu opieki. Gdybym jej teraz powiedział, że zerwaliśmy, znów by siebie winiła.**

Kochałam Glorię i absolutnie nie chciałam, żeby na tym ucierpiała. A jednak nie porzuciłam myśli



o zasugerowaniu Wynowi, aby wreszcie jej powiedział. Zwłaszcza że według niego to ja byłam wszystkiemu winna.

Napisał jeszcze raz: **Czy możemy zacząć z poinformowaniem o tym wszystkich? Tylko chwilę?**

Zgodziłam się i ogarnęła mnie ogromna ulga, że na razie nie muszę odbywać tych rozmów, że mogę je zdeponować w Magazynie Problemów Przyszłej Harriet. Po dwóch miesiącach, kiedy byłam już niebezpiecznie bliska zadzwonienia do Wyna, zablokowałam jego numer. Jednak od czasu do czasu go odblokowywałam, aby uczestniczyć wraz z nim w czatach grupowych – a ponieważ rzadko się tam angażowałam, uznałam, że inni się nie zorientują. Po upływie kolejnego miesiąca zainicjowałam wymianę mejli na temat naszego corocznego wyjazdu i nawet stworzyliśmy plan. Plan, który właśnie legł w gruzach.

Tak było dwa miesiące temu, a teraz Przyszła Harriet ma parę słów do powiedzenia Dawnej Harriet na temat jej głównianych decyzji.

To jej wina, że w to wdepnęliśmy.

Skupiam się na zielonej obwódce tęczęwek Wyna, żeby nie musieć oglądać jego atrakcyjnej całości.

– Co konkretnie mamy robić? – pytam.

Wzrusza ramionami.

– Będziemy jeszcze przez chwilę udawać, że jesteśmy razem, a potem zakończymy sprawę.

Próbuję skrzyżować ramiona na piersi, ale Wyn jest zbyt blisko, więc tylko niezgrabnie zwieszam rękę wzdłuż boków.

– Taa, rozumiem, ale chodzi o szczegóły. – Chwilę się zbieram, żeby zapytać prawie spokojnie: – Mamy się dotykać? Całować?

Ucieka spojrzeniem, lekko zakłopotany, z poczuciem winy.

– Wiedzą, jaki jestem przy tobie.

Zaiste, bardzo dyplomatyczny sposób powiedzenia, że będzie mnie dotykał przy każdej okazji. Przyciągał do siebie, obejmował, całował przy obiedzie, jakbyśmy byli sami, muskał szyję ustami, kiedy będę coś mówiła, i...

Rzecz w tym, że są ludzie, którzy większość swojego życia przeżywają w myślach (jak ja), oraz byty wybitnie fizyczne (jak Wyn).

Przez moment fantazuję o wyskoczeniu przez zawieszony nad klifem okno prosto w ocean i płynięciu przed siebie tak długo, aż dotrę do Europy. Wystarczyłaby nawet Nowa Szkocja. Jednak jako osoba niebędąca bytem wysoce fizycznym, pewnie już w locie straciłabym przytomność i ocknęła się, widząc półnagiego Wyna robiącego mi oddychanie usta-usta.

– Dobrze, ale żadnego dotykania bez świadków – zastrzegam. – W towarzystwie możemy robić to... co zawsze.

Patrzy na mnie z ukosa.

– Potrzebuję dokładniejszych wytycznych.

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

Patrzy i czeka. Odpowiadam mu spojrzeniem.

– Trzymanie się za ręce? – dopytuje.

Nie bardzo rozumiem, dlaczego serce mi się pcha do przetyku.

– Dopuszczalne.

Kwituje przyzwolenie kiwnięciem głowy.

– A czego mogę dotykać? Dołu pleców, bioder, ramion?

– Mam ci narysować mapę?

– Koniecznie.

– To był żart – burczę.

– Wiem. Co nie zmniejsza mojej dociekliwości.

– Plecy, biodra, ramiona, brzuch mogą być – mówię, a z każdym słowem mój żołądek mocniej się rozpala.

– Usta? – podsuwa.

Zerkam na stolik nocny, na którym leży czarny folder w skórzanej oprawie – jak zostawiony przez kelnera rachunek, który trzeba uregulować.

– Masz na myśli dotykanie moich ust czy całowanie ich? – uściślam.

– I to, i to – odpowiada. – Obie rzeczy.

Sięgam po folder i kartkuję go, udając, że czytam – a tymczasem czekam, aż ucihną moje synapsy.

– Przewodnik – mówi Wyn, a widząc moje zdumione spojrzenie, pokazuje ruchem głowy na folder, który rzekomo czytam. – Podobno potrzebujemy spersonalizowanych przewodników.

– Ale... przecież ciągle robimy te same rzeczy.

– I właśnie o to chodzi. Taka pamiętka. Do tego Sabrina na sobotę planuje dla nas różne spersonalizowane atrakcje, żeby ona i Parth mogli mieć odrobinę czasu dla siebie przed ślubem.

– Rany boskie... – Wczytuję się w stronę folderu. – Przewidziała nawet przerwy na toaletę!

Unoszę wzrok na Wyna i widzę, że jest zbity z tropu.

Wspomnienie przynosi żywy obraz, który rozwija się w mojej głowie, dominując nad terażniejszością. On i ja biegniemy po mokrych skałach u dołu klifu, pod domem, wrzeszcząc i podskakując, kiedy dosięgają nas zimne rozbryzgi fal. Z plaży w nocne niebo szybują śmiechy naszych przyjaciół, unoszone dymem z ogniska. Zgłaszam się, że polecę na górę po kolejny sześciopak, a Wyn, zawsze pierwszy do pomocy, ochoczo do mnie dołącza. Krztusząc się ze śmiechu, ścigamy się po stromych wydeptanych schodach prowadzących na tylny dziedziniec domu. „Jesteś sześciostopową górą mięśni, Wyn. Jak mam cię przegonić?” Chwyta mnie za rękę i razem wpadamy na patio. Kamienne płyty fosforyzują dziwną zieloną poświatą od basenu z podgrzewaną słońcą wodą. Wtedy po raz pierwszy dotyka moich palców. Znamy się dopiero od paru dni i to nasz pierwszy wyjazd całą grupą do tego domu. Cała wibruję od tego niewinnego kontaktu. Wyn szepcze: „Rzadko mówisz mi po imieniu”. Chyba drzę, bo ściąga brwi, po czym szybkim ruchem zdejmuje z siebie T-shirt z Mattingly, naderwany przy szyi. Dzwoniąc zębami zapewniam, że nic mi nie jest, ale on zbliża się z wolna i wciąga mi koszulkę przez głowę, aż ręce przywierają mi do ciała, a włosy dziko się elektryzują. „Lepiej?” – pyta. To przerażające i ekscytujące zarazem, jak tym jednym słowem porusza mnie do głębi, jakby ktoś potrząsnął śnieżną kulę.

Wcześniej, kiedy byliśmy wśród ludzi, ciągle nie śmiałam na niego spojrzeć. Ponieważ ja i Wyn przybyliśmy ostatni, a może dlatego, że przyjaciele na początku chcieli nas sprowokować, dostaliśmy na cały ten tydzień dziecięcy pokój. Każdej nocy po zgaszeniu światła prowadziliśmy szeptane rozmowy, leżąc w łóżkach pod przeciwległymi ścianami. I tak całymi godzinami. A jednak rzadko wymawiałam jego imię. Kojarzyło mi się z zakłębieniem. Jakbym się bała, że oświetli mnie od środka i wtedy on zobaczy, jak strasznie go pragnę i jak przez cały dzień moje myśli fiksują się na nim niczym zacinająca się płyta. Jakimś cudownym zrządzeniem losu zawsze potrafiłam go znaleźć. Gdyby zawiązano mi oczy i kazano się obrócić, i tak od razu wskazałabym na Wyna.

Jednocześnie nie mogłam go chcieć, bo uprzedziły mnie przyjaciółki. Bo stał się ważną częścią życia Sabriny i Cleo, a ja nie chciałam stawać im na drodze. Poza tym wmawiałam sobie, że moja reakcja na niego tak naprawdę nic nie znaczy. Zwyczajny biologiczny imperatyw prokreacyjny, odpalający małe fajerwerki w moim systemie nerwowym. Na czymś takim nie da się zbudować trwałej znajomości. Przekonywałam siebie, że jestem zbyt mądra, aby myśleć, że się w nim zakochałam. Bo nie mogłam się zakochać. Nie powinnam.

Gdyby tylko mi się to udało.

Teraz Wyn wyjmuje mi folder z rąk i czyta otwartą stronę.

– Podziwiam Sabrinę za to jej zorganizowanie – mówię. – Ale zbyt wiele tu atrakcji. Wzmianka o wypróżnieniu się w planie grupowego pobytu to już za dużo dobrego.

Wyn odkłada folder na szafkę.

– To nic w porównaniu z listą rzeczy do zabrania, którą przysłał mi Parth. Było tam wyliczone, ile par majtek mam wziąć. Albo to ma coś wspólnego ze spersonalizowaną sobotnią niespodzianką, która może aż tak źle się dla mnie skończyć, albo on uważa, że nie potrafię się doliczyć własnej bielizny.

– Nie doceniasz się – mówię. – Pewnie chodzi o obie rzeczy po trochu.

Kiedy Wyn się śmieje, na jego policzkach z cieniem zarostu pojawiają się dołeczki jak dwa ciemne punkciki. Przez ułamek sekundy mam wrażenie, jakbyśmy wyszli ze strumienia czasu i cofnęli się o rok.

A potem odsuwa się ode mnie.

– Teraz wypada kwadrans relaksu przed lunchem, więc zostawię cię, żebyś odpoczęła – mówi.

Kiwam głową.

On też kiwa głową.

Idzie do drzwi, lecz waha się przez moment.

Wreszcie wychodzi, a ja stoję znieruchomiała tam, gdzie mnie zostawił.

Na pewno nie odpocznę.

## W realu Poniedziałek

Wielka sypialnia okazuje się wielką katastrofą. Piękną, oszłamiającą, koszmarną katastrofą. Pokój dziecięcy znajduje się na początku korytarza, w starej części domu. Nasza sypialnia należy do bezdusznej, nowoczesnej ogromnej przybudówki. Nie ma tam wypaczonych drzwi, które się zacinają, ani okien, które trzeba zapierać książkami, żeby się nie zamykały, ani podłóg, które skrzypią i trzeszczą, nawet kiedy nikt po nich nie chodzi.

Pokój jest szczytem luksusu. Królewskich rozmiarów łoże okrywa wytworna kapa. Podwójne szklane drzwi prowadzą na balkon z widokiem na basen ze słoną wodą i opadające za nim urwisko. Jest tu masywna, kamienna wanna i dwuosobowa kabina prysznicowa o ścianach z ciemnego łupku i szkła.

Jednakże, gdybym miała zasugerować jakieś zmiany w wystroju wnętrza, optowałabym za drzwiami do otwartej na sypialnię łazienki. Owszem, jest kibełek skryty w żałośnie ciasnej kabine, ale jeśli w ciągu dnia chciałabym się przebrać, mam trzy opcje do wyboru – wszystkie kiepskie. Pierwsza: pogodzić się z myślą, że będę to robić na oczach jedyne go widza, eksnarzeczonego. Druga: wtłoczyć się do kibelka i przebrać się tam, wykonując istic ekwilibrystyczne wygibasy. I wreszcie trzecia: dyskretnie wymknąć się na zewnątrz, do prysznicy i przebierałni przy basenie.

W związku z powyższym wykorzystuję swój „relaksacyjny” kwadrans, aby wziąć długi prywatny prysznic. Potem wkładam dżinsy i czystą białą koszulkę. To coś, co dzielę z Wynem – totalny brak własnego stylu. On w pracy zawsze musiał się ubierać praktycznie i rzeczy szybko mu się niszczyły, więc nigdy nie szukał czegoś ładnego. Jeśli chodzi o mnie, wieczne przywiązanie do lewisów rurek i T-shirtów wzięło się z faktu, że nienawidzę podejmowania decyzji. Całe lata zajęło mi dochodzenie, w jakich ciuchach najlepiej się czuję, i odtąd się tego trzymam.

Jeszcze jeden oślepiający błysk wspomnienia: leżę w łóżku z Wynem, spływa na nas światło lampki nocnej, a on ma włosy w nieładzie i ten jeden uparty kosmyk opadający na czoło. Całuje mój brzuch, więc unoszę biodra, i za moment szepcze z ustami w moim najintymniejszym miejscu: „Jesteś idealna”...

Dreszcz przebiega mi po krzyżu.

Wystarczy.

Zwijam włosy w węzeł na czubku głowy i schodzę na dół.

Wszyscy zbiegają do drewnianego stołu na tylnym patio. Przez środek ciągnie się pas zimnych zakąsek. Sabrina nie byłaby Sabriną, gdyby nie przygotowała karteczek z nazwiskami. I tak Cleo i Kimmy dostają miejsca przy sekcji wegańskiej, a ja mam przed nosem wielką obrotową deskę z serami.

Kiedy wchodzi, Wyn unosi głowę znad telefonu. Nie jestem w stanie stwierdzić, czy ulotny błysk napięcia w jego twarzy jest tylko moim pobożnym życzeniem, bo szybko odkłada komórkę, uśmiecha się i sięga, aby objąć mnie w talii i pociągnąć na miejsce obok siebie.

Szttywno opadam na kute metalowe krzesło, a wtedy jego ręka zmienia pozycję, luźno oplatając moje ramiona.

Sabrina wstaje ze swojego miejsca u szczytu stołu.

– Nie wiem, czy zdążyliście się już zapoznać z harmonogramem pobytu, więc...

– Chodzi o ten folder? – pyta Cleo. – Użyłam go do zablokowania drzwi.

Kimmy, z dwoma korniszonami sterczącymi z ust niczym kły morsa, dodaje:

– To jest tak ocenzone, że niewiele z tego wynika.

– Bo przewidziałam parę niespodzianek – wyjaśnia Sabrina. – Ale reszta tygodnia upłynie jak zwykle.

Wyn odgryza kęs marchewki z chrupnięciem, które odbija się echem w moim ciele. Nie mogę porządnie zaczerpnąć powietrza, bo setki zakończeń nerwowych w mojej piersi są napięte jak postronki, co

oznacza, że mam deficyt tlenu.

– Zajebeści Zakupowicze? – piszczy Kimmy, wchodząc w słowo Cleo, która pyta z nadzieją:

– Przeczytała: Morderstwo?

– Dwa razy tak – odpowiada Sabrina, potwierdzając zarazem, że czekają nas dwie, skrajnie różne, tradycyjne atrakcje z Maine: wyprawa do miejscowej księgarni (ulubionej mojej i Cleo) oraz bardzo zabawny sposób robienia zakupów spożywczych, będący wielką pasją Partha i Kimmy. Zaczęli to praktykować trzy lata temu, kiedy połączyli siły, zapoczątkowując „zwycięską passę”, jakby można było „zwyciężyć” w markecie.

Wyn i ja zawsze się zastanawialiśmy, kiedy Sabrina wymyśliła zabawę w Zajebeistych Zakupowiczów. W każdym razie na pewno miała dosyć naszych przedłużających się zakupów w miejscowym centrum handlowym. W jednym rogu była boska piekarnia, a potem ciąg stoisk z miejscowymi przysmakami i nasza szóstka zmieniała się w bandę konsumpcyjnych, często lekko nawalonych bachorów, które bezustannie się rozłaziły i co rusz trzeba było na kogoś czekać.

– Ale pomyślałam, że dzisiaj sobie popływamy, zrobimy grilla i takie tam – mówi Sabrina. – Po prostu celebруем wspólnotę.

– Za wspólnotę! – woła Parth, wznosząc piąty toast tego dnia.

Jak tylko Wyn zdejmuje mi rękę z ramion, żeby zrobić to samo, odsuwam się razem z krzesłem pod pretekstem sięgnięcia po otwarte prosecco i hojnie sobie dolewam.

– Za Zajebeistych Zakupowiczów! – proponuje Kimmy.

Za wypicie tylu litrów piwa, ile odpowiada twojej wadze, a potem zaśnięcie z nadzieją, że obudzisz się i stwierdzisz, że to wszystko było snem, myślę.

Z drugiej strony stołu Cleo przygląda mi się w zamyśleniu, ściągając delikatnie brwi. Zmuszam się do uśmiechu i unoszę ku niej kieliszek w toaście.

– Za tego gościa z antykwariatu Przeczytała: Morderstwo, który ciągle daje nam studencką zniżkę – mówię.

Usta Cleo drgają, jakby nie porwał jej mój toast, ale trąca się ze mną. Pije wodę, bo z alkoholem zerwała lata temu. Szkodził jej na żołądek.

– Obyśmy zawsze byli szczęśliwi i młode – rewanżuje się.

– Hej, butelka jest pusta – oznajmia Sabrina od szczytu stołu.

Zrywam się, uprzedzając Wyna. I tak się podnosi, ale popycham go z powrotem na krzesło.

– Zostań i się relaksuj, kochanie – zachęcam z jadłowitą słodyczą. – Ja przyniosę wino.

– Dzięki, Har! – woła Sab, kiedy spieszę do wyjścia. – Drzwi powinny być otwarte!

Kolejna ciekawostka w kwestii rozbudowy domu przez pana Armasa: starą klimatyczną kamienną piwniczkę zmienił w wielką supernowoczesną piwnicę, mieszczącą jego imponującą kolekcję imponująco drogich win. Ów skarbiec był chroniony hasłem i Bóg wie czym jeszcze, ale Sabrina zawsze zostawiała drzwi otwarte, żebyśmy mogli tam wpadać i wybierać coś dla siebie.

Za szybko trafiam na butelkę z taką samą etykietą jak ta na stole. Nie sądzę, aby Sabrina zaserwowała nam prosecco warte tysiąc dolarów, ale z nią nigdy nic nie wiadomo. Dla nas była zdolna do wszystkiego – nawet jeśli nasz prostacki smak nie był w stanie tego docenić.

Serce mi się ściska na myśl o idealnym, przemyślanym co do najmniejszego szczegółu ostatnim tygodniu, który dla nas zaplanowała, i o swojej kompletniej niemożności cieszenia się nim.

Jeden dzień. Niech mają dla siebie ten jeden, perfekcyjny dzień, a potem powiemy im prawdę.

Kiedy znów pojawia się na górze, wszyscy się śmieją – klasyczny obrazek przyjacielskiego luziku na ostatnim wyjeździe. Spojrzenie Wyna mknie ku mnie, a uśmiech z dołeczkami rozkwita i już ani drgnie.

Jemu jest dobrze! Nie widzi problemu w tym, że jego była narzeczona jest tutaj ani że przydzielono nam apartament dla nowożeńców, gdzie wszystko aż krzyczy: „Pieprzcie się jak króliki!”

Jakby dla niego to była normalka.

Tym razem rozkoszne ciarki suną mi w dół po krzyżu niczym płomień pędzący po struzce rozlanej benzyny.

To nie fair, że jest mu dobrze. To nie fair, że moja obecność nie rozpala mu serca, jakby wrzucono je na rożen, tak jak się dzieje z moim.

Dasz radę, Harriet. Jeśli on jest wyluzowany, ty też możesz być. Zrobisz to dla przyjaciół.

Stawiam butelkę na stole, okrążam go i zatrzymuję się za plecami Wyna. Kładę mu dłonie na barkach i zsuwam je niżej, na pierś, aż moja twarz dotyka jego głowy, a pod palcami czuję bicie jego serca, równe i spokojne.

Nie o to chodziło. Jeżeli mam cierpieć, on też musi.

Wtulam twarz w jego kark, w ciepłą woń sosen i koniczyny.

– Kto ma ochotę się wykąpać? – rzucam.

Widzę, jak robi mu się gęsia skórka. Tym razem czuję dreszcz triumfu.

– Coś mi się widzi – mówi Kimmy – że jesteśmy trochę ulu-lane... ululu-mulu-lane.

– Kto „my”? – Chwiejnie próbuję ustać na śliskiej pływającej macie, na której drugim końcu klęczy Kimmy. Żona Numer Pięć parę lat temu kupiła te maty do aqua jogi i dzisiaj sobie o nich przypominałam.

Kimmy piszczy, kiedy Parth wynurza się przy nas i mata się przechyla, po raz szósty zrzucając nas do wody. Po chwili cała nasza trójka wynurza się spod niej. Kimmy gwałtownym ruchem odrzuca z twarzy mokre czerwonozłote włosy.

– My – wyjaśnia. – My wszyscy.

– No cóż – mówię i brodą pokazuję na stojący na patio stół, przy którym Cleo, Sabrina i Wyn z zapalem rzną w pokera – oni chyba nie.

– O, nie! – zaprzecza Parth. – Sabrina jest absolutnie ścięta, ale gra ją otrzeźwia, a jej ambitnym celem w tym tygodniu jest ogranie Cleo.

– I wyjdzie za mąż – dorzucam.

– To też – przytakuje Parth i płynie do brzegu fosforyzującego basenu.

Kimmy usiłuje wgramolić się z powrotem na matę, ale ja ruszam za Parthem.

– Jak do tego doszło? – pytam.

– Nie wolisz, żeby sama ci powiedziała?

– Chcę znać pełną wersję. Sab strasznie zmyśla.

– Słyszałam! – wrzeszczy Sabrina od stołu i odkłada karty. – Wcale nie zmyślam, tylko się streszczam. Poker.

Obok niej Cleo krzywi się i mówi niemal z poczuciem winy:

– Królewski poker.

Sabrina jęczy i wali czołem o stół. Z tyłu słychać plusk, dobitnie świadczący, że Kimmy znów plasnęła na brzuch do wody.

– Zapytałem ją o to rok temu – szepcze konspiracyjnie Parth. Tak mnie zaskakuje, że lekko się z nim zderzam.

– Rok?! – wykrzykuję. – Jesteście zaręczeni od roku?

Kręci głową.

– Nie, wtedy nawet nie chciała słyszeć o ślubie! Nie przyjęła pierścionka. Aż nagle, parę tygodni temu, kiedy się dowiedziała o domu... – Zerka w stronę karciarzy. Sabrina w skupieniu tasuje talię. – Wtedy mi się oświadczyła.

– Coo?

Parth się krzywi i pociera kark.

– Odrzuciłem oświadczyni, bo uznałem, że działała pod wpływem impulsu. Wiesz, jaka ona jest. Do czasu rozwodu rodziców nie czuła żadnego sentymentu do tego miejsca. Aż raz zaprosiła tu ciebie i Cleo, a później resztę, i nagle uznała to miejsce za swój dom. Kiedy ojciec jej powiedział, że go sprzedaje, moim zdaniem poczuła, że musi się zakotwiczyć gdzie indziej. Uznałem, że to nie jest powód, aby powiedzieć „tak”.

– Więc ty się jej oświadczyłeś i usłyszałeś „nie”? – pytam domyślnie.

Przytakuje.

– Tylko to było półtora miesiąca temu i pomyślałem, że jest na mnie wściekła za tamto. I oto przed paroma tygodniami znów mi się oświadczyła, tym razem bardzo serio. Żadnego impulsu, to już było starannie zaplanowane.

– Wow, twój czar zadziałał.

– Wiem – przyznaje bez zażenowania. – Koniec końców gruchnęła przede mną na kolano w Central Parku jak czystej krwi romantyczka, mówiąc, że od początku chciała się ze mną związać na zawsze, ale się

bała, że nic z tego nie wyjdzie, i dlatego nie śmiała mi o tym powiedzieć. Wiesz, z powodu swoich rodziców. No i Cleo – mówi, po czym dodaje z przeproszającym spojrzeniem: – I ciebie.

To było coś, co na początku nas połączyło: jej ojciec zaliczający kolejne małżeństwa, jakby to był thriller w odcinkach, oraz moi rodzice, trwający przy sobie, ale przeważnie nieszczęśliwi. Sabrina nigdy nie chciała wyjść za mąż, a już na pewno nie marzyła o rozwodowych jatkach. Mnie z kolei przerażała perspektywa wyjścia za kogoś, kto nie byłby zdolny ani mnie rzucić, ani kochać.

Dlatego nie rozpaczałam, kiedy Wyn mnie zostawił; nie pytałam dlaczego ani nie dałam mu szansy na powrót. Wiedziałam, że bardziej bolesne niż życie bez niego będzie życie z nim dalej ze świadomością, że tak naprawdę nie jest już mój.

Parth, Wyn i Kimmy byli dziećmi kochających się, wiernych małżeństw, a rodzice Cleo rozwiedli się, kiedy była mała, ale wciąż przykładowie się przyjaźnili. Nadal mieszkają niedaleko od siebie w Nowym Orleanie i regularnie się spotykają na rodzinnych kolacjach ze sobą i swoimi drugimi partnerami.

– W każdym razie – ciągnie Parth – Sabrina uznała, że nie może pozwolić, by ojciec dalej rządził jej życiem. Nie chciała już podejmować decyzji będących wyłącznie zaprzeczeniem tego, co on robił. Wówczas powiedziałem „tak” i zaplanowałem własne oświadczyzny.

– Jakżeby inaczej – mówię. – Przecież jesteś Królem Imprez z Paxton Avenue.

Parth się śmieje, odgarniając mokre włosy z twarzy.

– Rozumiesz, chciałem, aby wiedziała, że ja też tego chcę. Może to dziwne łączyć ślub z podróżą, sam nie wiem. Po prostu potrzebuję tego tygodnia, aby być całkowicie w porządku wobec niej.

Serce mnie kłuje. Dłonie mnie swędzą.

– Bardzo się cieszę – mówię. – I życzę wam szczęścia.

Z uśmiechem mierzwi mi włosy.

– Dzięki, Har. Nie poradzilibyśmy sobie z całym tym gównem, gdyby nie ty i Wyn. Mam nadzieję, że o tym wiesz.

– Och, daj spokój...

– Mówię serio – zapewniam. – Wy jako pierwsi przekroczyliście granicę przyjaźni i udowodniliście, że to działa. Sab cały czas powtarza, że niepotrzebnie tak długo bała się podążać za marzeniami z obawy, że zaszkodzi naszej szóstce, i dopiero widząc, jak się kochaliście przez te wszystkie lata, zaczęła nabierać wiary, że nam też się uda.

Czuję ucisk w gardle i przenoszę spojrzenie na pokerzystów przy stole. Wyn nie patrzy w moją stronę, skupiony na ekranie telefonu, ale i tak fala żaru spływa mi z czoła po szyi i niżej.

Za naszymi plecami Kimmy wrzeszczy:

– Udało się! Jestem boska!

Po czym rozlega się znajomy plusk.

– Chyba muszę na siusiu – mówię do Partha, wychodząc z basenu. – Albo napić się wody. Albo i to, i to.

– Jeśli nie widzisz różnicy pomiędzy tymi dwiema rzeczami, Harry – woła za mną Parth – chyba musisz iść do lekarza!

– Parth – mówię, przystając w drzwiach – ja jestem lekarką.

– W takim razie to mi wygląda na konflikt interesów. – Parth zawraca przy ścianie basenu i płynie do Kimmy.

Wycieram się ręcznikiem, idąc przez chłodny cichy dom. W kuchni jest bałagan, więc zmywam blaty, wrzucam puste butelki do recyklingu, po czym kieruję się do damskiej toalety wciśniętej za pralnię. Nikt jej nie używa, bo przetrwała tam od dziewiętnastego wieku i jest malutką klitką.

Opieram się o umywalkę, próbując zaczerpnąć powietrza. Patrę w lustro. Moja twarz jest już opalona, a na zmierzwionych włosach osiadła sól. Ani śladu po wcześniejszym prysznicu. Może uda mi się szybko obmyć, kiedy wszyscy są na patio.

A może szybko spakuję torbę i wymknę się stąd, żeby... sama nie wiem. Nie zrujnować wesela swoich przyjaciół? O Boże, w co ja się wkopałam!

Siusiam, a potem myję ręce luksusowym grejpfrutowym mydłem, w które pan Armas wyposaża wszystkie swoje hotele. Jeszcze raz wdycham jego woń i wychodzę.

Mój pierwszy odruch, kiedy widzę Wyna czekającego w wąskim korytarzu, każe mi zatrzasnąć mu

drzwi przed nosem. Z nadzieją, że kiedy znowu je otworzę, zły sen minie i już go tam nie będzie.

Niestety jak zwykle moje ciało jest dwa i pół kroku za umysłem i w chwili, kiedy łączę obecność Wyna z głosami napływającymi do holu i kuchni, zostaję wepchnięta z powrotem do klitki i drzwi zatraskują się za nami.

Serce mi wali. Moje członki zdają się mięknąć od żaru. Wychodząc, zgasiłam światło, a on się nie kwapi, żeby sięgnąć do włącznika, więc ciemność przecina jedynie słaby blask kontrolki sensora na lustrze.

– Co ty tu robisz? – pytam.

– Wyluzuj. – Półmrok czyni jego głos zbyt intymnym. I bez tego stoi za blisko.

– Jak możesz wpychać kobietę do ciemnego pomieszczenia i mówić, żeby wyluzowała? – syczę.

– To była jedyna możliwość, żeby zostać z tobą sam na sam.

– Więc polowałeś na mnie?

Wyn głośno wypuszcza oddech.

– Nasz plan nie ma szans.

– Wiem.

Unosi brew.

– Serio?

– No przecież powiedziałam.

Opiera się o drzwi i z uniesionym podbródkiem nabiera powietrza tak głęboko, że nasze piersi się dotykają. Usiłuję się cofnąć, ale nadziewam się na wieszak z ręcznikiem.

– Będziemy musieli tu wytrzymać jeszcze pięć dni – mówię.

Wyn odkleja się od drzwi. Nasze piersi napierają na siebie i wściekle, elektryzujące wyładowanie przepływa od jego skóry do mojej, a może odwrotnie.

– Przed chwilą się ze mną zgodziłaś, że nie damy rady.

– Nie, Wyn, ja tylko chciałam powiedzieć, że nasz plan nie zadziała. Oni chcą, żeby ten tydzień był idealny. Sabrina już jest kłębkim nerwów. To może wszystko popsuć.

– I tak popsuje – burczy.

– Pogadaj z Parthem – radzę. – Oczywiście możesz olać sprawę i wtedy wszystko im zniszczysz, a ja nic na to nie poradzę. Jednak liczę na ciebie.

Wzdycha.

– Ależ się popieprzyło...

– Z pewnością nie jest idealnie – stwierdzam ze złośliwym naciskiem na ostatnie słowo, którym szermował wcześniej.

– Doprawdy zabawne – komentuje z błyskiem w oku.

– Tak myślałam. – Hardo zadzieram brodę, jakby nie przytłaczała mnie jego bliskość. Jakby setki szerszeni nie kłębiły mi się w piersi, usiłując go dopaść.

Przez chwilę mierzymy się wzrokiem. Chyba po raz pierwszy ma takie wściekle spojrzenie. Jako osoba z definicji niekonfliktowa nie mogę się nadziwić, jakim cudem dodaje mi ono mocy. Wreszcie udało mi się wznieść ponad granitową fasadę, w której zawsze mnie więził.

– Dobra – mówi. – W takim razie musimy zrobić to.

Chwyta mnie za rękę. Mam wrażenie, jakby moje ciało było splotem żywych drutów pod napięciem, ale za moment zostaje rozładowane przez dotyk chłodnego krążka z białego złota, który Wyn próbuje wsunąć mi na palec.

Odskakuję w tył, zanim zostanę zaobrączkowana. Puszczam go, ale odbijam się od tego cholernego wieszaka z powrotem ku niemu.

– Ktoś wreszcie zauważy, że go nie nosisz – ostrzega tonem upomnienia.

– Na razie nikt nie zwraca uwagi na takie drobiazgi.

– To kwestia godzin. Kimmy już tańczyła i śpiewała do drewnianej łyżki jak do mikrofonu ten kawałek Crash Test Dummies, a publika szalała.

– W takim razie musimy stworzyć playlistę – podchwytnię. – Przychodzi mi do głowy przynajmniej dwadzieścia sześć kawałków, które wprawia Kimmy w tryb koncertowy.

Brwi Wyna podjeżdżają w górę, pociągając za sobą kąciki ust i w półmroku błyska uśmiech. Jak w kuli ze śnieżynkami, w której po obróceniu zawsze robi się zamieć.



- Czemu to robisz? – pytam.
- Po prostu wiedziałem, że się tu spotkamy, a ten pierścionek jest twój.
- Odesłałam ci go.
- Nie musisz mi przypominać. A teraz albo go przyjmiesz, albo im powiemy, że to już koniec. Więc

jak?

Podstawiam mu dłoń, wnętrzem do góry. Jestem pewna, że nie da rady wsunąć mi na palec tego starego zaręczynowego pierścionka.

Waha się, jakby chciał coś powiedzieć, po czym kładzie mi pierścionek na dłoni. Wkładam go na palec i pokazuję mu.

– Zadowolony?

Śmieje się, kręci głową i obraca się ku wyjściu, ale zatrzymuje się z ręką na gałce.

– Co mamy mówić, że od jak dawna to trwa? Gdyby ktoś pytał, kiedy ostatnio się widzieliśmy?

– Nie będą pytać – zapewniam.

Mój wzrok przyzwyczajają się do ciemności i wyraźnie widzę, jak pogłębiają się zmarszczki w kącikach oczu Wyna.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Bo to nudne pytanie.

– Nie zgadzam się. Desperacko pragnę poznać odpowiedź. Siedzę jak na szpilkach, Harriet.

Wznoszę oczy do nieba.

– Jakiś miesiąc.

Na moment przymyka oczy. Gdybym wiedziała, że pozostaną zamknięte, nie mogłabym się powstrzymać, aby nie przeciągnąć palcem wzdłuż linii jego nosa, nie obwieść tych słodkich ust, nie pieszcząc go, ale podniecając się tą możliwością. Straszne, że nasze uczucia muszą być dawkiowane na kwantowym poziomie. Jakby moje ciało stale szukało drogi do niego.

Unosi powieki i patrzy na mnie.

– Ustalmy, czy to ja przyjechałam do ciebie do San Francisco, czy ty do mnie do Montany?

Prycham w odpowiedzi, a w jego oczach pojawia się błysk.

– W zeszłym miesiącu nie miałam nawet czasu zrobić prania. Na pewno bym nie poleciała do Montany, żeby paradować po ranczu w kowbojskim kapeluszu.

– Ile par majtek przywiozłaś? – pyta z ponurą miną.

– Ja ciebie nie pytam, ile ty masz – warczę.

– Nie robiłaś prania od miesiąca. Po prostu liczę, Harriet.

– Nieważne. Jeśli mi nie starczy, pożyczę od ciebie, skoro wzięłaś tyle, ile kazał Parth.

– Przy okazji: gdybyś mnie odwiedziła na ranczu, na pewno nie kazałbym ci paradować w kowbojskim kapeluszu. Myślisz, że co tam robię przez cały dzień?

– Reperujesz meble – mówię ze wzruszeniem ramion. – Bywasz klaunem na rodeo. Albo uczęszczasz na zajęcia wodnego aerobiku dla seniorów, na które zawsze ciągnęła nas Gloria, kiedy ją odwiedzaliśmy. – Spotykaj się z piękną kobietą, oddychaj powietrzem Montany i całym ciałem odczuwaj ulgę, że wyrwałeś się z San Francisco i ode mnie. – A właśnie, jak tam Gloria?

Wyn opiera się głową o drzwi.

– Dobrze.

I tylko tyle.

Boli mnie, że nie chce ciągnąć tematu, jakbym nie zasługiwała na szersze informacje o jego matce, o rodzinie i musiała się zadowolić tą lakoniczną ripostą.

Zaraz jednak twarz mu łagodnieje, a usta drgają w kącikach.

– Nie uprawiałem z nią wodnego aerobiku.

– Akurat.

Przykłada rękę do serca.

– Przysięgam.

Mój własny śmiech mnie zaskakuje. Mało tego, nie kończy się na jednym parsknięciu, tylko wesołość pęcznieje mi w piersi jak popcorn i wybucha, aż chce mi się płakać.

Wyn cały czas tam stoi, oparty o drzwi, i patrzy na mnie, nic nie rozumiejąc.

– Skończyłaś, Harriet?

– Na razie tak.

Kiwa głową.

– Czyli odwiedziłem cię w San Francisco – podsumowuje. – W zeszłym miesiącu.

Z atmosfery wyparowują resztki dobrego humoru.

– Taka ma być bajka – potwierdzam.

Przygląda mi się odrobinę za długo. Twarz mnie swędzi. Krew szumi mi w uszach.

Oboje podskakujemy, kiedy z dołu wybucha wysoki, przeraźliwy dźwięk.

– Parth ma apkę z trąbką pneumatyczną – wyjaśnia z westchnieniem Wyn.

– Niech Bóg ma nas w swojej opiece.

– Puszczal to z piętnaście razy, zanim tu przyjechałaś.

Przygryzam usta, żeby nie wpuścić na nie choćby cienia uśmiechu. Nie zgadzam się, żeby znów mnie czarował.

– No dobra. – Odrywa się od drzwi. – A teraz cię zostawiam... – Robi głową gest, jakby chciał dokończyć: „Samotną w tej ciemnej klitce”.

– Super – mówię.

I już go nie ma.

Odliczam do dwudziestu i ruszam w drogę, choć serce ciągle mi łomocze. Zahaczam o kuchnię, gdzie znajduję swój opuszczony kieliszek, napełniam go po brzegi i wychodzę z nim w rześki chłód wieczoru.

Towarzystwo skupiło się wokół ognia płonącego w kamiennym palenisku, zakutane w ręczniki, bluzy i koce. Siadam koło Cleo, która przysuwa się do mnie i dzieli swoim flanelowym kocem, okrywając moje gołe nogi.

– Wszystko dobrze? – pyta.

– Oczywiście – kłamię, przysuwając się jeszcze bliżej. – Przecież jestem w moim szczęśliwym miejscu.

## Moje szczęśliwe miejsce Knott's Harbor, Maine

Pokój dziecięcy. Krzywa podłoga i skrzypiące okna, kremowe zasłony i bliźniacze łóżka po obu stronach, okryte takimi samymi niebiesko-szarymi kapami. Tu spędzam swój pierwszy weekend z przyjaciółmi po powrocie z Londynu i dzielę ten pokój z jakimś wirtualnym nieznajomym.

Kojący zapach starego domu, przyprawiony wonią pasty do mebli z nutą werbeny cytrynowej. I cynamonowej pasty do zębów. Sosen, koniczyny i dymu z płonących polan. A także widokiem dziwnych, bladych oczu, lśniących i mrugających czujnie jak u jakiegoś nocnego zwierza. Staram się na niego nie patrzeć.

Nie mogę się powstrzymać, żeby na niego nie patrzeć. Ale już parę godzin po poznaniu Wyna Connora stało się dla mnie jasne, że ma on własną siłę przyciągania. Nie śmiem jawnie go obserwować w świetle dnia i kiedy jest zbyt blisko, od razu zaczynam wkładać naczynia do zmywarki albo czyścić basen, cokolwiek.

Od wczesnych mglistych poranków po późne nocne godziny moja podświadomość ani na moment nie przestaje go śledzić.

Żyję w dwóch różnych porządkach czasowych. Jeden jest cudem, a drugi torturą. Czasami mieszają się ze sobą.

Lenię się nad basenem z Cleo, która czyta pamiętniki jakichś artystów albo wertuje encyklopedie, zwłaszcza grzybów. Włóczę się po mieście z Sabriną, buszując po antykwariatach książkowych i tych ze starociami, a także odwiedzając cukiernie. Z Parthem chodzę do kawiarni i na rolady z homara do budki, do której stale jest kolejka.

Ryzykujemy niebezpieczne pijackie zabawy w basenie i gramy w Nigdy przenigdy\*, obchodząc wokół ognisko na patio i donosząc z piwnicy kolejne butelki sauvignon blanc, rosé oraz chardonnay.

– Twój ojciec nie będzie miał pretensji, że wypijamy mu wina? – pyta Wyn.

Takie samo pytanie zadałyśmy z Cleo, kiedy Sabrina pierwszy raz zaprosiła nas tutaj. Zastanawiam się, czy piłyby te wina, gdyby sobie uświadomił, że Sab ma pełne prawo pod koniec tygodnia wystawić nam za nie kosmiczne rachunki.

– Oczywiście, że miałyby, gdyby to zauważył – odpowiada Sabrina. – Rzecz w tym, że on nie widzi niczego poza swoim kontem i sejfem w szwajcarskim banku.

– Facet nie ma pojęcia, co traci – komentuje Cleo.

– Wszystko, co lubię, wydarza się poza szwajcarskim bankiem – dodaje Parth.

– Wszystko, co lubię, jest tutaj – stwierdzam.

W najgorętszej porze dnia skaczymy z pomostu w dół, starając się nie pokazać po sobie szoku w zderzeniu z lodowatymi falami Atlantyku, a potem leżymy na słońcu, na rozgrzanych deskach, patrząc na gnające po niebie chmury.

Sabrina idealnie rozplanowała nam picie i posiłki. Parth potrafi zamienić wszystko w wyrefinowaną grę albo współzawodnictwo – jak ta zabawa w skakanie z pomostu, którą nazwaliśmy Zero Wrzasku. Zaś Cleo ni z tego, ni z owego potrafi zadać pytanie w stylu: „Czy macie takie miejsca w swoich snach, które ciągle się powtarzają?”. Albo: „Chcielibyście jeszcze raz przeżyć liceum, gdybyście mogli cofnąć czas?”. Jeśli chodzi o to ostatnie, Parth mówi, że tak, bo bardzo dobrze wspomina ten okres. Cleo również by chciała, bo wspomina go bardzo źle i miałyby szansę coś poprawić. Reszta z nas zgodnie stwierdza, że musieliby nam dobrze zapłacić, żebyśmy zechcieli wrócić do szkolnej nudy.

Wtedy Cleo pyta:

– A gdybyście mogli przeżyć całe życie inaczej, co byście robili?

Parth odpowiada bez wahania, że grałby w kapeli rockowej.

Sabrina po chwili namysłu mówi, że byłaby szefową kuchni.

– Kiedy moi rodzice jeszcze byli razem i wyjeżdżaliśmy na wakacje – wspomina – mama i ja przyrządzałyśmy wymyślne potrawy. Nieraz zajmowało nam to cały dzień, jakbyśmy nie miały nic innego do roboty. A my po prostu chciałyśmy pobyc z sobą.

Często dzieli się z nami takimi wnikliwymi obserwacjami i brutalnie szczerymi komentarzami na temat swój i swojej rodziny. Jak choćby: „Sorki, za szybko z tym pojechałam. Wszystkiemu jest winny mój syndrom dziecka narcyzów. Ciągłe mi się wydaje, że mam trzydzieści sekund na przedstawienie swojej sprawy, bo potem wszystkich zanudzę”. Dużo rzadziej dzieli się szczęśliwymi wspomnieniami.

Ta odrobina czułych wspomnień, którą nam ofiarowuje, jest prawdziwym darem. To zaszczyt, kiedy ktoś taki jak Sabrina powierza ci coś tak świętego, a przy tym rzadkiego jak czułość oraz wzruszenie.

Jeśli chodzi o drugie życie, Cleo informuje, że wybrałaby farmę, co wzbudza takie salwy śmiechu, że trzęsie się cały pomost.

– Serio! – zapewnia. – To by było zabawne.

– O, tak – potwierdza Sabrina. – Zastępnęłabyś z malowania natury i twoje obrazy wisiałyby w każdej celebryckiej rezydencji w LA.

Kiedy przychodzi moja kolej, głupieję. Od czternastego roku życia marzyłam o chirurgii i o niczym innym.

– Możesz wszystko, Harry – zachęca Sabrina. – Tylko nie myśl za dużo.

– Nadmierne myślenie to moja specjalność – odpowiadam.

Sabrina chichocze.

– Może w twoim drugim życiu powinnaś na tym zarabiać.

– Albo wręcz przeciwnie – dorzuca Cleo. – Może w naszym drugim życiu nie powinniśmy myśleć o zarabianiu, tylko po prostu być.

Parth, nie wstając od stołu, przybija jej piątkę.

– Kocham cię, Parth – mówi Cleo. – Ale nie uznaję przybijania piątek.

Niezrażony, cofa rękę i pyta Wyna, jak by widział swoje drugie życie. Nie patrzę tam, ale czuję, jak ten gość byczy się na słońcu z mojej lewej strony, niczym druga kosmiczna gwiazda – ciało ze swoją własną grawitacją, światłem i ciepłem.

Wyn wzdycha sennie.

– Żyłbym w Montanie.

– Tam już żyjesz – zwraca mu uwagę Parth. – Powinieneś raczej powiedzieć, że przeniesiesz się na Biegun Południowy, żeby leczyć pingwiny, czy coś w tym guście.

– Dobra, Parth, więc przeniósłbym się na Biegun Południowy, żeby leczyć pingwiny.

– To nie jest właściwa odpowiedź – zwraca mu uwagę Cleo. – Czemu chciałbyś znowu żyć w Montanie, Wyn?

– Bo w tym życiu postanowiłem, że tam nie zostanę – odpowiada Wyn. – Pragnąłem zrobić coś innego niż moi rodzice, być kimś innym. Ale gdyby mi dano drugie życie, chciałbym powtórzyć to pierwsze.

Udaje mi się na niego zerknąć. Jego policzek przylega do desek pomostu i nasze spojrzenia się łączą na czas kilku oddechów. Jego mokre ramię i moje niemal się stykają. Odbywamy szybką milczącą konwersację: „Cześć” – „Cześć”. A potem: „Uśmiechasz się do mnie” – „Nie, to ty się do mnie uśmiechasz”.

Wracam spojrzeniem do nieba i zaciskam powieki.

Kiedy kładziemy się każde na swoim łóżku po dwóch stronach pokoju, buzowanie w moich żyłach nie słabnie.

Wyn leży tak cicho i nieruchomo, że chyba już śpi. Po chwili jednak jego głos przerywa ciszę.

– Dlaczego zaczynasz sprzątać, kiedy tylko wchodzę do pokoju?

Mój śmiech wynika po części z zaskoczenia, po części z zakłopotania.

– Co takiego?

– Kiedy inni są na dworze, a ty w kuchni, w chwili, kiedy wchodzę, od razu sięgasz po gąbkę.

– Nieprawda – bąkam.

– Owszem, prawda.

Pościel szeleści, kiedy układa się na boku.

– Dobrze, może parę razy tak zrobiłam, ale to przypadek. Uwielbiam sprzątać.

– Tak mi mówiono – przyznaje.

Śmieję się.

– Przy jakiej okazji? Wypytywałeś ich o takie nudne szczegóły na mój temat?

– Po paru tygodniach od dnia, kiedy się wprowadziłem, mieszkanie było kompletnie zapuszczone i miałem tego dosyć, choć nie jestem pedantem. Wreszcie zapytałem o to Sabrinę i powiedziała, że chyba się przyzwyczaili do twojego ciągłego sprzątanego. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy tylko ja wyrzucałem śmieci. Cleo ogarnia wyłącznie swoje rzeczy i nie rusza bałaganu Sabriny.

Uśmiecham się do ciemnego sufitu, a serce wypełnia mi ciepłe uczucie do ich obojga.

– Cleo jest świetna w logistyce – mówię. – Pewnie uważa, że jeśli zaplute pastą przez Sabrinę lustro wystarczająco długo pozostanie brudne, ta wreszcie to zauważy.

– Oj tak, gdybym nie interweniował, spod warstwy pasty nie byłoby widać umywalki.

– Nie doceniasz Sabriny. Całe mieszkanie byłoby w paście.

– Nie martwi cię, że twoja przyjaciółka jest ekstremalną fleją?

– Na szczęście zawsze lubiłam sprzątać. Od małego.

– Serio?

– Taa – mówię. – Rodzice byli zapracowani i ciągle się martwili o pieniądze, ale starali się zapewnić mnie i siostrze wszystko, czego nam było trzeba. Najlepiej mogłam im pomóc, sprzątając. Lubię sprzątanie, bo jest takie wymierne: od razu widać rezultat. Kiedy się denerwuję, biorę się do porządków i to mnie odpręża.

Długa cisza.

– Czy ja cię denerwuję?

– Co? Ależ skąd! – mówię szybko.

Pościel znów szeleści.

– Kiedy dzisiaj wieczorem przyszedłem, rzuciłaś się do układania na nowo rzeczy w szufladach.

– Przypadek – powtarzam uparcie.

– Czyli nie jesteś zdenerwowana?

– Ja się tu nigdy nie denerwuję.

Znowu cisza.

– Jacy oni są?

– Kto?

– Twoja rodzina. Mało o nich mówisz. Jesteś do nich podobna?

Opieram głowę na ręce i zerkam na niego w półmroku.

– Najpierw powiedz, jaka ja jestem.

– Nie wiem, jak to określić – odpowiada. – Nie jestem aż tak wygadany.

– Jeśli nie potrafisz powiedzieć, pokaż.

Ponownie kładzie się na plecach i zatacza krąg rękami.

– Wielka kula – zgaduję.

Śmieje się.

– W kalambury też jestem słaby. Ale to chyba nie wada?

– Wielka kula bez wad? – podchwytuję.

– No więc? – Znów na mnie patrzy. W mroku spotkanie spojrzeń jest łatwiejsze. – Twoja rodzinka to też wielkie kule?

– Nie potrafię ci tego powiedzieć, bo nie mam pojęcia, co to znaczy. W każdym razie mam miłych rodziców. Tata uczy przedmiotów ścisłych, a mama jest rejestratorką w gabinecie dentystycznym. Zawsze się starali, abyśmy ja i moja siostra miały wszystko, co trzeba.

– Już to mówiłaś – przypomina. A widząc moje wahanie, dodaje: – Przepraszam. Nie musisz o tym opowiadać.

– Nie ma wiele do opowiadania. – Zapada milczenie, ale po chwili mi się wyrzywa: – Nie kochali się. – Słowa zawisają pomiędzy nami. Wyn czeka i przestaje być ważne, że postanowiłam nie mówić o rodzicach. I tak mówię: – Kiedy brali ślub, znali się bardzo krótko. Jeszcze się uczyli, a mama była w ciąży z moją starszą siostrą. Chciała iść na medycynę, a tacie marzyła się astrofizyka, lecz potrzebowali pieniędzy, więc ona rzuciła naukę, żeby się zająć Eloise, on zaś dostał posadę nauczyciela wspomagającego. Kiedy ja

się urodziłam, byli już małżeństwem z rozsądku.

– Kłócili się?

– Właściwie nie. Siostra jest sześć lat starsza ode mnie i była klasyczną zbuntowaną nastolatką, więc ciągle wywoływała awantury, ale ze sobą się nie kłócili.

Awanturowali się, kiedy urwała się z fakultetów, nic im nie mówiąc, kiedy przyszła do domu z koleczkiem w pępku albo kiedy oznajmiła, że po maturze robi sobie rok przerwy i rusza z plecakiem w świat.

Mama i tata nigdy nie podnosili głosu, za to Eloise darła się bez opamiętania. Kiedy wreszcie kazali jej iść do pokoju albo wściekła wybiegała z domu, zapadała kojąca cisza. Groźna cisza, bo miałam wrażenie, że wystarczy pisnąć, a eksploduje i cały dom się rozpadnie.

Moi rodzice nie byli okrutni, ale byli wymagający i wiecznie zmęczeni. Czasami albo jedno, albo oboje brali dodatkowe prace w weekendy, gdy pojawiały się konieczne wydatki – na przykład zepsuł się nasz minivan lub Eloise ukruszyła sobie ząb, albo ja złapałam zapalenie płuc i trzeba było zrobić rentgen klatki piersiowej. Kiedy miałam dziewięć lat, jeszcze nie rozumiałam, co znaczą słowa: „konieczne wydatki”, ale zawsze wisiały w powietrzu, kiedy tata i mama ślęczeli nad rachunkami przy kuchennym stole, masując skronie i ciężko wzdychając.

Wiedziałam, że ojciec nienawidzi, kiedy matka wzdycha. I na odwrót – matka nienawidziła, kiedy on wzdychał. Jakby jedno miało nadzieję, że drugie sobie poradzi i nie będzie wymagało wsparcia.

Cały ten ich spokój sprawiał, że szukałam jakichś wskazówek i punktów zaczepienia, aż stałam się ekspertką w odgadywaniu nastrojów własnych rodziców. Eloise od dłuższego czasu nie było w domu, bo wybiegła z niego po wielkiej awanturze, kiedy im oznajmiła, że nie idzie na studia. Teraz już przestała stawiać sprawy na ostrzu noża i atmosfera się poprawiła, ale nigdy tak naprawdę jej nie wybaczyli, podobnie jak ona im.

– Są dobrymi rodzicami – ciągnę. – Interesowali się wszystkim, co robiłam. W piątej klasie na teleturniej talent show przygotowałam pokaz magicznych trików, które były po prostu małymi eksperymentami naukowymi, a oni oglądali mnie z takim podziwem, jakbym wygłaszała wykład w NASA. Chodziliśmy do lokali tylko przy specjalnych okazjach, ale wtedy zabrali mnie na lody do Big Pauly's Cone Shop – dodaję.

Taka rozmowa z Wynem jest jak naszeptanie sekretów do skrzynki, a potem zamknięcie jej na cztery spusty.

Błysk uśmiechu napływa ku mnie z ciemności.

– Czyli ciągnęło cię do słodczy.

– Wszystkich ciągnęło. Każdy zjadł wtedy po parę porcji – mówię. – Jakbyśmy wznosili urodzinowe toasty.

Siedzieliśmy w tej lodziarni aż do zamknięcia, kiedy już dawno powinnam iść do łóżka. Doskonale pamiętam, jak w drodze powrotnej zasnąłam na tylnym siedzeniu, szczęśliwa i dumna z siebie.

Żyłam tymi rzadkimi chwilami, gdy wszystko się układało i byliśmy szczęśliwą rodziną, a mama i tata zapominali o zmartwieniach i po prostu dobrze się bawili.

Kiedy w drugiej klasie wygrałam szkolny konkurs naukowy, cały wieczór smażyliśmy z tatą s'moresy\*\* na kuchennej płycie, oglądając serial dokumentalny o meduzach. Albo kiedy ukończyłam szkołę z drugą lokatą i cała załoga recepcji kliniki stomatologicznej doktora Sherburga wyprawiła miniprzyjęcie na moją cześć, ukoronowane szokującym tortem w kształcie mózgu upieczonym przez mamę. Albo kiedy otrzymałam zawiadomienie z Mattingly o przyznaniu mi stypendium i we troje siedzieliśmy pół nocy przy kompie, przeglądając katalog specjalizacji i kursów. Pamiętam, jak mama wtedy powiedziała: „Moja dziewczynka kiedyś dokona wielkich rzeczy”. „Zawsze to wiedzieliśmy”, dodał tata.

– A twoi rodzice? – pytam Wyna. – Pochodzą z farmerskich rodzin, prawda? Ale przetrzucili się na renowację mebli? Jacy oni są?

– Głośni – odpowiada krótko.

Moje pierwsze wrażenie się sprawdza – Wyna nie lubi mówić o sobie.

Ale ja pożądam informacji o prawdziwym Wynie i wszystkim, co się kryje za tym powłóczystym spojrzeniem dymnych oczu.

– Głośni, bo radośni, czy głośni w złości?

Jego uśmiech rozjaśnia mrok.

– Głośni, bo radośni. – Urywa na moment. – Do tego mój tata nie słyszy na jedno ucho, ale zawsze zadaje pytania z drugiego pokoju, więc czasami trzeba podkręcić potencjometr, kiedy się do niego mówi. Poza tym mam dwie siostry, starszą i młodszą: Michael i Lou. One też są nieźle nagłośnione. Pokochałyby cię.

– Bo ja też jestem głośna?

– Bo są równie błyskotliwe jak ty – odpowiada. – A także dlatego, że masz helikopterowy śmiech, jak z tych filmików w necie.

Mimo woli udowadniam, że ma rację.

– Przestań mnie podrywać!

– Ale to jest słodkie.

Znów oblewa mnie żar.

– Posłuchaj, naprawdę proszę, żebyś skończył z tym flirtowaniem.

– Myślisz, że to takie łatwe?

– Wierzę w ciebie.

– Nie masz pojęcia, ile to dla mnie znaczy – wyznaje.

Przekręcam się na bok, wtulam twarz w poduszkę i mamroczę, uśmiechając się:

– Dobranoc, Wyn.

– Śpij dobrze, Harriet.

Następnej nocy schemat się powtarza. Kładziemy się do łóżek, zapada cisza, a potem Wyn przekręca się na bok i zaczyna:

– Dlaczego akurat neurochirurgia?

– Być może uznałam, że ta nazwa robi wrażenie. I teraz ciągle zapewniam, że nie włamuję się do mózgów.

– Nie musisz się starać, żeby robić wrażenie – mówi. – Jesteś wystarczająco... – Kątem oka widzę, jak znów pokazuje rękami tę wielką kulę.

– Nienaturalnie wielkim arbuzem – dopowiadam.

Słyszę stłumiony śmiech i głos Wyna robi się niski, gardłowy:

– Więc taka jesteś? Wybierasz najtrudniejszą, najbardziej imponującą opcję, jaką możesz sobie wyobrazić?

– Sam zadajesz wiele pytań, ale nie lubisz udzielać odpowiedzi – zauważam.

Siada z plecami opartymi o ścianę. Kącik jego ust podjeżdża do góry, a dołeczki się pogłębiają.

– Co byś chciała wiedzieć?

Ja też siadam.

– Dlaczego nie chcesz wiedzieć, co moi przyjaciele mówili mi o tobie? – pytam.

Nieruchomieje. Ręka nie przeczesuje włosów, nie chodzi mu kolano. Wyn Connor zaklęty w kamień jest niemal obscenicznie piękny.

– Dlatego że – odpowiada w końcu – w najlepszym razie mogliby ci powiedzieć, że jestem miłym gościem, który ledwo się dostał na Mattingly i nie ukończył szkoły, bo nie zdążył zaliczyć wszystkich zajęć i pewnie nigdy tego nie zrobi.

– Oni cię uwielbiają. I nigdy czegoś takiego nie powiedzieli.

– Ale to prawda. Za rok Parth ma wyjechać na studia prawnicze i miałem się razem z nim przenieść do Nowego Jorku, lecz po raz drugi uwaliłem matkę. Moje studia wiszą na włosku.

– A komu jest potrzebna matka? – pytam.

– Zapewne matematykom.

– Chcesz zostać matematykiem?

– Nie.

– I dobrze, bo odkąd są kalkulatory, stali się mało przydatni. Kogo to będzie obchodziło, że jesteś słaby z matmy, Wyn?

Unosi wzrok.

– Chyba zależało mi na lepszym pierwszym wrażeniu.

– Za Boga nie uwierzę, że masz kłopoty z pierwszym wrażeniem.

Odgarnia gęste włosy z czoła i zostaje tylko jeden dyżurny kosmyk, który obowiązkowo opada mu na skroń.

– Może przy tobie się spinam.

– Aha – mruczę, czując mrowienie w kręgosłupie.

– Fakt, że nie łapię za mopa za każdym razem, kiedy wchodzisz do pokoju, nie świadczy, że twoja obecność na mnie nie działa.

Mam wrażenie, jakby kula od kręgli walnęła mnie w brzuch. A potem wyrają się motylki.

Nagły dopływ krwi, skurcz naczyń, tłumaczę sobie. Nic takiego.

– A jak działa? – dopytuję się.

– Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć, Harriet. I błagam, nie proś mnie, żebym to pokazał.

– Ja też się przy tobie spinam – przyznaję.

Czeka, aż powiem coś jeszcze, i niemal namacalnie czuję, jak bardzo jest skupiony na mnie. Pod żebrami rodzi mi się ucisk. Tak jakby ten ułamek swojej osoby, który mi udostępnił, sprawił, że reszta, niedosiężna dla mnie, przekształciła się w rodzaj fantomowej kończyny; ognisko bólu w miejscu, gdzie powinno być więcej Wyna.

– Czemu? – pyta wreszcie.

– Za przystojny jesteś – mówię.

Dziwny wyraz przenika jego twarz – jakby rozczarowanie. Odwraca wzrok.

– No cóż, to nie ma nic wspólnego ze mną.

– Wiem. W tym rzecz. Uważa się, że nienormalnie ładni ludzie muszą być...

– Jacy...? – pyta, unosząc brew.

Pokazuję rękami wielkie koło.

– Sferyczni?

Wypowiadam pierwsze słowo, jakie mi przyszło do głowy:

– Próżni.

– Próżni – powtarza.

– Zabawni. Interesujący. Sam sobie wybierz.

Parska śmiechem i ciska we mnie poduszką.

– Nigdy bym nie śmiał nazwać cię snobką, Harriet.

– Ogromną sferyczną snobką. – Odrzucam mu poduszkę, robiąc szeroki, okrągły gest rękami.

Poduszka nie dolatuje do niego i ląduje trzy stopy od łóżka.

– Co to miało być? – pyta.

– Poduszka, którą we mnie cisnąłeś. Nie pamiętasz?

– Wiem, że poduszka. Chodzi mi o ten rzut.

– No i kto tu jest snobem? – kontratakuję. – Tylko dlatego, że nie jestem wyczynowcem...

– To tylko rzut poduszką, Harriet, a nie olimpijski rzut młotem, a my jesteśmy cztery stopy od siebie.

– Dla mnie jesteśmy dziesięć stóp od siebie – burczę.

– Absolutnie się mylisz. – Wstaje i zaczyna iść przez pokój, odliczając każdy krok. Łapię się na rejestrowaniu takich szczegółów jak jego ramiona, brzuch, szczyty bioder sterzące nad spodenkami.

– Trzy... cztery... pięć...

– Sądziś coraz większe kroki. – Podrywam się z łóżka, żeby sama zmierzyć. W przelocie muskamy się łokciami i włoski na rękach stają mi dęba.

– Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć.

Kiedy się odwracam, stoi tuż za mną. Pomiędzy nami drży mrok. Sutki mi twardnieją. Strasznie się boję, że Wyn to zauważy – i zarazem desperacko pragnę, aby zobaczył. Chcę czuć jego wzrok na całym ciele.

Wyn odchrząkuje.

– Jutro.

Głos mam dziwnie piskliwy.

– Co jutro?

– Dokończymy pomiary – odpowiada. – Kto to zrobi dokładniej, wygra.

– Co wygra?



Usta mu drgają. Wzrusza szerokimi ramionami.

– Nie wiem, Harriet. A czego byś chciała?

– Często wymawiasz moje imię – zauważam.

– A ty moje rzadko – replikuje. – Dlatego muszę cię zmusić, żebyś powiedziała „Wyn-agrodzić”.

Kieruję uśmiech do podłogi, tak blisko siebie stoimy.

– „Wyn-ocha” – mówię. – Mój „Wyn-ik” będzie prawidłowy.

Kiedy ośmielam się unieść głowę, zaciska usta, a jego dołeczki są w pełnym rozkwicie.

– Zdążyłem już zapomnieć, o co chodziło.

Znów ten prąd w całym ciele. Motyle w brzuchu. Mój system nerwowy uruchamia dzwonki alarmowe.

– Chodzi o to, że już pora spać – odpowiadam.

Udaje, że mi wierzy, i rozchodzimy się do swoich łóżek.

Kolejną noc też przegadujemy. Mówię, że ciągle nie mogę się przyzwycząić do spontanicznej fizycznej czułości ze strony przyjaciół. Daję przykład Cleo, która wtula się we mnie i mości jak kot w stercie ciepłych ręczników, świeżo wyjętych z suszarki. Sabriny, która ściska mnie na powitanie i pożegnanie, czy Partha, który mierzwi mi włosy, kiedy mnie mija w pokoju.

– Wolałabyś, żebym cię nie dotykał? – pyta spokojnie Wyn.

Odpowiadam równie spokojnie:

– Przecież mnie nie dotykasz.

– Bo nie wiem, czy mogę i czy ty chcesz.

Wszystko we mnie skręca się i spręża.

Wyn podkłada sobie poduszkę pod ucho i kładzie się na boku. Naga pierś i długi, szczupły tors majaczą w pierwszych przeblysłkach świtu. W smugach światła widać piegi na muskularnych ramionach.

Rozpędzony pociąg moich myśli znika za zakrętem, zostawiając mnie samą z półnagim Wynem Connorem, który mówi:

– Jeśli o mnie chodzi, możesz mnie dotykać bez skrępowania.

Jestem coraz bardziej świadoma miejsc, w których chłodny jedwab zmysłowo dotyka moich nóg. Odrzucam kołdrę.

– Wyjątkowo wielkoduszna propozycja – komentuję.

– Wcale nie. Po prostu jestem dziko spragniony fizycznego dotyku. Nigdy nie mam dosyć.

– Rozumiem. Jeśli tylko poznam kogoś z pilną potrzebą fizycznego dotyku, podsunę mu twoją wizytówkę.

Kącik jego ust opada.

– Pamiętasz, co mi powiedziałaś o Sabrinie?

– Co takiego?

– Że koloryzuje – mówi. – Podobnie jak Parth.

Opieram się na łokciu.

– Co ty uważasz za koloryzację, Wyn? Opowieść o tym, że seksowna asystentka wykładowcy zapisała swój numer na twojej pracy semestralnej? Albo o stewardesie, która nie kazała ci płacić za drinki? Czy o identycznych ruskich trojaczkach akrobatkach?

– Trojaczki były dziewczynami, które przypadkowo spotkałem w barze i z którymi gadałem przez pół godziny – tłumaczy się. – I gwoli ścisłości, były gimnastyczkami, a nie akrobatkami i były naprawdę miłe.

– Nie da się nie zauważyć, że nie przeszkadzała ci ani asystentka, ani stewardesa – zauważam kąśliwie.

Wyn siada na łóżku, opierając się o ścianę. Ten człowiek nie potrafi wytrzymać w jednej pozycji dłużej niż kilkadziesiąt sekund.

– Może byśmy porozmawiali o twojej romantycznej historii? – proponuje.

– Czyli o czym?

– Sabrina mi mówiła, że w Londynie spotykałaś się z jakimś Amerykaninem.

– Tak, z Hudsonem.

– Jakoś o nim nie wspominasz.

Nie wspominam, bo już na początku uzgodniliśmy, że nasza znajomość jest chwilowa. Wiedzieliśmy,

że kiedy wrócimy do domu, będziemy zbyt zajęci i skupieni na swoich sprawach, aby ją kontynuować. Tym, co nas głównie łączyło w Londynie, była obopólna miłość do pewnego baru z frytkami i rybą. Mało romantyczne, ale spełniało swoją funkcję i żadne nie ucierpiało przy rozstaniu.

– Jestem jak otwarta księga – zapewniam. – Co byś chciał wiedzieć?

Wyn delikatnie zagryza dolną wargę.

– Był takim geniuszem jak ty?

– Nie jestem geniuszem.

– Dobra. Czy był tak samo błyskotliwy jak ty? I też chciał zostać neurochirurgiem?

„Błyskotliwy”. To słowo buzuje we mnie przez chwilę.

– Nie, torakochirurgiem – informuję. – Wybiera się na Harvard.

Wyn robi grymas.

– Drapie cię w gardle? – pytam troskliwie.

– Jak on wygląda? – drąży. Kiedy się zastanawiam, usta mu drgają w uśmiechu. – Już nie pamiętasz?

– Ciemne włosy, niebieskie oczy.

– Jak ty.

– Identycznie. – Ja też siadam przy ścianie. – Nie rozróżniłbyś nas.

Spojrzenie Wyna przesuwają się po mnie i zawisa na mojej twarzy.

– Jesteś wyjątkowo szczęśliwą kobietą.

– Najszczęśliwszą – potwierdzam. – Raz, kiedy byłam chora, poszedł za mnie na zajęcia.

– Masz zdjęcie?

– Serio?

– Jestem ciekaw.

Wychylam się z łóżka i zgarniam komórkę z podłogi. Szybko przeglądam galerię. Wybieram zdjęcie Hudsona, na którym widać jego wysokie kości policzkowe, ostry podbródek i lśniące czarne włosy. Kiedy podsuwam telefon Wynowi, przytrzymuje mnie za przegub, żeby ustabilizować widok, i wgapia się w ekran. Za moment wyjmuję mi komórkę z ręki i przysuwa sobie do oczu.

– Dlaczego on się nie uśmiecha?

– Uśmiecha się, ale subtelnie. Tak już ma.

– Ten gość – zaczyna Wyn – uśmiecha się tylko wtedy, kiedy patrzy w lustro. I w ten sposób się masturbuje. Obowiązkowo w koszulce Harvardu.

– O Boże, Wyn, przecież to ty oficjalnie masz być snobem – upominam go i sięgam po telefon, ale przewraca się na brzuch, zakrywając go sobą.

Dobiera się do moich zdjęć i z wolna je przewija, przyglądając się każdemu uważnie. Siadam koło niego i zaglądam mu przez ramię, kiedy kontempluje moje ujęcie w bibliotece, pochylonej nad notatkami, z paroma stosami podręczników piętrzących się przede mną na blacie.

– Jakie fajne. – Zerka na mnie, po czym powraca do przewijania, zanim zdążę zareagować. Powiększa zdjęcie palcem wskazującym i kciukiem, żeby lepiej zobaczyć moją twarz. Obserwuję jego profil. Widzę, jak rysy mu się rozjaśniają, a dołeczki pogłębiają. – Cholernie fajne – powtarza cicho.

Żar rozpełza się po wszystkich zakamarkach mojego ciała. Tym razem, kiedy chcę odzyskać telefon, Wyn pozwala mi na to. Siada na łóżku. Nasze twarze niemal się stykają. Czuję koniczynową woń jego dezodorantu. Spojrzenie lepi się do moich ust.

– Już ci mówiłam, że masz przestać ze mną flirtować – wyduszam.

Unosi wzrok.

– Czemu miałbym przestać?

Bo leci na ciebie moja przyjaciółka.

Bo ta grupka przyjaciół za wiele dla mnie znaczy i nie chciałabym tego zniszczyć.

Bo nie podoba mi się, że przy tobie tracę nad sobą kontrolę i za każdym razem, kiedy jesteś blisko, cała moja uwaga skupia się na tobie.

– Bo nie flirtuje się z przyjaciółmi – mówię.

– Nie jesteś moją przyjaciółką, Harriet – odpowiada spokojnie.

– To kim dla ciebie jestem?

– Nie wiem – przyznaje. – Ale na pewną nie przyjaciółką.

Nasze spojrzenia się spotykają i narasta między nami zmysłowe napięcie. Nasze potencjały zaczynają się nawzajem wzmacniać, łącząc się jak w schemacie nachodzących na siebie diagramów, rozrysowanym na wielkim łożu.

– Nie możemy – mamrocze.

– Z powodu Sabriny?

Moje serce uderza mocniej.

– Nie – zaprzeczam bez przekonania.

– Nie patrzę na nią w ten sposób.

– Patrzysz w ten sposób na nas wszystkie.

– Nie. – Jego głos jest stanowczy. – Naprawdę.

– Wyn – mówię cicho. – To jest... – Jakiego słowa użył wcześniej? – Niezdrowe.

– Wiem. Wierz mi, staram się nie... nie czuć się tak.

– Postaraj się jeszcze bardziej. – Mój ton ma być lekki i kuszący, a brzmi smętnie.

– Naprawdę chcesz, żebym to w sobie zwalczył?

Kłamstwo nie przejdzie mi przez usta, więc wstaję.

– Musimy się choć trochę przespać.

Milczy przez chwilę.

– Dobranoc, Harriet.

\* *Never Have I Ever* – pijacka gra, w której gracze siadają w kręgu z drinkami, po czym na zmianę obchodzą krąg, mówiąc: „Nigdy przenigdy...” (tu pada nazwa rzeczy, której gracz nigdy nie zrobił, np. nie palił trawki). Jeśli ktoś z pozostałych zrobił taką rzecz, musi się przyznać i wychylić kolejkę. [Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki].

\*\* S'more – tradycyjny amerykański smakołyk. Składa się z zapieczonej na ogniu pianki marshmallow i kostki czekolady, obłożonych krakersami typu graham.

## W realu

### Wtorek

Pierwszą rzeczą, jaką rejestruję, jest ucisk na brzuchu, delikatny jak obciążeniowy koc, tylko skupiony w jednej linii. Chłodny powiew igra na pościeli. Moszczę się w cudownym cieple emanującym od tyłu. Od tego ruchu kręci mi się w głowie. Czuję drgnienie w żołądku. Coś sztywnego naciska od tyłu na moje uda i przenika mnie rozpalony impuls pożądania.

Jasny gwint!

Siadam nieprzytomnie i otwieram oczy na cynowoszarą poświatę poranka, okryta do połowy skotłowaną pościelą.

Jestem na podłodze.

Dlaczego jestem na podłodze?

Dlaczego jestem na podłodze z nim?

Rozglądam się w poszukiwaniu podpowiedzi.

Królewskie łoże. Nad nim otwarte okno, przez które wpada wilgotny wiatr. Gołe nogi z gęsią skórką. I koszulka, którą mam na...

Nie!

Kurwa, kurwa, kurwa!

Rozciągnięta i tak sprana, że niemal przezroczysta, ledwie zakrywająca tyłek, z kowbojką z kreskówki na plecach, ścigającą się wokół beczek, z napisem szeryfową czcionką: „Byłam na tyłu pieprzonych rodeo”.

Nie, nie, nie, nie, kategorycznie nie! To nie jest moja koszulka.

Owszem, uwielbiałam w niej spać, ale od czasu, kiedy dostarczono mi karton z moimi rzeczami (dwa dni po naszym rozstaniu), wpakowałam tę koszulkę – razem ze wszystkimi innymi rzeczami kojarzącymi się z Wynem – do firmowego kartonu Crate & Barrel, w którym były kiedyś nasze wspólnie kupione naczynia kuchenne, i niezwłocznie mu go odesłałam.

Czemu tak się fiksuję na tej koszulce?

Mam wszelkie powody do paniki wobec faktu, że mój były narzeczony leży za mną na podłodze, półnagi, z twarzą wtuloną w poduszkę, z ręką bezwładnie spoczywającą na moim ciele i wzrodem napierającym na mnie od tyłu.

– Szszt! – Szturcham go, ale nawet nie drgnie. Ja sypiam fatalnie, za to Wyn, który na jawie ciągle się wierci, z reguły śpi jak zabity. Czasami wręcz w nocy sprawdzałam mu tętno. – Obudź się! – Mocniej nim potrząsam.

Unosi powieki i mruży je w bladym świetle świtu.

– Co? – mamrocze, przymykając jedno oko, żeby lepiej mnie widzieć z bliska. – Co się dzieje?

– No właśnie, co się dzieje? – syczę. – Jak to się stało? Jak mogłam się na to zgodzić? Jak ty mogłeś do tego dopuścić?

– Zaraz. – Siada i przeciąga palcami po włosach. – Powiedz mi, co się stało.

– Co się stało? – Mój szept wchodzi na coraz wyższe tony niczym para z czajnika. – Spaliśmy ze sobą, Wyn!

Oczy mu się rozszerzają.

– Spaliśmy ze sobą? – Śmieje się ochryple. – A niby kiedy, Harriet? Pomiędzy tym, jak spijałyście sobie z Kimmy tequilę z pępeków i zlizywałyście sól, a tym, jak musiałem cię wnieść na górę po schodach?

– Ale... – Rozglądam się, czy nie ma jeszcze innych dowodów. – Mam twoją koszulkę.

– Bo swoją zarzygałaś – wyjaśnia. – A kiedy poszedłem, żeby ci dać drugą, całkiem trzeźwo zażądałaś T-shirta „Byłam na tyłu pieprzonych rodeo”.

Gapię się na niego, próbując sobie przypomnieć nocne wydarzenia.

– To mało podobne do mnie – mówię w końcu.

– Chyba żartujesz? Kiedyś mi powiedziałaś, że chcesz być pochowana w tej koszulce. A potem uściśliłaś, że nie masz być w niej pogrzebana, tylko skremowana.

– Ja nie mam zwyczaju czegoś żądać – protestuję.

– Fakt, to była całkiem miła nowość – przyznaje.

– Czekaj. – Skronie mi pulsują, więc przyciskam je dłońmi. – A dlaczego jestem na podłodze?

– Bo nie chciałaś wejść do łóżka.

– A ty?

– Bo nie chciałem spać sam. Pomyślałem, że może zmienisz zdanie, ale szybko odpłynęłaś i zostałem przy tobie, bo się bałem, że znów ci się zrobi niedobrze i udusisz się własnymi wymiocinami.

– Och. – Kolejny pazur wbija się w punkt nad moim prawym okiem. Odgłos, jaki wydaje mój żołądek, przypomina ryk umierającego oposa w rui.

Pamiętam, jak nalewalam sobie wino w kuchni i wracałam na patio.

Pamiętam Partha puszczonego jedną ze swoich słynnych imprezowych list przebojów, dudniących z zewnętrznych głośników, sprytnie ukrytych w sztucznych skałach. Wszyscy tańczyli, poza Cleo i Wynem, którzy siedzieli przy ogniu, zatopieni w rozmowie. Pamiętam, jak nieludzko pięknie wyglądał podświetlony blaskiem płomieni. Potem Parth dosłownie przyciągnął jego i Sabrinę do reszty towarzystwa. Zapamiętałam, jak mówił do Wyna, że siedząc przy ogniu, wyglądał jak diabeł. A Wyn mówił do mnie: „Przestań ze mną flirtować, Harriet” i byłam wściekła, i nie tylko. Potem wszystko zaczęło się rozlać. Może i lepiej, że na tym ostatnim przeblysku moje wspomnienia się skończyły.

– Czemu ty nie czujesz się jak ostatnia szmata? – pytam z pretensją.

– Prawdopodobnie dlatego, że wypilem połowę mniej wina niż ty i sto procent mniej drinków, które wyłopałaś z pępka Kimmy.

– To prawda? – pytam niedowierzająco. – Bawiłam się w body shoty?

– Nie, nie bawiłaś się w body shoty – odpowiada.

Odprężam się nieco.

– Dobra, wypiałaś cztery – przyznaje.

– Dlaczego nikt nas nie powstrzymał?

– Pewnie dlatego, że Cleo szybko poszła spać, a Sabrina i Parth fantastycznie się bawili i kiedy podchodziłem do ciebie, za każdym razem ocierałaś się pupą o moje krocze, dopóki nie odszedłem.

Gwałtownie się od niego odsuwam.

– Niemożliwe.

– Nie martw się – pociesza. – Miażdżyłaś mnie jak mściwy młyński kamień.

Ponownie ściskam skronie.

Wyn sięga po szklankę stojącą na szafce nocnej.

– Napij się wody.

– Nie muszę. Potrzebuję maszyny czasu.

– Nie siedzę na forsie, Harriet. Mam tylko wodę.

Biorę od niego szklankę. Jak tylko osuszam ją do dna, wyjmuję mi ją z rąk i rusza do łazienkowej części tego pieprzonego kopulatorium, żeby znowu ją napełnić. A ja pełzną w stronę balkonu, ciągnąc za sobą koc, po czym unoszę się na kolana, otwieram drzwi i chciwie, wielkimi haustami wciągam rześkie morskie powietrze.

Słońce dopiero wstaje i mgła zakrywa wszystko migoczącym, szarym całunem.

– Proszę.

Wzdrygam się na dźwięk jego głosu. Wyn staje przede mną i wręcza mi szklankę wraz z ibuprofenem. Niechętnie biorę od niego parę pastylek i łykam naraz.

– Nie musisz się o mnie troszczyć – burczę.

– Wiem, często to powtarzasz. – Siada obok mnie na wilgotnych deskach, obejmując rękami kolana, i jego spojrzenie podąża ku oceanowi. Albo raczej tam, gdzie powinien być ocean, ukryty za srebrzystą zasłoną.

– Od kiedy tak tankujesz? – pyta.

– Nie upijam się – zapewniam. I dodaję, czując jego wzrok: – To znaczy normalnie się nie upijam. Ale jak pewnie się domyślasz, okoliczności są dalekie od ideału.

Wyn odgarnia włosy z twarzy.

– Czy mogę cię o coś spytać?

– Nie.

Kiwa głową, nie przestając się wpatrywać w niewidzialny horyzont.

Ciekawość we mnie buzuje, aż nie mogę jej dłużej ignorować.

– Dobra, pytaj.

– Jesteś szczęśliwa? – Zerka na mnie z ukosa. Linię ust ma napiętą i marszczy czoło.

Nagle czuję spektakularny atak choroby morskiej, kiedy wzburzone morze alkoholu przelewa mi się w żołądku.

Nie ma na to dobrej odpowiedzi. Jeśli mu odpowiem, że jestem szczęśliwa, poczuje się rozgrzeszony. Jeśli powiem, że jestem nieszczęśliwa, jednocześnie przyznam, że nawet w tym stanie go pożądam. Bo przecież mu nie powiem, że wrócił do mnie jako fantomowy członek. Jako bolący brak.

Ratuje mnie dzwonek. Czy raczej sygnał pneumatycznej trąbki ryczącej na pełny regulator w korytarzu i stłumiony wrzask Kimmy:

– Jebać Zajebistych Zakupowiczów!

Najwidoczniej Parth znów przygniół swoją komórkę i włączył apkę.

Wyn zrywa się na równe nogi, zapominając o pytaniu.

– Przynajmniej ktoś pamiętał, żeby się napić wody przed snem – komentuje.

## W realu

### Wtorek

– Tak jak nigdy nie lubiłam marketów – mówię – tak ten uwielbiam.

– A ja je kocham. – Sabrina pcha nasz wózek po alejkach.

– Szczerze mówiąc, teraz mam z nimi kłopot – przyznaje Cleo. – Kiedy zaczniesz sama uprawiać owoce i warzywa, wszystko w sklepie wydaje się blade.

– Serio? – Sabrina przystaje, żeby wziąć parę mango. – Nie wiedziałam.

Sposób, w jaki wypowiada te słowa, wyraźnie wskazuje na przytyk. Albo jego sugestię. Potwierdza to błysk w oczach Cleo, szybko przykryty powiekami.

– Już ci mówiłam, żebyś odwiedziła mnie zimą – mówi do Sabriny. – Teraz raczej nie, bo jest kupa roboty. – Zerka na mnie. – Harry, jeśli ty i Wyn będziecie mieli ochotę wpaść na farmę, serdecznie zapraszam.

Udaję, że nie słyszę, skupiona na wybieraniu truskawek w opakowaniach. Sprawdzam, czy nie ma na nich pleśni, choć podejrzewam, że ten sklep musi być prowadzony przez anioły, bo wszystko jest tu niebiańsko świeże. Truskawki są idealne.

– Słowo daję – mówię – ten market jest najlepszy na całej planecie.

– Lubisz go, bo męczy cię wybór i podejmowanie decyzji – zauważa Sabrina. – Na szczęście masz nas, a ja jestem świetna w układaniu list zakupów. W innych marketach źle się czujesz, bo nie ma ci kto zaplanować jedzenia i zaopatrzenia. Gdybyś znowu zamieszkała z nami, wszystko byśmy dla ciebie ogarnęli. – Odwraca się do Cleo. – Parth i ja sprawdzamy się również jako goście. Zawsze przybywamy z czekoladową babką od Zahara.

Mówi to beznamiętnym, sabrinowym tonem, ale z miny Cleo wnioskuję, że te dyskretne szpile mocno kłują.

– Nie odwołałyśmy waszej wizyty dlatego, że jesteście niepożądanymi gośćmi – tłumaczy Cleo. – Po prostu spiętrzyły się nam różne sprawy.

Wtrącam się, zanim Sabrina zdąży odpowiedzieć:

– Cieszę się, że tobie i Kim udało się tu przyjechać mimo takiego nawału pracy. To wiele znaczy.

Usta Cleo łagodnieją i układają się w uśmiech.

– Ja też się cieszę. – Muska dłonią łokieć Sabriny. – No powiedz, jak często się zdarza, że para twoich najlepszych przyjaciół bierze ślub?

Teraz już również Sabrina się uśmiecha, błyskawicznie zapominając o urazie.

– No cóż, przynajmniej dwa razy, bo czeka nas jeszcze wielki rodzinny ślub. Poza tym, jeśli Parth postawi na swoim, kto wie, może zdarzy się nam jeszcze parę uroczystości w różnych miejscach.

– Super – mówię. – Tylko się w tym nie pogubcie.

Z drugiego końca sklepu słysząc, jak Kimmy, niczym poganiaczka psiego zaprzęgu, sypie komendami do Partha i Wyna. Ich zakupowa pseudogra polega na błyskawicznym tempie, co oznacza, że zdążyli już parę razy okrążyć sklep, podczas gdy Cleo, Sabrina i ja meandrujemy leniwie pomiędzy półkami, wybierając owoce i deliberując przed imponującą ladą z importowanymi serami. Zwykle bywają tam ukochane sery Cleo z orzechami.

Gra Zajebsi Zakupowicze z czasem staje się coraz bardziej wyrafinowana. Obecnie doszliśmy do etapu, kiedy Sabrina robi listę, tnie ją wiersz po wierszu na wąskie paski, wrzuca je do miseczki, po czym każdy wyciąga swój los i drużyny ruszają na zakupy.

I tak nie jest to prawdziwa gra, bo Sabrina wyraźnie ma w nosie wygraną – a przecież uwielbia rywalizację.

– Zaczekajcie. – Cleo kuca przy chłodziarkach i wyciąga trzy duże wody kokosowe. Wkłada dwie do

wózka, a jedną podaje mi. – Wypij, bo jesteś zielona – mówi.

– Raczej żółtozielona – uściśla Sabrina, taksując mnie wzrokiem.

Przebieg wspomnienia: Parth, który serwuje mi drinki z papierowymi parasolkami. Bierzymy je w spocone dłonie i krążymy w tańcu po patio.

Krzywię się.

– Przestańcie, proszę.

Sabrina chichocze.

– Ona zaraz zsinieje.

– Raczej zrobi się sinofioletowa – mówi Cleo.

– Jakby miała rzygnąć czerwonym winem?

Znajduję pojedynczą jagodę z Maine i ciskam w nią. Z przodu sklepu ktoś wrzeszczy z radości i z komórki bucha *We Are the Champions*.

– Wow – mówi Sabrina, wrzucając sobie parę jagód do ust. – Znów wygrali. Kto by pomyślał?

– Kimmy powinna nie żyć, a ona ma siłę się wydzierać i triumfować – stwierdzam z zazdrością.

– Nie wiem, jak to robi. Widocznie jest supermenką – mówi Cleo. – Poza tym, kiedy mnie obudziła, żeby mi opowiedzieć o body shotach, skorzystałam z okazji i wlałam w nią parę galonów wody. – Unosi brwi. – Aż się dziwię, że Wyn nie zrobił tego z tobą. Był totalnie trzeźwy, kiedy szłam do łóżka.

Uważnie oglądam pudełko jagód.

– Aha! – Odkładam je z obrzydzeniem. – Widzicie? Pleśń!

– Nie ma róży bez kolców – komentuje filozoficznie Sabrina i rusza z wózkiem w stronę kas. – Tak jak każdy kowboj ma w repertuarze smutny, sentymentalny kawałek.

Kolejny przebieg wspomnienia: klęczę na podłodze, na kocu, który rozłożył dla mnie Wyn. „Unieś rękę, kotku”, mówi łagodnie. Ściąga mi przez głowę obrzygany biały T-shirt i przemywa brodę i szyję wilgotnym ręcznikiem. Powieki same mi opadają. „Dasz mi tę koszulkę z rodeo? No wiesz, tę z napisem: *Byłam na tyłu pieprzonych rodeo?*” – proszę. „Dam ci – mówi. – Tylko unieś rękę”. Chyba nie podniosłam ich za wysoko, bo silne dłonie obejmują moje bicepsy i dźwigają moje ręce nad głowę. A potem naciągają na mnie mięciutki, cieniutki materiał koszulki ledwie zakrywającej mi pupę. „Kocham ten T-shirt”, mamrocze. „Wiem – odpowiada Wyn, wyciągając mi włosy na wierzch. – Dlatego go zabrałem. A teraz śpij”...

– Har? – Głos Cleo przywraca mnie do rzeczywistości. – Ty naprawdę jesteś sinoczerwona.

– Cicho! – Zakrywam usta dłonią i pędzę do łazienki.

Kiedy dźwięczy dzwonek w drzwiach księgarni, oznajmiając moje przybycie, a po chwili zagłębiam się w lekturę *Napisala: Morderstwo*, czuję się pięć tysięcy razy lepiej. Co nie znaczy, że nie czuję się jak ścierka – ale ta ścierka jest otoczona książkami, ciepły blask słońca wlewa się przez okna, a słodkie mrożone latte budzi ją do życia.

W czasie tych wypadów nigdy nie udało mi się wyjść poza pierwszy rozdział, a co dopiero mówić o przeczytaniu całego kryminału, lecz niezmiennie uwielbiam tu przychodzić i sięgać zawsze po tę samą książkę.

Wyn i Cleo od wejścia kierują się do działu literatury faktu, Kimmy pędzi do romansów, Parth wybiera powieści, Sabrina zaś horror. Jako jedyna kieruję się ku przejściu w kształcie czarnej trumny z zapraszająco otwartymi drzwiami. U góry złotymi literami wymalowano napis: „Kryminały”. Wchodzę do znajdującej się za nimi sali, niemal tak dużej jak wszystkie pozostałe pomieszczenia razem wzięte.

Nigdy nie byłam zapaloną czytelniczką – aż do lata poprzedzającego moje studia w Mattingly. Skończyły się szkolne kursy przygotowawcze i studenckie praktyki wakacyjne. Zostałam przyjęta na uczelnię swoich marzeń, dostałam stypendium i po raz pierwszy w życiu zwyczajnie się nudziłam. W dawnym pokoju Eloise, przerobionym na rodzinne biuro, szukając taśmy klejącej, znalazłam jakiś tani kryminał. Usiadłam w okiennym wykuszu, zaczęłam czytać i ani się obejrzałam, jak dotarłam do ostatniego zdania. Szybko poleciałam do biblioteki po następny kryminał. Tamtego lata przeczytałam ich chyba ze dwadzieścia.

Przebiegam palcami po papierowych grzbietach, z których każdy tytuł jest bardziej wydumany niż poprzedni. Kiedy wreszcie coś wybieram, Cleo pojawia się jak na zawołanie.

– To chyba już czytałaś.

– To? – Podsuwam jej książkę. – Chyba miałaś na myśli *Zabójczy katalog*, wiesz, tę historię



o licytatorze zamordowanym na aukcji. A to jest *Zabójczy analog*, o fanie winyli, którego zamordowano, smarując płytę trucizną.

– Ciekawe, co to była za muza. Death metal?

– Wszystko jedno. Ważne, że kosztuje głupie sześć dolców i dziewięć centów. A ty już coś znalazłaś? Pokazuje mi tomiszcze wielkości słownika z wielkim grzybem na bładozielonej okładce.

– Chyba to czytałaś – mówię.

Cleo wydyma usta.

– Pewnie chodzi ci o *Genialną grzybnię*, a to jest *Prawda prawdziwków*.

– Ale głupol ze mnie – kajam się.

Zerka przez trumienne drzwi w głąb antykwariatu i pyta:

– I co o tym wszystkim myślisz?

– O czym?

– O Sabrinie i Parthu. Że się hajtają. Chyba już za cztery dni.

– Skoro pytasz, to pewnie coś myślisz. – Wsuwam książkę z powrotem na miejsce i szukam dalej.

– Taa – przytakuje z namysłem Cleo. – Bo coś chyba z nią jest nie tak.

– Serio? – Osobiście niczego nie zauważyłam, ale też w ciągu ostatnich paru miesięcy miałam głowę nabitą innymi sprawami. Kiedy wreszcie będziemy miały okazję pogadać, ale tak naprawdę, będę musiała powiedzieć o zerwaniu z Wynem.

– Może jestem przewrażliwiona – ciągnie Cleo, obracając w palcach kubek z mrożoną herbatą malinową. – Ale w zeszłym miesiącu ni z tego, ni z owego napisała mi esemesa, że chce przyjechać do nas z Parthem. Odpisałam, że się zgadzam, bo wyczułam, że jej zależy. Tylko że później się zorientowałam, że nie damy rady w tym terminie, bo jesteśmy z Kimmy urobione po uszy, więc zapytałam, czy możemy to przesunąć. I wtedy ona zamilkła. Wczoraj, po przyjeździe, próbowałam z nią o tym pogadać, ale mnie zbyła, a dzisiaj, jak słyszałaś, urządziła mi scenę.

Moje palce nieruchomieją na pozycji *Zbrodnia na porodówce*.

– Wiesz, myślę, że Sab przeżywa sprzedaż domu – mówię. – Nie sędzę, żeby to były jakieś osobiste względy.

Cleo bez przekonania kręci głową.

– Może. – Odrzuca z ramienia warkoczyki i potrząsa nimi, żeby ochłodzić sobie kark. W sklepie jest duszno, a w powietrzu wisi wilgoć. – Chyba powinnam dzisiaj jeszcze raz spróbować z nią pogadać. Chciałam się tylko upewnić, czy ty też zauważyłaś, że... ona jest jakaś inna.

– Absolutnie nic! – zapewniam z przesadnym przekonaniem. – Myślę, że nic się z nią nie dzieje.

Cleo sceptycznie przechyla głowę. Jestem pewna, że zaraz wrzaśnie: „Ty i Wyn zerwaliście, no nie?”, zamiast tego jednak bierze mnie pod rękę i opiera skroń na moim ramieniu.

– Wiesz, chyba jestem zmęczona – mówi cicho. – A kiedy jestem zmęczona, zawsze przesadnie się martwię.

Marszczę czoło. Jestem tak zaabsorbowana sobą (i ciągle jeszcze pijana), że dopiero teraz widzę, jakie ma wyostrome rysy i worki pod oczami.

– Hej – mówię. – Wszystko z tobą dobrze?

– A dlaczego miałoby nie być? – Dziwnie defensywna odpowiedź jak na Cleo.

– Bo masz na głowie całe pieprzone gospodarstwo – mówię. – A jesteś tylko drobną babeczką.

Nagle uśmiecha się od ucha do ucha.

– Tak, ale nie zapominaj, że moja dziewczyna nie jest drobną babeczką, tylko postawną nordycko-amerykańską walkirią, która potrafi się nawalić bimbrem, a potem ścigać się w supermarkecie, kto szybciej zrobi zakupy.

– Cleo – mówię łagodnie, ale z naciskiem.

Zerka przez ramię, po czym zniża głos:

– Prawda jest taka, że przez ostanie parę tygodni Kimmy i ja biłyśmy się z myślami, czy przyjechać tu w tym roku, czy nie. Kiedy napomknęłam Sabrinie, że się wahamy, fatalnie to przyjęła, więc postanowiłyśmy się zjawić, choćby na krótko. Oczywiście się okazało, że na krótko się nie da, więc musiałyśmy poprosić sąsiadów, aby się wszystkim zajęli pod naszą nieobecność.

– Strasznie mi przykro. Jak mogę wam pomóc?

- Daj spokój, nie przejmuj się. Tydzień stresu da się przeżyć. W końcu sobie trochę odpoczniemy.
- Ej, wy tam!

Z jakiegoś względu – może z powodu matactwa, które obecnie uprawiam – podrywa mnie, kiedy Sabrina wsuwa głowę pomiędzy nas.

Cleo też podskakuje.

- Przestań się skradać jak jakiś duch!

– Spokojnie, ja tylko podchodzę – tłumaczy się Sabrina. – A co, nakryłam was na dealowaniu dragami? – Szybkim ruchem zagarnia książkę Cleo i ogląda okładkę. – Znów te grzybki?

Cleo zaciska usta.

- Są fascynujące.

– A ty, Sab? – pytam. – Znalazłaś coś dla siebie?

– O, jasne. Opowieść o wyprawie Donnera\*.

- Fajnie – bąkam.

Z chichotem wyjmuję mi książkę z ręki. Zapomniałam, że ją trzymałam, tak mnie zaskoczyła swoim pojawieniem się.

- Harry – mówi i znów zerka na tytuł. – To jest taki sam gniot jak mój, rozumiesz?

– Gwarantuję ci, że nie – protestuję.

– Nie pierdol. Stylistka wewnątrz znajduje szkielet w ścianie.

– Dobra, ale to jest całkiem miłe. – Wyszarpuję jej książkę.

– Jakim cudem trup w ścianie może być miły? – pyta.

– Bo to taka kameralna tajemnica – tłumaczę. – Jak mam ci wytłumaczyć, żebyś zrozumiała?

– Och, dobra. – Na moment z zaskoczenia gubi głos, kiedy u jej boku pojawia się Kimmy.

Cleo chwyta się regału, jakby miała upaść.

– Co wszyscy tacy nerwowi? – pyta Kim.

– Sabrina znów czyta o Donnerach – odpowiada Cleo.

– To tylko fikcja – tłumaczy Sabrina.

– A gdzie Parth i Wyn? – dopytuje Cleo. – Już skończyli?

Kimmy wzrusza ramionami.

– Zostawiłam Partha przy snobistyce.

– Co to jest snobistyka?

– Chodzi jej o taką beletrystykę, którą krytycy z „New York Timesa” polecają jako „rewelacyjną” – wyjaśnia Sabrina.

– Dokładniej mówiąc... – Parth ma już w ręku papierową torbę. – Kupiłem to, bo „Wall Street Journal” wydrukował taką recenzję, że nie mogłem się oprzeć. Autorami jest małżeństwo, które zwykle publikuje osobno. Jedno płodzi opasłe tomy powieści, a drugie – romanse.

– Hej! – Kimmy wrywa mu torbę. – Ja ich znam!

– Naprawdę? – Parth jest pod wrażeniem.

– Chodziłam z nimi do liceum w Michigan – wyjaśnia Kim. – Tylko wtedy jeszcze nie byli ze sobą.

Jego książki są naprawdę ostre. Ta jest ostra?

– „Wall Street Journal” nie wchodził w takie niuanse.

– A Wyn już skończył? – pyta Sabrina.

– Zaraz sprawdzę – mówi Parth.

– Co będzie, jak kupi Steinbecka? – pyta z troską Sabrina.

Parth wzrusza ramionami.

– Nie wiem.

Nie ma mowy, żeby Wyn wybrał powieść Steinbecka. Byłabym zaskoczona, gdyby w ogóle kupił jakąś książkę, bo w czasie tych pobytów nigdy nie mieliśmy czasu czytać, poza tym miał węża w kieszeni. A gdyby nawet się skusił, na pewno nie na książkę o amerykańskim Zachodzie. Dla niego to byłaby karykatura.

Parth i Sabrina prowadzą nas do kasy. Cleo bierze cegłę o grzybach, a ja *Modowe morderstwo*. Płacimy i wychodzimy na brukowaną ulicę. Słońce stoi wysoko na niebie, mgła ustąpiła miejsca olśniewającemu błękitowi. Kimmy dostrzega wózek z kwiatami przed kwiaciarnią po drugiej stronie ulicy

i z piskiem zachwytu ciągnie tam Cleo.

– Idę z Parthem na jeszcze jedną kawę. – Sabrina ruchem głowy pokazuje na Parującego Kubek, sąsiadującą z księgarnią kawiarnię z osłoniętym markizą oknem podawczym.

Wcześniej zaliczyliśmy każdy po dwie kawy – jedną przed wizytą w markecie, a drugą po.

– Macie na coś ochotę? – pyta.

– Nie, dzięki – odpowiadam.

– Wyn?

Kręci głową. Kiedy odchodzą, stoimy w ciszy, unikając swoich spojrzeń.

– Muszę ci coś powiedzieć – zaczyna wreszcie Wyn. – Wczoraj wieczorem rozmawiałem z Parthem.

– I?

Lekko odchrząkuje.

– Masz rację. Po tym tygodniu będziemy musieli im się przyznać.

Nie wiedzieć czemu ogarnia mnie ulga. Do końca tygodnia będę musiała znosić tortury, ale przynajmniej Parth i Sabrina nacieszą się swoim perfekcyjnym dniem.

Wyn dostaje esemesa i zagląda do niego. Normalnie nie reaguje od razu na sygnał telefonu. Kiedy go czyta, zapuszczam żurawia do firmowej torby księgarni Przeczytała: Morderstwo.

Po chwili wsuwa komórkę z powrotem do kieszeni.

– Co kupiłeś? – pytam.

Unosi brwi, a ja twardo patrzę mu w oczy. Powoli wyjmuję zakup z torby i podsuwa mi. To duży, elegancki album.

*Krzeseł Eames: Życie i miłość w tle kultowego mebla.*

– To snobistyczny album o designie – stwierdzam.

– Co takiego? – Przygląda się wymyślnemu krzesłu na okładce. – Cholera, myślałem, że to samolot.

– Od kiedy kupujesz takie rzeczy?

– To ma być podstępne pytanie, Harriet? Jestem za mało elitarny na tego typu książki?

– Nie, ale Gloria nie ma w domu miejsca na takie wielkie tomiszcza. – Matka Wyna jest klasyczną zbieraczką. Nie chorobliwą, ale sentymentalną. A może raczej jego ojciec był zbieraczem i Gloria po jego śmierci niewiele zmieniła w rodzinnym domu.

Kiedy ostatni raz tam byłam, nawet na lodówce nie było wolnego miejsca. Stała tam odbitka wspólnego zdjęcia, które zrobiliśmy sobie w Maine w czasie naszego pierwszego wyjazdu. Sąsiadowała z zaproszeniem na ślub jednego z kuzynów Wyna, który od tego czasu zdążył się rozwieść i jeszcze raz ożenić. Na kominku stało zdjęcie jego siostry Michael, odbierającej dyplom inżyniera, a zaraz obok, oprawione w ramki, krótkie opowiadanie napisane przez młodszą siostrę Wyna, Lou, kiedy miała dziewięć lat. I wreszcie zdjęcie szkolnej drużyny futbolowej Wyna.

Nie dość, że na tak dużą książkę nie ma miejsca w jego rodzinnym domu, to jeszcze kosztowała przynajmniej sześćdziesiąt dolarów, a Wyn nie lubi wydawać pieniędzy. Nie tylko na siebie, ale i na rzeczy, które nie są użytkowe, czy praktyczne. W naszym pierwszym wspólnym mieszkaniu stos pudełek po butach służył nam za stolik, dopóki Wyn nie przyniósł jakiegoś połamanego z ulicy i go nie naprawił.

Wyjmuję mi album z ręki i wkłada z powrotem do torby. A ja dalej gapię się na niego ze zdumieniem, wyłapując wszystkie drobne różnice pomiędzy Wynem sprzed pięciu miesięcy i tym dzisiejszym. On tymczasem znów sprawdza telefon.

Podchodzi do nas Kimmy z bukietem słoneczników.

– Gdzie są Parth i Sabrina? – pyta, osłaniając dłońią oczy przed słonecznym blaskiem.

– Sabrina potrzebowała więcej kawy – mówi Wyn. – A Parth potrzebował więcej Sabriny.

– Ach! – Cleo chwyta się za serce. – Jacy oni słodcy. Nieludzko słodcy.

Widzę, że Wyn znowu zagląda do torby, i mam wrażenie, że uśmiecha się do siebie.

Oddech mi ucieka, jakbym dostała cios w splot słoneczny.

O Boże...

Ten lekki luz, album za sześćdziesiąt dolarów o kultowym krześle. I te esemesy...

Czy on...

Czy on kogoś ma?

Opadam z powrotem. Powiew chłodu z klimatyzacji i woń palonej kawy napływają ku nam, kiedy

Sabrina i Parth wychodzą z kawiarni.

– O, gdybym wiedziała, że wszyscy już jesteście, wzięłabym dla was popoversy.

Normalnie na te słowa poleciałaby mi ślinka. Tymczasem teraz myśl, że miałabym poczęstować swój ściśnięty żołądek omletową bułeczką z dżemem, przyprawia mnie o gorsze mdłości niż słowo „sinofioletowa” wypowiedziane szybko tysiąc razy.

Heroicznie zmuszam się do uśmiechu.

– Brzmi świetnie.

– O, słoneczniki. Sab je uwielbia. – Parth się pochyła, żeby powąchać kwiaty.

Kimmy wciska mu bukiet.

– Dla ciebie i Sabriny – mówi.

– To tylko wersja testowa – dodaje Cleo. – Zamówiliśmy bukiety na sobotę. Wiem, że lubisz skromne ceremonie, ale nie ma ślubu bez kwiatów.

Sabrina zerka na bukiet, jakby to był jakiś koń trojański sprytnie chowający się za atlasami grzybów, po czym z emfazą składa dłonie.

– Cleo, nie musiałaś! – Otacza ramieniem jej szyję i przyciąga ją do siebie. – Są cudowne!

– Ty jesteś cudowna – odpowiada Cleo i objęte ruszają ulicą, a my za nimi jak sznur kaczątek.

– Nie, moje drogie. To ja jestem cudowny – oświadcza Parth.

Wyn zrównuje się ze mną i pyta bardzo poważnym tonem:

– Co tam się dzieje?

– Gdzie?

– W twoim umyśle.

– Body shots – odpowiadam. – Mój mózg jest pełen pępkowych drinków.

– Czyli uchłostaś się jak chirurżka na pępkowym – podsumowuje.

– Słuchaj – wzdycham – po prostu mam kaca.

– Wiem. – Zatacza rękami wielki krąg. – O, takiego.

– Kosmicznego kaca – mruczę.

\* Wyprawa Donnera – grupa amerykańskich pionierów, która wyruszyła ze Środkowego Zachodu do Kalifornii. Doświadczeni serią nieszczęśliwych wypadków, spędzili zimę 1846–1847 w paśmie górskim Sierra Nevada, walcząc o przetrwanie.

## Moje szczęśliwe miejsce Mattingly, Vermont

Nowe mieszkanie na ostatnim roku studiów, na pierwszym piętrze obdrapanego białego wiktoriańskiego domu na obrzeżach miasta. Okna, które klekoczą, kiedy wieje wiatr, spróchniała weranda, na której zamierzamy z Sabriną jesienią popijać grzany cydr zaprawiony brandy, oraz wąskie boczne podwórko. Mamy tam z Cleo założyć ogród warzywny z brokułami, kalafiorami i kalarepą – roślinami, które są w stanie przeżyć przymrozki, jakie nadejdą za parę miesięcy.

Wyn powinien teraz być w Nowym Jorku, w jednym lofcie z Parthem, i szukać dla siebie miejsca, podczas gdy jego serdeczny kumpel będzie studiował prawo na Uniwersytecie Fordham. Gdyby drugi raz nie zawalił zaliczenia z matmy i gdyby nie zapomniał, że ma w programie historię, wszystko potoczyłoby się inaczej.

W rezultacie musiał zamieszkać z nami. Żeby zaoszczędzić, Cleo i ja dzielimy największy pokój, Sabrina mieszka w drugim, a Wyn dostaje schowek na szczołki, który pierwotnie był przeznaczony dla mnie.

Rankiem, dzień po parapetówie, Parth zamawia dla nas donuty. Na bileciku jest napisane: „Jeśli w przyszłym roku wszyscy nie zjedziecie do Nowego Jorku na studia doktoranckie, wniosę oskarżenia”.

Jestem gotowa pójść na każdą medyczną uczelnię, która mnie przyjmie. Podobnie Sabrina ze swoimi studiami prawniczymi i Cleo ze sztukami pięknymi. Z drugiej strony sugestia Partha jest kusząca – wszyscy razem w nowym wielkim mieście – nawet jeśli nie bardzo sobie wyobrażam, jak przeżyję rok z Wynem jako współlokatorem.

Przez cały pierwszy tydzień w nowym miejscu usiłujemy ani na moment nie zostać sam na sam z sobą. A i tak pewnego ranka wpadamy na siebie w ciasnej kuchni. Słońce zaczyna wschodzić, a on parzy kawę. Napelnia kubek z flagą Montany i podaje mi go.

– Chcę się upewnić, czy dobrze rozumiem, co powiedziałaś – szepcze. – Tam, w Maine.

Jego głos, niski i senny, sprawia, że stają mi włoski na karku. Bliskość tego faceta, tu, w złotym spokoju poranka, jest niesamowicie intensywna.

– Nie chcę, żebyś się martwiła o ten rok – mówi. – Po co komplikować?

Wydaję z siebie dźwięk brzmiący w przybliżeniu jak: „Och... dobrze”, zakończony dziwnym pianiem, jakby ktoś z treścią i zapaleniem gardła chciał dać popis jodłowania.

Kwituje moją odpowiedź krótkim skinieniem głowy i wychodzi kuchennymi drzwiami, żeby skosić trawnik, zanim zacznie się upał, zostawiając mnie, czekającą, aż opadnie czar.

Przez cały rok Wyn dotrzymuje słowa i dba, aby sytuacja była jasna, bez zbędnych komplikacji. Parę razy w tygodniu spotyka się z dziewczynami, których nie znamy. Aż wreszcie, zimą, zaczyna się umawiać tylko z jedną – tancerką o imieniu Alison. Jest piękna. Jest miła. Ale wpada do nas tylko na parę minut i potem razem wychodzą na noc. Usiłuję dobrze mu życzyć. Jak dobra przyjaciółka.

„Nie jesteś moją przyjaciółką, Harriet” – czasami w myśli wracają do mnie te słowa.

Zmaga się z matmą, więc proponuję, że mu pomogę. We wtorki uczymy się późno wieczorem w pachnącej kurzem złotej bibliotece Mattingly. Wyn jęczy, stęka i widać, że jego mózg nie jest stworzony do naukowego wysiłku.

– To chyba nie jest twoja specjalność – mówię.

– Bo ja jestem jak te kolczaste kule zielska, które toczy wiatr. Nie mają celu ani kierunku.

Zauważyłam, że sam się dołuje i deprecjonuje, ubierając to w żartobliwe formy. Boli mnie, kiedy tak robi, bo widzę, że ma problem.

Kiedy uczymy się do zaliczenia, przynosi mi ekspres do kawy oraz czekoladowe minimuffiny, snickersy i skittlesy – ale mimo potężnych dawek kofeiny i słodczy, połączonych z jego bliskością, i tak kleją mi się oczy. Głowa mi opada na podręcznik i odpływam, dopóki Wyn mnie nie szturchnie. Gdy ją

unoszę, mrugając nieprzytomnie, uśmiecha się i ściera mi tusz z policzka.

– Dzięki – mówię sennie.

– Od czego są przyjaciele?

„Nie jesteś moją przyjaciółką, Harriet”.

Nasza czwórka wspólnie przyrządza wymyślne kolacje w ciasnej kuchni. Sabrina wciela się w wiceszefową kuchni. Jemy na werandzie, gdzie Cleo szkicuje nas w tysięcznych pozach. Kiedy nadchodzi zima, wyprawiam się z Wynem na długie spacery do miasta, na czekoladę czy klonowe latte, choć w sumie on nie lubi słodkiego.

Kiedy jedno z nas jedzie do Hannaford po zakupy, skrupulatnie sporządzamy mu listę, kto czego potrzebuje, a mimo to Wyn po powrocie przynosi mi do pokoju wielką porcję lodów jagodowych i bez słowa stawia pojemnik na biurku.

Kiedy Sabrina i ja dostajemy mejle z Columbii potwierdzające przyjęcia na studia, a Cleo robi szokujący zwrot i oznajmia, że woli uprawiać miejską farmę w Nowym Jorku, niż iść na Akademię Sztuk Pięknych, coraz bardziej skłaniam się ku koncepcji, aby nasza czwórka zagnieździła się wraz z Parthem w Nowym Jorku i abym mogła dzielić kolejną miejscówkę z Wynem Connorem.

Stał się moim najlepszym przyjacielem, tak jak reszta. Proces był stopniowy, piasek z wolna przesypywał się w klepsydrze i nie sposób było wychwycić kluczowy moment. Ten, w którym większa część mojego serca zaczęła się skłaniać ku Wynowi Connorowi. Nigdy nie będę wiedziała, które ziarnko o tym przesądziło.

Wyn jest klasycznym złotym chłopcem. A ja – dziewczyną, której życie jest utkane z odcieni szarości.

Staram się go nie pokochać.

Bardzo się staram.

**W realu**

**Wtorek**

Zwykle we wtorki wyprawiamy się do Parku Narodowego Acadia, najpiękniejszego miejsca, jakie znam, gdzie – co jeszcze ważniejsze – mieści się nasza ulubiona restauracja z popoversami.

Całymi tygodniami marzyłam o puszystych bułeczkach z dżemem, ale teraz pragnę ukryć się w ciemnej, chłodnej dziurze z owocowymi pastylkami na zagę i dwulitrową butlą ginger ale.

Po zajęciach szybko wpadamy do domu, żeby się napić, przebrać, odlać i załadować samochody piknikowym żarełkiem. Proces wypychania wszystkiego i wszystkich z domu w szybkim tempie przypomina pasanie kotów na haju. Przy czym nie tylko koci pasterz jest na haju, ale i jego owieczki.

Kiedy wreszcie Parth wraca z kibla, Kimmy nagle przypomina sobie, że zapomniała okularów słonecznych, i biegiem zawraca do domu.

– Czy wy też myślicie, że przez pierwsze parę godzin ich pobytu na farmie Cleo będzie co chwilę posyłać Kimmy do domu po każdy ciuch, który zapomniała na siebie włożyć? – pyta Sabrina.

– Dotąd aż Kimmy się zagapi i włoży majtki na głowę – dopowiada stojąca przy samochodach Cleo.

– To było celowe – protestuje Kim, wypadając z domu. – Po prostu czekałam na chwilę, kiedy docenisz moje nowatorskie podejście do mody.

– A noś sobie, co chcesz – mruczy Cleo. – Ważniejsze, co masz pod spodem.

– Ach! – Kimmy cmoka Cleo w szyję. – Nie wiem, czy to sentyment, czy zwykła chcica, ale kupuję takie podejście.

Sabrina wali się w czoło.

– Wino! Możesz zbiec do piwnicy i przynieść? – pyta mnie.

– Wszystko jedno, białe czy czerwone? – upewniam się.

Potrząsa głową.

– Didier Dagueneau Silex z dwa tysiące osiemnastego. Może być?

– Nie wiem – przyznaję. – Ta nazwa niewiele mi mówi.

– Silex – powtarza, zarzucając na ramiona swoje rozliczne torby. – Takiej nazwy szukasz, a potem musi być jeszcze Didier Dagueneau i na końcu wybierasz rocznik. To białe wino.

Opuszczam torbę na ziemię i pędzę do piwnicy. Drzwi są otwarte, światła się palą. Stoją tam wina warte nawet dwadzieścia tysięcy dolarów za butelkę. Na szczęście żadne nie jest silexem z końcówką „eau”.

Kiedy schodzę, wita mnie lekki powiew. U dołu schodów skręcam za róg i... staję jak wryta na widok Wyna z łagodną złotą poświatą nad głową. Wygląda jak storturowany upadły anioł grany przez Jamesa Deana.

– Silex coś-tam-coś-tam? – pyta.

– Sabrina musiała zapomnieć, że już cię po to posłała. – Zawracam do wyjścia.

– Szukałem chyba z dziesięć minut, ale takiego wina tu nie ma.

Waham się. Nie przewidywałam, że dłużej zabawię w chłodnej ciemnej piwnicy, ale skoro Sabrina życzyła sobie tego konkretnego trunku, nie spoczniemy, póki go nie znajdziemy. Kiedy Sab coś sobie wymyśli, wszystko musi być tak, jak chce. Wystarczyła mi jej reakcja, kiedy Cleo odwołała wizytę jej i Partha na farmie.

Wypuszczam oddech, wymijam Wyna, przykucam przy regale i sunę palcem po etykietach.

– Wszędzie patrzyłem – mruczy.

– Jest taka uniwersalna zasada, że kiedy długo i na próżno czegoś szukasz, pierwsza osoba, która się pojawi, znajduje to od razu.

– Ciekawe, czy teraz się to sprawdzi.

Pośród dziesiątków win typu chardonnay, riesling, sauvignon blanc i gewürztraminer nie ma żadnego

silexa.

– Zadowolona? – pyta z satysfakcją Wyn.

Znów stają mi włoski na karku, bo słyszę, że mimo pozorów jest lekko spięty. Mój umysł rusza w kierunku najmniej pożądanym w tym miejscu.

Piwnica pełna duchów, ale nie tych strasznych. Sexy duchów.

Prostuję się.

– Po prostu weź białe, nie za drogie.

Oczy mu rozbłyskują.

– Mam poszukać czegoś z wyprzedazy?

– Wybierz coś, czego jest tu więcej – mówię i rzucam się do schodów, jakby był odpływem, który zaraz mnie porwie.

W połowie schodów orientuję się, że drzwi do piwnicy są zamknięte. Dopadam ich, przekręcam gałkę, ale ta nawet nie drgnie.

Walę w drzwi.

– Sab?

U dołu pojawia się Wyn z butelką wina w ręku.

– Musiały się zatrzasnąć – tłumaczę.

– A po co je zamykałaś?

– Bo miałam nadzieję, że mają zatrzaskowy zamek i w ten sposób zostanę uwieziona z tobą w piwnicy – warczę.

Ignoruje mój sarkazm i dochodzi do drzwi. Odsuwa mnie na bok, aby spróbować samemu.

– Faktycznie zamknięte – mówi, jakby chciał mnie jeszcze bardziej wkurzyć.

Wali w drzwi.

– Cleo? Parth? Halo!

Czuję buchające od niego ciepło. Schodzę parę stopni niżej, szukając w kieszeniach komórki. Niestety musiała zostać w torbie w przedpokoju.

– Zadzwoń do kogoś z nich – mówię.

Wyn kręci głową.

– Zostawiłem telefon w samochodzie. Nie masz swojego?

– Jest na górze. Musimy poczekać, aż im się znudzi czekanie i przyślą kogoś, żeby nas pogonił.

Wyn z jękiem rezygnacji siada na górnym stopniu i stawia obok flaszkę. Schyla głowę i oplata kark palcami.

Dobrze, że nie tylko ja panikuję.

Oczywiście mnie telepie, bo jestem tutaj z nim, a jego telepie, bo ma klaustrofobię. Miał ją od dziecka, od kiedy przygniotła go szafa, gdy był sam w domu. Spędził wiele godzin uwięziony pod nią.

Przejdzie mu, gdy tylko ktoś otworzy drzwi. A ja dalej będę się męczyć, dociekając, dlaczego kupił książkę o designie.

Cała klatka schodowa się kołysze, kiedy uderza mnie straszna myśl. Muszę się chwycić poręczy, żeby nie upaść.

– Co? Co się dzieje? – Wyn się zrywa i podtrzymuje mnie za łokieć. Czarne plamy w polu mojego widzenia pływają na tle jego zaciśniętych ust.

– Zawsze braliśmy dwa samochody, ale teraz cała czwórka mogła odjechać roverem, nie czekając na nas – mówię piskliwym głosem.

Oczy mu ciemnieją; burzowe chmury pożerają zieleń tęczówek.

– Nie zrobili tego – mówi.

– Mogli to zrobić.

– Nie ma sensu od razu zakładać najgorszego. Pewnie lada chwila tu wróca. – Wznosi oczy do sufitu, jakby szacował szanse.

Schodzę na sam dół, żeby zwiększyć dystans pomiędzy nami, ale Wyn idzie za mną.

– To nie moja wina, Harriet.

– A czy ja coś mówiłam?

– Wściekłaś się. Musiałaś mieć powód.



Obracam się ku niemu gwałtownie.

– Posłuchaj, siedzimy tu jak w trumnie i tylko to jest w tej chwili ważne, a nie moje domniemane wściekanie się na ciebie. Jeśli chciałeś mi w ten sposób przypomnieć, że to ja zamknęłam drzwi, udało ci się.

– Nie winię cię, Harriet. Tylko... do cholery, kto instaluje drzwi otwierające się tylko z zewnątrz?

– Bo to jednocześnie jest schron – tłumaczę i pokazuję na ścianę. – Widzisz ten niewielki panel? Moglibyśmy się wydostać, gdybyśmy znali kod.

Spojrzenie od razu mu się rozjaśnia. W kilku szybkich krokach jest przy panelu.

– Tu jest przycisk wezwania dziewięćset jedenaście – mówi.

Ile czasu potrzebuje nasza ferajna, aby się zorientować, że coś jest nie tak? Czy dojadą na miejsce i zrobią sobie piknik, zanim ruszą na szlak, nie próbując się z nami skontaktować?

A jeśli zadzwonią i pomyślą, że nie odbieramy, bo jesteśmy w drodze?

Czuję mdły ucisk w żołądku.

– Chcesz, żebym zadzwonił, czy czekamy? – pyta Wyn.

Szybko obliczam, ile mogłaby kosztować wymiana tych drzwi, gdyby strażacy musieli je wyrąbać, wysadzić czy coś jeszcze innego.

– Myślę... – Biorę głęboki oddech, usiłując zafiksować spanikowane myśli na jakiejś innej wersji swojego szczęśliwego miejsca, która nie ma nic wspólnego z tym domem ani z tym facetem. – Myślę, że powinniśmy poczekać, przynajmniej jakiś czas.

Najwyraźniej nie takiej odpowiedzi oczekiwał.

– Chyba że możesz nie...

– Nic mi nie jest, mogę czekać – zapewnia nerwowo i siada na dolnym stopniu.

Wyn odstawia wino pod ścianę i zaczyna ściągać swój turystyczny but.

– Chryste, Wyn, jesteśmy tu dopiero pięć minut. Ile czasu trzeba, żebyś się pozbył spodni i wyznaczył kąt do sikania?

Zrywa folię z szyjki i korka butelki.

– Nie potrzebuję kąta do sikania. Co najwyżej odleję się do butelki, kiedy już ją osuszymy. A jeśli chodzi o ciebie... też byś mogła, tylko musiałybyś dobrze przycelować.

Rozplątam ramiona, ale szybko znów je splątam, bo ruch przyciąga jego spojrzenie do moich piersi.

– Czy ty chodzisz z korkociągiem w kieszeni już o wpół do jedenastej rano? – pytam.

– Nie. Po prostu się cieszę, że cię widzę. Trzeba to oblać.

– Zabawne.

Nie spuszcza ze mnie wzroku, kiedy wsuwa butelkę do buta i zaczyna walić w ścianę.

– Ej, co robisz! – wykrzykuje.

Uderza tak jeszcze trzy razy, a przy ostatnim korek wysuwa się z szyjki prawie na pół cala. Jeszcze dwa szybkie uderzenia i wychodzi cały. Wyn podsuwa mi otwartą butelkę.

– Widzę, że masz wprawę – komentuję.

– Aha, czyli się nie napijesz. – Pociąga długi łyk. Kiedy opuszcza flaszkę, jego spojrzenie umyka w bok, ku ciemnej przestrzeni pod schodami.

Czuję, jak fala gorąca wznosi mi się od obojczyków do linii włosów.

Nie rób tego. Nawet o tym nie myśl.

Wiem, że to niewskazane, ale jakaś częśćka mnie liczy, że stara metoda ściemniania kaca jest skuteczna, więc sięgam po flaszkę i pociągam solidny łyk z gwinta.

Nadaremno. Mój żołądek tego nie łyka. Oddaję butelkę Wynowi.

– Parth mnie nauczył tego sposobu – wyjaśnia. – Ale dzisiaj użyłem go po raz pierwszy.

– Och, serio? Ani razu w ciągu ostatnich pięciu miesięcy nie zamknięto cię z porzuconą panienką?

– Porzuconą? – prycha. – Nie przypominam sobie czegoś takiego, Harriet.

– Może masz amnezję – sugeruję.

– Z moją pamięcią wszystko w porządku, doktor Kilpatrick, jakkolwiek doceniam troskę. – Ponownie zerka na ciemny kąt pod schodami, jakby chciał udowodnić, że ma rację.

Nieemożliwe, żeby kogoś tam widział. Nie mógłby zrobić czegoś takiego. Może bywa flirciarzem, ale jest lojalny.

Chyba że to coś zupełnie nowego, utajnionego?

Ale skoro tak, czy ten nowy związek zdołałby osiągnąć tak intymny status?  
Może niepotrzebnie klecę na siłę opowieść z randomowych wątków i podejrzeń.

Co nie znaczy, że nikogo tam nie widzi.

W sumie chodzi o to, że nic nie wiem o jego życiu. Nie zostałam do niego dopuszczona.

Wyn wypija jeszcze trochę wina. Chyba nie pomaga, bo znów zaczyna chodzić w kółko. Przeczesuje palcami czuprynę, sadząc wielkie kroki, a pot lśni mu na czole.

– Szkoda, że nie masz swojego snobistycznego albumu – mówię.

Gwałtownie wraca do mnie spojrzeniem, które nagle robi się czujne.

– Mielibyśmy co oglądać – dodaję tonem wyjaśnienia.

Unosi brwi i zagryza wargę.

– Co masz przeciwko tej książce, Harriet?

– Nic.

– Może w ciągu ostatnich pięciu miesięcy wykształciła ci się alergia na meblowe wzornictwo?

– Kosztowała sześćdziesiąt dolarów.

Kręci głową i wraca do krążenia w kółko.

– Kupiłeś na prezent? – drążę.

– Skąd ten pomysł? – pyta, zamiast odpowiedzieć.

– Po prostu nigdy dotąd nie wydałeś takiej sumy na siebie.

Szczyty jego policzków rumienią się nieznacznie i zaczynam bardzo, bardzo żałować swoich słów. Znów siedzimy w milczeniu. To znaczy ja siedzę, a on znów chodzi, tym razem kreśląc małe, dynamiczne trójkąty.

Mimo wszystko boli mnie ten widok.

Kiedy opada bariera jego uroku, staje się bardzo ekspresyjny. Między innymi z tego powodu w trakcie naszej znajomości wyznałam mu tyle swoich sekretów. Bo miałam poczucie, że wchłania wszystko, co mu daję, i czuje to co ja. Niestety bywało też odwrotnie.

– Bywałeś uwięziony w bardziej ciasnych miejscach – przypominam mu, kiedy mijają mnie w dziewiętnastym nawrocie (tak szacuję, bo nie liczę).

Kolejny raz zerka pod schody.

A ja kolejny raz to zauważam. Twarz mi płonie.

– Jak choćby w każdym samochodzie, którym się poruszasz – dodaję bezlitośnie.

– Nawet autobusy są większe od tego – zauważa.

– Fakt. Tylko gorzej pachną. Bo tu pachnie pięknie.

– Głównie wilgocią.

– Och, w Maine zawsze jest wilgoć, nie wiesz?

Szarpie głową w tył.

– Ja już nie wyrabiam, Harriet.

Wstaję.

– Spokojnie, zaraz tu będą.

– Nie możesz tego wiedzieć. – Zerka na mnie. Napięcie wokół jego ust pogłębia dołeczki, co wygląda upiornie. – Mogli pomyśleć, że woleliśmy zostać...

Z wysiłkiem przełykam ślinę.

– Sabrina by tego nie kupiła. Dzisiaj mieliśmy być razem.

Kręci głową. Widzi w tej logice dziury, tak jak i ja.

Sabrina byłaby wkurzona, gdyby pomyślała, że zostaliśmy, żeby sobie pobyć sam na sam – choć z drugiej strony naruszyła dla nas naturalny porządek rzeczy, przydzielając nam reprezentacyjną sypialnię. I gdyby próbowała do nas zadzwonić, a my byśmy nie odebrali, raczej nie zawróciłaby pędem, żeby wparować do domu i zastać nas w łóżku.

Próbuję innego podejścia.

– Często chodzisz do tej piwnicy i kiedyś siedziałeś tu dłużej niż teraz, więc nie spinaj się tak.

Nie powinnam tego robić.

Nie powinnam budzić wspomnień.

To było lato, kiedy Wyn, ja, Cleo i Sabrina skończyliśmy szkołę. Jeszcze zanim pojechaliśmy do

Nowego Jorku, żeby dołączyć do Partha.

Przyjechaliśmy tu z Vermontu, spakowani i gotowi na wielki skok. Parth doleciał do nas, już jako świeżo upieczony student prawa na Fordham 1L.

To był jego pomysł, żebyśmy zagrali w sardynki, inną wersję chowanego.

Zgasiliśmy światła i rzuciliśmy kostką, kto ma się schować pierwszy.

Trafiło na Wyna. Daliśmy mu pięć minut, a potem wszyscy zaczęliśmy go szukać w ciemności.

Zawsze jakimś dziwnym sposobem wiedziałam, gdzie on jest – i tak było tym razem.

Znalazłam go w piwnicy. Pod schodami stał niski, sięgający pasa regał na wino, a za nim znajdował się pusty ciemny zakamarek. Tam się ukrył. Z początku niczego nie zobaczyłam, ale kiedy moje oczy przywykły do mroku, dostrzegłam majaczący w nim cień.

Mieszkaliśmy razem od roku, ale nigdy nie byliśmy sam na sam, nie tak jak teraz. To była inna sytuacja niż w bibliotece czy na spacerze, gdzie zwykle ktoś się kręcił w pobliżu.

Zawsze byłam przekonana, że łączy nas wszystkich platoniczna przyjaźń – aż do momentu, kiedy wsunęłam się za regał i w myśl reguł gry przycisnęłam się tam razem z nim, czekając, aż ktoś następny nas znajdzie. Moje łomoczące serce i brzuch pełen motyli były jawnym dowodem, że podświadomie czekałam na taki moment bliskości.

Odchrząkuję, bo mam wrażenie, że wspomnienie utknęło mi w gardle.

– Musimy tu tkwić przynajmniej od godziny – mówię.

Nie mam pojęcia, czy naprawdę tak jest. Wiem, że każda sekunda, zanim dotknęliśmy się tam, w ciemności, ciągnęła się niczym wieczność. A kiedy się dotknęliśmy, czas stracił znaczenie. Przypomniał mi się dokument o czarnej dziurze, który oglądałam z tatą parę lat wcześniej. Astrofizycy spekulowali w nim na temat miejsc w naszym wszechświecie, gdzie czas i przestrzeń zostają zawieszane i można tam utknąć na zawsze.

– To dobrze, że mam towarzystwo – stwierdza Wyn. Zero flirciarstwa, zero czarowania. Sto procent powagi. Konkretny do bólu.

– Wtedy też miałeś. – Przyciskam ręce do boków, żeby nie drżały.

Spogląda na mnie sceptycznie.

– W takim razie umilaj mi czas, Harriet.

– Ejże, gdzie twoje słynne maniery, Wynie Connorze?

Błysk przemyka w jego oczach i lewy dołeczek budzi się do życia.

– Harriet, proszę, zabawiaj mnie. – Głos lekko mu się obniża.

Staram się zdusić dreszcz, który rozpala mój kręgosłup.

Znów pociąga wino i wraca do chodzenia, tylko tym razem zaciska i rozluźnia pięści. Wiem, że kiedy dopada go klaustrofobia, drętwieją mu dłonie.

Muszę coś zrobić. Mam tylko jedną możliwość.

Wstaję, przesuwam się obok niego i przerzucam nogę ponad regałem pod schodami.

– Co robisz? – pyta.

– Pomagam ci. – Uważając, żeby nie potrącić chyba ze trzydziestu butelek ustawionych na regale, przerzucam drugą nogę, jednocześnie schylając głowę, aby nie walnąć nią w ukośny spód schodów.

– O tak, kawałek wolnej przestrzeni jest wielką ulgą.

– Posłuchaj, jeśli się wciśniesz w ten kąt, w sam koniec, zawsze będziesz miał poczucie, że możesz stamtąd wyjść, kiedy zechcesz – radzę.

– Ale z piwnicy nie wyjdę.

– Wiem, że ta logika ma swoje ograniczenia, ale pomoże ci przetrwać. Poza tym, szczerze mówiąc, nie jesteśmy uwięzieni. W razie czego możemy wezwać strażaków. Ale najpierw wypróbujmy moją opcję, bo wiadomo, że mnie nie stać na remont superdrzwi Armasa, a ty nie masz szansy ściągnąć tu albumu o krzesłach.

Wyn ze śmiechem przekłada nogę nad regałem. Dobry znak.

Odsuwam się, żeby zrobić mu miejsce, ale ogranicza mnie pochyły strop, więc przykucam i wciskam się w kąt.

– Co teraz? – pyta.

– Teraz? Wyteżamy umysły i próbujemy rozwiązać zagadkę morderstw Zodiaka. Usiądź, Wyn.

Robi to posłusznie. Moim zdaniem ma teraz dość miejsca, żeby móc stanąć na rękach i zaśpiewać *Ave Maria*.

– Udawajmy, że gramy w sardynki – proponuję. – Udawajmy, że musimy siedzieć cicho tak długo, aż nas znajdą.

– To nie zadziała – odpowiada z westchnieniem.

– Wyn.

Pochyla głowę. Ramiona wznoszą mu się i opadają, poruszane płytkim, nerwowym oddechem.

– Wyn...

– Przepraszam, usiłuję nie zwariować.

– Nie przepraszaj. – Bez namysłu sięgam po jego dłoń. Czuję drgnienie zaskoczenia, a potem dotyk drżących, lodowatych palców.

Otulam jego dłoń swoją.

– Popatrz na mnie. Rozmawiaj ze mną.

Nie podnosi głowy.

– Mów coś – nalegam.

– Co mam mówić?

– Wszystko jedno. Pierwsze, co przyjdzie ci na myśl.

– Byłem uwięziony pod szafą – mówi wreszcie. – Tylko o tym jestem w stanie myśleć. Byłem przekonany, że tam umrę, zanim ktoś mnie znajdzie. Straciłem czucie w nodze, a potem, kiedy szok minął, przyszedł nieznośny ból.

– Okej, wypróbuj każdy inny temat – sugeruję, myśląc o swojej apce medytacyjnej i wizualizacjach, które tak mi pomagały w ciągu ostatnich pięciu miesięcy. – Powiedz mi o miejscu, które kochasz.

Wyn gwałtownie kręci głową.

– Przepraszam, Harriet.

– Hej. – Przysuwam się bliżej. Nasze kolana się stykają. – Nie musisz przepraszać. Nie za to.

– Myślałem, że to gówno już mi przeszło – mruczy z niezadowoleniem. – Lepiej mi idzie. Jest dużo lepiej ze wszystkim, więc miałem nadzieję, że skończą się kłopoty.

Boli mnie, kiedy słyszę: „Jest dużo lepiej ze wszystkim”. Odsuwam tę myśl i odchrząkuję.

– Powiedz mi, co czułeś, gdy wtedy graliśmy w sardynki – zachęcam.

Nie chciałam tego powiedzieć. A może jednak chciałam. Może potrzebuję potwierdzenia, że pamięta, że nie całkiem zapomniał, jak to było, kiedy mnie kochał – teraz, kiedy znów jestem z nim uwięziona w tej piwnicy, mając go wypalonego jak piętno w swoim sercu, umyśle, płucach, skórze, wszędzie.

Wreszcie Wyn unosi wzrok i na moment rozedrganie przechodzi w bezruch.

– Schowałem się – mówi niskim, głuchym głosem. – A ty pierwsza mnie znalazłaś. Choć początkowo mnie przeoczyłaś.

– I co potem?

– Poruszyłem się.

Mrugam zaskoczona.

– Poruszyłeś się?

– Żebyś mnie zobaczyła – wyjaśnia. – I tak się stało. Wystraszyłem cię i było mi głupio.

– Nigdy mi tego nie mówiłeś.

– Owszem. Ani razu w ciągu całego roku nie byłem z tobą sam na sam. A tu nagle zeszałaś na dół i tak strasznie pragnąłem cię dotknąć. Ale nie zauważyłaś mnie i już miałaś zawrócić, więc się poruszyłem.

Pali mnie pod mostkiem. Pali mnie między udami. Nawet robi mi się miękko pod kolanami, jakby wosk znalazł się zbyt blisko ognia.

– A potem usłyszeliśmy kroki – ciągnie Wyn. – Stałaś na widoku, więc wciągnąłem cię pod schody i tam przywarowaliśmy. – Jego palce drgają w moich dłoniach. Zaczyna do nich wracać ciepło.

– Przyciągnąłem cię do siebie – mówi niskim, chrapliwym głosem. – I modliłem się, żeby Parth nas nie zauważył i wrócił za górę. Modlitwy zostały wysłuchane. Słyszałem, jak wali ci serce, więc musiałaś słyszeć moje, i nagle poczułem, że mi stanął. Speszylem się jak cholera. Myślałem, że odsuniesz się ode mnie, kiedy znów zostaniemy sami. – Szuka spojrzeniem moich oczu. Źrenice ma powiększone w ciemności. – Ale się nie odsunęłaś.

Moje serce pędzi galopem i ciepło z brzucha zalewa mi mózg, kiedy odtwarzam tamtą scenę. Jak trwałam, wtulona w Wynę, otoczona jego ramionami, nie śmiać drgnąć z obawy, że czar pryśnie. Wreszcie zaczęła mi drętwieć stopa, więc nieznacznie zmieniłam pozycję, a on wypuścił drżący oddech i ten niedostrzegalny ruch sprawił, że poczułam się, jakbym połknęła żar.

Nienasycona, desperacka i nieustraszona.

Zawsze tak się przy nim czułam.

– A potem musnęłaś moją szczękę. – Z wolna unosi moją dłoń i przykładą do kłującego zarostu.

– Nie planowałam tego – wyjaśniam niemal defensywnie.

Nawet nie wiem, czy myślałam tak wtedy, czy teraz. Puls dudni mi w dłoniach i w opuszkach palców, wystukując werbel na jego skórze. Wspomnienie tamtego gorączkowego pierwszego pocałunku napiera na nas z ciemności ze wszystkich stron.

– Pomyślałem, że cię tam wyczarowałem. – Pochyla głowę i moja ręka zsuwa mu się na ucho. – Wystarczyło życzenie, żebyś się zjawiła.

– Samo życzenie nie wystarczy, żeby coś się zadziało, Wyn – mówię.

Łagodnie masuje kciukiem wrażliwe wnętrze mojego przegubu.

– Harriet? – mówi delikatnym, zmysłowym głosem. – Co wtedy sprawiło, że mnie w końcu pocałowałaś?

Od tamtego czasu minęło osiem lat, a moje zakończenia nerwowe nadal rozpalają się na wspomnienie naszych gorączkowych oddechów i tego wzajemnego, napiętego czekania, co będzie dalej – aż poczułam, że nie wytrzymam ani sekundy dłużej, jeśli się nie dowiem, jak to jest całować się z Wynem Connorem.

– Nie pocałowałam cię – mówię. – Ty mnie pocałowałeś.

Uśmiecha się niepewnie.

– No i które z nas ma amnezję?

Zalewa mnie dalszy ciąg wspomnienia. Jak zadarłam brodę i nasze wargi się musnęły, jeszcze nie całkiem w pocałunku. Jak rozchylił wargi i wsunął mi język w usta, aż westchnęłam całą sobą w odruchu cudownej, niewymownej ulgi. Słyszając to, Wyn przyciągnął mnie do siebie zachłannie i wahanie ustąpiło gorące pożądania.

Moje ciało pokrywa się gęsią skórką na wspomnienie, jak szeptał mi do ucha: „Jesteś taka delikatna, Harriet. – A jego ręce zadzierały mi bluzkę, żeby zagarnąć jeszcze więcej. – Tamtym się to nie spodoba”. „Ale mi się podoba – odszepnęłam, a jego śmiech przeszedł w zmysłowy pomruk. – Naprawdę. Jeszcze nigdy w życiu nic mi się tak nie spodobało”.

Sabrina chciała, żeby przyjechał jej ówczesny chłopak, Demetrios, ale Parth argumentował, że wówczas nasza wyprawa zamieni się w wyjazd par, a to by wszystko rozwaliło. W rezultacie zgodnie stwierdziliśmy, że najlepszy jest wyjazd czysto przyjacielski.

Dlatego nie sądziłam, aby byli zachwyceni odkryciem, że dwoje przyjaciół w sekrecie grzeszy w piwniczce na wino. Mimo to nie zamierzałam sobie odpuścić. Aż po raz drugi usłyszeliśmy kroki na schodach i to przywróciło nas do rzeczywistości. Odskoczyliśmy od siebie, a za moment Cleo odkryła naszą kryjówkę i we troje ścieśniliśmy się tam jak sardynki w puszcze.

Reszta tamtego wieczoru upłynęła mi na obiecywaniu sobie, że to się nigdy więcej nie zdarzy. Ale kiedy na noc trafiliśmy do sypialni, Wyn chwycił mnie, posadził na komodzie i zaczął całować, jakbyśmy ciągle byli pod tymi schodami.

Wreszcie pojąłam tajemnicę. Chodziło o ten dreszcz.

Teraz już wiedziałam, jak Wyn smakuje, jak mnie dotyka i jak szybko stał się szczytem mojej osobistej piramidy potrzeb Masłowa. Dlatego czułam, że muszę ustanowić dystans pomiędzy nami. Jego siła przyciągania była zbyt wielka. W sumie powinnam być wdzięczna, że nie ściągnęła ze mnie wszystkich ciuchów i nie przyssała mnie do tego faceta.

– Harriet... – szepcze i w tym szepcie jest pytanie. Gdy przesuwą dłonią po moim policzku, czuję znajomą szorstkość palców. Odruchowo opieram się o jego dłoń. – Opowiedz mi o San Francisco – prosi miękko.

Lód ścina mi żyły. Powraca logiczne myślenie.

– Wiesz, jakie jest San Francisco – mówię, odsuwając się od niego. Chłodne powietrze całuje moją skórę, kiedy Wyn cofa rękę. – Jest tam wielka, wypasiona czekoladziarnia Ghirardello i zawsze jest trochę

chłodno i wilgotno.

Nieznacznie pochyła głowę. Czuję wino w jego oddechu.

– Czekoladziarnia Ghirardellego? – powtarza.

– Całe imperium czekolady, wielkie jak miasto.

– Opowiedz mi o swoim pobycie tam – prosi.

Raca wystrzela w mój splot słoneczny. Wyją dzwonki alarmowe. Wiem, do czego zmierza – a raczej do kogo – i gniew zmieszany z mdłościami buzuje mi w brzuchu.

– A co z tym designerskim albumem? – atakuję.

Uśmiecha się z niepewnym rozbawieniem.

– Co takiego?

W uszach mam szum wodospadu. Gardło mi się zaciska.

– Po co ci ta książka?

Wyn patrzy na mnie wielkimi oczami.

Skoro nie chce mi szczerze odpowiedzieć, muszę zapytać.

– Masz kogoś? – wyrzucam z siebie.

Rozbawienie natychmiast znika.

– Harriet, pogięło cię? Pytasz serio?

– To nie jest odpowiedź.

Bada spojrzeniem moją twarz.

– A ty? – pyta ochryple. – Jesteś z nim?

Wszystko jasne. Kwas buzuje mi w żołądku. W piersi powiększa się wyrwa.

Nie mogę się rozplakać. Nie z powodu czegoś, co się działo pięć miesięcy temu. Nie z powodu kogoś, kto już raz mi powiedział, że mnie nie chce.

– A więc tak o mnie myślisz? – Cofam się jeszcze dalej, aż trafiam plecami na ścianę. – Ciągłe jesteś przekonany, że cię zdradzałam i że z każdym tak postępuję.

– Nie miałem tego na myśli – zaprzecza śmiertelnie poważnym głosem. – O nic cię nie oskarżam! Próbowałem tylko zapytać...

– O co, Wyn?

– Czy jesteś szczęśliwa. Chcę wiedzieć, czy ty też jesteś szczęśliwa.

Teraz ja gapię się na niego z niedowierzaniem. Wyn nadal chce rozgrzeszenia.

I co mam mu odpowiedzieć? Że nie jestem szczęśliwa? Że próbowałam się z kimś umawiać i okazało się to emocjonalnym ekwiwalentem obżerania się krakersami, żeby zaspokoić głód i marzenia o prawdziwym posiłku? Albo że unikałam całych obszarów miasta, bo zbyt boleśnie mi przypominały nasze pierwsze miesiące w Kalifornii, kiedy jeszcze ze mną mieszkał? Że kiedy rano budził mnie wrzask alarmu, odruchowo sięgałam tam, gdzie powinien leżeć, aby pobyć z nim choć jeszcze minutę, nim będę musiała się zwlec i kolejny raz zmierzyć z niekończącą się szpitalną harówką?

Co jeszcze mam mu powiedzieć? Że ciągle mi się zdarza śnić o jego głowie pomiędzy moimi udami albo że odruchowo sięgam po komórkę, aby mu przeczytać jakiś zabawny fragment kolejnego kryminału i łapię się na tym, że nie mam już jego numeru. Że więcej czasu zajmuje mi niemyślenie o nim, niż myślenie o czymkolwiek. Cała ta upojna nostalgia i płonące pożądanie tworzą łatwopalną mieszaninę, która eksploduje gniewem.

– Tak, Wyn – mówię. – Jestem szczęśliwa.

Chce odpowiedzieć, ale wtedy z góry słychać serię szybkich piknięć. Drzwi się otwierają i Sabrina woła:

– Harriet? Wyn? Wszystko w porządku?

– Tak, wszystko dobrze! – odkrzykuję.

Jeśli on może być szczęśliwy, ze mną też wszystko będzie dobrze.

## W realu

### Wtorek

Przed kolacją Wyn „idzie pobiegać”. Jestem prawie pewna, że to pretekst. Zamierza skorzystać z prysznicza przy basenie, żebym ja mogła się spokojnie umyć w naszej łazience w sypialni. Tak też robię, a potem przebieram w swoim zapasie T-shirtów, topów, dżinsów i sukienek. Przeważają kolory: biały, czarny i niebieski.

Pomiędzy nimi tkwi samotna plama czerwieni, którą dorzuciłam, bardziej żeby zadowolić Sabrinę niż z własnego wyboru. Przysłała mi tę sukienkę na ostatnie urodziny, nie pytając mnie nawet o rozmiar, bo świetnie potrafiła ocenić takie rzeczy na oko. Z konieczności uznałam, że jeśli mam ją włożyć, będzie Kiecką na Nasz Wyjazd, ale od kiedy się tu znalazłam, nie mogłam się zdecydować, żeby po nią sięgnąć.

A teraz nagle przestaje mi się jawić jako zbyt krótka, zbyt obcisła i zbyt czerwona, w sam raz do włożenia na ślub faceta, który cię szurnął, z myślą o wdepnięciu w jego weselny tort i podpaleniu mu krawata.

Tak, teraz jawi mi się jako ciuch idealny. Wciskam się w nią, spinam włosy klamrą, zakładam kolczyki i spiesząc do drzwi, wkładam obcasy.

Na dole Sabrina śledzi w telefonie naszą taksówkę i podsuwa każdemu wodę. Każdemu oprócz Wyna, który jeszcze nie stawił się w kuchni.

– Nawadniać się, nawadniać, nawadniać! – nuci. – Dzisiaj się zabawimy jak dwudziestojednolatki z okazji ferii wiosennych.

Kimmy śmieje się tak, że aż podskakują jej złocistoczerwone loki.

– Powinniście się cieszyć, że nie znaliście mnie, kiedy byłam w tym wieku. Drinki Four Loko miały wtedy jeszcze kofeinę i dawały kopa.

– Skoro mowa o drinkach, mam świetne foty z waszych body shotów – mówi Parth. – Idealnie się nadają na tapety.

– Na tapety? – powtarzam.

Czuję mrowienie na karku, słysząc głos Wyna:

– Tak, ślubne, do małżeńskiej sypialni.

Odwracam się ku drzwiom na patio, przez które wszedł. Włosy ma wilgotne, a na czole obowiązkowy kosmyk. Ma na sobie szary T-shirt, częściowo wsunięty w szaroniebieskie chinosy. Kolory uwydatniają zieleń w jego oczach, kiedy błądzi spojrzeniem po tym, co muszę teraz nazwać Sukienką Zemsty. Z wrażenia na moment gubi krok, ale szybko się opanowuje i skręca do lodówki, żeby napełnić swoją butelkę wodą z lodem.

Zastanawiam się, czy moje policzki zlewają się barwą z obcisłym szyfonem. Potrzebuję dobrej sekundy, żeby wrócić do przerwanej rozmowy.

– Więc co z tą tapetą? – pytam. – Chętnie pomogę – proponuję śmiało.

– Nie, to nie na nasz ślub – prostuje Sabrina. – Tapeta będzie na wasz.

– Nie pamiętasz? – dodaje Parth. – Kiedyś skontaktowaliśmy się z twoimi rodzicami w sprawie twoich niemowlęcych zdjęć. Od lat zbieramy materiały na ścianę wstydu.

Teraz już pieką mnie policzki.

– Nic mi to nie mówi.

– Bo w tamtym semestrze cię nie było – wyjaśnia Wyn, nie patrząc na mnie.

Sabrina zerka na mnie znad ekranu komórki i dopiero teraz zauważa moją kreację.

– Harry! Zaje-biście! Mówiłam ci, że czerwień to twój kolor.

Zmuszam się do uśmiechu.

– Miałas rację. To jest moja Kiecka na Nockę.

Na dźwięk wody rozbryzgującej się na podłodze wszystkie spojrzenia mkną ku lodówce.

– Kurwa! – Wzrok Wyna odskakuje ode mnie i zatrzymuje się na strumieniu, który leje się z jego butelki.

Cleo z cichym okrzykiem zrywa się ze stołka przy marmurowej wyspie, podmytego przez potop. Nowy atlas grzybów (albo stary) wylatuje jej z ręki.

– Przepraszam... – mruczy Wyn pod nosem, po czym ściąga z uchwytu zmywarki ścierkę w homary i wręcza ją Cleo, żeby starła wodę ze swojej obcisłej czarnej midi i butów. W tym wydaniu mogłaby z powodzeniem uchodzić za frontmenkę jakiejś grunge'owej kapeli z lat dziewięćdziesiątych.

Kiedy Wyn kończy wycieranie resztek wody z podłogi i się prostuje, Parth klepie go po ramieniu.

– Wszystko w porządku, stary? Bo jesteś jakiś nieswój.

– Wszystko okej. – Wyn płucze ścierkę i wyżyma ją. – Okej.

Drugie „okej” brzmi jeszcze mniej przekonująco niż pierwsze. To już coś.

Prześlizguję się koło marmurowej wyspy, biorę z jego ręki butelkę, którą zdążył znów napełnić, i pociągam z niej długi łyk.

– Spragniona? – pyta oschle.

Oddaję mu butelkę.

– Już nie.

– Jest taksówka! – woła Sabrina, zeskakując ze stołka. – Cleo, zostaw książkę. Kimberly, dopij wodę.

Spadamy stąd!

Wsiadając do pasażerskiego vana, nie martwię się, że świecę Wynowi przed nosem ledwie zakrytym tyłkiem. Mój rozpęd nieco słabnie, kiedy ląduję na tylnym siedzeniu pomiędzy Sabriną a nim, ale przynajmniej Parth oszczędza nam gadki, puszczać na cały regulator energetyczną playlistę z wczesnych lat dwutysięcznych. Wyn przez całą drogę siedzi z nosem w telefonie.

Kilkanaście minut później zajeżdżamy przed nasz stary dobry Lobster Hut. Miejscówka jest mało wyglądną i poza szyldem w ogóle się nie reklamuje. Nie ma logo ani na serwetkach, ani na lepiących się laminowanych kartach menu, a jednak wszyscy świetnie ją znają.

Kiedy pierwszy raz tu trafiłam, miałam dziewiętnaście lat i byłam tuż po swoim pierwszym rozstaniu. Sabrina wiedziała, że w Lobsterze nikt nie pyta o dowód\* i Cleo zaliczyła sześć tequili z rzędu, po czym dalej stała na nogach, a nawet odpierała zaloty jakiegoś prymusa, który się mądrył na temat malarstwa Modiglianiego. Śpiewaliśmy, tańczyliśmy i sączyliśmy do dna kolejne Fireballe, które donoszono na nasz wysoki barowy stolik. W końcu przestałam sprawdzać w telefonie, czy Bryant coś napisał.

Gdy wróciliśmy do domu i Sabrina z Cleo pognały pod prysznic, samotność znów zadarła łeb i alkohol skruszył moje linie obrony. Poszłam prosto do starej łazienki, której nikt od dawna nie używał, napiłam się wody z kranu, usiadłam na kiblu i się poryczałam. Nie z powodu Bryanta. Z osamotnienia i ze strachu, że nigdy przed nimi nie ucieknę. Uczucia bowiem są zmienne, a ludzie nieprzewidywalni. Nie można się ich trzymać samą siłą woli. Tam znalazły mnie Cleo i Sabrina. Ta ostatnia zagroziła, że wyważy drzwi, jeśli ich nie wpuszczę. „Lepiej nie pozwól, żebym to zrobiła, bo będę potem musiała wynagrodzić tatusiowi szkodę, na przykład idąc z nim na mecz polo, a to zapamiętałabym ci do końca życia”, dodała. Jak tylko otworzyłam, łzy przestały płynąć, lecz gula w gardle ledwie pozwalała mi mówić. Usiłowałam przeproszać, zapewniać je, że wszystko jest w porządku, że zaliczyłam tylko mały dołek, a one chwyciły mnie w objęcia. „Nie zawsze musisz być w porządku”, powiedziała Cleo. „I nie zawsze musisz mieć dołek”, dodała Sabrina. Stałam w maleńkiej łazience, pozwalając im się tulić, aż nieznośny ciężar samotności zelżał. „Jesteśmy z tobą”, zapewniały. I odtąd samotność nie miała już do mnie tak łatwego dostępu. Żeby nie wiem co, zawsze mogłam liczyć na swoje przyjaciółki. A przynajmniej tak myślałam.

Ale po tym tygodniu wszystko się między nami zmieni. Nie może być inaczej.

Nie myśl o tym, upominam się. Nie idź jeszcze w tę stronę. Bądź tu i teraz, przed wejściem do twojej ukochanej knajpy.

Sabrina, Parth, Cleo i Kimmy są już przy drzwiach. Ruszam za nimi, ale obcas mi się blokuje w szczelinie pomiędzy płytami chodnika. Wyn natychmiast podbiega i podtrzymuje mnie za łokieć, zanim zdążę skrócić kostkę.

– Ostrożnie – ostrzega ściszone głosem. – Nie jesteś przyzwyczajona do takich obcasów.

Gniew wybucha we mnie jak flara – jedyna rzecz na tyle jasna i gorąca, żeby się przedrzeć przez



mgłę nostalgii.

– Jeśli o to chodzi, Wyn – mówię, wyszarpując łokieć z jego uścisku – nie masz pojęcia, do czego jestem przyzwyczajona, a do czego nie.

Wchodzę przez drzwi z iluminatorem do ciemnego baru i spada na mnie głośne *Love is a Battlefield* w wersji karaoke. Powietrze jest gęste od woni smażonego łupacza i posypanych papryką ziemniaczanych łódeczek, pomieszaną z zapachem piwa, octu i kurzu na całorocznych bożonarodzeniowych świecących się pod sufitem i zalewających gości kaskadą kolorowych blasków.

Kiedy zrównuję się z Cleo, patrzy na światła, które ożywiają złociste przebliski w jej oczach i taką samą tonację brązowej skóry.

– To miejsce się nie zmienia, prawda? – pyta, pochylając się ku mnie.

– Wszystko w końcu się zmieni – mówię, a widząc jej zdziwioną minę, przywdziewam na twarz uśmiech i biorę ją pod ramię. – Pamiętasz czasy, jak rolady z homara były po sześć dolarów?

Nie daje się nabrać na moją zaimprovizowaną wesołość. Pomiędzy jej jaskółczymi brwiami formuje się bruzda.

– Dobrze się czujesz?

– Boję się głębiej odetchnąć w tej kiece, żeby nie popękała w szwach – mówię. – Poza tym wszystko okej.

Nie wydaje się przekonana. Cleo zawsze potrafiła mnie przejrzeć. Kiedy mieszkaliśmy razem, potrafiłam godzinami się przyglądać, jak maluje, i myśleć: Jak to jest, że ona zawsze wie, co ma robić? Od razu wiedziała, jakich kolorów użyje i gdzie je położy – i z czegoś, co wyglądało jak chaos, wyłaniał się gotowy obraz.

Wyn prześlizguje się obok nas, zmierzając do zbyt małego stolika z tyłu sali, który Sabrina wcześniej zarezerwowała. Cleo dostrzega, jak za nim patrzę.

– Mieliliśmy mały spór – przyznaję, zaskoczona ulgą, jaką poczułam, podzieliwszy się z nią ułamkiem prawdy.

– Chcesz o tym porozmawiać? – pyta. – Albo inaczej: może powinniśmy o tym porozmawiać?

– Dobrze, choć w sumie nie wiem, o co nam tak naprawdę chodziło.

– Aa, to. – Cleo kiwa głową. – Czyli skakanie sobie do oczu w stylu „jestem głodny, jestem zmęczona, mam doła albo mam cię kompletnie dosyć”. Znamy to, znamy.

– Ty i Kimmy się nie kłóćcie – pryham.

Opiera głowę o moje ramię.

– Harriet. Jestem racjonalną, introwertyczną domatorką, a moja dziewczyna to żywy imprezobus z obowiązkowymi rurami do tańca i migającymi laserami, więc jasne, że się ścieramy.

Sabrina macha do nas od baru.

– No cóż, cokolwiek się dzieje pomiędzy tobą i Wynem – mówi Cleo, kiedy przepychamy się przez tłum – na pewno sobie z tym poradzisz. Zawsze tak było.

Poczucie winy ciąży mi w żołądku.

– A przy okazji, jak u ciebie? Ostatnio nie miałyśmy okazji pogadać.

– Nic takiego. Jestem zmęczona. Nie przywykłam do takiej harówki. Kim i ja zwykle wstajemy pomiędzy wpół do piątej a piątą rano.

– Rany, od samego słuchania o tym można dostać kaca!

Śmieje się.

– Spokojnie, nie jest aż tak źle. W sumie lubię te robotę. Fajnie jest wstać przed wszystkimi i codziennie podziwiać wschód słońca pośród roślin, czuć na sobie jego pierwsze promienie.

– Ciągle jeszcze nie mogę uwierzyć, że jesteś farmerką – mówię z uśmiechem. – Tylko nie zrozum mnie źle, to supersprawa. Po prostu mam nadzieję, że któregoś dnia będziesz jednak miała wystawę w Met.

Cleo wzrusza ramionami.

– Wszystko może się wydarzyć.

Parskam śmiechem.

– Zwłaszcza ty możesz to powiedzieć.

– Bo trzeba się zanurzyć w życiu i wtedy widzisz, ile może ci dać.

– Jakie mądre. Jakie głębokie.

– Przeczytałam na sreberku czekoladki Dove. – Śmieje się. – A ty, Har? Jak tam staż?  
– Dobrze! – Unosi brew i już wiem, że wykrzyknęłam to zbyt entuzjastycznie, ale brnę dalej z gadką, którą stosowałam wobec swoich rodziców, kiedy opowiadałam im o pracy: – Jest dużo roboty, i to przeważnie mającej mało wspólnego z chirurgią, a dyżury są długie. Ale załoga jest świetna i szczególnie na jedną osobę zawsze mogę liczyć. Naprawdę mogło być gorzej. Najważniejsze, że pomagam ludziom.

Myśl o szpitalu sprawia, że czuję wyrzut adrenaliny i oto jestem w sali operacyjnej, szykując się do zabiegu, a pacjent leży na stole z otwartą czaszką.

Moje szczęśliwe miejsce, upominam siebie. Tu i teraz. W Lobster Hut, w Knott's Harbor.

– Zawsze wiedziałam, że nasza dziewczyna będzie ratować świat. Jestem z ciebie dumna, Harry. Wszystkie jesteście.

Odwracam wzrok, czując ucisk w piersi.

– A ja jestem dumna z ciebie. Ja pierniczę, prawdziwa farma!

– Coraz więcej sprzedajemy w lokalnej kooperatywie – chwali się. – Wiesz, ludzie zamawiają u nas zdrowe produkty bezpośrednio, i to w takich ilościach, że nie nadążamy z uprawami.

– W trzy lata! – Nie kryję podziwu. – Jesteście niesamowite.

– No, a pomyśleć, że jeszcze dziesięć lat temu tańczyłyśmy na tych stołach przy hicie MGMT, który grali co kwadrans.

– Zaraz, zaraz, ty nie tańczyłaś. Doskonale pamiętam, jak Sabrina kazała nam na nie wskakiwać, a ty spokojnie odpowiedziałaś: „Nie, dziękuję”.

Cleo się śmieje.

– Nauki rodziców puszczałam mimo uszu, ale jedno mi wpoili: trzeba mieć granice.

– Boże, to straszne. Miles i Deandra pewnie nie mogą spać w nocy w tych swoich bliźniaczych domach w Nowym Orleanie, żalując, że ci to powtarzali.

– Z pewnością – przytakuje Cleo. – Wpadliby w rozpacz, gdyby wiedzieli, ile baby shower opuściłam, bo nie interesują mnie dzieci.

– Twarda jesteś – mówię z podziwem. – Ja ostatniego dnia przed urlopem dowlekłam się jeszcze na bat micwę córki mojej fryzjerki.

Cleo krzywi się z dezaprobatą.

– Och, Harry, musisz się szanować.

– Dlatego wypięłam na niej za siebie.

Uśmiecha się, ale jej brew pozostaje sceptycznie uniesiona. Nie jestem pewna, czy do końca rozumie, czemu łatwiej jest mi spełniać oczekiwania innych ludzi, niż mieć własne zdanie.

W tym drobnym ciele z noskiem jak guziczek Cleo zawsze kryła stalowy kręgosłup. Na studiach mogła obalić prawie całą butelkę swojego ulubionego dżinu Tanqueray, ale nikt nie zdołał jej podpuścić, żeby zrobiła coś bardziej głupiego niż głęboka dyskusja o nihilizmie z drugorzędnym zawodnikiem hokeja na trawie. Aż pewnego dnia uznała, że nie podoba się jej taki stan upojenia, i z marszu przestała pić. W taki sam sposób zmieniła zdanie w sprawie studiów artystycznych i oznajmiła, że będzie pracować na miejskiej farmie.

Bo kiedy Cleo podejmuje decyzję, po prostu to robi.

Gdy wreszcie dopychamy się do stolika, pytam Sabrinę:

– Czy wiesz, że Kimmy i Cleo produkują dla kooperatywy?

– Wiem – odpowiada. – Choć nie mogłam tego zobaczyć na żywo.

Cleo zajmuje miejsce obok Kimmy.

– Znajdziemy jakiś termin w zimie – zapewnia.

– Czekam cierpliwie. – W głosie Sabriny brzmi wyzwanie.

– Po prostu tęsknimy za wami. – Parth próbuje rozładować napięcie.

Cleo nie odpowiada, a Kimmy rzuca jej krótkie spojrzenie z ukosa – taki rodzaj szybkiego sprawdzenia temperatury u ludzi, których łączy głęboka więź. Cleo zaczyna się wkurzać.

– Pamiętasz, jak pierwszy raz zjawiłaś się tu z Kimmy? – pytam.

Cleo unosi do ust dłoń swojej dziewczyny i całuje ją.

– O, tak – mówi Sabrina. – Wtedy zakochaliśmy się w tobie, Kimberley.

– Gwoli ścisłości – Cleo zwraca się do Kimmy – ja zakochałam się w tobie dużo wcześniej.

– Ach, chłopaki i dziewczyny! – Kimmy momentalnie się ożywia. – Od razu poczułam, jakbym była jedną z was!

– Bo byłaś – mówię.

– Byłaś naszym brakującym ogniwem. – Parth siada obok Sabriny. – Potrzebowaliśmy rudzielca do kompletu.

– Ty lepiej pilnuj tamtych niebieskowłosych babek – mówi Sabrina, pokazując wzrokiem na kobiety popijające drinki przy sąsiednim stoliku. – Jak sobie pójdą, złap dla nas krzeselko.

– Nie trzeba, postoję – mówi Wyn, dając mi znak, żebym usiadła na jedynym wolnym krześle. Podchwytuje moje spojrzenie. – Siadaj, kochanie. Odetchnij trochę od tych obcasów.

Zastanawiam się, czy mój sztuczny uśmiech zdołał zamaskować wkurw.

– Kurczę, ktoś był szybszy. To dla mnie za duża napinka – żali się Parth.

– Wiesz co? – Dotykam bicepsa Wyna. – Usiądę ci na kolanach.

Wzdryga się lekko, ale ja już wstaję i popycham go w kierunku krzesła. Wyn, z miną człowieka, który pogodził się z wyrokiem losu, siada z rezygnacją, a ja sadowię się na jego udach. Otacza moje plecy ramieniem demonstracyjnie bezosobowym gestem, a mimo to moje ciało pamięta, odtwarza i przeżywa tamten moment z piwnicy.

Kiedy podchodzi kelner, Sabrina zamawia cały dzban margarity, furę frytek oraz wodę z limonką dla Cleo.

– Czy ja też mogę wodę? – wołam za nim. Dramatycznie potrzebuję alkoholu, żeby rozproszył impulsy elektryczne szalejące w moich neuronach, ale muszę mieć trzeźwy umysł.

Wspomnienie aksamitnego szeptu Wyna: „Unieś ręce, kotku”.

I mój pijany bełkot: „Dasz mi tę koszulkę z rodeo?”.

Czuję igiełki w krzyżu. I ciepło w miejscu, gdzie moje uda dotykają jego ud.

Tłum gości ryczy wraz z Shanią Twain; dziunie z panińskiej imprezy opanowały scenę karaoke w tyle sali.

Przed Kimmy Cleo spotykała się głównie z hipsterkami kompletnie olewającymi nasze towarzystwo. Z Laurą – jeżdżącą na motocyklu i z kolczykiem w mostku nosa. Z Giselle – o ustach umalowanych na jaskrawą czerwień, która nigdy się nie śmiała. Wreszcie z Trace, która dołączyła do kapeli punkowej i kiedy stali się sławni, rzuciła Cleo dla słynnej modelki, córki innej słynnej modelki.

A potem, pracując na farmie organicznej w Quebecu, Cleo poznała Kimmy – olśniewającą, ekspresyjną śmieszkę i przylepę.

Za pierwszym razem, kiedy ją do nas przywiozła, Kimmy, Sabrina i ja wypaliłyśmy naszego najlepszego jointa w życiu w toalecie Lobster Huta, a potem zaśpiewałyśmy we trzy *Goodbye Earl*.

Od początku była nasza. I Cleo.

Przeszywa mnie obawa, bo znów przychodzą myśli, jacy będziemy po tym tygodniu, kiedy skończy się zabawa i dom zostanie sprzedany. I kiedy ostatecznie rozstanę się z Wynem.

Gdy Sabrina zaczyna rozlewać drinka z tequilą do naszych kieliszków obtoczonych w soli, kusi mnie, żeby sięgnąć po jeden z nich. Zamiast tego wychylam się i chwytam napój z tacy postawionej przez kelnera na sąsiednim stoliku, automatycznie wpychając tyłek w krocze Wyna.

Z zakłopotaniem poprawia się na krześle. Jak on to nazywa? Mściwe miażdżenie?

Jednym haustem wypijam swój napój, jakby to była ostatnia szklanica bimbru, którą znieczuła mnie osiemnastowieczny doktor, zanim wydlubie mi kulę z ramienia, po czym zamaszycie się wychylam, żeby odstawić ją z powrotem.

Podczas gdy reszta nalewa sobie drugą kolejkę, Wyn zbliża usta do mojego ucha.

– Czy możemy na moment wyjść? – pyta sztywnym głosem. – Chciałbym z tobą porozmawiać.

Ja też chciałam, myślę. Pięć miesięcy temu.

Już za późno na rozmowy. Za późno, żeby pytał, czy jestem szczęśliwa albo jak mi idzie staż, albo czy widuję się z facetem, którym usiłuję się pocieszyć po naszym rozstaniu. Nie łykam tego. Rozegram sprawę po swojemu.

Przezesuję mu czuprynę, unosząc pasma włosów palcami.

– Fajną fryzurę ma Wyn, co? – wołam do pozostałych, przekrzykując muzykę.

Parth, rozgrzany margaritą, komentuje:

– Wygląda jak szef gangu motocyklowego wzięty na męki.

Wyn zaciska usta, ostrzegając, że igrasza z ogniem.

– Nie miałem czasu się ostrzec, kochanie.

– Moim zdaniem wyglądasz świetnie – mówi Kimmy. – I ta broda.

– Brodę też zgolę – odgraża się Wyn.

Odwracam się do niego z egzaltowanym dąsem i otaczam jego szyję ramieniem.

– Ale mi się podoba.

Czuję, jak jeżą mu się włoski na karku. Nasze spojrzenia szczepiają się jak w grze w tchórza, kiedy przegrywa ten, kto pierwszy wciśnie hamulec, jadąc na czołówkę. Wyn przesuwa dłoń na mój brzuch. Jest płonąca jak piekło.

Parth rzuca ze śmiechem:

– Hej, pamiętacie, jak sobie przysięgaliśmy, że to nigdy nie będą wyjazdy dla par?

Sabrina pociąga łyk drinka.

– Moim zdaniem tylko tobie na tym zależało.

– Moim zdaniem obstawałeś przy tym, bo nie chciałeś, żeby Sabrina nie przywiozła swojego chłopaka – dorzuca Cleo.

– Och, to miał być tylko bonus – wyjaśnia Parth. – Głównym powodem było moje pragnienie wiecznej młodości. Uważałem, że wypadki w parach są dla starych przykryw. Moi rodzice całe lata jeździli na Florydę z wujkami i ciotkami, a potem kazali nam oglądać dziesiątki fotek z baru w hotelu Margaritaville.

Odkąd go znam, Parth jest w moralnej opozycji wobec wszelkiego rodzaju sieciówek. Może dlatego, że dorastał na przedmieściach Środkowego Zachodu i tylko takie restauracje były pod ręką. Mnie sieciówki dają komfort. Zawsze wiesz, czego możesz oczekiwać, i nic cię nie zaskoczy. To kulinarny odpowiednik oglądania w kółko tego samego ulubionego serialu, na przykład *Napisala: Morderstwo*.

Wyn wychyla się za mnie, żeby odstawić na stół swoją na wpół wypitą margaritę.

– Wybaczcie – mówi, zsuwając mnie z kolan – ale leci piosenka moja i Harriet.

Dam głowę, że mam oczy w słup. Nasi przyjaciele na pewno.

Nie czeka, aż zareaguję, tylko chwyta mnie za rękę i pociąga za sobą w tłum. Głos Sabriny goni za nami:

– Niech mi ktoś powie, jakim cudem *Graduation Vitamin C* jest ich piosenką?

\* W Stanach Zjednoczonych do 21. roku życia nie wolno kupować ani spożywać alkoholu.

## W realu

### Wtorek

Stajemy na parkiecie. Sztywnym gestem zarzucam Wynowi ręce na szyję i pozwalam, żeby mnie do siebie przyciągnął – częściowo dlatego, że Cleo na nas patrzy, a częściowo ponieważ w ten sposób nie muszę mu patrzeć w twarz.

– Grasz nieczysto – mówię.

– Ja? A kto przed chwilą wwiercał się we mnie tyłkiem? – ripostuje.

– Ja? W życiu!

– Seksowną fryzurę ma Wyn, co? – parodiuję mnie namiętnym głosem.

– Ja powiedziałam „seksowną”? Kiedy?

– Chodzi o głos. Wiadomo, co miałaś na myśli.

Przewracam oczami.

– Po prostu gram swoją rolę.

– Jaką? Marilyn Monroe śpiewającą *Happy Birthday, Mister President*?

– Rolę, w której mam być w tobie zakochana.

Wyn lekko się usztywnia.

– Taa, może nie pamiętasz tamtych czasów, ale kiedy naprawdę mnie kochałaś, raczej nie gziłaś się ze mną publicznie, tak jak teraz.

– Teraz też tego nie robię, tylko ty uprawiasz odwróconą psychologię i stwarzasz wrażenie, jakbyś był ofiarą mojego molestowania, a w rzeczywistości sam mnie prowokujesz. Sorki, Wyn. To na nic.

Krzywi się, ale mnie nie puszcza.

Gniewnie kołyszemy się w takt muzyki.

– Naprawdę nie pogadamy o tym, co się działo w piwnicy? – pyta.

– Nic się nie działo – przypominam mu.

– I nie uważasz, że mało brakowało?

Jego słowa sprzed lat nagle wypływają z odmętów mojej pamięci.

– Kolczaste kule zielska, które toczy wiatr – mówię. – Pędzą przez mój umysł.

Wyn potrząsa głową i kącikiem ust muska moją skroń.

*Graduation* się kończy. Ktoś intonuje *Wicked Game* i nawet nieźle mu to idzie. Może nie jest Chisem Isaakiem, ale udaje mu się nasycić swój śpiew cierpieniem i zmysłowością. Tak bywa w karaoke, że nagle, mimo ułomności, w pewnym specyficznym klimacie, zdobywa się publiczność.

Kimmy i Cleo dołączają do nas na parkiecie i bujają się parę stóp dalej. Wyn wykorzystuje okazję, żeby zawirować mną w tańcu, a ja wykorzystuję okazję, żeby zaczerpnąć powietrza, które pachnie niemal jak upojny miks sosen i koniczyny. Potem znów przygarnia mnie do siebie, pierś w pierś, łono w łono, aby mógł bez przeszkód szepnąć mi do ucha:

– Obcasy, kiecka, twarz jak z zakłęb Etsy, nowa postawa wobec zarostu... Jakie jeszcze zmiany mi zaserwujesz?

Chwytam palcami końce jego włosów i znów czuję, jak robi mu się gęsia skórka na karku, a pewnie i wzdłuż kręgosłupa. Podnieca mnie perspektywa wywołania w nim jakiegokolwiek reakcji. Owszem, wstrząsnął mną tam, w piwnicy – i lepiej by mu się żyło beze mnie – ale to nie oznacza, że jest mniej odporny na wszystko, co się dzieje pomiędzy nami.

– Ten snobistyczny album o krzesłach – mówię, starając się nie włączać emocji. – Broda, włosy, ciągle esemesy. Czy powinnam coś jeszcze wiedzieć?

Ledwie wypowiedziałam te słowa, już bym je cofnęła. Wiem, jak szybko Wyn potrafił mnie wypisać ze swojego życia. I nie chcę wiedzieć, jak szybko zdoła mnie wyrzucić ze swojego serca.

W jego spojrzenie wkrada się mrok i wwierca się nim we mnie, szukając odpowiedzi na niewypowiedziane pytanie. Rozluźnia uchwyt na mojej talii i jego dłonie osuwają się na moje biodra. Zaciska usta.

– Mam nadzieję, że nie – mówi.

Kiedy utwór się kończy, trwamy jeszcze przez chwilę w objęciach, milczący i nieporuszeni. Wreszcie go puszczam.

Kiedy wracamy do stołu, okazuje się, że Sabrina zawłaszczyła kolejne krzesło. Ale zanim zdążę je zająć, Wyn bez wahania sadza mnie sobie na kolanach. Komunikat jest jasny: jeśli będę podnosić stawkę, on będzie zmieniał warunki zakładu.

Nie jestem w bojowym nastroju. Tulę się do jego piersi i wkradam palcami w jedwabiste włosy. W odpowiedzi Wyn wędruje dłonią po moich udach i jej żar pali mnie przez czerwony szyfon. Mój puls tętni coraz niżej, coraz bliżej intymnego miejsca. Czuję jego usta z boku szyi; właściwie mnie nie całuje, tylko sunie wargami po wrażliwej skórze w rytmie niespiesznych oddechów.

– Czy mogę prosić o białe wino? – wołam, kiedy pojawia się kelner z sześcioma porcjami frytek, które zamówiła Sabrina.

– Oczywiście – odpowiada i zawraca do baru, wyraźnie omijając wzrokiem nasz nieszczęsny występ.

Kiedy dostaję wino, osuszam kieliszek jednym haustem, bo znieczulenie umysłu wydaje mi się lepszą z dwóch dość koszmarnych opcji.

– Wszystko w porządku, Harriet? – pyta Wyn własną wersją dyszącego zmysłowością głosu Marilyn, śpiewającej *Happy Birthday, Mister President*.

Odwracam się ku Wynowi i lgnę do niego, aż jego twarda pierś spotyka moją i nasze usta niebezpiecznie zbliżają się do siebie. Zarzucam mu rękę na szyję i czuję, jak obmacuje mnie spojrzeniem; widzę, jak napina mięśnie w szczęce. Jego głęboki oddech spaja nas jeszcze mocniej, jego puls dudni o moją pierś. Przesuwa dłonie na moje biodra, jeszcze ciaśniej spajając nas ze sobą.

Moje ostatnie pijaństwo plus pięć miesięcy tłumionego gniewu, plus jeden kieliszek wina wystarczą, abym napała na niego biustem i twardniejącymi sutkami i tak jak on zniżyła usta do czułego miejsca za jego uchem.

– W życiu nie czułam się lepiej – zapewniam.

Wyn nie kontroluje już swoich dłoni, które obejmują moje biodra, zsuwają się na uda, wkradają pod kusą sukienkę i dopadają nagiej skóry.

Gramy swoje role, ale jest w tym coś więcej. Czuję, jak mu twardnieje, co sprawia, że każde miękkie miejsce w moim ciele zmienia się w magmę, rozpaloną i płynną. Ale nie zamierzam się pierwsza wycofać.

– Można już grać w strzałki! – woła Sabrina. – Kto ma ochotę?

– Ja! – Kimmy zrywa się żwawo.

Patrzę Wynowi w oczy, czekając, aż pęknie. Wreszcie zerka w stronę Sabriny.

– Może później – mówi i wraca spojrzeniem do mnie. Wzrok ma twardy jak stal. – Na razie mi tu dobrze.

Sabrina wygrywa w strzałki z czterema miejscowymi oraz z Kimmy, podczas gdy Parth i Cleo wdają się w długą rozmowę z całym wieczorem panieńskim na temat manipulacji okręgami wyborczymi i sposobów, jakimi walczy z tym procederem jego organizacja. Trzeba przyznać, że imprezowe dziunie ze zdumiewającą łatwością akceptują fakt, że ostatni wieczór wolności przyszłej panny młodej zmierza w intelektualnym kierunku. Nikt nie potrafi tak czarować jak Parth Nayak. Sabrina umiejętnie podtrzymuje temperaturę, hojnie zamawiając dla wszystkich kolejne Fireballe.

Pod koniec zarówno ona, jak i Parth wymieniają wizytówki (kto wiedział, że takowe mają? na pewno nie ja) z dziewczynami i jeszcze paroma gośćmi wieczoru. A potem Cleo, Wyn i ja musimy dosłownie wywlec ich oraz Kimmy z lokalu i załadować do taryfy.

Jednak Parth nie byłby sobą, gdyby nie zakończył wieczoru swoim firmowym motywem – odegraną w taksówce niepokojącą i piękną piosenką Julee Cruise ze ścieżki dźwiękowej *Twin Peaks*.

Na tylnym siedzeniu Sabrina opiera się o mnie, na wpół śpiąca, przez co automatycznie ląduję na piersi Wyna. Trzyma mnie za kolano i zastanawiam się, czy to mój puls dudni, czy jego.

W domu trzeźwiejsi zaganiają pijanych do kuchni i poją ich wodą. Na górze ściskamy się i życzymy sobie dobrej nocy, po czym, z sercem dziko tętniącym w gardle, wlokę się za Wynem do sypialni. Nagle

czuję, że nie jestem w stanie zamknąć drzwi i zostać z nim sam na sam.

Sięga ponad moim ramieniem i je zamyka. Nie cofa ręki. Czuję ją z lewej strony głowy. Stoimy całkiem daleko od siebie, a mam wrażenie, jakby dzielił nas włos. Jak wtedy, kiedy siedzieliśmy wciśnięci w ciemny kąt pod schodami. Jakbym siedziała na jego kolanach w zatłoczonym barze.

Lustruje wzrokiem moją twarz, z roztargnieniem błędząc czubkiem języka po dolnej wardze.

– Skończyliśmy już? – rzuca.

Zadzieram brodę.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Niepostrzeżenie zbliżamy się do siebie. Kącik ust mu drga, ale spojrzenie pozostaje mroczne i skupione. Oddech muska moje usta. Jeszcze jeden wdech i wydech, mój czy jego, i dystans zmaleje do zera.

– Dlaczego mnie karzesz? – pyta.

Próbuję się zaśmiać z irytacją. Nie wychodzi. Jest zbyt szczery, zbyt zdezorientowany, jakby desperacko próbował zrozumieć.

Jakby nie mógł pojąć, że cała moja miłość do niego nie zniknęła, tak jak jego miłość do mnie. Że musiała się gdzieś podziąć i skanalizowała się w gniewie, bo tylko tak byłam w stanie przetrwać ostatnie dwa dni.

Czuję się samotna. Czuję się przegrana.

Wyn przełyka nerwowo.

– Czy... czy nie możemy ogłosić rozejmu? – pyta. – Zostać przyjaciółmi na te parę dni?

„Przyjaciele”. Ironia i wyobcowanie tego słowa są wręcz bolesne. To jak lanie alkoholu na moje zranione serce. Ale gniew już nie pomoże.

– Dobrze – mówię. – Rozejm.

Wyn puszcza drzwi, odsuwa się i kiwa głową.

– Ty śpisz na łóżku.

Uderza mnie myśl, że nie wygląda na szczęśliwszego ode mnie.

## Moje szczęśliwe miejsce Morningside Heights, Nowy Jork

Apartament z czterema sypialniami, na który ledwie stać naszą piątkę. Jedna łazienka ze ścisłym regulaminem korzystania z prysznica ułożonym przez Sabrinę oraz osobna ubikacja, którą nazywamy wyjściem awaryjnym, składająca się tylko z kibla i żarówki, włączanej pociągnięciem łańcuszka, ponura jak krypta.

Uginające się klepki starego parkietu, zmęczone dźwiganiem używanych mebli, służących pokoleniom studentów. Zacinające się okna, których lepiej nie ruszać. Kiedy jest gorąco albo pada, ze ścian emanuje zastarzała woń dymu papierosowego, przypominając nam, że jesteśmy tu tylko przelotem, gdyż ten dom stał tu na długo przed naszym przybyciem do miasta i będzie stał długo po naszym wyjeździe.

Po pierwszym pocałunku z Wynem, latem, w piwnicy, uważałam, że nasza ciekawość została zaspokojona i na tym powinno się skończyć zauroczenie. Tymczasem ledwie zamknęły się drzwi w naszym wspólnym pokoju w domu nad morzem, Wyn przyciągnął mnie do siebie i zaczął całować, jakby nie było żadnej przerwy.

Tej pierwszej nocy kochaliśmy się niespiesznie. Całowaliśmy się godzinami, zanim wreszcie zaczęliśmy się nawzajem rozbierać. „Jesteś pewna?” – zapytał szeptem. Byłam pewna. „Po tym nadal będziemy przyjaciółmi”, odszepnęłam, a Wyn się uśmiechnął. „Już nigdy nie będziesz dla mnie wyłącznie przyjaciółką”.

Położył mnie delikatnie na swoim łóżku, ale rama zatrzęszczała zdradziecko, więc przenieśliśmy się na podłogę, z dłońmi spragnionymi dotyku, szepcząc sobie w usta, w ręce i w gardła, aby nie zdradzić się wykrzykiwaniem swoich imion w ciemnościach.

Potem, kiedy przeprowadziliśmy się do Nowego Jorku wraz z resztą przyjaciół – gdzie ja miałam zacząć studia medyczne, Sabrina – prawnicze, a Cleo – pracę na miejskiej farmie w Brooklynie – spodziewałam się, że nasz związek pozostanie na tym czułym, delikatnym poziomie.

Zamiast tego nabiera temperatury. W obecności innych polujemy na chwile bliskości, niedostrzegalnie muskamy swoje ramiona, biodra czy skrawki nagiej skóry pod skrajem koszulek. A kiedy zostajemy sami, jak tylko zatrzaskują się frontowe drzwi, Wyn ciągnie mnie do swojej klitki – bo ja dzielę większy pokój z Cleo – i już nie musimy być cicho. Mówię mu, czego chcę, a on mi mówi, jakie to uczucie. Wszystko, co nas łączy, nie jest już tajemnicą.

Choć tajemnicą pozostaje, co właściwie sprawia mu przyjemność.

Pewnego wieczoru, kiedy wszyscy wybywają z domu, leżymy w jego łóżku i Wyn bawi się moimi kędziorami.

– Jeżeli nie jesteśmy przyjaciółmi, to co nas łączy? – pytam.

Znów mnie całuje, powoli i leniwie, jakbyśmy mieli dla siebie nieskończony czas. Wciąga mnie na siebie, czuję jego miękkie dłonie w talii, nasze oczy są w siebie wpatrzone. Nasze oddechy wznoszą się i opadają w tym samym momencie; nasze dłonie splatają się na wezgielciu łóżka, kiedy szepcze mi do ucha:

– Harriet, nareszcie...

„Nareszcie”. Słowo pulsuje mi w żyłach. „Nareszcie. Ty. Nareszcie”.

Mam ochotę się rozplakać, choć nie wiem dlaczego – jeśli nie liczyć niesamowitej intensywności odczuć. Nigdy czegoś takiego nie doznałam.

– Zmieniłem zdanie – mówi mi. – Myślę, że jesteś moją najlepszą przyjaciółką.

Śmieję się z ustami przy jego policzku.

– Lepszą niż Parth?

– Och, pewnie – odpowiada ze śmiechem. – Po dzisiejszym przestał być konkurencją.

– Myślę, że powinieneś wiedzieć – mówię – że Cleo i Sabrina są moimi najlepszymi przyjaciółkami.



Ale ty jesteś najlepszym mężczyzną, jakiego spotkałam.

Uśmiechając się, całuje mnie w zgięcie ręki.

– Muszę z tym jakoś żyć.

Nie analizujemy tego, co się dzieje, i nie zastanawiamy się, jak to się skończy. Za to rozmawiamy o wszystkich innych rzeczach i cały dzień do siebie piszemy, nawet jeśli jesteśmy w jednym pokoju.

Wysłała mi zdjęcia nowych promocji, kiedy ma dyżury w magazynach internetowej sprzedaży Freeman's, żebym ewentualnie coś sobie wybrała. Albo próbki materiałów z pracowni tapicerskiej, w której pracuje po dyżurach w księgarni. Lubuje się zwłaszcza w najbardziej abstrakcyjnych wzorach, które nieodwołalnie kojarzą się z waginami i penisami.

Ja rewanżuję mu się ilustracjami z pism medycznych, które pochłaniam w bibliotece, albo ciekawych przypadków chorobowych, albo też wysyłam mu screeny z Googla przedstawiające kowbojów, aby potem go pytać: „Czy któryś z nich to twój krewny?”. A on niezmiennie odpowiada w stylu: „Tylko ten ze złotymi zębami. Mam je odziedziczyć po jego śmierci”.

Kiedy leci do Montany, w odwiedziny do rodziców, zawsze wraca z porcją tanich czytań dla mnie: *Skazana na śmierć w górach*, *Tragedia Purple Mountain*, *Morderstwo w Big Rock Candy* czy *Kły kowboja*. Ta ostatnia pozycja traktowała o periowych wampirach i nie pasowała do zestawu.

Kiedy w drodze z pracy do domu zahacza o Trader Joe, przynosi mi kartony lodów – jagodowych z Maine albo klonowych z Vermont.

Większa część mojego życia upływa teraz na czekaniu na cokolwiek od niego i nawet ta tortura jest rozkoszą.

Pewnej nocy, po miesiącach podchodów, kiedy wszyscy są w domu, Wyn oznajmia, że ma dla mnie wolny bilet do kina – bo kolega z pracy mu odstąpił – i oficjalnie wychodzimy razem. Na ulicy chwyta moją dłoń i mocno ściska, a jego puls bije w rytmie: „ty, ty, ty”.

Pytam, na jaki film idziemy.

– Na żaden – odpowiada. – Po prostu chciałem zaprosić cię na randkę.

Randka. To coś nowego, myślę. Dotąd się nie zastanawiałam, czy marzy mi się randka z Wynem Connorem, ale teraz, kiedy to powiedział, poczułam słodko-gorzki zachwyty. Jakbym straciła ten wieczór, zanim jeszcze się zaczął. Za każdym razem, kiedy Wyn daje mi więcej z siebie, żałuję, że nie mogę mieć całości.

Godzinami włączymy się po Little Italy, opychając się cannoli, gelato i pijąc cappuccino – czy raczej ja się opycham, bo on tylko próbuje ode mnie. Nie jest amatorem słodczy. Opowiada, że nie znał ich w dzieciństwie, bo „u Connorów jadano mięso, ziemniaki i majonez”.

– Zawsze tak lubiłaś słodkie? – pyta.

– Zawsze. A ty znów robisz to samo.

– Czyli co?

– Czyli odsłaniasz mi kawałek Wyna, po czym od razu przekierowujesz uwagę na mnie.

Marszczy czoło i z zakłopotaniem pociera kark.

– Dlaczego tak nie lubisz mówić o sobie? – drażę.

– Pamiętasz, jak mi powiedziałaś, że twój urok uwalnia się powoli?

– O, rany – jęczę. – Musiałeś mi przypominać? Staram się zapomnieć o tych wstydlivych zwierzeniach.

Przyciąga mnie mocniej do siebie i otacza ramieniem, kiedy idziemy zaszronionym chodnikiem. Po paru sekundach dodaje:

– Myślę, że moja nudna osobowość uwalnia się powoli.

– O czym ty mówisz?

Wzrusza ramionami.

– Sam nie wiem.

Wsuwam mu rękę pod kurtkę i obejmuję go w pasie.

– Powiedz mi, Wyn. Proszę.

Jeszcze się waha. Śmieje się, ale bez przekonania.

– Potrzebowałem dziesięciu lat, żeby się z tym pogodzić – mówi wreszcie. – Początkowo wydają się interesujący, ale wrażenie mija. Dlatego nie romansuję z przyjaciółkami. Bo kiedy naprawdę zawrę z kimś

znajomość, zaczęły być szczery, urok nowości pryska jeszcze szybciej. Tak było od czasu liceum, kiedy dziewczyny przyjeżdżały z miasta na lato, i nadal tak jest. Nie jestem zbyt interesujący...

– Stop! – rozkazuję. – To pieprzone bzdury i dobrze o tym wiesz.

– Nieprawda. Nawet z Alison tak było. Łudziłem się, że choć raz się coś zmieni. Tłumaczyłem sobie, że dotąd zadawałem się z niewłaściwymi dziewczynami, że muszę sobie poszukać kogoś podobnego do mnie, kto nie będzie miał wielkich aspiracji i nie znudzi się tak szybko. No i rzuciła mnie dla nauczyciela jogi. Tłumaczyła, że osiąga z nim porozumienie na głębszym poziomie niż ze mną. – No i... nie wiem. Rozumiesz?

Jest szczery do bólu. Ja też czuję ból, jakbym odkryła w nim wrażliwe miejsce; cierń tkwiący pośród twardych mięśni. Zrobiłabym wszystko, żeby go wyciągnąć.

Chwytam go za poły kurtki i patrzę mu w twarz.

– Po pierwsze – mówię – „prosty” nie oznacza „zły”. Po drugie „prosty” nie oznacza „głupi” i nie rozumiem, czemu ciągle sobie to wmawiasz. Wierz mi, Wyn, dawno nie słyszałam takich bzdur. A poza wszystkim innym, jesteś przeciwieństwem uwalniającej się nudnej osobowości. Lubię cię o wiele bardziej niż wtedy, kiedy się poznaliśmy. Między innymi dlatego, że wreszcie odpowiadasz na moje pytania, zamiast obracać wszystko we flirt.

Wyn unosi brwi.

– A ta druga część?

– Nie, chodzi o całość.

Śmieje się.

– O całość?

– Tak, Wyn. Lubię twoje ciało, twoją twarz, włosy i skórę; podoba mi się, że zawsze jesteś cieplejszy ode mnie i że nigdy nie siedzisz spokojnie, nawet jeśli bardzo pragniesz się skoncentrować na tym, co ktoś mówi. A także to, że niepytany bierzesz się do porządków. Jako jedyny z nas wynosisz śmieci, zanim wysypią się z kubła. I za każdym razem, kiedy coś robisz, czy to idziesz do sklepu, wstawiasz pranie, czy szykujesz sobie śniadanie, zawsze najpierw pytasz, czy ktoś czegoś nie potrzebuje. I lubię, kiedy esemesujesz do mnie z drugiego końca pokoju, bo to nadaje szczególny charakter naszej znajomości.

Śmieje się z ustami przy moim policzku. Żałuję, że nie mogę połknąć tego dźwięku, aby zapuścił korzenie w moim brzuchu i wyrósł we mnie jak delikatna roślina.

– Charakter „mam ochotę cię zerżnąć”, tak? – podchwytuje.

Tulę się do niego mocniej, kiedy czekamy na zmianę świateł.

– Jeszcze nie mam na to nazwy – mówię.

Światło się zmienia, ale zamiast ruszyć dalej, Wyn wciąga mnie za róg, w wąską uliczkę, przypiera do ceglanej ściany i całuje, aż tracę poczucie czasu i przestrzeni. Jakbyśmy byli jedynymi ludźmi na świecie.

Trans przerywają gwizdy i śmiechy grupki podchmielonych studentów, pokrzykujących do nas z drugiej strony drogi. Nie przerywamy pocałunku, ale nasze uśmiechy się zderzają i palce mocniej wczepiają się w ubrania.

Kiedy wreszcie się rozdzielamy, Wyn opiera skroń o moją skroń i łapie oddech w zimnym powietrzu.

– Chyba cię kocham, Harriet – wyznaje.

Miłość, myślę. A to nowość. Już nigdy nie będę bez niej szczęśliwa.

Bez zastanowienia, bez najmniejszej obawy, mówię mu prawdę:

– Wiem, że cię kocham Wyn.

Dotyka mojego podbródka lekko drżącą dłonią i przesuwając nosem wzdłuż mojego.

– Tak cię kocham, Harriet.

W domu prosimy naszych przyjaciół, żeby usiedli w kuchni przy stole, który Wyn zbudował dla nas ze śmietnikowych gratów. Na twarzach naszych ulubionych ludzi widać różne stopnie przerażenia tym, co zaraz od nas usłyszą. Wyn i ja jesteśmy równie przerażeni tą perspektywą.

– Jesteśmy parą – oświadcza Wyn, a kiedy nikt nie reaguje, dodaje dobitnie: – Parą. Harriet i ja.

Sabrina zrywa się i pędzi do lodówki, jakby chciała się do niej wyrzygać, ale kiedy ją zamyka, ma w ręku butelkę prosecco. W drodze powrotnej zgarnia z półki kieliszki nie od kompletu. Parth też się zrywa i ściska Wyna, a potem chwyta mnie, unosi parę razy i radośnie majta mną w powietrzu, zanim postawi mnie z powrotem na podłodze.

– Nareszcie nasz chłopak powiedział ci, co czuje!

Sabrina otwiera wino i zaczyna je rozlewać.

– Wiecie, że teraz, kiedy w końcu jesteście ze sobą, już nie możecie zerwać?

– Nie ciśnij tak na nich – upomina Cleo.

– I tak będą czuli presję, czy to powiem, czy nie – argumentuje Sabrina. – Jeśli zerwą – macha nam przed nosem butelką – to imploduje.

– Wielu ludzi po rozstaniu zostaje przyjaciółmi – mówi Cleo i szybko zwraca się do mnie: – Co nie znaczy, że wy mielibyście się rozstać!

– Zgadzam się z Sabriną – stwierdza Parth.

Sabrina unosi butelkę, przykładając dłoń do ucha jak trąbkę.

– Co ja słyszę? Parth się ze mną zgadza? Czy to globalne ocieplenie, czy po prostu piekło zamarzło?

– Zgadzam się z tobą – potwierdza Parth – bo wyjątkowo masz rację. To musiało się stać.

Sabrina przewraca oczami i powraca do napełniania kieliszków.

– Harry, mówię poważnie – zapewnia Parth, kładąc mi dłonie na barkach. – Nie ważcie się złamać mojego delikatnego, anielskiego serca.

– Och, daj spokój – prycha Sabrina. – Niech raczej Wyn nie złamie jej serca.

– I znów ta presja – denerwuje się Cleo.

– Nie ma szansy, żeby ją skrzywdził – zapewnia Parth Sabrinę, która podaje kieliszki mnie i Wynowi.

Już zdążyli wrócić na stare tory.

– Harriet od lat miała skrywaną obsesję na jego punkcie – argumentuje Sabrina.

– Skoro mowa o tłumionym napięciu seksualnym – mruczy Wyn, wznosząc ku nim kieliszek – czy wy dwoje moglibyście oszczędzić nam tej kłótni, czy mamy wyjść?

– Uu! – buczy Sabrina.

Parth robi minę.

– Doigrałaś się, Sab.

– Nie będę się rozwodzić nad tym, jaki jesteś wredny – prycha Sabrina. – Ale równie wredna jest taka ocena nas obojga. My się kłócimy? A poza tym ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuje nasza paczka, jest kolejna romantyczna afera. I tak już igramy z ogniem i bardzo bym nie chciała was stracić. Jesteście – znów macha do nas butelką – moją rodziną.

Moją też, ale ja się nie martwię, bo już wiem: będę kochała Wyna Connora, dopóki śmierć nas nie rozłączy.

W nocy po raz pierwszy oficjalnie śpię w pokoju Wyna. Długo nie zasypiamy; leżymy w skotłowanej pościeli, pot na nas obsycha, a Wyn bawi się moimi włosami.

– Zawsze jest dla mnie tajemnicą – mówi – o czym ty sobie myślisz.

– Pomogę ci – oferuję. – W osiemdziesięciu procentach wyobrażam sobie ciebie nagiego.

Całuje moje lepkie czoło.

– Pytam poważnie.

– A ja odpowiadam poważnie.

– Jesteś dla mnie zagadką, Harriet Kilpatrick.

Mój uśmiech blednie.

– Ja też jestem dla siebie zagadką, Wyn. Nie zdawałam sobie sprawy, jak mało rozumiem siebie, dopóki nie poznałam Cleo i Sabriny. One są doskonale świadome siebie i swoich odczuć.

Prostuje mój kolejny kędzior i łagodne szarpnięcie przeszywa mnie rozkosznym dreszczykiem.

– Tak, powinniśmy cię lepiej poznać – stwierdza.

– Tylko nie wiem, od czego zacząć.

– Od czegoś drobnego.

– Na przykład?

Uśmiecha się nieznacznie.

– Może od pytania, dlaczego lubisz pogodne kryminały?

Wzruszam ramionami.

– Nie wiem. Bo są takie... łagodne.

Pocałunek w czubek mojej głowy rozplywa się w śmiech.

– Łagodne?

– Tak, bo najgorsze wydarza się bohaterom na samym początku – wyjaśniam. – I czytając... czuję się bezpiecznie. Doskonale wiadomo, jaki będzie koniec. Tyle jest w naszym życiu nieprzewidywalnych zwrotów akcji. Lubię rzeczy, którym mogę zaufać.

Wyn marszczy czoło z opadającymi jasnymi kosmykami. W tym momencie zdaję sobie sprawę, że znalazłam trudną do zaakceptowania odpowiedź na jego pytanie – taką, która mu uświadomi, że wcale nie jestem luzacką, seksowną i tajemniczą kobietą, za jaką mnie uważa.

Przygryza zębami pełną wargę.

– Możesz mi zaufać, Harriet.

W tym momencie jeszcze głębiej wwierca mi się w serce. Otwiera drzwi, za którymi jest wytapetowany pokój, o którego istnieniu nie miałam pojęcia.

Przyciąga mnie do piersi i nasze serca synchronizują rytm. Jeszcze nigdy nie czułam się tak pewna wszystkiego, tak zgodna z sobą i taka bezpieczna.

## W realu

## Środa

Ktoś kuje na akord w mojej głowie.

Obracam się i wciskam twarz w miękki materac.

ŁUP-ŁUP-ŁUP.

Przez mroczną nicość przedziera się głos:

– Nie przeszkadzam?

Gwałtownie unoszę powieki i widzę sypialnię skapaną w porannej szarości. Woń wilgotnych skał i słonej wody napływa z otwartego okna. Deszcz bębni o dach.

– Wchodzę!

Sabrina. To ona woła przez drzwi.

Toczę wzrokiem po pokoju; mój umysł, zbełtany jak jajecznicą, usiłuje ogarnąć sytuację. Leżę pośrodku królewskiego łóżka, ubrana tylko w T-shirt z napisem „Dziewica, która prowadzi”.

– Trzy... – Sabrina rozpoczyna odliczanie.

Moje spojrzenie natrafia na kłęb pościeli na zmianę, wyciągniętej z szafy i skotłowanej na podłodze, z którego wystaje złocistobrązowa noga i ramię, wsunięte pod masę złotych włosów, rozjaśnionych słońcem.

– Dwa...

Ciskam poduszką w głowę Wyna, który błyskawicznie siada.

– Jeden.... Dobra – mówi Sabrina. – Wchodzę. Zakryjcie swoje... – Gorączkowo macham do Wyna – ...klejnoty, jeśli nie chcecie, żebym je zobaczyła.

Wyn nieco przytomnieje. Owija biodra pościelą, na której spał, i rzuca się na łóżko, ciągnąc za sobą sznur prześcieradeł.

– Dzień dobry – mówi Sabrina, otwierając drzwi.

– Co jest? – Zakrywam do połowy Wyna i siebie kocem.

Sabrinie drgają usta, kiedy widzi kapę, spływającą z łóżka i skłębioną na podłodze, jakby nikt nie zadbał, żeby ją zdjąć, naglony żądzą.

– Za dwadzieścia minut śniadanie – informuje. – Nie czytaliście rozkładu zajęć?

– A co, są jakieś nowe wytyczne? – pyta Wyn. – Bo twój surowy regulamin znamy od dawna.

W ramie drzwi pojawia się głowa Partha z włosami jeszcze mokrymi po prysznicu.

– Chodźcie. Musimy się trzymać rozkładu jazdy.

Wyn zagarnia włosy z czoła.

– Braliście dopalacze czy co?

– Adderall, kupiony na lewo? – sugeruję.

– Kokę – ocenia Wyn.

– A może Piksy Stiksy i Robitussin?

– Dobra, dobra, dobra. – Sabrina podkreśla swoje słowa klaśnięciami, które pulsują mi w oczodołach.

– Możliwe, żeby mieć kaca po jednym kieliszku wina? – mamroczę.

– Po trzydziestce wszystko jest możliwe – stwierdza Parth, po czym oboje, gnani swoim napędem, zawracają na pięcie i znikają za drzwiami.

Wyn z ulgą wypuszcza powietrze. Fałdy koców i krawędź poduszki odgniotły mu się na brzuchu i twarzy. Kiedy wstaje i człapie do łazienki, trąc rękami oczy, wpatruję się w nie, jakbym chciała sprawdzić, jak szybko znikną. Wyn ogląda się na mnie przez ramię i pyta niskim, zaspanym głosem:

– Chcesz pod prysznic?

Resztki snu ulatują ze mnie z szybkością Strusia Pędziwiatra.

– Prysznic?

Patrzy na mnie zdziwiony, zapewne nagłym odpływem krwi z mojej twarzy.

– Potrzebujesz prysznic czy mogę wejść pierwszy?

Aha. Czytaj: „Czy chcesz iść pod prysznic sama?”, a nie: „Czy chcesz, żebyśmy wzięli wspólny prysznic?”.

– Nie muszę! – piszczę. – Daj mi się ubrać i znikam!

Ze śmiechem wchodzi do kabiny i puszcza wodę.

– Nie ma nic, czego byś wcześniej nie widziała, Harriet.

Zrywam się z łóżka i dopadam walizkę w poszukiwaniu dżinsów.

– No, może poza moim nowym tatuażem – dodaje.

Odwracam się w stronę łazienki, bo początkowo biorę to na serio. Widząc, że zaczyna ściągać gatki, jeszcze gwałtowniej grzebię w walizce.

– Mógłbyś poczekać jeszcze pół minuty z tym striptizem – mówię z pretensją.

Znów ten seksownie schrypnięty, zaspany głos:

– Jak cię to krępuje, zamknij oczy.

Wyjmuję dżinsy i w pośpiechu wciągam je na tyłek. Nadal nie włączył wentylatora i z łazienki zaczyna buchać para. Mogę sobie wyobrazić, jak od wilgoci skręciły mu się włosy.

– A może ja zamknę oczy? – proponuje.

– Niby jak to by miało pomóc? – Chwytam czystą koszulkę.

– Nie wiem. Może dzięki temu będziesz...

Urywa, kiedy ściągam koszulkę do spania i ciskam ją na łóżko. Czystą przyciskam do piersi i spoglądam na niego przez ramię.

– Co będę?

– Będziesz miała wrażenie, że mnie tu nie ma.

– Niepotrzebnie. – Wkładam T-shirt. – Już mnie nie ma.

Odprowadza mnie wzrokiem aż do drzwi.

W korytarzu słyszę gromkie „Haaaarrrry” i zawracam, aby zajrzeć w otwarte drzwi pokoju dziecięcego.

Cleo i Kimmy leżą na dwóch zsuniętych razem bliźniaczych łóżkach, zajmujących środek pokoju – tak samo jak kiedyś ja z Wynem. Cleo jest ogarnięta i wygląda na wyspaną, z warkoczami schowanymi pod czepkiem i promienną cerą, podczas gdy Kimmy leży obok jak rozgwiadza, z piegowatymi rękami i nogami rozrzuconymi bezwładnie, z rozmazanym makijażem z poprzedniego dnia i włosami zbitymi w gniazdo na czubku głowy. Dobrze, że nie zapomniała przynajmniej wyjąć kontaktów, o czym świadczą okulary w ciemnych oprawkach na jej nosie.

– Raaatuj nas! – jęczy.

– Raczej ciebie, bo ja czuję się świetnie – zauważa Cleo.

– Raaatuj mnie! – koryguje się Kimmy.

Cleo klepie dłonią skrawek wolnego miejsca pomiędzy nimi i wskakuję tam, jak dziecko do łóżka rodziców w bożonarodzeniowy poranek.

To znaczy nie do moich rodziców. W naszym domu ich sypialnia była strzeżona niczym skarbiec FBI – nie wolno tam było wchodzić, nawet patrzeć w tamtą stronę ani o niej mówić. Zapewne dlatego był to jedyny pokój w domu z pozwoleniem na bałagan (o ile upraną pościel w trakcie składania można nazwać bałaganem). Byłam prawie pewna, że gdyby mojej mamie dano tylko dwa wyjścia, wołałaby raczej poprosić o program ochrony świadków, niż pozwolić komukolwiek zobaczyć nasze pranie.

Rodzina Wyna różniła się od mojej jak dzień od nocy. Kiedy on, Lou i Michael byli mali, Connorowie wprowadzili zasadę, że nie zaczną bożonarodzeniowego poranka przed wschodem słońca. W rezultacie Wyn i jego siostry siedzieli pod choinką, czekając na pierwszy promień słońca – i w tej samej sekundzie wpadali do pokoju Glorii i Hanka, aby z radosnym wrzaskiem zwalić się na ich łóżko.

Myśl o Glorii i Hanku zawsze budzi we mnie tęsknotę za domem albo coś w tym sensie. Często czułam jej ukłucie jako dziecko, zupełnie bezsensownie, bo głównie doznawałam tego uczucia w rodzinnym domu.

– Wynajmę płatnego zabójcę, żeby wyeliminował Sabrinę za tę ostatnią kolejkę Fireballów, którą wczoraj postawiła – mówi Kimmy, zasłaniając twarz przedramieniem. – Jak chcesz, możesz mnie

zasponsorować przez PayPala, Harry.

– A już myślałam, że kac się ciebie nie ima – stwierdzam.

– Wszystko przez te dwukolorowe drinki – wyjaśnia Cleo. – Myślała, że w ten sposób mniej się upije, a potem urwał jej się film.

– Nie urwał mi się film, tylko się umorusałam – poprawia ją Kimmy i pokazuje ramię ze szlakiem z rozmazanych śladów uszminkowanych ust.

– Ach... – Cleo tłumi uśmiech. – Moja wina.

– Potrzebuję jeszcze dziewięciu godzin snu – mamrocze Kimmy.

– Przecież wy, eko-farmerki, wstajecie dużo wcześniej niż... – Przechylam się przez Cleo, żeby spojrzeć na budzik na nocnym stoliku. Jest wyłączony z kontaktu i leży daleko od łóżka, na podłodze, jakby ktoś wyrwał przewód i cisnął go tam. – Niż o tej godzinie, która jest teraz.

– A wiesz, o której się kładziemy przed takim wczesnym wstawaniem? – pyta Cleo. – O dziewiątej wieczorem. Co ja mówię, o tej godzinie jesteście już w fazie głębokiego snu REM!

– Nie zauważyłam miejsca na fazę REM w naszym tygodniowym rozkładzie zajęć – stwierdzam.

– O Boże. – Kimmy siada na łóżku tak błyskawicznie, jakby zaraz miała rzygnąć na podłogę obok. Zamiast tego patrzy na nas z totalnym przerażeniem. – Czy ja... wczoraj odstawiłam na stole taniec robaka?

Cleo i ja parskamy śmiechem.

– Nie – odpowiadam. – Nie odstawiłaś.

– Ale najwyraźniej jesteś pewna, że tak – dodaje Cleo.

Kimmy sapie z udawanym oburzeniem. Cleo siada i przechyla się nade mną, żeby ją pocałować.

– Dzióbku, za bardzo cię kocham, żeby cię okłamać – mówi. – Zaręczam ci, że twoje ruchy miały niewiele wspólnego z robakiem. W ogóle miały niewiele wspólnego z czymkolwiek.

– Hej! – drze się Sabrina. – Ruszyć tyłki i na dół! No już!

– Gdzie ten zabójca? – jęczy Kimmy.

Cleo zrywa się na równe nogi i przez chwilę balansuje na materacu w baletowej pozycji.

– Dzióbku, za kogo ty mnie uważasz? – pyta z pretensją, niezgrabnie zeskakując na podłogę.

– Dobra, skoro tak, pocieszyłaś mnie – mówi Kimmy.

Gdzieś z dołu – może z samych bebechów tego świata – bucha dźwięk trąbki pneumatycznej.

Normalnie, kiedy jemy w Bernadette, staramy się usiąść na patio ze wspaniałym widokiem na port i całe zastępy chamskich, kradnących frytki morskich ptaszydeł – nawet jeśli jest chłodno i musimy się zawijać w koce.

Ale kiedy docieramy do śródmieścia, do lokalu pod czerwonym dachem z dachówkami jak rybia łuska, rozkręca się burza. W drodze od taksówki do wejścia przemakamy do suchej nitki. Wybieramy stolik w głębi, przy oknie wychodzącym na patio, szarzejącym za ścianą deszczu, ze złożonymi parasolami chwiejącymi się na wietrze i kłusującymi ocean błyskawicami w tle.

W Bernie's kłębi się tłum letników takich jak my, którzy ściągnęli tu na dzisiejsze wielkie wieczorne otwarcie Festiwalu Homara. Lokalsi piją swoją poranną kawę, oddając się lekturze „Knott's Harbor Register” i tolerując „ludzi z daleka”, jak nas nazywają.

Przy barze dostrzegam swojego towarzysza lotu i macham do niego. Odchrząkuje, po czym wlepia wzrok w swoją prasę.

– Przyjaciół? – mruczy mi do ucha Wyn, kiedy wszyscy zrzucamy z siebie przemoknięte okrycia. Jego wyziębiony oddech wywołuje dreszcze na mojej mokrej skórze.

Siadam i patrzę na niego.

– Zależy, kogo z nas dwojga o to zapytasz.

– Pytam ciebie. Co cię w nim pociąga?

– Wszystko, ale to nieważne, bo on jest poślubiony morzu.

– Ach tak. To się zdarza.

Nasz wzrokowy kontakt trwa ułamek sekundy za długo. Wibruje komórka i Wyn czyta wiadomość ze zmarszczonym czołem.

– Zaraz wrócę – mówi, a potem szybko odchodzi.

Po chwili widzę, jak staje przy reklamie menu, z telefonem przy uchu, wesoło się śmiejąc. Ta promienna mina wywołuje dziwne uczucie w moim sercu, jakby w jednym momencie rozkwitło i zwiędło.

Zawsze mnie zdumiewało, jak szybko potrafi się zmieniać wyraz jego twarzy. W sekundę jest w stanie przejść od zamyślonego, miękkiego spojrzenia do eksplozji niemal chłopięcej radości. Przy każdej takiej zmianie myślałam, że nowa mina jest moją ulubioną. Aż znowu się zmieniała i wreszcie musiałam zaakceptować fakt, że jakiegokolwiek wcielenie Wyna widzę przed sobą, właśnie to kocham najbardziej.

Zjawia się kelnerka po zamówienie, ciągnąc za sobą falę pomieszanych woni syropu klonowego, kawy i sosen – firmowy zapach Bernie's. Nie miałabym nic przeciwko, aby na stałe przesiąknąć aromatem swojej ulubionej restauracji.

Mogłabym też nosić biodrową torebkę wypchaną jagodowymi naleśnikami, choć w szpitalu raczej kiepsko by to wyglądało. Pacjenci mogliby się wkurzyć, gdyby ich chirurżka podjadała podczas pracy naleśniki.

Sabrina tradycyjnie zaczyna od zamówienia kawy dla wszystkich – z wyjątkiem Cleo, która pije bezkofeinową. Do tego bierzemy zawsze porcję lodu, aby złagodzić impet mocnej jak siekiera i gorącej jak piekło kultowej kawy, z której słynie Bernie's.

– Może od razu zamówimy jedzenie – proponuje Parth.

Kiedy kelnerka staje przy mnie, proszę o swoje ukochane naleśniki oraz ulubiony omlet Wyna – z białek i ze srirachą.

– Gloria? – pytam, gdy Wyn wraca do stolika i zdejmuje drelichową kurtkę.

Sprawia wrażenie lekko zaskoczonego, jakby zapomniał, że tu jestem.

– A, nie... – Nie patrzy na mnie. – To z pracy.

Wyn nie jest kłamcą, ale wyraźnie widać, że unika tematu.

Cleo odsuwa talerz z wegańskim hashem i ze stęknieniem masuje sobie żołądek.

– Reaguję na Bernie's jak pies Pawłowa. Wystarczą trzy kęsy tego dania i opadają mnie duchy wszystkich dawnych kaców.

– Ja też tak mam – mówi Parth.

– Dobra, ale ty, Kimmy i ja trochę wczoraj popiliśmy – przypomina mu Sabrina. – Nie wypada więc winić Bernie's.

Krztuszę się śmiechem, przez co zdaję się brzmieć nieco głośniej. Parth obraca się ku mnie i wali mnie w plecy.

– Odbiło ci, Parth? – warczę.

– Przecież się krztusisz!

– Nieprawda.

– No dobra, ty tu jesteś lekarzem.

– Nie wydaje mi się, żeby Doktor Google radził, aby w razie zakrztuszenia walić kogoś w potylicę – dorzuca Wyn.

– Nie waliłem jej w potylicę! – protestuje Parth. – To było raczej... w połowie pleców.

– A, czyli mniej znana wariacja rękoczynu Heimlicha – stwierdzam domyślnie. – Prawy hak w plecy.

– Wybacz, Harry! – wykrzykuje Parth. – Działalem instynktownie.

– Masz instynkt dyżurnego lekarza z wiktoriańskiego szpitala dla histeryczek – mówi Cleo.

– Następnym razem przystaw pijawki – radzę.

Parth marszczy czoło.

– Zapomniałem je wziąć z domu. Wszystko dobrze, Har?

– Jak najbardziej – zapewniam.

– Uwierz mi, ona po cichu knuje zemstę – ostrzega go Wyn.

– Nasza słodka Harrusia? – pyta z niedowierzaniem Parth. – Niemożliwe!

– Ty tak mówisz. – Wyn pociąga łyk z parującego kubka. – A ja ci mówię, że ona potrafi rzucić kogoś na kolana, jeśli tylko zechce.

Szybko zwracam się do Sabriny:

– Co jest jeszcze do zrobienia, jeśli chodzi o ślub?

Zbývá temat machnięciem ręki.

– Nic. Jak już mówiłam, będzie tylko nasza szóstka oraz unitariański uniwersalistyczny kapłan, którego znalazłam w sieci. Nawet nie planowałam kwiatów, dopóki nie wtrąciły się Cleo i Kimmy.

– Po prostu lubimy pomagać – informuje Cleo.



– Będziecie miały okazję w przyszłym roku, kiedy odbędzie się wielkie wesele dla rodziny – mówi Sabrina, dolewając sobie do kawy syropu klonowego. – Ale w tym tygodniu chciałabym po prostu być w swoim ulubionym miejscu ze swoimi ulubionymi ludźmi. Chcę przeżywać każdą sekundę i niczego nie pominąć.

Nagle niebo rozświetla błyskawica i słychać huk grzmotu. Sabrina pokazuje na okno.

– A to co ma być? Dzisiaj mieliśmy żeglować.

Sprawdzam pogodę w telefonie.

– Jutro będzie słonecznie i upalnie. Może przełożymy te żagle?

– Fakt, że dom idzie na sprzedaż, nie musi oznaczać, że nasza szóstka nie doczeka końca tygodnia – dodaje Cleo.

Próbuję dodać Sabrinie otuchy uśmiechem, ale rozkręca się we mnie spirala winy. Tak bardzo chciałam w tym tygodniu być idealna; chciałam zawiązką wynagrodzić innym fakt, że to już nasz ostatni pobyt. Nie tylko w tym domu, lecz także w naszym sześciuosobowym gronie. Przepadło. Już nie mogę być przyjaciółką Wyna Connora.

Sabrina cichnie i poważnieje. Wiem, że ona też myśli już o przyszłym tygodniu.

Odchrząkuję.

– Mam pomysł – mówię.

– Identyczne tatuaże – domyśla się Parth.

– Blisko – odpowiadam. – Chodzi o coś, co robiłam jako dziecko, bo nienawidziłam swoich urodzin.

Sabrina, zwolenniczka hucznego świętowania urodzin, tłumi okrzyk dezaprobaty.

– Moje oczekiwania były trudne do spełnienia – tłumaczę. – A poza tym zawsze coś było nie tak.

Jak wtedy, kiedy pękła rura i rodzice musieli zapłacić za reperację kartą kredytową.

Albo Eloise nie przeszła do następnej klasy i potrzebowała korków. Albo zadzwoniono do ojca z jego drugiej pracy, żeby wziął dyżur akurat tego wieczoru, kiedy mieliśmy świętować moje urodziny w lokalu. Obojętnie, jak usilnie wmawiałam sobie, że nie potrzebuję żadnych wielkich celebracji, zawsze czułam się rozczarowana, kiedy coś stawało na przeszkodzie, a potem włączało się poczucie winy, bo wiedziałam, jak muszą harować moi rodzice, aby nas utrzymać.

– Kilka dni przed swoimi dziesiątymi urodzinami wpadłam na pewien pomysł – mówię. – Jeśli wybiorę na prezent urodzinowy jedną rzecz, którą bym chciała i którą miałabym szansę dostać, będzie super, nawet gdyby znów coś się stało. Dlatego powiedziałam rodzicom, że marzę o serniku z ciasteczkami Oreo. Marzenie się spełniło i miałam świetne urodziny.

Odzew jest natychmiastowy.

– To wprost niesamowicie smutne – ocenia Sabrina.

– Jest miłe! – protestuję. – I praktyczne. Miałam fajne urodziny.

– Kotku, to jest tragiczne – upiera się Sabrina, a Parth jej basuje:

– Mam emocjonalną załamkę od samego słuchania.

– Nie zrozumieliście, o co mi chodzi.

Sabrina odstawia kawę.

– Chodzi o to, że kiedy zostajesz rodzicem, wpięprzasz się w dzieci na całe życie i nie masz innego wyjścia, więc może trzeba przestać się rozmnażać, zamiast płodzić kolejne nieszczęśliwe byty?

Cleo przewraca oczami.

– Co ma piernik do wiatraka?

– Nie jesteśmy w stanie wpływać na wszystkie, nawet najmniejsze zdarzenia tego tygodnia – mówię. – Dotąd było fantastycznie i tak powinno być dalej. Dlatego, jeśli każdy z nas wybierze jedną rzecz, którą musimy zrobić lub mieć, lub zobaczyć, lub zjeść w tym tygodniu, to musi się zdarzyć, żeby nie wiem, co się działo. Chodzi o jedną rzecz, jakiej każdy by pragnął. I tydzień okaże się wielkim sukcesem.

Zapada cisza, gdy wszyscy rozważają moje słowa.

– Pomysł jest dobry – mówi wreszcie Wyna i nasze spojrzenia spotykają się ponad stołem. Dawno niestrzyżone włosy, jeszcze wilgotne od deszczu, założył za uszy. Jego kolejne wcielenie znów lekko się różni, ale moje serce patrzy na niego i szepcze mi w żyły: „ty”.

Serca bywają takie głupie.

– Mnie też się podoba – stwierdza Cleo.

Parth wzrusza ramionami.

– Poddaję się.

– Czy mamy mówić, o co nam chodzi, czy zachować to w tajemnicy? – pyta Kimmy.

– Dlaczego mielibyśmy to trzymać w tajemnicy? – odpowiadam pytaniem na pytanie.

– Żeby się spełniło.

– To nie jest życzenie urodzinowe – mówi Sabrina.

Spojrzenie Wyna mknie ku Kimmy.

– Zgadzam się – mówi. – Wtedy jest mniejsza presja.

Parth kiwa głową.

– Czyli jedni drugim nie powiedzą, czego chcieli, dopóki tego nie dostaną – podsumowuje Parth.

– Wy wszyscy uwielbiacie zasady – komentuje Kimmy.

– Zaczynaj od siebie, Kimberly Carmichael – upomina ją Sabrina.

– Wiele rzeczy zaczyna się ode mnie. Co nie znaczy, że to dobre pomysły.

Cleo opiera ręce na stole i zaczyna podrygiwać w sposób do złudzenia przypominający taneczne ruchy Kimmy.

Sabrina mruży oczy.

– Dlaczego mam wrażenie, że wrócił koszmar wczorajszej nocy?

## W realu

## Środa

Podczas gdy całe miasto tłoczy się w kafejkach i restauracjach, popijając herbatę albo jedząc zupę małżową, nasza dzielna szóstka, nie zważając na deszcz, krąży po sklepach ze słodyczami i po sklepach wnetrzarskich pełnych irytujących ściereczek sławiących uroki wina. Na ulicy bezskutecznie usiłujemy zastąpić parasole rękami, zakrywając głowy.

– Może powinniśmy wrócić do domu i się polenić – sugeruje Cleo po pojawieniu się kolejnej, wyjątkowo oślepiającej błyskawicy i ogłuszającym grzmocie pioruna.

– Co takiego? Wykluczone! – krzyczy Sabrina.

Kimmy łypie na niespokojne niebo.

– Ten deszcz nie zamierza odpuścić.

– No to chodźmy do Roxy na podwójny seans – proponuje Sabrina.

– A wiesz chociaż, co grają? – pyta Cleo.

Roxy ma tylko dwie sale. Wieczorami lecą tam premiery, lecz latem przedpołudnia są zarezerwowane na promocje dwóch filmów w cenie jednego. Dziewięćdziesiąt procent z nich to adaptacje Stephena Kinga, co pasuje Sabine, ale dla Cleo jest dalekie od ideału.

– Czy to ważne, co grają? – prycha Sab. – Zawsze chodziliśmy do kina, kiedy łało. To już tradycja.

I już grzecznie pędzimy za nią ulicą – prosto do znudzonego nastolatka w kasie na zewnątrz budynku.

Cleo sceptycznie studiuje repertuar.

– *Miasteczko Salem* i *Powrót do miasteczka Salem*. Czy to nie były miniseriale?

– Nie całkiem – odpowiada Sabrina. – *Miasteczko Salem* jest dwuczęściowym miniserialem, a *Powrót* to film. Razem tworzą świetną kombinację. Będziecie zachwyceni.

– Nie wiem, czy mam ochotę na cztery godziny z wampirami – marudzi Cleo.

Kimmy szturcha ją w bok.

– A jak będą ładne?

– Och, Cleo, ale z ciebie maruda.

– Nie nazywaj mnie tak – warczy Cleo.

Sabrina błagalnie składa dłonie.

– Chciałam tylko powiedzieć, że to już ostatni raz.

Zerkam to na jedną, to na drugą. Zaraz będzie kryzys.

– Może po prostu pójdziesz na pierwszy film? – proponuję.

– Miniserial – poprawia mnie Cleo.

– A potem siądziesz sobie w Gorącym Kubku i tam na nas zaczekasz? – dodaję z nadzieją.

Kimmy trąca Cleo w łokieć.

– Jeśli chcesz, mała, wrócę z tobą do domu.

Delikatny podbródek Cleo podjeżdża w górę.

– Nie, jest w porządku. Nie chcę się wyłamywać. Obejrzę pierwszy film.

Sabrina z piskiem radości zawraca do okienka.

– Poproszę bilety!

Tymczasem młody kasjer zdążył założyć cylinder i Sabrina poważnie w obliczu ponurego, piegowatego młodzika w wiktoriańskim nakryciu głowy.

– Poproszę sześć na podwójny seans – precyzuje.

– Tak, szanowna pani.

Kiedy wchodzimy do kina, Wyn zwalnia i zrównuje się ze mną.

– Nie musiałaś tego robić.

– Czego? – pytam.

– Łagodź ich nieporozumienia tym chytrym kompromisem. Rozegrają to po swojemu, jeśli im na to pozwolisz.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Brwi Wyna z rozbawieniem podjeżdżają do góry.

– Nie masz?

– Najmniejszego – potwierdzam.

– Mają wspaniały pobyt – mówi. – Spróbuj się nimi nie martwić.

Czuję ucisk w żołądku. Tyle się pomiędzy nami zmieniło, a on ciągle mnie zna, i to aż za dobrze.

– Ja się nie martwię.

Zajmujemy cały pierwszy rząd małej salki, a ponieważ jesteśmy sami, rozkładamy nasze przemoknięte okrycia na fotelach za nami, żeby wyschły. Przepycham się przed Sabriną i Cleo na koniec rzędu, gdzie jest już tylko Wyn, znów z nosem w telefonie, który ustawia pod takim kątem, żebym nie widziała ekranu. Wreszcie światła przygasają.

Przy pierwszej, jeszcze nie tak strasznej scenie, mam ochotę wtulić się w niego i zamknąć oczy. Nie pomaga, że klima jest rozkręcona na całego i za każdym razem, kiedy łokieć niechcący zsuwa mi się z oparcia, muskam jego ramię, które wydaje się płońać w tej chłodni.

Sabrina wychyla się w fotelu i triumfalnym gestem unosi kciuki z końca rzędu. Wyn, jakby wiedziony instynktem, chwyta moją dłoń i dociska ją do mojego uda. Serce skacze mi do gardła.

Nasze tętna pulsują od jednej dłoni do drugiej i z powrotem, jak w ludzkiej wersji wahadła Newtona. Tylko na tym jestem w stanie się skupić – na samotnym punkcie styku naszych ciał. Rejestruję każde drgnienie palców Wyna.

Zastanawiam się, czy myśli o ostatniej nocy, kiedy leżałam na nim, obejmując go za szyję i wijąc się jak kotka w rui. Napięcie pomiędzy nami narasta. Bo ja mogę już myśleć tylko o tym. Kinowy półmrok daje złudne poczucie prywatności, któremu usiłujemy się nie poddać. Do tego stopnia nie śledzę akcji, że kiedy na ekranie ktoś się nabija na zdobiące ścianę poroża, nagle się wzdrygam.

– Och, nie przesadzaj, Harriet – szepcze Wyn, kiedy wtulam się w niego, tłumiąc okrzyk. – Jestem pewien, że to nie pierwsze twoje nadzianie się na rogi. Widziałem okładki twoich kryminałów.

– To co innego – syczę, odchylając głowę, żeby spojrzeć na niego w półmroku. – Tamte są milutkie.

– Co oznacza, że ten, kto znajduje ciało, ma nudną pracę i nosi pulower pod marynarką.

– Wiesz co – mówię – tak mnie ściskasz za rękę, jakbyś sam też się denerwował.

– Bo się denerwuję – odpowiada. – Ale to nie ma nic wspólnego z filmem. – Sprawia wrażenie zbyt przygnębionego jak na kinowy flirt. Wręcz zrezygnowanego. Jakby to, co się dzieje pomiędzy nami, ten dogasający żar wzajemnych pragnień, było niepożądaną prawdą, z którą już się pogodził. Nasze spojrzenia nie rozstają się ani na chwilę i napięcie pomiędzy nami tężeje, coraz bardziej zmysłowe.

Myślę o naszym czterominutowym zerwaniu. Krótkie, sterylne, niemal chirurgiczne cięcie. Myślę o tym, jak potem rzuciłam się do porządków i wypucowałam mieszkanie od podłogi aż po sufit, czyszcząc fugi szczoteczką do zębów, aż pot zalewał mi oczy. Nigdy nie czułam się tak dobrze jak w tym momencie i nigdy nie udało mi się tak wysoko trzymać głowy nad falami szoku i rozpacz.

Myślę o wszystkich momentach, kiedy mnie zawiódł, i o jego najbardziej denerwujących zwyczajach. (Nigdy nie widziałam bardziej chaotycznie załadowanej zmywarki). Ale mój umysł nie ma ochoty podążać tymi szlakami.

Potrzebuję przestrzeni. Powietrza. Potrzebuję seansów hipnoterapii, aby wymazać go ze swoich zakończeń nerwowych.

– Muszę do toalety – mówię i w pośpiechu wychodzę.

## Moje szczęśliwe miejsce Godzina za Bozeman, Montana

Zaśnieżony podjazd i wyiębiony wynajęty samochód, walczący o przyczepność na pokrytym lodem asfalcie.

Ciepła dłoń Wyna ciasno zaciśnięta na mojej. Unosi do ust moje palce i ogrzewa je swoim oddechem.  
– Na pewno cię pokochają.

Nawet przed egzaminem na medycynę nie miałam takiego pietra. Ani razu w ciągu dwóch lat studiów nie przeżywałam równie nerwowych momentów. W szkole wiedziałam, co robić, żeby osiągać sukcesy, i jak zdobywać uznanie – wystarczyła pilna praca. Ale tu chodziło o coś innego.

A jak mnie nie polubią? Albo jeśli ja nie polubię ich?

Może się okazać, że za dużo mówię, albo przeciwnie. Może im przeszkadzać moje nocne kursowanie na siusiu. Może się zdarzyć, że odłożę talerze nie tam, gdzie trzeba, albo wejdę im w drogę na tysiące sposobów, w okolicznościach nie do przewidzenia.

Okna jarzą się złocistym blaskiem, a śnieg w mroku wydaje się fioletowy. Widok jest piękny i żałuję, że nie jestem malarką albo fotografką – kimś, kto żyje z uwieczniania ulotnych momentów. Gdyby była tu Cleo, nic by nie przepadło.

Zanim Wyn zdąży zaparkować, otwierają się frontowe drzwi i wypadają z nich jego rodzice we flanelowych piżamach i niezawiazanych szlafrokach, z nogawkami wsuniętymi w śniegowce. Gloria wydaje nieartykułowany okrzyk zachwyty, a Hank zamyka mnie w niedźwiedzim uścisku, choć nie zostałam jeszcze nawet przedstawiona.

Mama Wyna jest wyższa, niż się spodziewałam, niemal tak wysoka jak Hank. Ma jasne włosy w odcieniu lodu i permanentnie zarumienione policzki. Hank ma krzaczaste, piaskowo-brązowe brwi, gęsto przetykane siwizną, spod których wyziera bardziej pobrużdżona, starsza wersja twarzy Wyna, w okularach o okrągłych, metalowych oprawkach.

Jego siostry – drobna platynowa Lou i jeszcze drobniejsza ciemnowłosa Michael – czekają w domu, popijając brandy przy kominku. Hank, który się upiera, żeby wnieść nasze bagaże, kieruje nas do środka.

Nawet przy swojej rodzinie Wyn nie zdejmuje ze mnie dłoni. Obejmuje mnie w pasie, muska moją pupę albo kładzie dłoń na karku i pociera kciukiem, odpowiadając na dziesiątki pytań, rzucanych z szybkością karabinowych salw.

Jazda nie była taka zła.

Loty z Nowego Jorku były długie, a samoloty zatłoczone.

Nie jesteśmy głodni. (Gloria pyta o to, podsuwając nam ciasto dyniowe).

Jesteśmy parą (oficjalnie) od dziesięciu miesięcy.

– Zakochałem się w niej od pierwszego spotkania – informuje Wyn.

– Wcale ci się nie dziwię – mówi Gloria, ściskając mnie za kolano. – Jest słodziutka jak ciasto!

– Moglibyście pomyśleć, że chodziło mi o te loki – ciągnie Wyn. – Nie, Harriet jest też wyjątkowo żywiołowa i charakterna.

Czerwienię się jak burak, ale wszyscy się śmieją, jedni gadają przez drugich, a Wyn znów całuje mnie w głowę, przytula mnie na kanapie i wreszcie zaczynam się czuć w tym miejscu dobrze. Wreszcie jestem tutaj, gdzie zawsze chciałam być – po drugiej stronie jasnych kuchennych okien, na które patrzyłam w dzieciństwie, chodząc ulicami pośród domów, gdzie pokoje wypełniały miłość, gwar i drobne kłótnie.

– On potrzebuje silnej ręki – mówi do mnie Michael.

– Ale nie jest koniem roboczym – dodaje Lou, przewracając oczami.

– Oczywiście, że nie – przytakuje Michael. – Raczej mułem.

Wyn wciąga mnie na kolana i oplata ramionami moją talię.

- Skąd wiecie, czy Harriet nie jest jeszcze bardziej uparta niż ja?
- Wyn ma rację – potwierdzam. – Z nas dwojga to ja jestem mulicą.
- Skoro ty jesteś mulicą – podsumowuje Michael – to Wyn jest osłem.
- Skoro tak, cieszę się, że znów jestem w waszym stadzie – odgryza się Wyn.

Hank staje w drzwiach ciasnego saloniku z wesoło trzaskającym ogniem.

– Ty, Har, będziesz spać w pokoju Wyna – mówi.

Har, myślę. Jestem tu od dziesięciu minut i już Har. W mojej piersi wzbiera uczucie, pęczniejące niczym nadmuchiwany balon – przyjemny ból, jak rozciąganie zeszywniałych mięśni.

Wyn ostrzegął, że jego rodzice nie pozwolą nam na jeden pokój, choć wiedzą, że mieszkaliśmy razem w mieście. Z jednej strony są wolnomyślicielskimi ekscentrykami, a z drugiej potrafią być zaskakująco tradycyjnymi.

Kiedy Hank z Glorią sprzątają kuchnię i myją naczynia, Wyn prowadzi mnie do swojego pokoju. Przez następne parę godzin służy mi za przewodnika po swoim dawnym królestwie. Pozwala mi brać wszystko do ręki i zadawać pytania, a sam opowiada o eksponatach tego muzeum, poświęconego mojej ulubionej dziedzinie.

Sięgam po rzeczy, a Wyn o nich mówi. Chciwie chłonę każdy bit informacji o nim.

Plastikowe trofea Najbardziej Wartościowego Gracza z jego futbolowych czasów; wyblakłe zdjęcia z polaroida przedstawiające nastolatka otoczonego wianuszkami dziewczyn z brwiami w kształcie plemników i utlenionymi włosami, wybielonymi jak kości na pustyni. Dalej Wyn z kumplami na meczach, z bojowymi malunkami na twarzach, Wyn maszerujący w letnich paradach, a nawet popisujący się w rodeo.

Za każdym razem, kiedy pokazuję na kogoś, od razu podaje mi jej imię i nazwisko (bo głównie ma za przyjaciół dziewczyny), informuje, jak się poznali i co ta osoba robi teraz.

– Masz kontakt z tymi wszystkimi ludźmi?

– To małe miasteczko – odpowiada. – Wszyscy się tu przyjaźnimy, tak samo jak nasi rodzice. Różne rzeczy się słyszy przy kielichu. Co poniektórzy próbują mi przy okazji sprzedać łatwo wchodzące drinki, rozumiesz.

Na moją prośbę pokazuje mi dziewczyny, z którymi się całował, i te, które zjawiały się tu na wakacje i przed odjazdem łamały mu serce.

Zatrzymuje się przy oprawionej w ramki profesjonalnej fotografii stojącej na jego komodzie i aż mruczę z zachwytem:

– Byłeś królem balu maturalnego? Nigdy się nie chwaliłeś.

Wyn spogląda mi przez ramię. Na tej fotografii ma czarny garnitur i przekrzywioną plastikową koronę. Obejmuje w pasie niebrzydką brunetkę w srebrnej miniówce, z diademem na głowie. Podpis: „Światła wielkiego miasta” rozciąga się na tle skrzącego się nieba, na którym jakimś cudem pojawiają się obok siebie tak słynne budynki jak nowojorski Empire State Building i Seattle’s Space Needle.

Wyn jęczy.

– Przysięgam, że nic się tam nie działo. Bo gdyby coś było, moja mamusia na pewno by to wykorzystała.

– Tak? Chce, żebym była zazdrosna o twoje nastoletnie słodziaki? – mówię ze śmiechem.

Z zakłopotaniem pociera czoło. Policzki tak cudnie mu płoną.

– Chciała się wykazać – przyznaje.

– Nie wierzę, że znam cię od trzech i pół roku, a ty nigdy nie wspomniałeś, że byłeś królem balu.

– Tak, to jedno z moich większych osiągnięć. – Kręci głową. – Wstyd wspominać.

– O czym ty mówisz? – Patrzę na niego zdumiona. – Dlaczego wstyd? Kiedy byłam w tym wieku, ciągle nosiłam aparat na zębach i miałam postrzępioną fryzurę z grzywką, w której wyglądałam, jakby piorun we mnie strzelił. A ciebie obwołano królem balu i jeszcze miałeś dziewczynę modelkę. – Na dowód podsuwam mu zdjęcie pod nos.

Wyn odstawia fotografię na komodę.

– Nie spodziewam się, żeby niegdyś genialna nastolatka, a dzisiaj zdolna studentka medycyny wiedziała takie rzeczy, więc cię informuję, że korona króla balu jest nagrodą pocieszenia wręczaną chłopakom, którzy dni szkolnej chwały mają już za sobą i prawdopodobnie zostaną w mieście, kończąc jako rzecznicy lokalnych dealerów samochodów.

– Czekaj, muszę to zapisać. – Rozglądam się za długopisem, ale Wyn chwytą mnie i przyciąga do siebie.

– Nie możesz tego wiedzieć, bo w twoim mieście wszyscy oczekują od ciebie wielkich rzeczy – dodaje z uśmiechem.

– Faktycznie tego nie wiedziałam – przyznaję – bo chodziłam do szkoły, gdzie uczyło się cztery tysiące uczniów i moje imię znano tylko w klasie, a do tego nie interesowałam się środowiskiem dealerów samochodów.

– Aha, czyli to był twój pierwszy błąd.

– Wyndhamie Connor, czy nie sądzisz, że ta twoja teoria jest ociupinkę zbyt... narcystyczna?

Uśmiecha się szeroko i moje serce odpowiada tym samym.

– Tylko dlatego, że dealerzy aut zatrudniali mnie jako swojego rzecznika? Uwierz mi, tak się wykorzystuje prawie osiemdziesiąt procent królów balu.

– Nie, nie dlatego – odpowiadam. – Po prostu inni uczniowie wybrali cię królem balu... z litości.

Wzrusza ramionami.

Zarzucam mu ręce na szyję.

– Tak, zapewne o to chodziło.

Całuję go, a on przyciąga mnie mocniej, lekko unosząc nad podłogą, jakby pragnął mnie wchłonąć.

– Z całą pewnością nie miało to nic wspólnego z faktem, że jesteś ciachem, do tego miłym i zabawnym. To była czysta litość. – Całuję go znowu, jeszcze zachłanniej.

– To też z litości? – pyta.

– Z głębokiej litości. – Chwytam go za tyłek. – I to także.

– Wow! Wyblakła sława dawnego złotego chłopca nie jest w sumie taka zła.

Ktoś puka we framugę. Chcę się odsunąć od Wyna, ale on trzyma mnie w uścisku, patrząc w stronę korytarza.

W drzwiach stoją jego uśmiechnięci rodzice. Głowa Glorii opiera się na ramieniu Hanka.

– Idziemy do łóżka – oznajmia Hank.

– Może czegoś potrzebujecie? – pyta Gloria.

– Nie – mówi Wyn. – Dobranoc.

Gloria mruży oczy, kiedy się śmieje, tak jak jej syn.

– Miłych snów.

Kiedy odchodzą, Wyn znów przypiera mnie do komody i długo cieszymy się sobą, aż wreszcie całuje mnie w czubek głowy i wychodzi z pokoju.

Przez następne cztery dni w Montanie głównie się lenimy. Raz idziemy pojeździć na biegówkach, dwa razy jemy w naleśnikarni, o której rodzice Wyna mówią, że „to miejscówka dla takich siwych łbów jak my”, a wieczorami spacerujemy z całą rodziną w śnieżnej scenerii. Jesteśmy grubo ubrani, jak astronauty, a Hank nalega, abysmy zakładali czółówki. Dzięki temu, jak twierdzi, „unikniemy rozjechania przez samochody czy ataku dzikich zwierząt” w gęstym mroku górskiej nocy.

Jednak większość czasu spędzamy przy kominku, delektując się nieustannie dostarczonymi nam drinkami i jadłem. Rano Hank parzy dla wszystkich kawę z filtra, a ów proces trwa tak długo, że kiedy kończy nalewać ostatnią, towarzystwo dojrzało już do drugiej porcji i pocziwy Hank zabiera się do następnej kolejki.

– Tato, zaparzymy sobie w ekspresie – proponuje Wyn.

Hank jednak marszczy nos i człapie do kuchni w swoich flanelowych papuciach.

– Ekspres jest na sytuacje awaryjne, a nie dla gości – burczy.

Większość posiłków w tym domu to dania jednogarnkowe serwowane przez Glorię, bo jedzenie nie rajcuje Hanka tak jak drinki. Czuję się po nich jak chodzący balon.

Kiedy wracamy z naszej drugiej kolacji zjedzonej w mieście, zastajemy Lou i Michael leżące na plecach na dywanie, jęczące i masujące sobie brzuchy.

– Mamo, ty i tata powinniście rozważyć włączenie do jadłospisu chociaż jednego warzywa tygodniowo – mówi Lou.

– Ziemiaki są warzywem – odpowiada Gloria.

– Nie – zaprzeczają unisono Michael, Lou i Wyn.

Ziemniaki – warzywa czy nie – na pewno przydają się jako podkład pod niezliczone bourbony i scotche, które Hank każdego wieczoru stawia przed nami na stole do degustowania.

– Tata jest Królem Napojów Wysokowych – informuje mnie Michael.

– Teraz rozumiem, dlaczego orbitowałeś wokół Partha, kiedy zacząłeś naukę w Mattingly – mówię do Wyna.

– Nie dla drinków orbitowałem wokół Partha. – Wyn pociąga mnie za sobą na miękką kanapę. – Tylko dlatego, że miał najładniejsze przyjaciółki.

Słyszę prychnięcie Lou leżącej na dywanie przed kominkiem.

– Dzięki, Harriet, że ratujesz go przed nim samym.

– Macie o mnie zawyżoną opinię – odpowiadam. – Ja też zaprzyjaźniłam się z Parthem dla jego atrakcyjnych przyjaciółek.

Wyn tradycyjnie całuje mnie w czubek głowy. Michael i Lou wymieniają spojrzenia, których nie potrafię rozszyfrować.

Może wcześniej widziały już takie sceny, myślę. Może on zawsze tak traktuje swoje dziewczyny.

Z drugiej strony nie bardzo w to wierzę. Jestem w tej fazie zakochania, w której człowiek jest przekonany, że nikomu innemu nie zdarzyła się taka miłość.

W czasie tych czterech dni zakochuję się powtórnie. Tym razem w rodzinie Wyna i w jego nowych obliczach.

Chcę wstawać późno; chcę grzebać w starej szafie, w której jego mama przechowuje kostium szturmowca, wykonany własnoręcznie dla synka; chcę siedzieć przez pięć godzin w stolarni, gdzie w powietrzu unosi się drzewny pył, podczas gdy Wyn opowiada, jak bronił Lou przed łobuzami z jej gimnazjum. Chcę znać historię każdej, nawet najmniejszej białej blizny na jego zawsze opalanej skórze.

Pierwszej się dorobił, kiedy za ostro zahamował na rowerze i przeleciał przez kierownicę. Jasne ślady na łokciu to z kolei pamiątka po upadku ze spłoszonego konia na nieistniejącym już ranczu dziadka. Cienka linia przecinająca wargę została mu po tym, jak stawiając pierwsze kroki, wpadł na róg kominka.

Mam ochotę zgarnąć na jeden stos wszystkie te pamiątki: kołderkę, którą przed jego urodzeniem wydzierała mu babcia, głupawe młodzieńcze dzienniki, koszarne bazgroły z dzieciństwa, wgniecenie w półciężarówce jego mamy, które powstało, kiedy jako szesnastolatek usiadł za kierownicą, wpadł w poślizg na lodzie i rąbnął w barierkę rozdzielającą jezdnie.

Prowadzi mnie w to miejsce, gdzie barierki, wymienione po wypadku, są mniej strupieszale niż reszta. On i Hank zrobili to sami, nie czekając na ekipę drogową.

Wyn miał tu swobodę i to miejsce zrobiło z niego mężczyznę, którego pokochałam.

– Dlaczego stąd wyjechałeś? – pytam, oparta dłonią o drewniany słup, który wiele lat temu wkopał w ziemię.

Wyn się krzywi.

– Trudno to wytłumaczyć.

– Spróbuj. Taki tu byłeś szczęśliwy.

Wypuszcza oddech, patrząc na horyzont, jakby szukał tam odpowiedzi.

– Mieli pieniądze ze sprzedaży rodzinnej ziemi ojca. Zawsze chcieli, żeby moje siostry poszły na studia, bo sami nie skończyli żadnych.

– Siostry? Nie ty?

Na jego ustach pojawia się krzywy uśmiešek.

– Są małymi geniuszkami tak jak ty. Mają wielkie marzenia. Zapewne rodzice pomyśleli, że ja i tak nigdzie się nie wybieram i będę pomagał ojcu.

– Bo kochasz to miejsce – dopowiadam.

Przeciąga dłonią po szczęce.

– Kocham. Ale sam nie wiem... Patrzyłem, jak ci wszyscy ludzie z marzeniami i jasnymi celami wyjeżdżają stąd gdzieś daleko. Wypatrzył mnie trener futbolu z Mattingly i myślę, że uznałem to za znak.

– Ale nie zostałeś w drużynie.

– Nigdy nie lubiłem futbolu. Poza tym nie dałbym rady pogodzić treningów z nauką. Sprawa okazała się trudniejsza, niż myślałem. Wiesz, studia to też życie towarzyskie.

– Wszysty cię uwielbiali, Wyn – zapewniam.



Obserwuje mnie spod zmrużonych rzęs i usta mu drgają.

– Nie, Harriet. Chcieli się koło mnie kręcić, a to nie to samo. Nigdy tam nie pasowałem.

Odrywam dłoń od lodowatego ogrodzenia i dotykam miejsca kryjącego dołek w policzku Wyna. Kąciki jego ust unoszą się lekko i wgłębienie pojawia się pod moim środkowym palcem.

– Pasujesz do mnie i akurat się tam znalazłam.

– Wiem – odpowiada. – Myślę, że dlatego ja się tam znalazłem. Aby trafić na ciebie.

– Musiałeś mieć bardzo wyrafinowaną apkę randkową.

– Cóż, płacisz i masz.

Wsuwam dłoń pod jego kołnierz i muskam palcami ciepłą skórę.

– Czy wtedy rozumiałeś wreszcie, czego chcesz?

W zmierzchającym świetle zielone obwódki jego tęczynek lśnią jak mika pod wodą. Dłonie, stwardniałe od fizycznej pracy, obejmują moje przeguby, kciuki gładzą ich delikatne wnętrze.

– Tego – mówi. – Po prostu tego.

Ja też, myślę, ale nie potrafię się zdobyć, aby to powiedzieć; aby przyznać, że reszta mojego życia i wszystko, na co pracowałam, wydaje się tylko dekoracją. Jakby liczyła się jedynie miłość do niego, a cała reszta była przybraniem.

Pokazał mi także pracownię meblową – to miejsce, gdzie w Nowy Rok, gdy rodziców nie było w domu, zawałiła się na niego szafa, i gdzie leżał uwięziony przez cztery i pół godziny, czekając, aż wróci.

Serce mnie boli, gdy tam wchodzi. To już nie tylko wspomnienie, ale też woń cedru i trocin oraz dotknięcie czegoś nieuchwytnego, co dla mnie jest istotą Wyna.

– Nie masz uprzedzeń do tego miejsca? – pytam, obchodząc stół, którego blat wyszlifowano do renowacji.

– Zawsze je uwielbiałem – odpowiada. – Dlatego po wypadku rodzice starali się jak najczęściej mnie tu przyprowadzać, abym nie pielęgnował w sobie lęku. W sumie zadziałało, choć nie od razu.

Przystaję, z dłonią znieruchomiałą na blacie, i patrzę na niego.

– Podobasz mi się w tym miejscu – mówię.

Podchodzi i delikatnie ujmuje mnie za biodra.

– Fajnie cię tu mieć – mówi niskim, lekko chrapliwym głosem. – Z tobą wszystko jest bardziej prawdziwe.

– Wyn. – Unoszę głowę i wodzę spojrzeniem po chmurnych oczach, lwiej zmarszczce i wyrazistej linii żuchwy. – To wszystko jest prawdziwe.

Splata palce z moimi i zakłada sobie moje ręce na kark. Nasze czoła się stykają, nasze oddechy się mieszają.

– Teraz myślę, że mogłabyś być ze mną szczęśliwa – mówi.

– Będę z tobą szczęśliwa – obiecuję.

Nasza ostatnia noc w mieście; raczymy się kolejnymi porcjami Hankowego scotcha, a potem siedzimy przed kominkiem i patrzymy na taniec trzaskających płomieni.

– Będzie nam was brakowało w domu, dzieciaki – odzywa się z westchnieniem Hank.

– Niedługo znów wpadniemy – obiecuje Wyn, unosząc moją dłoń i bezwiednie muskając jej grzbiet ustami.

Dom, myślę. A to nowość.

Nie taka znowu nowość. W moim sercu od jakiegoś czasu kiełkowało nowe miejsce; ta przestrzeń zarezerwowana wyłącznie dla Wyna, którą noszę ze sobą, gdziekolwiek jestem.

## W realu

## Środa

Jestem w neonowozielonej kinowej łazience. Myję ręce, splukuję umywalkę i znów myję ręce.

Kiedy wracam korytarzem, wyłożonym dywanem w kolorze burgunda, omal nie zderzam się z Wynem.

– Przepraszam – bąkamy jednocześnie, zatrzymując się gwałtownie.

Moje spojrzenie przenosi się na zestaw przekąsek, które niesie: żelki Twizzlers, kamyczki Nerds, hot dogi, draże Whoppers i karmelki Milk Duds.

– Wybierasz się na piżama party? – pytam.

– Pić mi się chciało – odpowiada.

– Czyli powinieneś kupić wodę i nic więcej. Tyle słodyczy? Dla ciebie nawet herbatniki są za słodkie.

– Pomyślałem, że ty coś zechcesz.

Oczy ma teraz bardziej zielone niż szare. Nie jest mi łatwo w nie patrzeć, dlatego skupiam się na cukierkach.

– Musiałeś pomyśleć, że zachce mi się wszystkiego po trochu – zauważam.

Jego spojrzenie rozbłyskuje.

– A myliłem się?

– Nie, ale nie musiałeś tego robić.

– Wierz mi, to nie było przemyślane – zapewnia. – Poszedłem po wodę i ani się obejrzałem, jak kupiłem cysternę syropu klonowego.

– Słynna oszczędność Connorów. Jak kupisz całą cysternę, dolewki masz za friko.

Jego śmiech przechodzi w jęk. Przeciąga dłonią po czole.

– Ale mam kaca.

– Wczoraj wieczorem wypięś tylko jednego drinka, nie?

– I pół butelki wina w piwnicy.

– Powinniśmy raczej zapomnieć o wszystkim, co się działo w piwnicy – mówię.

Przygląda mi się przez chwilę.

– Tak czy owak przestałem tolerować alkohol. Ostatnio bardzo mało piję.

– Wow, jaki pozytywny!

Śmieje się.

– Przetawilem się na ciasteczka z marychą – wyjaśnia i dodaje ku mojemu zaskoczeniu: – One naprawdę pomagają mojej mamie, choć trochę jej głupio... No wiesz, że bierze. Dlatego parę razy w tygodniu zjadamy sobie brownie na spólkę. Zabawna jest. Nigdy wcześniej nie próbowała zioła i robi się strasznie rozchichotana. Myślę, że to jakiś efekt placebo, ale w sumie nieważne.

Tłumię uśmiech.

– Wrócić do mamy i dwa razy w tygodniu być na haju – rozplýwam się.

– Marzenie, co?

– Żebyś wiedział. Zazdroszczę ci.

– Fakt, jest zabawnie – przyznaje. – Tyle że ciastka wzmagają apetyt. Ja sam przytyłem piętnaście funtów.

– Dobrze ci z tym. A jak ona naprawdę się czuje? – dodaję szybko.

Zerka na mnie pytająco.

– Nie rozmawiałaś z nią?

Przecież musi wiedzieć, że regularnie pisujemy do siebie z Glorią. Czasami kontaktuję się też z jego

siostrami. Głównie wtedy, kiedy młodsza, Lou, chce mojej rady w kwestii jakiegoś zabawnego prezentu dla Wyna. Albo kiedy starsza, Michael, potrzebuje mojej opinii na temat pewnego lekarstwa, które nie ma nic wspólnego z neurochirurgią. Cóż, dla jego rodziny nadal jesteśmy zaręczeni.

– Owszem, rozmawiam z nią – wyjaśniam. – Ale wydaje mi się, że przeważnie kłamie.

Wyn śmieje się cicho.

– W to nie wątpię. – Opuszcza wzrok. Moje spojrzenie błądzi po ciemnych firankach jego rzęs, krągłości pełnej górnej wargi, aż Wyn na mnie spogląda. – To naprawdę pomaga. Zioło. Choć... mogłoby bardziej.

Emocje dławią mi przełyk. Nerwowe ściskanie w gardle – podpowiada mi umysł, jakby samo nazwanie przyczyny bólu miało go złagodzić. Nie łagodzi.

– Cieszę się, że przy niej jesteś – mówię.

Usta mu się bezwiednie rozchylają, zaciskają i ponownie rozchylają.

– Wiesz, ja... – Kładzie opakowania cukierków na stojącym za nami stole do cymbergaja i przestępuje z nogi na nogę. Bierze oddech. – Wiem, że nie chcesz o tym rozmawiać – mówi niskim, chrapliwym głosem – i szanuję twój wybór. Ale powiedziałaś coś wczoraj i...

Fala gorąca podpełza mi od karku do uszu.

– Miałam kiepski dzień, Wyn.

– Nie, nie... nie o to... – Potrząsa głową, po czym próbuje jeszcze raz: – Coś, co powiedziałaś w piwnicy, podsunęło mi myśl, że według ciebie odszedłem przez niego.

„On”. To słowo dopada mnie z impetem.

Wyn przełyka z wysiłkiem.

– I że według ciebie winię cię za to, co się z nim stało.

– Oczywiście, że mnie winisz. – Kręgosłup mi się usztywnia, kiedy usiłuję się nie posypać czy raczej nie pokazać mu, że się sypię. Niestety proces już się zaczął.

– Nieprawda! – zaprzecza żywo. – Nie winiłem i nie winię. Przysięgam, okej?

Czuję ucisk w piersi.

– Czyli to czysty przypadek, że powiedziałam ci o nim, a wtedy ty natychmiast mnie rzuciłeś?

Nie wiem, co mam myśleć na widok jego zaskoczenia i urazy. Nie mam pojęcia, co w ogóle mam myśleć. Weszłam do łazienki w jednym wymiarze, a wyszłam prosto w inny.

– Harriet – mówi udręczonym tonem, kręcąc głową. – Sprawa jest dużo bardziej skomplikowana.

Bardziej skomplikowana niż myślenie, że go zdradziłam. Nie chodzi o to, że był wściekły. On mi po prostu nie ufał.

I po prostu już mnie nie chciał. Mam wrażenie, że moje ciało zaraz zmieni się w piasek i rozsypię się w bezkształtną kupkę na podłodze.

– Byłem w mrocznym miejscu – ciągnie tymczasem Wyn.

Odwracam się od niego, bo czuję, że coraz bardziej się sypię. Oczy mnie pieką.

– Wiem. – Wiedziałam. W każdej sekundzie każdego dnia. – Nie wiedziałam tylko, jak ci pomóc – wyrzucam z siebie.

– Nie mogłabyś.

Zamykam oczy, usiłując się pozbierać, zepchnąć ten zamęt uczuć najgłębiej, jak się da.

Wiedziałam, że Wyn nienawidzi San Francisco. Czułam się winna, że go tam ze sobą zaciągnęłam. Winna, że go tam trzymałam, choć cierpiałam, bo nie potrafiłam sprawić, aby był ze mną szczęśliwy.

Jego dłoń nakrywa moją, nieśmiało splatając nasze palce, i Wyn przyciąga mnie do siebie.

– Nie chodziło o to – mówi. – Mój tata...

Kiwam głową, bo ucisk w gardle nie pozwala mi mówić.

Odejście Hanka było tak niespodziewane. Ale czy w innym przypadku byłoby lepiej? Nie ma dobrej pory na taką stratę. Nie dla Wyna. Nie dla kogoś, kto znał Hanka Connora.

Wszystko to spadło na nas nagle, a jednak myślałam, że damy sobie radę. Kiedy zapewniał, że zawsze będzie mnie kochał, wierzyłam mu. To było to, co najbardziej mnie złościło – i u mnie, i u niego.

– Nie sądziłem, że... – Patrzy mi w oczy i szczęka zaczyna mu chodzić. – Nie chciałem cię skrzywdzić.

– Wiem. – Tyle że to niczego nie zmienia.

– Ja tylko chcę, żebyś była szczęśliwa. – I znów to słowo. – I to właśnie próbowałem powiedzieć tam, w piwnicy. Że w tym tygodniu będę się wystrzegał wszystkiego, co mogłoby cię dodatkowo zaburzyć. I wybaczyć, że nie całkiem mi się udało.

Elementy układanki wskakują na swoje miejsca.

– Nie jestem z nim – mówię. – Nie ma się o co kłócić.

Wargi Wyna się rozchylają.

Żałuję, że nie mogę cofnąć swoich słów, wtłoczyć ich sobie z powrotem do gardła.

– Jeśli o to ci chodziło – uściślam.

– Okej.

Okej? To ma być odpowiedź?

Po chwili niezręcznej ciszy dodaje:

– Ja też uważam, że nie ma się o co kłócić.

Tłumię uśmiech.

– Nie? Nie wdałeś się w długodystansowy romans z moją współpracowniczką, którą widziałeś tylko raz?

Niekontrolowany rumieniec zalewa mu policzki. Wyn bębni stopą w nogę stołu do cymbergaja.

– Prawie zapomniałem. Owszem, była chemia, ale to za mało.

Duszę śmiech, a on spogląda na mnie spod jednego z tych swoich niesfornych kosmyków.

– Nie było żadnej innej – zapewniam. – Nikogo.

To nie ma znaczenia, wmawiam sobie.

To nie może mieć znaczenia.

Nie był szczęśliwy z tobą.

Złamał ci serce.

Nie miałaś szansy zatrzymać go przy sobie i w głębi duszy wiedziałaś o tym.

Patrzyłam, jak ubywa go przy mnie, kawałek po kawałku, dzień po dniu. Znikał niczym rozplywający się miraż.

Ale sposób, w jaki teraz na mnie patrzy, grozi zanikiem logiki, wymazaniem historii. Jeśli Wyn jest czarną dziurą, osiągnęłam jego horyzont zdarzeń.

Czuję tępy ból w piersi, ale nie chcę, żeby ustał. Chcę się w nim zanurzyć całym swoim jestestwem. Moje serce, ciało i umysł nareszcie znalazły się w tym samym punkcie. Tutaj. Z nim.

Nie mam ochoty wracać do sali, ale ta sytuacja nie może trwać wiecznie. Nie możemy dalej iść po tej linii, bo w końcu ktoś ucierpi. Ja ucierpię.

Odchrząkuję.

– A jak tam idzie interes? – pytam.

Usta Wyna drgają.

– Tak jak szedł.

– Naprawdę? Jeszcze go nie użyłeś jako przykrywkę do dealowania narkotykami czy hazardu?

Słodkie wargi rozciągają się w uśmiechu.

– A ty nadal w tym samym mieszkaniu?

W naszym mieszkaniu.

Jakimś cudem ciągle są tam jego ślady. A może to ja ciągnę za sobą jego ducha, dokądkolwiek się udaję.

– Uhm... – mruczę.

– A co u twojej siostry?

– Myślę, że dobrze. Rozkręciła biznes razem ze swoją przyjaciółką, fryzjerką. Głównie obsługują śluby i imprezy. Dwa razy w miesiącu łączy się ze mną na FaceTime, przez pięć minut paplamy o niczym, a potem mówimy sobie „na razie”.

Wyn skubie zębami dolną wargę.

– To przykre – stwierdza.

Jest jedyną osobą, która wie, jak przeżywam tę sytuację. Prawie nie znam Eloise, bo choć miałam siostrę, w domu zawsze czułam się boleśnie samotna. Sześć lat różnicy wieku i jej bezustanne potyczki z rodzicami sprawiły, że nie miałyśmy kiedy się zżyć.

Wzruszam ramionami.

– Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają i trzeba przestać się ludzić, że tak się stanie.

– Na szczęście inne się zmieniają.

Zrywam kontakt wzrokowy.

– A jak tam twoje siostry? – pytam.

– Dobrze – odpowiada z półuśmiechem. – W tym tygodniu Lou jest z mamą. Prosiła, żeby cię pozdrowić.

Uśmiecham się mimo ukłucia w sercu.

– A Michael? Nadal w Colorado?

Wyn przytakuje.

– Związała się z kolejnym inżynierem lotnictwa, który pracuje dla konkurencyjnej firmy. Zamieszkali razem, ale oboje obowiązuje umowa o zachowaniu poufności, więc nie mają wzajemnie wstępu do pokoi, w których pracują w domu.

Śmieję się.

– Co za paradoks!

– Prawda? A Lou w maju zrobiła magisterkę z kreatywnego pisania na Uniwersytecie Iowa.

– Super.

Ta trójka, kiedy są razem, jest głośna, bezpardonowa i rywalizująca. Kłócą się o wszystko – co ma być na kolację, kto pierwszy wchodzi pod prysznic, kto jest dobry w domino, a kto nie, i ma się wrażenie, że muszą natychmiast wyrzucić z siebie każde uczucie oraz każdą myśl, jakie ich najdą. A jednak wszystko się rozplywa, zanim dojdzie do wybuchu. Drobne spory rozpalają się do białości i gasną; drobne urazy odchodzą w zapomnienie. I znów zaczynają robić sobie kawały, ściskać się i tłuc niczym klasyczne rodzeństwo z filmów.

Zastanawiam się, ale nie śmiem spytać, czy Lou przybyła, aby po prostu odwiedzić mamę, czy po studiach wróciła do domu, tak jak planowała kiedyś, gdy myślała, że Wyn wkrótce zjedzie. Być może przejmie opiekę nad Glorią.

– Stęskniłam się za nimi – przyznaję.

– One za tobą też.

– Czy nie zastanowiło ich, że przestałam was odwiedzać?

– Czasami wyjeżdżam do miasta – odpowiada. – W sprawach pracy.

– W sprawach pracy?

Kiwa głową.

– Myślą, że wtedy się widujemy.

Ja też kiwam głową. Co mogę na to odpowiedzieć?

Wyn odchrząkuje.

– Mama mówiła, że chodzisz na zajęcia z ceramiki.

– Och, tak...

– Udawałem, że o tym wiem.

– I dobrze.

– Ale wtedy dodała, że miała cię za bardziej utalentowaną. I że twoja najnowsza praca przypomina półdupki.

Śmiech wystrzela ze mnie, jakby ktoś odpalił działą.

– To zabawne. Powinieneś przeczytać entuzjastyczną wiadomość, którą mi wysłała, właśnie na temat owej dupnej miski. Udawała zachwyconą.

– Nie – zaprzecza ze śmiechem. – Nie udawała. Powiedziała, że twoje dzieło jest naprawdę dobre. Mimo skojarzenia z półdupkami. Wiesz, jaka ona jest.

– Pamiętasz, jak się ucieszyła z obrazu, który podarowaliśmy jej dla kawału? – pytam. – Tego kiczowatego Elvisa, namalowanego na welwecie, który wyglądał bardziej jak Biff z *Powrotu do przyszłości*?

Wyn uśmiecha się szeroko.

– Powtarzała, że to wyjątkowe dzieło.

– Ale mówiła to tak, że słowo „wyjątkowe” można było rozumieć dwojako. W opiniach Glorii zawsze tkwią niuanse.

– Jej niuansowanie polega na tym, że nawet kiedy ma do czynienia z czymś obiektywnie koszmarnym, jeśli to coś jest choćby luźno związane z kimś z rodziny, staje się dla niej czymś wyjątkowo specjalnym – wyjaśnia Wyn.

Myśl o przynależeniu do rodziny Glorii i byciu kimś „wyjątkowo specjalnym”, wywołuje w moim sercu ukłucie żalu.

– Mieszkanie z nią jest osobliwie zabawne – mówi Wyn.

– Nie ma w tym nic osobliwego – protestuję. – Gloria jest fantastyczna.

Uśmiecha się do swoich myśli.

– Jakie to zabawne. Przez całe lata wmawiałem sobie, że muszę się wyrwać z domu. Widziałem, jak siostry odkrywały swoje zainteresowania i zaczynały rozmawiać o wyjeździe, a rodzice byli dumni, że córki mają ambicje, chcą się rozwijać, szukać własnych dróg i tego typu rzeczy. Więc ja też tego zapragnąłem.

Wracam myślami do lat, kiedy nasza piątka, jeszcze bez Kimmy, leżała na pomoście Armasów, wymyślając alternatywne życiowe drogi. Nawet wtedy Wyn w swoim hipotetycznym innym życiu wrócił do tego, które zostawił za sobą. Jakaś częśćka jego zawsze wiedziała, gdzie jest jego miejsce.

Kiedy wróciłam z nim do domu po tamtej pierwszej wizycie, kiedy poznałam Hankę, Glorię, Lou i Michaela, kiedy zobaczyłam stolarnię i pokój pełen pamiątek po szczęśliwym, pełnym miłości dzieciństwie, jakaś częśćka mnie również zrozumiała, że tam jest miejsce Wyna.

A jednak uparcie się go trzymałam. W San Francisco przez całe miesiące patrzyłam, jak ściany wyrastają wokół niego – i choć widok Wyna, tak zgnębionego i załamane go, był wykańczający, nie znalazłam w sobie dość odwagi, żeby zwrócić mu wolność.

– W każdym razie – ciągnie – gdyby ktoś mi kiedyś powiedział, że w wieku dwudziestu dwóch lat wrócę do swojego dziecięcego pokoju i co rano przy śniadaniu będę rozwiązywał z mamą krzyżówki, uwierzyłbym mu, ale doznałbym szoku, słysząc, że w tym układzie będę szczęśliwy.

– Krzyżówki? – dziwię się. – Kiedy byliśmy razem, nigdy ich nie rozwiązywaliśmy. A przecież proponowałam ci to w każdy deszczowy dzień.

– I zawsze mówiłem „tak”.

– Ale nigdy ich nie kończyliśmy.

– Harriet – więzi moje spojrzenie swoim i w jego oku pojawia się wymowny błysk – nie kończyliśmy, bo nie byłem w stanie usiedzieć tak długo przy tobie, nie dotykając cię.

Krew rusza falą ku moim policzkom i piersiom, pulsuje pomiędzy udami.

Nieświadomie przysuwamy się do siebie bliżej. Może chodzi o coś w stylu kaca Cleo w Bernie’s – bezwarunkowy odruch, niezmiennie przyciągający jedno do drugiego.

– A ja myślałam, że krzyżówki cię wkurzają.

– Jak widzisz, nie chodziło o wstawianie literek w malutkie kwadraciki.

– To dobrze, bo inaczej śniadania z Glorią zaburzałyby twoje szczęście.

Podmuch wentylatora zdmuchuje mi kosmyk włosów na czoło. Wyn go chwyta i skręca w palcach twardych od nagniotków. Serce mi wali. Pożadam go każdą komórką swojego ciała.

Za nami otwierają się drzwi salki kinowej i na korytarz wypadają nasi przyjaciele, rozgadani i roześmiani. Koniec przerwy.

Robię krok, żeby do nich dołączyć, lecz Wyn chwyta mnie za rękę.

– Podoba mi się ta twoja misa – mówi. – Gloria pokazała mi zdjęcie i pomyślałem, że jest piękna.

## W realu

## Środa

- Nie sądziłam, że zostaniesz na drugi film – szepczę do Cleo, kiedy ponownie zajmujemy miejsca.
- Tym razem Wyn i ja siadamy w środku rzędu i zastanawiam się, czy Sabrina specjalnie nas tak ułokowała, żebyśmy nie mogli uciec.
- Cleo wzrusza ramionami.
- To na pewno wiele znaczy dla Sab. Poza tym nie chcę, żeby mi potem wypominała, że wyszłam wcześniej.
- Ej! – Kimmy wychyla się przed Cleo i podsuwa mi pod nos plastikową torebkę, taką jak na kanapki.
- Mrużę oczy, żeby lepiej się przyjrzeć.
- Chcesz mi sprzedać narkotyki?
- Oczywiście, że nie – odpowiada. – Chcę ci dać narkotyki. – Macha czerwonymi żelkami przed twarzą Cleo, po czym rzuca mi torebkę na kolana.
- Bardzo dyskretnie – komentuję.
- Niepotrzebna mi dyskrecja. Tutaj to legalne.
- Wyn pochyla się ku nam.
- Czy Kimmy handluje dragami?
- Chcesz? – odpowiada pytaniem Kim.
- Sabrina nas ucisza, wpatrzona w ekran, wsuwając sobie popcorn do ust.
- Wyn patrzy na mnie, a potem na Kimmy.
- Jeśli Harriet w to wchodzi, ja też.
- Mocne są? – pytam szeptem.
- Kimmy wzrusza ramionami.
- Niezbyt.
- Niezbyt mocne dla ciebie czy dla mnie? – dopytuję.
- Powiem tak: będziesz się świetnie bawić, pod warunkiem że nie zadzwonisz do szpitala i nie zaczniesz ich pytać, czy umrzesz, okej?
- Pieprzyć to. Gdy się weszło między wrony...
- Bierzemy po jednym mišku, stukamy się nimi jak w toaście i zaczynamy żuć.
- Hej! – woła Sabrina, nie ścisząc głosu. – Zażywacie coś?
- Tylko żelki z maryską – wyjaśniam.
- Macie więcej? Od wieków nie byłam na haju.
- Kimmy podsuwa jej torebkę. Parth i Sabrina biorą po jednym. Cleo odmawia.
- Ja już nie jaram, serio – zapewnia.
- Ja przestałam – wtóruje jej Kimmy. – Więc wszystko zostaje dla was, tylko się nie pokłóćcie.
- Słuchajcie, czy to możliwe, że już mam gastrofazę? – pyta Sabrina.
- Nie! – odpowiadamy chórem Cleo, Wyn i ja.
- Z tyłu salki słychać „ciiii!” i momentalnie kulimy się w fotelach.
- Ja pierdolę... – syczy Kimmy. – Czy tam ktoś jeszcze jest?
- Parth zerka przez ramię.
- Myślę, że to duch.
- On nie jest duchem – szepczę.
- Skąd ta pewność? – pyta Parth.
- Bo ma okulary słoneczne założone na tył głowy. To Ray, pilot.

– Fakt, że jest pilotem, nie znaczy, że nie może być duchem – odpowiada ze znanstwem Kimmy.

Woda kapie z szarych dachów domów przy Commercial Street, ale ulewa już się skończyła i wszyscy wylegli, żeby bawić się podczas pierwszego wieczoru Festiwalu Homara. Koncerty, zawody i parada ubranych w czerwone szaty Lobster Ladies – dawnych poławiaczek homarów – zaczyna się dopiero w piątek, ale food trucki, gry i wesołe miasteczka hulają już na całego, a ich kolorowe światła migoczą nie do końca w rytmie hitu Billy’ego Joela, dudniącego z głośników. Wymalowane na podobieństwo homarów i syren dzieciaki śmigają w tłumie, pary w płaszczach przeciwdeszczowych tańczą przed budkami z koktajlami i winami, a nastolatki o lekko błędnym wzroku puszczają między sobą w obieg podejrzone butelki z napojami.

– Czujecie to? – Sabrina wyskakuje przed nas. – Tak musi pachnieć niebo!

Słona bryza, palony cukier, czosnek podsmażany w maśle i smażone w oleju małże.

– Chcę kufel piwa z wielką pianą – rozmarza się Sabrina.

– Chcę frytki z ziołami – mówi Kimmy.

Cleo marszczy nos ze śmiechu.

– A ja chcę kamerę, żeby jutro wam pokazać, jaki mieliście odjazd.

– Ja chcę wygrać w Whack a Lobster – oznajmia Parth, pożerając wzrokiem automaty błyskające światłami, a Wyn podąża za jego spojrzeniem.

Otaczam ramieniem plecy Cleo.

– No i co, nie żałujesz, że nie nastukałaś się z nami? – pytam.

– Nie wiem, czego miałabym żałować – odpowiada. Pozostali zajęli się już grą w zbijanie kręgli w kształcie butelek z mlekiem. Ruchem głowy pokazuje na pufy w kształcie homarów i butelki pomalowane tak, że wyglądają jak przerażeni poławiacze.

– Jak myślisz, jaki jest w tym przekaz? Homary kontratakują?

– Miejmy nadzieję, że nie jest proroczy, bo to miasto padłoby pierwsze.

Cleo obraca się ku mnie.

– Wiesz, czuję się jak... minęło już pół tygodnia, a my ciągle nie możemy się zgrać. A przecież wiem, jakie to jest ważne dla niej... dla każdego z nas. Przecież robimy wszystko po raz ostatni i ani na chwilę nie potrafię o tym zapomnieć. Nie widzieliśmy się od bardzo dawna i dzisiejsze spotkanie w kinie było trochę słabe, bo w tym czasie mogliśmy sobie pogadać.

Chwytam ją za rękę.

– Tak mi przykro. Myślę, że masz rację.

Zerka za siebie, gdzie Sabrina i Parth kłócą się przy grze, i uśmiecha się nieznacznie.

– Po prostu bym chciała, żeby ten tydzień był dla nich niezapomniany – dodaje.

– Ja też. – Ściskam jej dłoń. – Ale luzik, noc jeszcze młoda i my też. Na co masz ochotę? Zagram w każdą grę i włączę się w każdą jazdę. Pozwolę ci nawet monologować o grzybach.

Cleo ze śmiechem opiera mi głowę na ramieniu.

– Po prostu chcę być tu z tobą, Har.

Gandziowe miśki-maryśki musiały mi nieźle wejść, bo momentalnie się rozklejam. Słodko-gorzkie uczucie; dotkliwa tęsknota za domem, ale nie rodzinnym. Myślę o swoim semestrze za granicą. Lecz nie chodzi o brukowane uliczki i maleńkie puby, zatłoczone pijanymi studentami, lecz o nasze łączenia na FaceTime, kiedy Cleo i Sabrina o północy śpiewały mi *Happy Birthday*. Uczucie wdzięczności, że dostałam coś, za czym będę tęsknić.

Łazimy po jarmarku, gadamy, spływamy potem i objadamy się. Smażone lane ciasteczka, roladki z homarów, popcorn solony i karmelizowany. Pełen wypas.

– Czy wy też czujecie, że czas naprawdę zapierdala? – pytam, kiedy sobie uświadamiam, że jest już ciemno.

Cleo i Sabrina wymieniają spojrzenia, po czym parszczą śmiechem.

– Ale cię wzięło – komentuje Sab.

– I mówi to kobieta, która przez bite dziewięć minut każe nam czekać, aż wygoogluje, czy popcorn to orzech, czy warzywo – ripostuję.

– Po prostu chciałam wiedzieć! – oburza się, przewracając oczami.

– Orzech, kotku – wyjaśnia Cleo. – Tylko taki spuchnięty.



– I wystrzałowy – dodaje Parth. – Jak my wszyscy dzisiaj.

Cleo dostaje napadu śmiechu, jakby sama była na haju.

Wyn, z oczami jak spodki, lunatykuje w kierunku diabelskiego młyna.

– Ludki, Wyn zaraz się skołuje – mówi Kimmy.

Za cholerę nie mam pojęcia, o co jej chodzi, ale i tak się zaśmiewam.

Wyn ogląda się przez ramię i woła:

– Popatrzcie tylko na to! Jakie piękne!

Sabrina gapi się na niego przez moment, po czym zadziera głowę i zanosi się chichotem.

Ale faktycznie – to nie jest widzi-misie Wyna. Wszystko wygląda zjawiskowo i nierealnie, jak nie z tego świata.

Parth prowadzi nas do kolejki stojącej przy diabelskim młynie. Ustawiam się tak, żeby jechać z Sabriną, ale ta w ostatniej chwili zmienia miejsce i wsiada z Parthem, wobec czego zostaje mi Wyn.

– Dobra, dobra – mówi Parth. – Unieście ręce, jak będziecie na górze.

– A może zamkniemy oczy? – proponuje Kimmy. – Żeby się nie bać.

Czekamy, żeby zająć miejsca w gondolkach. W kolejce głowa Wyna opada na moje ramię i jego śmiech spływa kaskadą po mojej skórze, podpalając po drodze zakończenia nerwowe. Wiem, że użyłam dwóch sprzecznych metafor, ale kiedy mam to robić, jak nie w wieku trzydziestu lat, wystrzelona w kosmos na halunach?

– Jestem młoda! – wrzeszczę, wywołując u Sabriny kolejny spazm chichotu. Rozkłada ręce i dwa razy obraca się jak fryga.

Parth chwyta mnie za ramiona i mówi z naciskiem:

– Jesteśmy młodzi, Harry. Zawsze będziemy młodzi. Młodość to stan umysłu.

– To chyba dobry moment, żeby wam powiedzieć – mówi Cleo. – Kimmy kupiła to gówno od sąsiada, który produkuje je w domu. Nielegalnie. Dlatego nie zdziwcie się, jeśli odleciecie na księżyc.

Kimmy patrzy na nas zjaranym wzrokiem.

– Posłuchajcie – mówi – będziecie się świetnie bawić. Księżyc jest piękny o tej porze roku.

Normalnie myśl o miśkach-maryśkach pochodzących z niewiadomego źródła lekko by mnie zaniepokoiła, kto wie, może nawet zaliczyłabym atak paniki. Ale sposób, w jaki Kimmy to mówi, w połączeniu z jej rozkoszną miną sprawia, że zaczynam się histerycznie śmiać.

– Zaraz – mówi Wyn, poważniejąc. – Jak się robi żelki w domu?

– Nie pytaj, to tajemnica – odpowiada konspiracyjnie Kimmy.

– A ja i tak je lubię – oświadcza Sabrina.

Dwudziestoparoletni gostek z obsługi diabelskiego młyna, niewzruszony niczym skała, pokazuje nam metalowe schodki prowadzące na rampę.

Sabrina i Parth wsiadają pierwsi. Wyn pomaga mi się wdrapać do gondolki. Nie mogę przestać chichotać.

– To na pewno nie przypomina ciasteczek mojej mamy – mówi.

Parskam mu śmiechem w ramię i szybko się cofam. No dobrze, wątpię, czy moje reakcje są szybkie, ale pamiętałam, żeby nie trzymać twarzy za długo przy jego szyi – i to się liczy.

Unosimy ręce i pracownik zakłada nam blokadę, po czym przechodzi do Kimmy i Cleo.

– Pamiętasz muzeum morskie? – pyta Wyn.

Wierzchem dłoni ocieram łzy śmiechu.

Powiedzieć „pamiętam” byłoby przesadą. Jakieś strzępki i fragmenty lewitują w moim hipokampie jak bańki mydlane.

– Trip przed twoim ostatnim rokiem na medycynie – podsuwa mi.

– Serio? – Moja dłoń opada na jego blokadę. Kiedy się orientuję, od razu ją cofam. – Tak dawno to było?

Kiwa głową.

– Tak, kiedy Sabrina i Parth się spiknęli.

Wspomnienie pojawia się jak transmisja z innego życia. Sabrina i Parth zostali, kiedy reszta poszła spać, wkręceni w dziką rozgrywkę w gin rummy, na zmianę wygrywając i przegrywając. Następnego ranka zjawili się w kuchni jako ostatni, półprzytomni, ale rozpromienieni. „Tylko nic nie mówcie – ostrzegła

Sabrina. – Nie będziemy o tym gadać”. Grzecznie przytaknęliśmy, kryjąc uśmiechy, ale po całym dniu razem poszli do pokoju.

– Tamtego wieczoru wypaliliśmy jednego jointa – ciągnie Wyn – a potem poszliśmy do muzeum i patrzyłaś na pokaz budowy łodzi przez całe trzydzieści pięć minut bez mrugania.

– To był prawdziwy artysta! – protestuję.

– Zgoda. A potem przez jakieś dwie godziny zapewniałaś wszystkich, że rzucisz medycynę i zajmiesz się budową łodzi.

– Żeby było śmieszniej, w tamtym czasie nigdy jeszcze nie byłam na łodzi – zauważam.

– Sądzę, że to nie byłoby konieczne.

– Chyba po prostu się bałam, że nie potrafię nigdzie przynależeć.

– Mówiłaś mi, że to wszystko nieważne, bo dostałaś znak od wszechświata.

Dławi mnie poczucie winy. Jakbym zdradzała swoją przyszłość, romansując ze sztuknictwem. Poświęciłam swoje dorosłe życie marzeniu o medycynie, a wystarczyło jedno sztachnięcie, żebym rozważała wywalenie swojego celu w kosmos.

– To było kurewsko zajebiste – kontynuuje Wyn. – Od razu napisałem do ojca z pytaniem, co trzeba zrobić, żeby przerobić naszą stolarnię na warsztat sztukniczy dla ciebie.

– Serio?

– Tak, a on się totalnie podjarał. Obiecał, że popyta, kto mógłby ci pomóc wystartować z tym biznesem.

– Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

– Nie, bo już nigdy więcej nie wspomniałaś o robieniu łodzi, więc uznałem, że to była po prostu gadka po jaincie.

– Zioło było wyjątkowo rozmowne – komentuję.

– A miśki-maryśki? Nie nasuwają ci pomysłu, żebyśmy rozkręcili fabrykę żelków?

My. Słyszeć, jak używa tej formy, to jak jeść jagody z Maine; jak smakować jednocześnie słonej bryzy, chłodnego nieba, wilgotnej ziemi i słońca. Kiedy ten zaimek ląduje na czubku mojego języka, nagle widzę całe obrazy.

Jego ramiona, oświetlone blaskiem księżyca, kiedy się opiera o jaguara.

Moment, gdy narzuca mi na plecy swoją bluzę z kapturem i włosy zasłaniają mu twarz.

Pocałunek w piwnicy na wino.

Chwila, gdy zasypiam z nim na złączonych łóżkach, a jego pot zasycha na mojej skórze.

Wieczór, kiedy poprosił mnie o rękę.

Pytanie: „Harriet? Jak myślisz, czy faktycznie powinniśmy zainwestować w to marzenie o łodziach?”.

Poranek, kiedy się dowiedzieliśmy, że Hank zmarł.

Głębokie, bolesne milczenie w naszym mieszkaniu w San Francisco.

Noc, która złamała mi serce.

Otrząsam się ze wspomnień.

– Co mamy do stracenia poza tysiącami dolarów, którymi i tak nie dysponujemy, i marzeniami, które ciągle nam uciekają, więc... – Chwytam go za ramię, kiedy diabelski młyn ożywa i toczy się, niosąc nasz wysoko do nieba.

W miarę, jak ziemia się oddala, po twarzy Wyna przepływają jaskrawe światła, pulsujące kolorami w chaotycznym rytmie.

Przez parę sekund jestem zahipnotyzowana.

Okej, w realu nie mam pojęcia, jak długo trwałam w tym stuporze. Zioło sprawia, że czas ciągnie się jak guma. Niektóre barwy malują twarz Wyna na całe eony, a inne rozbłyskują jak stroboskop. Gorzko-słony powiew przeczesuje mu włosy, kiedy wznosimy się wyżej w mrok, podlany wonią palonego cukru, która przesiąkała jego ubranie.

– Wpatrujesz się we mnie, Harriet? – odzywa się i drga mu kącik ust.

– Serio? A może im wyżej wzlatujesz, tym bardziej ci się tak wydaje?

Śmieje się, a ja nagle jestem namacalnie świadoma swoich palców ciągle ściskających jego przedramię i gładkiej, suchej skóry pod moim dotykiem. Tam, wyżej, są miliony ciemnych piegów, drobnych

jak ziarnka piasku. Chciałabym ich dotknąć wszystkich naraz. W moim obecnym stanie zajęłoby to jednak wiele dni.

Czuję, jak jego oddech wchodzi do płuc i wychodzi z nich, a serce wystukuje kod niczym w alfabecie Morse'a.

– Czemu tak na mnie patrzysz? – pyta.

– Czyli jak? – odpowiadam lekko zdławionym głosem.

Przygląda mi się spod oka.

– Jakbyś chciała mnie zjeść.

– Bo chcę.

Gładzi kciukiem mój podbródek. Powietrze wokół nas iskrzy.

– Zioło przez ciebie przemawia czy ciągle jestem słodki jak żelki? – pyta przekornie.

Ja, zawsze tak zagłębiona we własnym umyśle, stałam się nagle zlepkiem alarmująco pobudzonych, rozedrganych zakończeń nerwowych, wibrujących pod mrowiącą skórą.

– To jest dezorientujące – szepczę.

– Nie czuję się zdezorientowany.

– Chyba nie jesteś na takim haju jak ja – szepczę.

Uśmiech Wyna rodzi się w jednym kąciku jego ust, nie dosięgając drugiego.

– Widzę, że ciebie wzięło bardziej. Wyglądasz, jakbyś zjadła całą torbę kocimiętki.

– Czuję własną krew – mówię. – A te kolory mają smaki.

– Bo tak jest – odpowiada.

– A jak według ciebie smakują?

Wyn przymyka oczy i zadziera głowę. Jego T-shirt faluje na wietrze. Kiedy otwiera oczy, spoza źrenic prawie nie widać tęczęwek.

– Jak czerwone żelki.

Prycham.

– Bardzo oryginalne.

Oczy mu rozbłyskują, jakby błyskawica zwiastowała tornado.

– No dobra – mówi. – Chcesz prawdy?

– O tym, jak smakują te światła? Nie mogę się doczekać!

Jedną ręką puszcza rurkę blokady i czubkami palców sunie od mojej łydki do uda, uważnie śledząc ich drogę.

– Smakują jak ten materiał. – Robię co mogę, żeby stłumić dreszcz i przemożną chęć wtulenia się w niego, gdyż leciutki nacisk palców Wyna na satynę mojej letniej sukienki zaiste ma teraz smak i jest on wyborny. – Łagodnie – dodaje. Paznokciami sunie z powrotem po udzie i wsuwa się pod rąbek sukienki nad kolanem, aby dotknąć mojej nagiej skóry. – Delikatnie. Tak cholernie subtelnie, że rozplývają się na języku.

Nasze spojrzenia się spotykają. Paznokcie znów wracają do góry, tylko nacisk jest większy. Przez kilkanaście sekund, a może minut, patrzymy sobie w oczy, podczas gdy jego ręka pieści mnie powolnymi głaskami, góra, dół, znów w górę, trochę wyżej.

– Czy mogę zobaczyć więcej zdjęć? – pyta.

Z drgnięciem wyrywam się ze zmysłowego odlotu.

– Co?

– Twojej ceramiki – wyjaśnia.

– Jest kiepska.

– To nieważne. Mogę zobaczyć?

Nasze spojrzenia znów się łączą. Bardzo się staram skupić, ale za każdym razem, kiedy na niego patrzę, wszystko inne nieruchomieje, jakbyśmy lewitowali poza czasem i przestrzenią.

Wygrzebuję komórkę z torebki i gorączkowo przewijam galerię. Jeśli nie liczyć zapowiedzi filmów z kanału kryminalnego TV, które oznaczyłam jako pozycje do obejrzenia, nie ma tu wiele do przewijania, więc szybko trafiam na nieliczne fotografie swoich ostatnich dzieł. Dzbanek, dwa różne wazony i kolejna misa, która wcale nie wygląda jak półdupki. W każdym razie niezupełnie je przypomina.

Podsuwam mu telefon. Wpatruje się w zdjęcia, przesuwając językiem po dolnej wardze, gdy niespiesznie je przewija. Koło diabelskiego młyna robi jeden pełny obrót, zanim Wyn dociera do końca

i zaczyna oglądać od początku, oceniając każdy wytwór moich rąk i powiększając obraz, żeby zobaczyć detale szkliwienia.

– To – wpatruje się w mniejszy z wazonów, poznaczony smugami zieleni, błękitu, fioletu i brązu, palety ziemskich kolorów.

Czuję ucisk w sercu.

– Ten nazywa się Hank.

Kiedy Wyn unosi głowę, jego twarz jest naga, nieosłonięta żadną maską, a jej wyraz każe mi myśleć o ruchomych piaskach. Taka twarz może cię wciągnąć i już nigdy nie wypuścić.

– Tak go nazwałeś? Na cześć mojego taty?

– Czy to nie obraza? – Usiłuję zabrać mu telefon, ale go nie puszcza.

– Dlaczego?

– Bo nie jestem Michałem Aniołem. Moje wazony nie muszą mieć imion.

Wyn unosi wyżej telefon ze zdjęciem.

– To potrzebuje imienia jak cholera, a tym imieniem jest Hank – mówi. Ponawiam próbę odebrania telefonu, ale usuwa go z mojego zasięgu i dalej wpatruje się w ekran, marszcząc czoło. Wreszcie dodaje cicho:

– To wykupany Hank.

– Nie musisz tego mówić, Wyn. Chodzi o zwykły wazon, wykonany przez amatorkę. Nic więcej.

– On ma kolory Montany – dodaje Wyn. – Idealnie trafione.

– Ty chyba jednak jesteś na haju. – Kręcę głową.

– Jasne, że tak. Ale też mam rację.

Nasze spojrzenia znów spotykają się w przelocie i gdzieś w głębi mnie rodzi się ciepło. Sięgam ponownie i tym razem Wyn oddaje mi komórkę.

– Pokazywałaś to zdjęcie mojej mamie? – pyta.

Kręcę głową.

– Myślałam, czy by jej nie podarować tego wazonu.

– Pozwól, że go kupię.

Prycham śmiechem.

– Co takiego? Nie! W żadnym razie!

– Czemu?

– Bo nie jest nic wart.

– Dla mnie jest wart wiele.

– Dobrze, w takim razie zapłać za wysyłkę. Jako prezent od nas obojga.

– Dobra, zapłać za wysyłkę – zgadza się Wyn i po chwili dodaje: – Skąd ci się to wzięło?

– Ta ceramika?

Przytakuje.

Wypuszczam oddech.

– To było mniej więcej tydzień po naszym rozstaniu. Wracałam do domu z dyżuru i byłam parę przecznic od naszego miesz... swojego mieszkania – poprawiam się w ostatniej sekundzie, ale i tak pali mnie twarz.

Tamtego dnia nie chciałam wracać do domu. Miałam za sobą kolejną trudną operację. Pacjent przeżył, ale ja ciągle nie mogłam się otrząsnąć. Marzyłam, żeby się wtulić w objęcia Wyna, i wiedziałam, że kiedy wejdę do mieszkania, wszędzie będę czuła jego obecność, tyle że zabraknie go materialnie.

Przełykam rosnącą w gardle gulę i podejmuję:

– I zobaczyłam tę pracownię. Od razu mi się przypomniało, że kiedyś tam byłam, bo wiesz...

– Wiem, nie możesz się opanować, kiedy widzisz wazon w kształcie muszli łodzika, tak?

– Dokładnie – przytakuję. – Zauważ, że nie byłam aż tak szalenie zainteresowana sklepami z ceramiką, kiedy przyjeżdżaliśmy tutaj. Ale kiedy zobaczyłam tamto miejsce... wydało mi się kawałkiem domu. A może raczej tego, czym ten wakacyjny dom jest dla nas.

– I po prostu tam weszłaś?

– Po prostu weszłam.

Uśmiech igra w kącikach jego ust.

– To do ciebie niepodobne.

– Wiem. Ale miałam naprawdę zły dzień. A obok była lodziarnia, więc kupiłam sobie porcję lodów i kiedy stamtąd wychodziłam, ludzie zaczęli napływać do pracowni na zajęcia dla początkujących. Mając w perspektywie powrót do domu i oglądanie kolejnych odcinków *Napisana: Morderstwo*, wybrałam ceramikę. I po prostu tam weszłam.

– I ci się spodobało – mówi cicho Wyn.

– Tak, bardzo – przyznaję.

– Jesteś w tym dobra.

– Niezbyt. Ale mi odpowiada. Z niczym mi się nie kojarzy. Nieważne, jeśli coś mi nie wyjdzie. Zawsze mogę zacząć od nowa, choć szczerze mówiąc, nawet tego nie robię. Bo kiedy lepię te skorupy, jest mi dobrze. Gdy nad nimi pracuję, nie napinam się z obawy, czy mi wyjdzie, czy nie. Po prostu cieszy mnie samo tworzenie. I lubię to robić. Nie muszę się jakoś straszliwie skupiać. Wystarczy mi sam fakt ugniatania rękami gliny. Daję sobie luz i pozwalam umysłowi swobodnie błądzić.

Wyn musiał coś zobaczyć w mojej twarzy, bo pyta:

– O czym wtedy myślisz?

Czuję mrowienie w policzkach.

– Nie wiem. Przeważnie o miejscach.

– O jakich miejscach? – dopytuje.

Spoglądam w dół, na uczestników festiwalu. Widzę chłopczyka i dziewczynkę krążących w tłumie z porcjami waty cukrowej dwa razy większymi od ich głów.

– O wszystkich, w których byłam szczęśliwa – mówię.

Długa pauza.

– O Montanie?

Gardło mi się ściska. Przytakuję w milczeniu.

– A jeśli chodzi o tę miskę jak półdupki – mówię po chwili – byłam wtedy tutaj, w Knott's Harbor, i myślałam o wodzie. O falach i o tym, jakie są dziwne, bo przecież realnie nie istnieją. To ciągle woda i choć przypływ je porusza i zmieniają kształty, zawsze są tylko wodą.

– Myślę, że niektóre rzeczy się zmieniają, choć pozostają takie same – odpowiada sentencjonalnie Wyn.

Wiem, że jesteśmy na haju. Wiem, że nie powiedział nic głębokiego, ale kiedy jego blade oczy kojota szukają moich, mam wrażenie, że moje serce wykonuje fikołka i wszystko we mnie obraca się o sto osiemdziesiąt stopni. Tak jakbym przez cały czas stała na głowie i ten drobny ruch wreszcie postawił mnie na nogi.

– Czy tworząc któreś z tych dzieł, myślałaś o nas?

Wszystkie, odpowiadam w myśli. Jesteś we wszystkich moich najszcześniejszych miejscach. Jesteś tam, dokąd dąży mój umysł, kiedy potrzebuje pocieszenia.

Poprawiam się na siedzeniu. Wyn opuszkami palców muska moje udo. Jest skupiony na dotyku. Zaciska usta, sunąc po gładkim materiale, i choć ledwie mnie dotyka, nerwy wzdłuż mojego uda budzą się do życia, żaru, wrzenia.

– Musisz to czuć, Harriet – mówi z rozmarzeniem.

Wybucham chichotem.

– Jednak ten gumis miał moc.

– Na plus trzeba mu zapisać, że ten materiał jest cudowny w dotyku.

– Chciałaś powiedzieć „cudowny w smaku” – koryguję go.

– Tak, jak czerwony żelek – potwierdza i opada ustami na moje ramię, przesuając rozchylone wargi po ramiączku letniej sukienki.

Wstrzymuję oddech i mocniej zaciskam palce na poręczy, aby mieć pewność, że nie wpełzną spontanicznie Wynowi pod koszulę.

– Czy to jedwab? – upewnia się, unosząc głowę i patrząc na mnie roziskrzonym wzrokiem na tle pulsujących fioletowych świateł.

– Satyna – wyjaśniam. – Wiesz, taki jedwab dla ubogich.

– Jedwab dla ubogiego, lecz szczęśliwego faceta – odpowiada. – W dotyku jest jak... wilgotna skóra.

Zobacz. – Zdejmuje moją dłoń z poręczy i kładzie mi na udzie, po czym, czekając na moją reakcję, wędruje naszymi palcami pod rąbek spodnicy, aż oboje dotykamy skóry. – Czujesz?

Przytakuję bez tchu.

Oczy mu ciemnieją, przechodzą w przepastną czerń, jeśli nie liczyć srebrnozielonych obwódok.

– Pamiętasz, co mi mówiłeś o swoim mózgu? – pytam, a jego ręka nieruchomieje. – Powiedziałeś, że jest jak diabelski młyn – przypominam mu. – Tak jakby twoje myśli bezustannie krążyły i kiedy sięgasz po którąś, trudno ci się na niej skupić, bo ciągle jest w ruchu, zataczając obrót za obrotem.

Jego rysy łagodnieją. Podkurcza palce i paznokcie wbijają mi się w skórę.

– Chyba że jestem z tobą. Ty działasz jak grawitacja.

W tym momencie nic nie byłoby w stanie mnie od niego oderwać, nawet gdyby stanął w płomieniach.

– Wszystko wiruje – ciągnie niskim, ochryłym głosem. – Ale mój umysł zawsze ma ciebie w odwodzie.

Nocne powietrze pomiędzy nami rozgrzewa się do czerwoności. Zaraz złamiemy zasady. Będziemy się całować, kiedy nikt nie patrzy, na nic nie zważając. A może ja zważam, ale właśnie tego potrzebuję. Potrzeba mi jego ust i bioder, aby mnie unieruchomiły, aby zakotwiczyły mnie tu i teraz, jak zawsze każąc czasowi spowolnić, aż to się stanie moim realnym życiem, cała reszta zaś – mieszkanie wielkości znaczka pocztowego, bolące krzyże i kolana, pot spływający pod kitlem lekarskim i maską, noce spędzane na gapieniu się w sufit – przestanie dla mnie cokolwiek znaczyć i zmieni się we wspomnienie.

– Har! – krzyczy ktoś nad nami i czar pryska.

Zadzieramy głowy.

– Łap!

Nie widzę, kto z nich krzyczy. Widzę tylko Kimmy i Cleo, teraz nad nami, kiedy koło opada. Wychylone przez poręcz, zaśmiewają się histerycznie i nagle coś różowego jak flaming, falując i trzepocząc, spływa ku nam.

I ląduje prosto na moim podołku.

– Trzymaj, dobra? – woła Kimmy.

Cleo zgina się wpół, ramiona drżą jej ze śmiechu.

Wyn przechwytuje to coś i przykłada do siebie, tak że jaskraworóżowe miseczki stanika sterczą mu na piersi.

Nad naszymi głowami Cleo i Kimmy wyją ze śmiechu.

– Właśnie dlatego nie znoszę dostawać w prezencie ubrań, bo nigdy nie pasują – komentuje Wyn.

– Ale przynajmniej do twarzy ci w tym kolorze – stwierdzam.

Krztusi się chichotem i kręci głową.

– Dzięki, Kim!

Kimmy wychyla się gwałtownie, usiłując coś powiedzieć między spazmami śmiechu, ale Cleo ściąga ją z powrotem na siedzenie.

– Pozwól, Wyn. – Wyjmuję z jego rąk tyci biustonosz i oglądam go zdumiona. – W jakiej rzeczywistości to coś pasuje do cycków Kimmy?

Wyn rozdziawia usta i gapi się na Cleo i Kimmy, objijające się o siebie w kolejnych atakach wesołości.

– Cholera – mówi. – Tego się nie spodziewałem.

– Ja też nie. Zawsze uważałam Cleo za fanatyczkę wolnych sutków.

– Co tam się dzieje na górze? – woła z dołu Parth.

Zaczynają się zbliżać do rampy.

– Musimy działać szybko – mówi Wyn, oczekując, że czytam mu w myślach.

Czytam.

– Ty masz lepszego cela – stwierdzam.

– Przez grzeczność nie zaprzeczę. – Bierze ode mnie stanik.

Wychylamy się i widzimy, że Sabrina z Parthem za moment będą wysiadać. Wyn ciska stanik prosto na głowę Sab.

– Co to, kur...! – Sabrina milknie w pół słowa, kiedy Parth wrywa jej stanik z ręki i zaczyna go

ogłądać w jaskrawym, neonowym świetle, dokładnie w chwili, kiedy zatrzymują się przy cierpiętniku z obsługi.

Nawet stąd słyszymy, jak facet mruczy „millenialsi”, i zgodnie ryczymy ze śmiechu, aż łzy mi ciekną po policzkach.

– Stało się! – piszczę. – Zastąpiliśmy pokolenie rodziców, wchodząc w rolę pijanych mamusiek na wywczasach!

– Z całym szacunkiem dla mamusiek – mówi Wyn – ale chyba chodziło ci o upalonych tatuśków na wywczasach.

Pod nami Sabrina wstaje z siedzenia, godnie, z wysoko uniesioną głową. Wręcza stanik pracownikowi, po czym – głośno i wyraźnie, aby każdy w kolejce mógł usłyszeć – mówi:

– Czy macie tu biuro rzeczy znalezionych? Chyba ktoś to upuścił w czasie jazdy.

– Chyba zaraz nas wyrzucą z Festiwalu Homara, co? – pytam Wyna.

Odrzuca głowę do tyłu w kolejnym napadzie radosnego ryku.

– Pewnie na tym się skończy.

– Koniec epoki – ogłaszam.

– Co ty! – Zerka na boki. – Kolejny początek.

Ciągle rozchichotani, wysypujemy się z rovera na podjeździe. Sabrina opiera się o mnie ciężko, a za nami Kimmy niemal leży na Wynie. Jesteśmy już prawie przy wejściu, kiedy nasza kierowczyni, która wiozła nas tu bez obaw (i bez stanika), zrywa się i pędzi za róg domu.

– Dokąd to? – woła za nią Parth, machając rękami. – Ty masz klucze!

Wymieniam spojrzenia z Sabriną i ruszamy ku ciemnej stronie budynku. Cleo pchnięciem otwiera wejście na patio, zrzuca buty i nie przerywając biegu, rozpina spodnie.

Sabrina szturcha mnie, żebym przyspieszyła, i wybiegamy z rąga w samą porę, żeby zobaczyć, jak Cleo, już bez spodni, skacze do basenu. Kiedy inni nadbiegają, Sabrina obraca się ku Parthowi i wałąc w niego całym swoim ciężarem, wpycha go do wody.

Kimmy bez wahania rzuca się za nim, nie zdążywszy zdjąć jednego buta. Kiedy Sabrina startuje do mnie, z wrzaskiem odpycham jej rękę.

– Jesteśmy za starzy! – krzyczę. – Nie każ mi tego robić!

Trzymam ją za przeguby. Jej pokrzykiwania przechodzą w śmiech, kiedy chwiejemy się nad lustrem wody.

Ktoś z tyłu podcina mi nogi. Ramię otacza moją klatkę piersiową, do moich nozdrzy napływa zapach koniczyny i tracę równowagę.

Upadamy razem, splątani i bez tchu. Woda zamyka się wokół nas. Otwieram oczy pod powierzchnią, obracam się w jego objęciach. Wszystko jest brokatowym lśnieniem, początkowo mieniącym się drobinkami srebrnego błękitu. Ale oto on, cały błady w dziwnym świetle basenu. Włosy mu falują, tańczą wokół twarzy, a z nosa i kącików ust uchodzą bąbelki.

Chwyta mnie za ręce i przyciąga do siebie. Chciałabym winić zioło, ale nie mogę. To tylko ja i on.

Moje biodra prześlizgują się po jego biodrach i zawisają przy jego udach. Wyn bierze moje ręce, zakłada je sobie na szyję i tak razem tonimy, opadając coraz dalej od fosforyzujących nóg, młócących wodę. Przyciąga mnie płynnie do siebie; jego serce pulsuje przy moim obojczyku.

Aż docieramy do dna basenu. Głębiej już nie można. Wyn odpycha się od kafelków, posyłając nas z powrotem na powierzchnię.

Wita nas chłodne powietrze, śmiech i wrzask przy brzegu, gdzie Kimmy z Cleo połączyły siły, aby wciągnąć Sabrinę do wody.

I nie czuję się młoda. Czuję się żywa. Nagle wybudzona. Moja skóra, mięśnie, organy, kości – wszystko we mnie jest w jakiś sposób bardziej konkretne. Twarz i rzęsy Wyna błyszczą, koszulkę ma przylepioną do ciała. Delikatnie dotyka mojej szczęki, wodząc kciukiem po dolnej wardze, i patrzy, jak lekko rozchyłam usta, jakbym chciała wciągnąć go w siebie wraz z oddechem. Nasze płuca się rozszerzają, łapiąc powietrze, aż napieramy na siebie piersiami. Jego spojrzenie szuka mojego i tam, gdzie każdy może nas widzieć, bez złamania zasady, którą sama ustaliłam, mogąc udawać, że gram, choć robię to naprawdę – podaję mu usta.

**Nie całkiem w realu**  
**Ale jeszcze środa**

Najpierw Wyn muska językiem moją dolną wargę, a potem po prostu ją smakuje, jakby wcale nie planował pocałunku. Ale moje wargi i tak się dla niego rozchylają, więc z westchnieniem unosi usta i zagarnia nimi moje.

Ujmuje moją twarz w dłonie i zadziera mi głowę, pogłębiając pocałunek. Żar jego ust jest palący w porównaniu z łagodnym ciepłem wody.

Zero myśli, logiki, żadnych uczuć poza tymi, które dotyczą Wyna. Wsuwam mu ręce pod koszulkę i wbijam paznokcie w łopatki, a w odpowiedzi jego dłonie wędrują w dół mojego ciała, znacząc szlak gęsiej skórki. Oddech mi się rwie, kiedy wyginam się ku niemu, aż dotyk staje się zaborczy, a palce wdzierają się pod sukienkę, przyciągając mnie do siebie. Jego wzwód mnie bodzie, wywołując rozbłyski pod powiekami, a sutki mi twardnieją.

Po chwili moje plecy napotykają narożnik basenu. Nasze biodra napierają na siebie pod wodą, kiedy Wyn wędruje ustami po mojej szyi. Całuje mnie i delikatnie skubie zębami, kiedy wyczuwa, że drzę.

Skóra dosłownie pali mnie z pożądania.

Na szczęście nie jesteśmy sami i muszę się hamować.

Cleo i Kimmy udaje się wreszcie wepchnąć Sabrinę do wody i w niebo niesie się lawina bluzgów. Wyn przestaje na mnie napierać. Dotyka lekko czołem mojej skroni, a jego serce wali we mnie z każdym uderzeniem. Teraz pragnę już tylko iść z nim do łóżka. Gdzieś w głębi mam świadomość, że to fatalny pomysł, ale nie udaje mi się pociągnąć tej myśli.

– Ty masz dzisiaj pomysły, Clee! – krzyczy Parth.

Cleo przepływa obok nas na plecach, szczerząc się do księżycy w nowiu.

– Teraz widzę, że taki miałam plan w tym tygodniu – odpowiada.

Sabrina, parszkając wodą i odgarniając z oczu mokre pasma włosów, warczy:

– Chcesz powiedzieć, że twoim planem było zrzucenie stanika z diabelskiego młyna i wepchnięcie mnie do basenu?

Cleo opuszcza nogi i unosi się w wodzie.

– Coś w tym stylu.

Kimmy ciska w nas piłką plażową. Daję nura i odpływam od Wyna. Twarz mnie mrowi, uśmiecham się szeroko, aż do bólu, całe moje ciało wibruje.

Robię wszystko, żeby wrócić do rzeczywistości, do świata poza bańką Knott's Harbor, lecz niestety – totalnie i przerażająco istnieję tu i teraz, gdzie nic innego się nie liczy.

Kiedy wychodzimy z basenu, wycieramy się i idziemy na górę, życząc wszystkim dobrej nocy, moja brawura nieco słabnie. Wyn mocno trzyma mnie za rękę, kiedy zmierzamy korytarzem do ciemnej sypialni.

Ledwie zamykają się za nami drzwi, przyciska mnie do nich. Od tamtego pocałunku w basenie praktycznie ani na moment nie przestaliśmy się dotykać, ale teraz, kiedy wreszcie zostajemy sami, nagle znika pewność i pojawiają się zahamowania. Wyn drży i ja pewnie też. Zawsze trudno było powiedzieć, gdzie się kończy jedno i zaczyna drugie. Nasze dłonie się splatają, oddechy przyspieszają.

Co nie znaczy, że wszystko, co się działo w basenie, biorę za dobrą monetę. To po prostu część układu.

Rzecz w tym, że moje ciało ma plan, lecz umysł nie jest fanem tego pomysłu.

Miesiącami próbowałam zapomnieć, co straciłaś, mówię do siebie. Jak przeżyjesz przypomnienie? Jak przeżyjesz ponowną utratę tego wszystkiego?

Puls Wyna dudni w mojej piersi. Wtapiam się w niego, moje sutki napierają na jego przemoczoną koszulkę, aż wypuszcza z płuc nierówny oddech.



Pożarłabym go żywcem. Jestem jak wędrowiec na pustyni, z zaschniętym gardłem pożądamy oazy. Pierwszy łyk Wyna, tam, w basenie, tylko zwiększył moje pragnienie. Mój system nerwowy nie zważa, że to tylko miraż. Nasze energie się kumulują i powietrze pomiędzy nami zaczyna iskrzyć.

– Wszystko dobrze? – pyta niskim, napiętym głosem.

Prostuję się i unoszę ku niemu głowę jak zahipnotyzowany wąż. Dopada mnie słabość w kolanach, kiedy przez mokrą satynę czuję, jak spragnione dłonie dotykają mojego brzucha i zaczynają wędrówkę w górę. Usta Wyna suną wzdłuż obojczyka, jego ciepły oddech owiewa mi skórę. Mroczne spojrzenie szuka mojego, kiedy pieszczota zatrzymuje się na moim biuście. Podsuwam się pod ten dotyk. Wyn waży w dłoniach krągłości piersi. Kiedy zaczyna kciukami pieścić sutki, jęk wyrывa mu się z gardła. Bierze każdy w dwa palce i drażni, obserwując mój drżący, nierówny oddech i wyginające się ku niemu ciało.

Zsuwa mi ramiączko i całuje nagą skórę, którą odsłoniło. Za moment odciąga palcami drugie. Odchylam głowę w tył, łapiąc oddech, a Wyn wsuwa dłoń pod luźną już teraz górę sukienki i chciwie chwytam mnie garściami. Przysuwa się i rozsuwa mi uda kolanem. Otaczam ręką jego szyję, żeby nie upaść, kiedy zniża usta do moich piersi. Całe moje istnienie zbiega się w tym jednym punkcie delikatnego dotyku ust, palących żarem. Ściąga mi sukienkę, obnażając mnie do pasa i znacząc nagie ciało szlakiem pocałunków. Twarda dłoń zaborczo przyciąga mnie bliżej.

– Powiedz, żebyś cię pocałował, Harriet – prosi chrapliwie.

Nie wiem, czy chodzi o zranioną dumę, strach przed tą wszechogarniającą żądzą, czy jeszcze o coś innego – dość że nie jestem w stanie spełnić jego prośby.

– Powiedz, żebyś cię pocałował... – powtarza, wciskając się mocniej między moje uda.

Orzę mu palcami plecy, obejmuję go w pasie i trzymam mocno przy sobie. Czuję jego puls w kroku, a może to mój tak dudni. Granice naszych ciał się rozmywają, zanikają.

– Co robimy? – pyta Wyn.

– To chyba oczywiste – odpowiadam.

Napiera na mnie biodrami, a ja – niech mi Bóg wybaczy – chwytam go za pośladki. Kiedy unosi mnie, przypartą do drzwi, oplatom mu biodra nogami i zarzucam ramiona na szyję, czując jego twardy wzwód.

Chcę czuć go na sobie, w sobie. Chcę mieć go w ustach. Chcę, żeby jego ciuchy wylądowały na podłodze. Chcę naszych brzuchów klejących się od potu. Chcę słyszeć przy uchu jego niski namiętny głos. Chcę, żeby wszystko inne zniknęło.

– Czyli dokładnie co? – dopytuje przerywanym głosem, miętosząc moje piersi i znacząc mnie pocałunkami.

– Nie wiem...

Głuchy, pełen zawodu jęk grzęźnie mu w gardle i Wyn nieruchomieje, przyszpilając mnie do drzwi.

– To zły pomysł, Harriet – wyrzuca z siebie po paru sekundach. Opuszcza mnie na podłogę, ale się nie cofa.

Te słowa drenują ze mnie całe powietrze.

– Wiem – mówię.

Bo tak jest. Złamał mi serce, zniszczył je. I nawet gdybym mogła mu wybaczyć, co z tego, skoro mu się podoba jego nowe życie. Po prostu nie ma powrotu do przeszłości.

Tylko dlaczego, słuchając go, czuję, jakby rozszczepiono mi pierś na dwoje, niczym drewno ciosem siekiery.

Odpycham od siebie Wyna i naciągam ramiączka.

Cofa się.

– Wybacz, przestałem myśleć... – mamrocze.

– Nie jestem pewna, kto zaczął – przyznaję.

Drapie się po potylicy, marszcząc czoło.

– Ja też.

– Dlatego i ja powinnam przeprosić.

Kąciki jego ust unoszą się w uśmiechu, w którym nie ma nic z radości.

– Wszystko przez to miejsce – wzdycha.

O tak, to miejsce. Zbyt łatwo się tu zapomina o prawdziwym świecie, o naszej przeszłości,

o rzeczach, które nas zniszczyły.

I dlatego nie da się znaleźć drogi powrotnej.

Opieram się dłońmi o gładkie drewno.

– Wciągnęliśmy się w to i tyle.

Przez chwilę milczy, po czym odpowiada:

– Nie chcę znów cię skrzywdzić.

– Nie skrzywdziłeś mnie.

Sama się skrzywdziłam.

Zerka na drzwi ponad moim ramieniem niemal z poczuciem winy.

– Chyba pójde się przejść. Ochłonać.

Myśl, że miałby się oddalić, jest dla mnie torturą. Kiwam jednak głową.

Przebiega po mnie spojrzeniem od góry do dołu i z powrotem, aż spływam gorącem. Puls znowu tętni mi w kroczu.

– Masz całe łóżko dla siebie – dodaje, prześlizgując się obok mnie. Odsuwam się, żeby mógł otworzyć drzwi. – Nie musisz na mnie czekać.

Nie ma znaczenia, czy na niego czekam, czy nie. Kiedy tylko wsuwam się w pościel, mam wrażenie, jakby wcale nie wyszedł. Każdy powiew dochodzący z uchylonego okna to muśnięcie jego warg. Każdy dotyk pościeli to pieszczota jego dłoni. Każde skrzypnięcie domu to jego głos: „Powiedz, żebym cię pocałował”.

Usiłuję myśleć o czymś innym. Mój umysł jest jednak zafiksowany na Wynie.

Wcześniej tego wieczoru, kiedy Cleo i ja oparliśmy brody na skrzyżowanych rękach na brzegu basenu i trwałyśmy tak, leniwie poruszając nogami w wodzie, zagadnęła: „Jak twoje postępy w dążeniu do celu na ten tydzień?”. Moje spojrzenie momentalnie pobiegło do Wyna. „Na razie żadne”, odpowiedziałam.

Nie wiem nawet, czego oczekuję od tego tygodnia. Żebym dotrwała do końca i przeżyła? Żebyśmy nie zrujnowali ślubu Partha i Sabriny?

Moje życie weszło na swoje tory, od kiedy postanowiłam studiować medycynę. Na tym głównym odcinku łatwo jest podejmować decyzje. Poza nim rzadko bywam do nich zmuszona.

Ale nie chcę niczego żałować, kiedy ten tydzień się skończy. Chcę mieć poczucie, że wykorzystałam ten czas tak, jak chciałam, nawet jeśli tylko w małym zakresie.

Tylko czego ty chcesz, Harriet? – z tym pytaniem zasypiam.

Śnię, że Wyn wraca i kładzie się koło mnie. „Unieś ręce, kotku”, mówi i ściąga ze mnie mój T-shirt z napisem „Dziewica, która prowadzi”. „Jesteś tylko ty – szepcze w mój brzuch. – Idealna”.

Kiedy się budzę przed wschodem słońca, nadal jestem sama.

## Moje szczęśliwe miejsce West Village, Nowy Jork

Wyn i nasze pierwsze mieszkanie. Tylko my dwoje. Szumiący kaloryfer. Dyżurny duch, mający w repertuarze tylko dwa chwyt – otwieranie okna, kiedy na dworze jest zimno, i zrzucanie książek z regału. My, siedzący na podłodze i wyjadający makaron z pojemników na wynos, bo nie mamy jeszcze kanapy.

Nocne stoliki przyniesione z ulicy i doprowadzone przez Wyna do idealnego stanu. Półka powieszona nad naszym łóżkiem, zastawiona papierowymi wydaniem Jamesa Herriota, które Hank czytał Wynowi i jego siostrze, kiedy byli mali. Oraz jeden romans, o którym nie mieliśmy pojęcia, skąd się wziął. (Wyn twierdzi, że prawdopodobnie należy do ducha). Nasz pierwszy wspólny kąpiel, tylko nas dwoje – i wszystko jest słodko-gorzkie.

Parę tygodni temu, kiedy zbliżał się koniec umowy najmu mieszkania przy Morningside Heights, Cleo usadziła nas rzędkiem na zapadającej się kanapie Partha i oznajmiła, że nas opuszcza.

Nie tylko nasze lokum, ale i Nowy Jork.

Aby się udać do Belize, do pracy na farmie organicznej.

„To się nazywa WWOOFowaniem, od nazwy światowej sieci takich organizacji – wyjaśniła. – Dostajesz spanie i utrzymanie w zamian za pracę”.

Zapadło milczenie. Trwaliśmy tak długą chwilę, niczym unieruchomieni w kadrze. Jakbyśmy mieli tak pozostać na zawsze.

„To tylko na jakiś czas – tłumaczyła Cleo. – Mam sześciomiesięczny kontrakt”. Jednak mówiła to z płaczem.

Wszyscy wiedzieliśmy, że skończyła się pewna epoka.

Wreszcie usiedliśmy na dywanie i wzięliśmy ją w objęcia, tworząc wielki karczoł z Cleo jako sercem w środku.

Dzień przed jej wylotem Parth zorganizował pożegnalny wieczór z pokazem slajdów, upamiętniający nasze wspólne chwile z ostatnich trzech lat. Znowu płakaliśmy, ale rano dzielnie zrobiliśmy dobre miny i czule pożegnaliśmy Cleo na JFK. „Niedługo znowu się zobaczymy”, obiecała.

Staraliśmy się znaleźć nowe miejsce dla naszej pozostałej czwórki.

Nie udało się.

Wobec tego Parth zamieszkał z przyjacielem ze swojej uczelni, Sabrinie ktoś z Armasów udostępnił swój pusty loft w Chelsea, a Wynowi i mnie udało się wykrobać kasę na maleńkie mieszkanie nad księgarnią, w której pracował.

Pierwszego wieczoru w tym nowym miejscu co chwila zamykałam się w łazience, żeby się wypłakać. Do bólu tęskniłam za Cleo. Bałam się, że to już koniec. Że moi przyjaciele mogą się okazać jedynie przejściowymi postaciami w moim życiu – tak jakby rodzina nagle stała się obca.

Gdy po ostatnim ataku płaczu wyszłam z łazienki, powitała mnie niespodzianka.

Wyn ściągnął Partha i Sabrinę. Zjawili się z pizzą i szampanem.

„Pora na parapetówkę”, oznajmił Parth.

„A ja chcę sprawdzić, czy to miejsce jest tak nawiedzone, na jakie wygląda”, dodała Sabrina.

Po tym wieczorze mieszkanie stało się dla mnie domem.

I byliśmy tam szczęśliwi.

Parth z Sabriną raz na tydzień przyjeżdżali do nas na kolację i choć byliśmy już Legalnymi Dorosłymi, kiedy czasami nocowali u nas, rano chyłkiem kochaliśmy się po francusku, zanim wszyscy oddelegowali się do swoich zajęć – co w przypadku Wyna polegało na zejściu na dół do księgarni.

Ale kiedy zostajemy we dwoje, nigdy się nie nudzimy. Każdy kawałek siebie, jaki daje mi Wyn, jest skarbem, który traktuję z prawdziwym nabożeństwem.

Ostatnie słowa, jakie słyszę przed zaśnięciem, brzmią: „Tak bardzo cię kocham”. Czasami ja je wypowiadam, a czasami robimy sobie zawody, kto je wypowie ostatni, i przerzucamy się nimi jak dzieci.

Moje studia medyczne nabierają tempa. Zostaję asystentką swojego ulubionego profesora. Namiętność może słabnie, ale nie dotyk i uczucie. Miłość Wyna jest mocna i stała. Bardziej naturalna niż oddychanie, bo o oddychaniu nie myśli się na co dzień, czasem można zapomnieć, do czego są potrzebne płuca, i wpaść w panikę.

Ale ja nigdy nie zapomnę, jak kochać Wyna.

Czasami, kiedy leżę obok niego, z lodowatymi stopami wsuniętymi między jego ciepłe łydki, przez moją głowę przemykają słowa, jakby napływały z innej strony; jakby moja dusza słyszała jego szept we śnie: „Tu jest twoje miejsce”.

W sobotnie poranki pijemy kawę na kanapie i rozwiązujemy krzyżówki. A raczej zaczynamy rozwiązywać, bo stało się już tradycją, że szybko je porzucamy.

– Osiem ukośnie – czytam, kiedy całuje mnie po szyi. – Najślabsze ogniwo.

– Czy chodzi o pozbywanie się wyeliminowanych uczestników teleturnieju przy pomocy zapadni? – mamrocze Wyn.

– Nie wiem, nie oglądałam tego, ale słowo daję, kiedy przeczytałam to hasło, też sobie wyobraziłam tę zapadnię. Tylko czy to może być prawda? Śmiesznie brzmi, nie?

Wzrusza ramionami i przyciąga mnie do siebie, ale nie daje się oderwać od laptopa, kiedy wpisuję w okno Google’a: „najślabsze ogniwo zapadnia”.

Pierwsze wyniki pochodzą z forów. Od ludzi, którzy pamiętają ten teleturniej tak jak my, choć nikt nie potwierdza użycia zapadni.

– Jak to możliwe, że wszyscy źle to zapamiętaliśmy? – dziwi się Wyn.

Opowiadam mu o efekcie Mandeli – koncepcji, w myśl której zdarza się, że nawet bardzo duża część populacji może pamiętać coś w sposób jednakowo mylny, niemający potwierdzenia w rzeczywistości. Naukowcy tłumaczą takie współdzielone fałszywe wspomnienie konfabulacją bądź posługują się teorią rozmytego śladu, która głosi, że wspomnienia łatwo poddają się obróbce i są niewiarygodne. Inni z kolei zastanawiają się, czy efekt Mandeli nie potwierdza istnienia światów równoległych.

Wyn się uśmiecha, nawijając mój lok na palce.

– Lubię, kiedy mówisz do mnie w ten sposób, jakbyś oczekiwała, że zrozumiem.

Marszczę czoło.

– A ja nie lubię, kiedy udajesz mniej inteligentnego, niż jesteś.

– Nie udaję.

– Owszem, udajesz, Wyn. Poza tym fakt, że ktoś czegoś nie wie, nie oznacza jeszcze, że jest głupi.

– Ojej... – Jest wyraźnie rozbawiony. – A co oznacza?

– Że nie lubi się uczyć – odpowiadam po chwili namysłu.

– Ja lubię.

Wyn odsuwa mój laptop i przyciąga mnie do siebie. Czuję jego dłonie na udach.

– Opowiedz mi o światach równoległych i o tym, jak się mają do *Najślabszego ogniwa* – prosi.

– No cóż, jeśli założymy, że takie światy istnieją, możliwe, że nasza świadomość czasami do nich przenika. Być może spędzamy całe lata w jednej rzeczywistości, a potem przeskakujemy do innej, która różni się jedynie jakimś drobnym szczegółem. Na przykład tam jest teleturniej, gdzie graczy, którzy odpadli, usuwa się za pomocą zapadni. Ilość takich wersji może być nieskończona i wszystko, co kiedykolwiek mogło się zdarzyć, zdarzyło się tam i jeszcze się zdarzy.

Wyn unosi moją dłoń do ust z bardzo poważną miną.

– Jak myślisz, w ilu wersjach rzeczywistości my istniejemy?

– W tylu, że nie dalibyśmy rady ich zliczyć.

Wargi mu drgają w uśmiechu.

– A ty potrafisz liczyć w nieskończoność.

– To fakt – potwierdzam. – Tak się właśnie odsiewa kandydatów na medycynę. Stajesz przed lekarzami egzaminatorami i liczysz, że się nie przeliczysz.

Uśmiech się pogłębia.

– Pozwalają użyć palców?

– Żadna szanująca się uczelnia na to nie pozwala.

Rozpłascza moją dłoń pomiędzy swoimi.

– Cieszę się, że istnieję w jednym z tych wymiarów – mówi. – I współczuję innym Wynom, w których światach prowadzasz się z facetami takimi jak ten Hudson z Harvardu. Muszą być teraz strasznie nieszczęśliwi, Harriet.

– Tak samo jak inne Harriet ze światów, w których ty jesteś z kolejnymi wersjami tancerki Alison – ripostuję.

– Nie – odpowiada cicho i stanowczo. – W każdym świecie mam tylko ciebie. Nawet jeśli dla ciebie nie istnieję.

Nie, to tak nie działa.

Zresztą nieważne.

Ważne, że jestem tak ważna dla Wyna – mojego Wyna.

Jestem szczęśliwa jak nigdy wcześniej. Na razie nie zdaję sobie sprawy, że szczęście może być jeszcze bardziej pogłębione, intensywne aż do bólu, niemal jak rozpacz czy strata. Szczęście tak gorące i gorące, jakby miało cię spopielić. To uczucie poznaję później, kiedy Wyn wychodzi po chińszczyznę na wynos i wraca cały mokry od deszczu.

Słyszając kliknięcie zamka, unoszę głowę znad krzyżówki, po którą ponownie sięgnęłam, zeskakuję z kanapy i biegnę, żeby wziąć od niego przemoczone papierowe torby. Po drodze włączam czajnik z wodą na herbatę. Kiedy stawiam torby na blacie, Wyn obejmuje mnie w tali i patrzy na mnie spojrzeniem tak czułym i bezbronnym, jakby stało się coś strasznego.

A potem cicho, niemal szeptem, prosi:

– Wyjdź za mnie, Harriet.

– Tak – odpowiadam na jednym oddechu.

Wyn sztywnieje. Mruga gwałtownie, jakby usiłował zrozumieć, co właśnie powiedziałam. Czajnik zaczyna bulgotać, a ja ujmuję jego twarz w dłonie.

Marszczy czoło.

– Czekaj.

– Nie chcę czekać.

Gmera w kieszeni kurtki.

– Cholera... Daj mi chwilę. Zostań tutaj.

Odwraca się i biegnie do sypialni, a ja stoję w salonie, drżąc i nasłuchując trzasku otwieranych szuflad. Wreszcie wraca, niosąc w trzęsącej się dłoni niebieskie aksamitne pudełeczko.

Jest w nim stary złoty pierścionek z kwadratowym szafirem.

– Pomyślałem, że wygląda jak ty – mówi z wahaniem. – Nie był drogi. Dlatego jeśli ci się nie spodoba, kupię ci inny, jak tylko będę miał...

Jego twarz rozmywa mi się za zasłoną łez.

– Ty już go miałeś?

– Chciałem poczekać na idealny moment – tłumaczy niemal przeproszająco.

– I teraz jest idealny moment, tak?

– Nie mogłem się doczekać.

W moje myśli niepostrzeżenie wsącza się strużka zwątpienia.

– A jeśli będziesz miał mnie dosyć? – pytam szeptem.

– Harriet – odpowiada tonem lekko potępiającym i czułym zarazem – a jeśli ty się mną znudzisz?

Mój głos jest tak smutny, że brzmi niemal jak łkanie:

– Nigdy.

Teraz to Wyn bierze moją twarz w dłonie. Usta ma miękkie, a czoło strapione.

– W takim razie wyjdź za mnie.

– Zrobione – odpowiadam.

Całuje mnie, tak totalnie, z zębami, językiem, pożądliwie; błędzimy wygłodniałymi dłońmi po swoich ciałach, dążących już tylko do tego, aby stać się jednością.

Nigdy dotąd nie próbowałam sobie wyobrazić oświadczyn, ale gdybym to zrobiła, wyglądałyby zupełnie inaczej, tego byłam pewna. Nie skończyłyby się zjedzeniem chińskiego dania na wynos, które

braliśmy raz na tydzień, a potem seksem na zdezelowanej kanapie z Ikei. Śmiejemy się za każdym razem, kiedy Wyn uderza głową w ścianę, ale nie przychodzi nam do głowy, żeby się przenieść do sypialni.

Bo tak jest lepiej. Bo z nim wszystko jest lepsze.

Kiedy tego lata jak zwykle organizujemy zlot w Maine, Sabrina, Parth i Cleo – której udało się wyrwać z Belize – urządzają nam zaręczynowe przyjęcie z pokazem slajdów dokumentujących naszą znajomość (obficie ilustrowanych patyczkowatymi postaciami, które Parth dorysował w MS Paint).

Nieważne, jak bardzo jesteśmy zajęci i jak długo się nie widzieliśmy – spotkanie w letnim domu jest jak założenie starego T-shirta, spranego do miękkości.

Kiedy tu jesteśmy, czas płynie inaczej.

Rzeczy się zmieniają, ale my trwamy, rozwijamy się i nie zabieramy sobie powietrza.

Nasza miłość jest miejscem, do którego zawsze możemy wrócić, bo czeka na nas, taka sama jak zawsze, niezmienna.

„Tu jest twoje miejsce”.

## W realu

### Czwartek

Sabrina daje susa z kei na pokład smukłej białej wypożyczonej łodzi.

Wyn muska mnie w przelocie, idąc za Parthem po nabrzeżu, i ta nagła bliskość sprawia, że moje nogi zapominają, co mają robić, i stają jak wryte.

Kiedy dziś rano zeszedłem na dół, jadł owoce i tosty na tylnym tarasie. Włosy miał jeszcze wilgotne po prysznicu i był w czystym ubraniu. Musiał się wślizgnąć w nocy do pokoju i wyjść z rzeczami, nie budząc mnie. W każdym razie staraliśmy się uprzejmie siebie unikać.

Cleo przystaje, żeby wyciągnąć z plecaka fiolkę z tabletkami na chorobę lokomocyjną.

– Chcesz? – pyta mnie.

– Naprawdę przywiozłaś je ze sobą? – pytam. – A ja byłam dumna, że nie zapomniałam o niciach dentystycznych.

Wzrusza ramionami.

– Wzięłam na drogę tutaj. Jak czytam w samochodzie, robi mi się niedobrze.

Wyn zeskakuje na pokład, po czym podaje rękę Cleo, pomagając jej zejść. Mnie też chce pomóc, ale udaję, że nie zauważyłam jego gestu, i sama daję susa. Jak na złość w tym właśnie momencie jakiś silnik w marinie robi fałę, pokład się kołysze i tracę równowagę. Wyn chwyta mnie za biodra i przyciąga do siebie. Och, czuć jego ciało na swoim, od piersi aż do bioder, jest trzy biliony razy gorzej, niż przyjąć jego pomocną dłoń.

– W porządku? – pyta.

– Mmm... – mamroczę.

Cleo siada na jednym z piankowych siedzisk.

– Dokąd płyniemy?

Sabrina już zdążyła zająć miejsce za chromowanym kołem sterowym, a Parth uwija się po pokładzie, odplątując liny. A przynajmniej tak interpretuję to, co robi, bo ile razy miałam kontakt z jachtami, mój umysł lewitował, nie dostrzegając takich przyziemnych szczegółów.

– Dokąd wiatr nas zaprowadzi! – odkrzykuje przez ramię Parth.

– Czyli pora umierać – podsumowuje Cleo.

– Możliwe – odpowiada Sabrina. – Ale najpierw pooglądamy sobie maskonury i foki.

Parth odplątuje ostatni węzeł i wiatr wypycha nas z marin. Sabrina kręci kołem, kierując nas ku otwartej wodzie; morska woń staje się coraz bardziej intensywna, kiedy wiatr osadza nam sól na skórze.

Stojący na rufie Wyn obserwuje oddalające się nabrzeże. Wiatr zadziera mu koszulkę, raz po raz odsłaniając dół pleców. Nad naszymi głowami płyną chmury. Włosy Sabriny i białe linie jej wiązane na szyi stanika, podobnie jak biel szortów jaśnieją w słońcu na tle oliwkowej skóry. Parth dołącza do niej przy kole sterowym w białym lnianym komplecie. Górne guziki koszuli ma niedbale rozpięte w ten atrakcyjny sposób, który sprawia, że wygląda jak z reklamy Toma Forda. Tych dwoje śmiało można wziąć za gorące gwiazdy Hollywoodu podczas wakacji na Ibizie.

Ja tymczasem wyglądam jak wyczerpana opiekunka kolonijna, która się modli, żeby lato wreszcie się skończyło. I podobnie się czuję.

– Moim zdaniem zalecenie, aby wziąć wygodne stroje, mogło być lepiej sprecyzowane – mówię do Cleo.

Sabrina się rozpromienia.

– Przeczytałaś moje zalecenia!

Cleo opiera się o mnie; kolczyk w jej nosie lśni w promieniach słońca.

– Harriet, proszę, co Sab poradzi na to, że najlepiej czuje się w Guccim?

Sabrina krzywi się demonstracyjnie.

– Nie żartuj sobie. To jest Chanel!

– To chyba ty żartujesz! – Kimmy łąduje na siedzisku naprzeciwko nas. – Chanel? Na żagle?

Kiedy Wyn siada obok niej, pokazuję na niego ruchem głowy.

– Tak samo jak Wyn.

To nasz pierwszy kontakt wzrokowy tego dnia. I od razu mam wrażenie, jakby kostium kąpielowy zniknął mi spod ubrania.

– Serio, Wyn? Chanel? – upewnia się Kimmy. – Nie wiedziałam, że jesteś taki wytworny.

Wyn zwleka jeszcze moment, zanim przeniesie spojrzenie ze mnie na nią.

– Tylko majtki – wyjaśnia.

– Wiecie co – mówi Kimmy – moim zdaniem wszyscy przestreliliście z tymi strojami. Według instrukcji miało być wygodnie, ale jeśli pragniecie prawdziwej wygody, powinniście, tak jak ja, nie wkładać majtek.

– Absolutnie popieram! – ochoczo przytakuje Parth.

Sabrina ma zaskoczoną minę.

– Serio? Ty też nie nosisz majtek?

Parth siada obok Wyna.

– Skoro Kimmy może, czemu nie ja?

– Kimmy nie nosi białych jednorazowych męskich majtek – zauważa Wyn.

Parth zakrywa dłońmi krocze, po czym wzdycha z rezygnacją.

– Dobra, wszystko jedno. Każdy na tej łódce w którymś momencie widział mnie gołego.

– Ja nie – mówi Kimmy z nutą żalu.

– No cóż, Kimmy – odpowiada Parth – może dziś dopisze ci szczęście.

Spojrzenie Wyna po raz drugi szuka mojego. Silniczek w mojej piersi wchodzi na wyższe obroty.

Żeglujemy pośród wysepek, którymi usiane jest wybrzeże. Mijamy dwie latarnie morskie, po czym na chwilę się zatrzymujemy i wyciągamy komórki, żeby porobić fotki, kiedy napotykamy pierwszą gromadę tłustych fok wygrzewających się na skałach. Po chwili widzimy, że kłębią się też w wodzie wokół nas. Całe hordy, istny foczy kocioł.

– Szybko! – woła Kimmy. – Pomóżcie mi złapać którąś, żebym mogła ją wziąć do domu.

– To nie do końca moja dziedzina – odpowiada Parth – ale wydaje mi się, że takie działanie jest niezgodne z prawem.

– Możliwe, ale są wyższe, boskie prawa, które mówią, że tym wąsatym mordkom należą się buziaki. – Kimmy wychyla się przez burtę do słodkiej foczki, która albo drapie plecami o skałę, albo próbuje się przetoczyć na brzuch. – Poza tym wzięcie foki do domu od początku było moim ukrytym celem w tym tygodniu.

Cleo przygarnia ją do siebie.

– Czasami, kiedy coś bardzo kochasz, musisz to zostawić – mówi.

Muszę się starać, żeby nie patrzeć na Wyna.

– Super z ciebie chłopak! – woła Kimmy do foki, kiedy odpływamy. – Albo dziewczyna! Czy cokolwiek!

Kiedy zbliża się pora lunchu, cumujemy na jednej z wysp i przedzieramy się przez skalisty brzeg, patrząc, jak skrzypłocze roją się na mulistych płycznach.

– Przerażają mnie te stwory. – Parth się wzdryga.

– Wyglądają jak żywcem wyjęte z *Parku Jurajskiego* – mówi Wyn, lekko dotykając mojego łokcia, kiedy się pochyla, żeby lepiej widzieć. Powiew owija mnie jego zapachem niczym jedwabnym szalikiem.

– A ja je kocham – oświadcza Cleo.

– Pozwolę ci zabrać jednego do domu, jeśli wrócimy po moją foczkę – proponuje Kimmy.

– Przykro mi, dziecino, ale moim zdaniem nie możemy się podjąć takiej odpowiedzialności.

– Jeśli wasze zwariowane życie nie pozwala wam przyjmować przyjaciół, to co dopiero mówić o hodowli skrzypłoczy – zauważa kąśliwie Sabrina.

– Przystaniesz mi wreszcie docinać? – irytuje się Cleo.

Sab przygryza usta.



- Żartowałam.
- To nie było zabawne.
- Dobra, dobra, przepraszam!

Cleo odwraca się i przyspieszając kroku, wspina wśród powykęcanych od wiatru drzew.

Sabrina spogląda na Kimmy, a ta kręci głową.

- Daj jej spokój. Jest pod dużą presją.

Po raz pierwszy słyszę z ust Kimmy coś tak bliskiego reprimendy. Nie czeka na odpowiedź Sabriny, tylko spieszy za Cleo.

Sabrina obraca się w stronę morza, krzyżując ręce na piersi i prostując plecy. Krótco kręci głową, a śmiech, który wymyka się z jej ust, jest podszyty bólem.

- Może coś zjemy? – sugeruję.
- Świetny pomysł! – przyklaskuje Parth, podobnie jak ja pragnąc szybko załagodzić konflikt.
- Pójdę po prowiant – oferuję i zawracam do łodzi, skacząc po obrośniętych wodorostami głazach.

Po chwili zrzucam sandały i wskakuję na pokład.

- O co im chodzi? – słyszę za sobą głos Wyna.

Odwracam się i widzę, jak staje przed łódką. Szukam wzrokiem reszty. Sabrina i Parth z ożywieniem dyskutują o czymś na brzegu, a Cleo i Kimmy idą lasem, częściowo zasłonięte przez powyginane gałęzie sosen o ciemnych igłach i żółtozielonych liściach.

– Z tego, co wiem – odwracam wzrok, żeby nie poraziła mnie jego bliskość – Sabrina ciągle przeżywa, że nie zaproszono jej na farmę, a Cleo to wkurza.

- A Kimmy?

– Wkurza ją Sabrina, bo wkurza Cleo.

Łódź się kołysze, kiedy Wyn wchodzi na pokład.

- A gdzie w tym wszystkim jesteśmy my? – drąży.

– Nie wiem. Chyba powinnam się wkurzać na Kimmy, że się wkurza, co potencjalnie może wkurzać ciebie?

- Ty nigdy mnie nie wkurzysz, Harriet.

Mój śmiech jest drżący, niepewny.

- Oboje wiemy, że to nieprawda.

Przygląda mi się przez chwilę ze zmarszczonym czołem.

- Dobrze, mogę się frustrować, ale nie wkurzać.

- Co to za różnica?

Wbija wzrok w pokład, kiedy mi odpowiada:

– Gdy ty jesteś wkurzona, nie życzysz sobie nikogo obok. – Reaguje krótkim ruchem podbródka w lewo, jakby chciał pokręcić głową, ale w ostatniej chwili się rozmyślił. – A ja zawsze chcę być przy tobie.

Chcę przywołać jakieś kluczowe momenty z naszej historii, które obaliłyby to twierdzenie. Ale nie mogę. Pamiętam, jak działają włókna kojarzeniowe w mózgu, lecz nie umiem ich zmusić do sformułowania słów.

Wyn sięga po lodówkę turystyczną.

- Wezmę to.

– Ja wezmę – mówię, chwytając za rączkę.

- Harriet.

Odsuwam się od niego.

Wyn się śmieje.

- Co, znowu będziemy to robić?

- Co?

Ściąga brwi w słońcu; pełna górna warga wygina się niczym łuk Kupidyna.

- Klócić się o każdy drobiazg.

– To ma być kłótnia? – pryham.

- Harriet, w porównaniu z całą resztą naszej znajomości to jest burza z piorunami.

Znów zerkam na brzeg. Parth, obejmując Sabrinę ramieniem, wchodzi z nią po spróchniałych drewnianych stopniach, prowadzących z plaży na zalesione wzgórze. Są już blisko Kimmy i Cleo. Zwalczam

odruch pognania za nimi, żeby odegrać rolę buforu lub rozjemczyni.

– Nie rób tego – ostrzega cicho Wyn.

Odwracam się i patrzę na niego, czując napięcie w kręgosłupie.

– Czego mam nie robić?

– Nie idź do nich – odpowiada, przysuwając się bliżej.

Przetykam nerwowo.

– Dlaczego nie?

Wyjmuje mi lodówkę z rąk i stawia ją na ławce.

– Bo rozmawiamy.

– Chcesz powiedzieć, że się kłócimy?

Usta mu drgają.

– Powinniśmy przestać się kłócić, skoro zerwaliśmy – dodaję.

Teraz kąciki jego warg opadają.

– Harriet, nigdy się nie kłóciliśmy, kiedy byliśmy razem. Gdybyśmy... – Urywa, nie wyprowadzając ostatecznego ciosu. Ale ja i tak go czuję, ten nóż obracający się w moim sercu.

Na wyspie trąbka pneumatyczna trąbi trzy razy, szybko, nagle.

Nie ruszamy się, nawet tam nie patrzymy. Nasze pragnienie jest w tej chwili niemal namacalne.

– Cholera... – wzdycha Wyn, kręcąc głową. – Nie lubię cię nie dotykać.

Uciekam spojrzeniem w bok. Czuję się, jakbym zamiast serca miała jeden wielki odcisk, bolący przy każdym dotknięciu. Szkoda, że wcześniej tak nie mówił. Szkoda, że nie wiedział, co było nie tak i jak go straciłam. Może byłoby inaczej, gdybym uwierzyła, że da się to naprawić. Ale nie tylko on robił rzeczy, których nie da się już cofnąć. I powracanie do nich może tylko pogłębić ból.

Trąbka znów nas wzywa.

Odchrząkuję.

– Bierz lodówkę, a ja wezmę koszyk – mówię.

Z ociążaniem kiwa głową, po czym bierze lodówkę i przyciskając ją do piersi, odwraca się, żeby odejść.

**Moje nieszczęśliwe miejsce  
Godzina jazdy za Indianapolis,  
Indiana**

Skromny piętrowy dom na końcu cichej uliczki. Miejsce, gdzie wszystko jest znajome, ale nic nie jest moje. Drzewa zbyt nieruchome w stojącym wilgotnym upale. Roje komarów, tańczące w świetle latarni émy, a w tle chór cykad koncertujących w lesie.

Udało mi się odkładać ten wyjazd przez jakiś czas, ale dłużej się nie dało. Za wiele znaczył dla Wyna.

W drzwiach pytam:

– A może zawrócimy? Możemy udać, że nasz samolot się opóźnia.

– Dlaczego miałby się opóźniać? Jest czerwiec i piękna pogoda.

– Za ostre słońce. Oślepia pilotów.

Bierze moją twarz w dłonie. Brwi ma ściągnięte.

– Świetnie sobie radzę z rodzicami, Harriet. Sztuka rozmowy ze starszymi to jeden z talentów dany mi od Boga.

Jestem zbyt spięta, żeby się ustrzec autodeprecjacji.

– Nie o ciebie się martwię.

Przeczesa mi palcami włosy.

– Jeśli chcesz uciec, uciekniemy. Ale ja się nie boję.

– Przedstawiłam ich jako potworów, a przecież nimi nie są – szepczę. Nie wiem, czemu aż tak przeżywam swoją obecność w tym miejscu.

Na moment przywiera ustami do mojej skroni.

– Ja też tu jestem. I mam ciebie.

Słowa wnikają w moją skórę jak błyskawiczny środek uśmierzający.

– Po prostu... nie przestań mnie po tym lubić.

Wyn odchyła głowę, żeby popatrzeć mi w twarz.

– Masz zamiar mnie dźgnąć nożem czy co?

– Tylko w wypadku, kiedy nie byłoby lepszego sposobu na zaradzenie naszemu nieszczęściu.

– Harriet – przesuwa ustami od jednego szczytu mojej brwi do drugiego – jeśli byłoby możliwe, abym przestał cię kochać, zrobiłbym to w pierwszym roku znajomości, kiedy desperacko próbowałem. Jestem tutaj z tobą. Na dobre i na złe.

– Cóż, gdybym wiedziała, że potrzebujesz pomocy w zerwaniu ze mną, już dawno zabrałabym cię do Indiany.

Wyn, nie spuszczać ze mnie spojrzenia, sięga ponad moim ramieniem i naciska na dzwonek.

Rodzice wyglądają jak zmęczeni życiem ludzie z obrazów Normana Rockwella. Mama ma na sobie fartuch, a tata trzyma w ręku thriller Davida Baldacciego. Trudno o lepszy dowód, że jeszcze przed trzema sekundami każde z nich istniało osobno w tym domu.

Szywno ściskają Wynowi dłoń i choć nastawiłam się na niezbyt wylewne powitanie, jestem poruszona kontrastem pomiędzy weekendem z Connorami a powitaniem nas przez rodzinę Kilpatricków.

Po kilkunastu sekundach stania w drzwiach pytam:

– Czy Eloise się udało?

– Jest w kuchni – odpowiada matka, dając nam pretekst, żebyśmy weszli.

W jadalni moja siostra ściska rękę Wyna z takiej odległości, że oboje muszą się wychylić.

Wreszcie siadamy do stołu. Widelce i noże idą w ruch, nieprzyjemnie zgrzytając o talerze. Jestem ciekawa, czy Wyn sobie wyobraża, że wynajęłam przez internet obcych ludzi, aby odegrali moją rodzinę. Tymczasem on, o dziwo, przekonująco aprobuje wszystko – słodko-cierpki riesling z Ohio, domowy

strogonow, a nawet toczącą się przy stole rozmowę.

Opowiada mojej rodzinie o tym, jak się poznaliśmy, choć nikt go nie pyta, a potem o naszym ulubionym parku w mieście. Mówi, jak tęsknimy za Cleo, której nie widzieliśmy od czasu, kiedy podjęła pracę na farmie na północ od Montrealu.

Musiałam im kiedyś wspomnieć o międzynarodowym ekologicznym programie, w którym bierze udział Cleo, ale nie poznali nikogo z moich przyjaciół, dlatego wątpię, żeby pamiętali, kim ona jest. A jednak grzecznie przytakują.

– A ty jesteś kosmetolożką, tak? – Wyn zagaduje Eloise, która przez moment gapi się na niego, jakby usiłowała sobie przypomnieć, kim jest ten facet i co tu robi.

– Zgadza się – odpowiada.

– Córka jest jeszcze w szkole kosmetycznej – koryguje matka.

Eloise bierze widelec i powraca do jedzenia.

– Jest naprawdę dobra – mówię. – Kiedy byłam w liceum, zawsze mnie malowała na imprezy.

Były to jedne z naszych nielicznych siostrzanych momentów. Rzadko ze sobą rozmawialiśmy, ale te wspomnienia zawsze są miłe: kiedy zadzierała i opuszczała mi brodę, aby nałożyć bronzer na policzki, i kiedy uczyła, jak użyć cienia, żeby powiększyć moje niewielkie oczy w kształcie migdałów.

Tylko w takich momentach czułam, że mam siostrę.

– Ta dziewczyna jest zdolna jak mało kto – chwali tata, pokazując na Eloise widelcem z nawiniętym makaronem. – Przeskoczyła nawet trzeci rok. Kiedyś chciała być astronautką, jak ja, gdy byłem dzieckiem, ale w liceum wpadła w złe towarzystwo.

Eloise nie raczy nawet przewrócić oczami. Z niezmaconym spokojem atakuje nożem żyłasty kawałek mięsa i pakuje do ust kolejny kęs.

Czuję, że pot perli mi się na czole.

– Mnie tam słabo szło w szkole – przyznaje Wyn. – I nie była to sprawa złego towarzystwa, bo mój rocznik równo zawałał.

– A jednak dostałeś się do Mattingly – zauważa mama. – Czyli musisz być inteligentny.

– Jest – potwierdzam skwapliwie. – Ja musiałam zakuwać.

– I dzięki temu dostałaś się na medycynę – podkreśla tata.

Kurczę się w sobie, ale Wyn uspokajająco ściska mi kolano pod stołem.

– Ja nie studiuje medycyny – informuje.

– On studiuje prawo – mówi mama z rozdrażnieniem.

– Nie, to Sabrina i Parth studiują prawo – wyjaśniam. – Wyn pracuje w księgarni i zajmuje się renowacją mebli.

No wiecie, chodzi o mojego narzeczonego, wyjaśniam im w myśli, okraszając to uśmiechem, który powinni odczytać jako komunikat: Nie, wcale nie mam żalu, że nie pamiętacie nic z życiorysu mojego ukochanego.

– Och... – Mama przywołuje na twarz uprzejmy uśmiech. Wymienia z ojcem szybkie spojrzenie, na moment łącząc się z nim w niemym sojuszu.

– Czy myślicie o ślubie? – pyta Eloise.

– Za wcześnie na takie decyzje – odpowiada mama. – Harriet jeszcze studiuje. A potem będzie miała staże.

Momentalnie się spinam.

– Braliśmy to pod uwagę – mówię.

Pod stołem dłoń Wyna szuka mojej i splatamy je w uścisku. Przeciąga kciukiem po zgrubieniu na moim palcu wskazującym, który celowo przypaliłam sobie na grillu, kiedy po raz pierwszy wylądowałam w domu w Maine z Sabriną i z Cleo. Mój ci on! – triumfuję w myśli.

– Nie musimy się spieszyć – stwierdza Wyn. – Nie chcę zaburzać kariery Harriet.

To idealna odpowiedź dla moich rodziców. Odprężam się, widząc zadowolony uśmiech mamy.

Eloise opróżnia swój kieliszek i odkłada serwetkę na stół.

– Muszę już iść – mówi. – Jutro od rana pracuję.

– Kto robi sobie makijaż wcześniej rano? – rzuca mama, jakby to było niewinne, spontaniczne pytanie, a nie zakamuflowany wyraz dwudziestoletnich rozczarowań.

– Panny młode. – Eloise zdejmuję dżinsową kurtkę z oparcia krzesła. – Jak Harriet.

Mama podnosi się od stołu.

– Czekaj, może dam ci coś na drogę – mówi.

Eloise powstrzymuje ją gestem, argumentując, że ma mnóstwo pracy i nie będzie miała czasu nic zjeść, i mama, po krótkim żachnięciu, odpuszcza.

Następuje sekwencja pożegnalnych gestów i tych wszystkich „miło było was widzieć”, po czym Eloise znika z naszego zasięgu.

– Jeszcze wina? – proponuje mama.

Pijemy, siedząc przy uprzątniętym już stole. Z każdym łykiem ubywa napięcia i skrępowania – przede wszystkim dlatego, że Wyn opowiada o tym, jak latem została asystentką i jaki jest ze mnie dumny.

– Wiesz – mówi mu tata – nigdy nie musieliśmy się martwić o Harriet. Nie miała nawet fazy buntu.

– I nigdy nie wzywano nas w jej sprawie do szkoły – dodaje mama. – Świetnie się uczyła, często dostawała stypendia. Bez względu na kłopoty i stesy zawsze mogliśmy być pewni, że z Harriet jest wszystko w porządku.

Wyn rzuca mi spojrzenie, którego nie potrafię odczytać; w zarysie jego ust jest czułość, w ściągniętych brwiach – troska.

Potrafi ich także zręcznie podpuścić, żeby powiedzieli coś o sobie. Mama opowiada o pracy recepcjonistki w klinice dentystycznej.

– Oczywiście nie jest to chirurgia mózgu – zastrzega pogodnie – ale trzeba działać szybko i w skupieniu, więc nie mam czasu się nudzić.

Z kolei tata opowiada Wynowi o swojej pracy w szkole.

– Nie zaplanowaliśmy konkretnej przyszłości dla Harriet, ale wyszło wspaniale – mówi. – Nasza dziewczynka zmienia świat.

Promienieję. I cierpię.

Osobliwe uczucie, jakby wszechświat się zagęszczał wokół mnie, a jednocześnie coś eksplodowało mi w piersi. Jestem kulminacją ich straconych marzeń, ich niespełnionych, innych egzystencji – i zarazem są ze mnie dumni.

Zanim poczłapią do łóżka o dziewiątej czterdzieści pięć – odkąd pamiętam, przestrzegają tej godziny – idę z mamą do kuchni, żeby umyć naczynia.

– No i co myślisz? – pytam.

– O czym?

– O Wynie.

– Bardzo miły młody człowiek.

Czekam na dalszy ciąg. Przez długą chwilę po prostu wycieramy naczynia i odkładamy je do szafki. Wreszcie matka odwraca się do mnie i uśmiecha się blade.

– Niczego nie przyspieszaj. Masz przed sobą całe życie. Uczucia przychodzą i odchodzą, ale twoja kariera musi trwać. Musisz mieć coś, na czym możesz się oprzeć.

Zmuszam się do uśmiechu.

– Ale podoba ci się Wyn?

Z westchnieniem odkłada ścierkę i patrzy na mnie, marszcząc czoło.

– Jest uroczy, kochanie – mówi zniżonym głosem, zerkając na drzwi. – Ale szczerze mówiąc, nie widzę tego.

Moje serce na moment gubi rytm.

– Czego nie widzisz?

– Aby mógł cię uszczęśliwić. Ty go uszczęśliwiasz.

– Bo jestem szczęśliwa.

– Teraz tak. – Kiwa głową i znów zerka w stronę jadalni. – Ale on jest typem chłopaka, który będzie chciał założyć dom i mieć dzieci. Będzie potrzebował domatorki, żyjącej tak jak on. Zawsze wyobrażam sobie siebie z kimś bardziej rozwojowym, kto nie będzie wymagał od ciebie więcej, niż możesz mu dać.

Mrugam, czując, że pieką mnie oczy, cała twarz.

Matka nieco łagodnieje.

– Być może się mylę. – Znów sięga po ścierkę i wraca do wycierania naczyń. – Ledwie go

poznaliśmy. Po prostu uważaj, Harriet. – Wręcza mi talerz, a ja automatycznie go wycieram.

Czuję się jak pień, który rozłupała jednym ruchem siekiery. Brakuje mi Wyna, który jest w innym pokoju. Brakuje mi naszego mieszkanka z szumiącym kaloryferem i przyjaznym duchem przedstawiającym książki. Chciałabym teraz siedzieć na skałach w Maine, drząc od chłodu, objęta ramionami Cleo, obie ubrane w stare T-shirty z Mattingly, podczas gdy Parth i Sabrina spieraliby się, jak zrobić najlepsze s'mores. Idealnie przyrumienione – według Partha. Mocno spieczone – zdaniem Sabriny.

Nasza czwórka mówi sobie „dobranoc” w salonie i kiedy moi rodzice znikają za drzwiami sypialni, zostajemy tylko Wyn i ja. Przypadam do jego piersi, a on trzyma mnie długo, całując w głowę i kołysząc w objęciach.

– Tęskniłam za tobą – mówię do niego.

Bierze moją twarz w dłonie.

– W kuchni?

Przytakuję.

– Ja za tobą też.

– Chcę do domu – dodaję.

Jego ramiona nieruchomieją na moich plecach.

– Wrócimy tam. Razem. Za dwa dni. Ale najpierw chcę wszystko zobaczyć.

– Moje cycki? – pytam ze śmiechem.

– To też. Ale myślałem raczej o twoich plakatach z ukochanym boys bandem i sekretnych pamiętnikach.

– Chyba żartujesz. Zamiast plakatu miałam na ścianie układ pierwiastków.

Wyn jęczy.

– Boże, co za kujonka...

Splatam dłonie na jego nadnaturalnie ciepłej szyi.

– Ale nadal mnie lubisz?

– Ty jesteś moim układem pierwiastków.

Śmieję mu się w pierś.

– Nie wiem, co to znaczy.

– To znaczy, że kiedy wrócimy, wytapetuję ściany twoimi rozneglizowanymi zdjęciami.

Potem krążymy po parterze, szczegółowo zwiedzając dom. Kontrast pomiędzy Montaną a tym miejscem jest wręcz satyrycznie przerysowany. Zamiast lodówki oblepionej starymi pocztówkami i pożółkłymi dziecięcymi gryzmołami jest gładka, stalowa powierzchnia z białą ścierną tablicą i listą zakupów, starannie wypisaną ręką matki.

– Jogurt – czyta Wyn, pukając palcem w listę. – Fascynujące.

– Nie sądzisz chyba, że to wszystko – szerokim gestem pokazuję wokół – mogłoby się narodzić w domu bez jogurtu?

Całuje wierzch mojej dłoni.

– Ciągle nie rozumiem, skąd to się wzięło.

Wciąż mnie do jasno oświetlonego salonu. Tam zamiast wyblakłych fotografii w ramkach z makaronu przedstawiających mnie i Eloise w kostiumach halloweenowych domowej roboty, jak te, które w Montanie przedstawiały Wyna, Michael i Lou, wisi mój oprawiony dyplom, raczej z boku niż na naczelnym miejscu. Z drugiej strony pusta rama czeka na mój dyplom lekarza specjalisty. Kupili te ramy, kiedy zadzwoniłam do nich, że dostałam się na Columbię.

– Żadnych zdjęć z dzieciństwa? – pyta Wyn.

– W suterenie jest pudło z albumami – wyjaśniam.

– Możemy je wyjąć?

Schodzimy na dół, włączamy żarówkę u sufitu i szukamy właściwego kartonu. Po paru minutach idziemy z wybranymi albumami do mojego pokoju.

Historia moich rodziców rzadko była czymś więcej niż tylko korkową tablicą z przypadkowymi ujęciami i album w niewielkim stopniu ją uzupełnia. Garstka zdjęć ilustruje burzliwe początki ich znajomości w liceum, a potem okres nieplanowanej ciąży. Pięć stron zajął szybki ślub, kiedy brzusek mamy napierał na szwy sukienki, a kilka kolejnych poświęcono malutkiej Eloise. Rodzice byli zmęczeni, ale szczęśliwi.

Zakochani. Jeśli nie w sobie, to przynajmniej w dziecku.

Dalej dokumentacja zdjęciowa staje się bardziej sporadyczna. Jakies urodziny i Gwiazdki, podróż z ciotką i jej pierwszym mężem – zmęczenie rodziców wyraźnie postępowało. Nie zmęczenie typu: „dziecko całą noc płakało”, lecz wyczerpanie bezbrzeżną nudą nowych życiowych ról. W ich oczach niemal widać żal za utraconymi marzeniami.

A potem rodzę się ja. Rodzice znów wyglądają na szczęśliwych i zakochanych, kiedy piastują moje drobne, pomarszczone ciało ubrane w o wiele za duże śpioszki. Może tylko nie są aż tak radośni jak przy pierwszym dziecku. W ciągu sześciu lat mama przeszła metamorfozę od pucołowatej jak cherubinek niemal nastolatki do dorosłej kobiety o ściągniętych rysach. Tata nieco przybrał na wadze, a w kącikach jego ust zaczęła się rodzić gorycz. Nawet kiedy trzyma mnie na biodrze w zoo, z Eloise uwieszoną na drugiej ręce, i uśmiecha się na tle żyraf, sprawia wrażenie, jakby myślami był gdzie indziej.

Nie jest nieszczęśliwy, wygląda po prostu, jakby chciał czegoś więcej. Jakby on i mama wiedzieli, że są inne światy, ciekawsze i szczęśliwsze.

W miarę jak przerzucamy strony, posuwając się w czasie, Eloise coraz częściej jest nadąsana, zawsze trochę z boku, podczas gdy ja coraz częściej się uśmiecham, zupełnie jakby od tego zależało moje życie.

Wyn zatrzymuje się na zdjęciu, na którym trzymam nagrodę ze szkolnego konkursu naukowego i szczerzę się mimo braku jedynki.

– Mam nadzieję, że nasze dzieci będą miały twoje włosy – mówi.

Dzieci, myślę i uchodzi ze mnie powietrze. Sposób, w jaki to powiedział – tak gładko, z taką miłością – gwałtownie budzi we mnie tęsknotę za domem, podszytą smutkiem. Ale słowa mamy też tam przenikają, szepcząc do mnie z peryferii umysłu.

– A jeśli nie sprawdzę się w tej roli? Rodzica?

Wyn odgarnia mi włosy z szyi.

– Sprawdzisz się – zapewnia.

– Tego nie możesz wiedzieć.

– Wiem.

– Skąd?

– Bo sprawdzasz się w miłości – odpowiada. – I wystarczy tylko, żebyś kochała.

Ściska mnie w gardle. Oczy mnie pieką.

– Kiedy byłam małą, czułam się, jakbym balansowała na krawędzi. Jakby wszystko było takie... napięte i mogło w każdej chwili pęknąć.

– Wszystko, czyli co? – dopytuje.

– No... wszystko. Moja rodzina.

Sunie dłonią wzdłuż mojego kręgosłupa i kolistymi ruchami gładzi dół pleców.

– Ciągłe brakowało pieniędzy – kontynuuję. – Rodzice byli wiecznie zmęczeni zarabianiem. Dzisiaj chyba po raz pierwszy usłyszałam od nich coś dobrego o ich pracy. A potem, w miarę jak Eloise dorastała, zaczęły się wielkie awantury, kiedy jej przypominali, jak się poświęcali dla niej i jak to wszystko zmarnowała. Po tych kłótniach wybiegała, trzaskając drzwiami, a oni rozchodzili się do różnych pokoi. Za każdym razem byłam pewna, że to już naprawdę. Że Eloise nie wróci albo oni się rozstaną. Ciągłe czekałam, aż się stanie coś strasznego.

Palce Wyna muskają moją szyję i zatrzymują się na karku. Słucha, czeka i jak zawsze jego obecność wyciąga ze mnie prawdę. Jakbym miała wyszeptać swoje sekrety do pudełka i szczelnie je zamknąć – tak zwykle o tym myślałam.

– Wtedy zaczęłam zawierać te swoje układy z kosmosem – ciągnę, lekko się uśmiechając wobec tej niedorzeczności. – Że na przykład jak będę miała celujące oceny, to wszystko będzie dobrze. Albo jeśli po raz drugi wygram konkurs naukowy. Albo jeśli się nigdy nie spóźnię do szkoły, zmyję naczynia, zanim mama wróci z pracy, lub urządzę jej wspaniałe urodziny czy cokolwiek innego. Wiedziałam, że rodzice mnie kochają. Zawsze to wiedziałam – mówię gorzko. – Jednak prawda jest taka, że... – Czuję, jak Wyn czule ściska mi kark, jakby mówił: „trzymam cię”. – Przez całe życie usiłowałam im to wynagrodzić.

Zakłada mi kosmyk włosów za ucho, jak zwykle cierpliwy i spokojny, dający ciepło i bezpieczeństwo.

– Tyle ich kosztowałyśmy – opowiadam dalej. – Z naszego powodu nie mogli żyć tak, jak chcieli.

Ale myślałam, że jeśli będę wystarczająco dobrym dzieckiem...

– Harriet – przerywa mi, mocno tuląc mnie do piersi i zaciskając objęcia. Prawdziwa ludzka barykada. – Nie. – Jego głos jest teraz niższy. – Czasami, kiedy coś idzie nie tak, łatwo rzucić winę na kogoś innego. Bo wtedy sytuacja staje się prostsza. Zdejmujesz z siebie odpowiedzialność. Nie wiem, czy rodzice mieli taki ukryty przekaz dla ciebie i twojej siostry, czy z czasem wzięłaś winę na siebie, ale to nie była twoja odpowiedzialność. W żadnym razie. Twoi rodzice podejmowali takie, a nie inne decyzje i nie twierdzę, że ich położenie było łatwe ani że się nie starali. Jednak to nie wystarczyło, Harriet. Skoro w ogóle mogłaś tak myśleć, jeśli się, kurwa, zastanawiałaś, czy żałują, że cię spłodzili, to oznacza, że za mało się starali.

A jednak Wyn mnie nie rozumie.

Rodzice robili wszystko, co mogli. Rujnowali się na tutorów, płacili składki w każdym klubie, jaki mi się zamarzył, wozili mnie wszędzie i pomagali mi finansowo na studiach, choć musieli harować ponad siły, aby mi dopłacać do chesnego.

Nigdy nie byli wylewni, ale potrafili się poświęcać. Tak wygląda miłość i nienawidzę myśli, że chcę od nich czegoś więcej. Że nie mogę tak po prostu być wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobili, bo cały czas miałam świadomość, ile ich to kosztowało.

– Harriet – mówi z powagą Wyn – jesteś najlepszym, co mogło mnie spotkać. A oni mogą się uważać za szczęściarzy, mając taką córkę. Nawet gdybyś nie starała się sprawić, że będą z ciebie dumni, i tak powinni dziękować losowi, bo jesteś bystra, zabawna, dobra dla swoich bliskich i starasz się, aby wszystko było jak najlepiej. Okej?

Nie odpowiadam, więc powtarza:

– Okej?

– Jak miłość może się tak skończyć? – pytam ze zdławionym gardłem. – Jak można kogoś ogromnie kochać i pozwolić, aby tak się to skończyło?

Myśl, że mogłabym zniechęcić Wyna, jest jak tortura. Myśl, że on mógłby zniechęcić mnie, jest jeszcze gorsza. Albo myśl, że trzymałabym go na dystans, nie dając mu tego, czego chce.

– Może jednak miłość nie znika tak zupełnie – mówi. – Może łatwiej jest ją ignorować lub obracać w inne, negatywne uczucie. Ale ona ciągle jest w tobie, głęboko ukryta.

Znów ujmuje moją twarz i scałowuje łzy, które popłynęły mi z oczu.

– Chcesz, żebym ci obiecał, że zawsze będę cię kochał, Harriet? – szepcze. – Bo będę.

Lodowaty wyrzut adrenaliny, wybuch przerażenia, usztywnienie całego ciała i napięcie mięśni, aby nie dopuścić tych słów do głębi mojego serca.

Wyn może mi obiecać wszystko, ale uczucia przychodzą i odchodzą, a my jesteśmy bezsilni wobec tych zmian.

– Po prostu obiecaj – mówię – że skończymy wszystko, zanim samo się skończy.

Po twarzy przemyka mu ból. Chciałabym go cofnąć, ale nie jestem w stanie.

Tylko tyle mogę mu dać. I sobie. Skromny środek ochronny.

Jest tylko jeden sposób, który pozwala mi bardzo kogoś kochać i przeżyć – świadomość, że związek nie zdąży się stać toksyczny. Że zrezygnujemy z niego, zanim zdążymy zniszczyć się nawzajem.

– Jeśli zaczniemy siebie unieszczęśliwiać – mówię najbardziej rzeczowo, jak potrafię – nie możemy tego dalej ciągnąć. Nie zniosę codziennej myśli, że zaczynasz mnie nienawidzić.

– Tak się nie stanie – odpowiada cicho. – Nie mógłbym cię nienawidzić.

– Wyn, proszę. – Muskam napięte mięśnie jego zuchwy. – Muszę wiedzieć, że nigdy nie będziemy się ranić w ten sposób.

Jego spojrzenie błądzi po mojej twarzy.

– Nigdy nie przestanę o ciebie walczyć, Harriet.

Świat rozplywa mi się przed oczami. Wyn przyciąga mnie do siebie i trzyma mocno.

– I nigdy nie przestanę cię kochać.

Nie o taką odpowiedź prosiłam. Tej odpowiedzi desperacko pragnę.

Po paru latach, kiedy jest już za późno i fantomowy ból w piersi nie daje mi zasnąć, wyciągam wspomnienie tej rozmowy i odtwarzam ją w kółko. Dobrze zrobiliśmy, myślę. Pozwoliliśmy sobie odejść. To także rodzaj pocieszenia.



## W realu Czwartek

Siedzimy z palcami nóg zanurzonymi w lodowatej wodzie, jedząc ser, owoce i chleb, przyniesione z domu. Relaksujemy się w słońcu i patrzymy, jak po niebie płyną chmury, a potem wędrujemy leśnym szlakiem po miękkiej, sprężynującej ziemi usłanej sosnowymi igłami; pośród mchów i paproci lśniących od rosy.

Cleo wyraźnie wyluzowała, zapominając o spięciu, ale Sabrina jest dziwnie milcząca i trzyma się z tyłu. Za każdym razem, kiedy zwalniam, żeby się z nią zrównać, przyspiesza i dołącza do rozmów prowadzonych przez innych.

Kiedy wracamy na brzeg, nie chce nam się jeszcze odpływać, więc kładziemy się na czerwono-brązowych skałach i obserwujemy ptaki nurkujące pośród białych grzyw fal w oddali.

– Czego będzie wam brakowało najbardziej? – pyta Cleo.

– Kawy w Gorącym Kubku – odpowiada bez wahania Parth. – Uwielbiam, jak chodzimy tam rano, kiedy jest jeszcze chłodno i szaro, a ulice są puste. Sab i ja zawsze wtedy milczymy, bo nie przyjęliśmy jeszcze dawki kofeiny, ale i tak jest fajnie. U siebie w domu zawsze rano się spieszymy.

– Mnie też będzie tego brakowało – przyznaje Kimmy. – Oraz siedzenia na ławce przed frontowym oknem i witania się z przechodzącymi psami. I tych wszystkich antykwariatów, i podwórkowych wyprzedaży. Zawsze, kiedy tu przyjeżdżamy, kończy się na namawianiu Cleo, aby wynajęła bagażówkę na powrót do domu.

– Ogród udekorowany pułapkami na homary raczej się nie sprawdzi w regionie Nowego Jorku – stwierdza Cleo.

– No dobra, ale mogłybyśmy przynajmniej obwiesić sobie ściany tabliczkami z homarowych foodtracków. Uwielbiam ten napis „Wicked Pissah”\* z liter stylizowanych na wypalone drwa!

– A może tatuaż *wicked pissah*? – śmieje się Parth.

– Mam lepsze pomysły – komentuje Sabrina.

– Może wielkie homary? – rzuca Wyn.

– Albo syreny w stylu lalek Bratz? – dodają.

– Coś wymyślę. – Sabrina leży na boku, jedną ręką podpierając brodę, a drugą brodząc w płytkiej wodzie.

– A tobie czego będzie brakowało, Harry? – dopytuje Cleo. – Wymień choć jedną małą rzecz.

– Widoku was wszystkich, szczęśliwych – mówię.

Cleo klepie mnie po nodze.

– Tak myślałam.

Zastanawiam się jeszcze.

– I chyba... zasypiania.

Parth prychnął śmiechem.

– Serio mówię! – krzyczę.

– Więc twój ulubiony moment wspaniałego wyjazdu, który dla was zaplanowałam, to po prostu... do łóżeczka i lulu? – podsumowuje Sabrina.

– Nie. – Ciskam muszlą w iskrzący się język przyływu. – Chodzi o takie zasypianie, kiedy się jest zmęczonym, ale w tym dobrym sensie – tłumaczę. – Gdy człowiek czuje się spełniony, wykończony i zrelaksowany, ale i podekscytowany na myśl, że się obudzi i dalej będzie tutaj.

Czuję na sobie spojrzenie Wyna i odwracam wzrok.

– Po prostu chodzi o poczucie bezpieczeństwa – wyjaśniam. – Nie licząc oczywiście latającej trumny Raya.

Sabrina trochę zbyt gwałtownie chwyta mnie za rękę, po czym wzdycha.

– Mnie też będzie tego brakowało. Kurczę, kto by pomyślał, że zatęsknię za Rayem.

– A ja ze Bernie's – mówi Cleo.

– Mimo fantomowych kaców? – upewnia się Wyn.

– O ile wiem, był to mój ostatni kac, więc nie widzę powodu, żeby go uwzględniać.

Wracamy na jacht. Słońce powoli chyli się ku zachodowi. Woda się skrzy i robi się chłodniej. Rozbryzgi docierające od strony dziobu przynoszą kojące orzeźwienie, kontrastując z ciepłem słońca, wciąż grzejącym nam głowy.

Sabrina u steru promienieje. Jest tam, gdzie jej miejsce, i robi to, co kocha. A ja, bez względu na komplikacje mijającego tygodnia, zaczynam rozumieć, ile wart był ten czas.

Parth podaje nam corony z ćwiartkami limonki – oraz napój dla Cleo – a Sabrina włącza radio. Z głośników bucha *Dancing in the Dark* Bruce'a Springsteena. Ma się poczucie, jakby czas się zatrzymał, został zawieszony do odwołania. Dopóki tniemy wodę i słońce bryzgi znaczą naszą skórę, nie istnieje nic więcej.

Kimmy porywa Cleo do powolnego tańca, a Parth i ja kibicujemy im z naszych ławek, aż kombinacja zachodzącego słońca i piwa sprawia, że zaczynam ziewać. Obok mnie Wyn unosi zapraszająco łokieć i nie wiem, czy ponieważ wszyscy patrzą, czy zwyczajnie tego chcę, wtulam się w niego. Ciepłe ramię mnie obejmuje; mieszanka woni jego potu, mydła, dezodorantu i pasty do zębów otula mnie kojąco. Nawet dziś kupiłabym świece o zapachu Wyna, gdyby takie były w sprzedaży, i pozwalałabym się im wypalić do dna, aż ze szkła ulotni się ostatnia smużka woni.

Kiedy dopada mnie szczególnie zimny powiew, wtulam twarz w jego pierś, instynktownie szukając ciepła. Chłonę go z każdym oddechem, czując przyływ dopaminy. Wypiłam tylko połowę piwa, ale jestem jak pijana. Dłoń Wyna zsuwa się z mojego brzucha na biodro i lekko je ściska. Oddycham mu w szyję i rozprężający się z podbrzusza żar uderza w punkt pomiędzy moimi udami.

– To powinna być piosenka do naszego pierwszego tańca – mówi z rozmarzeniem Kimmy do Cleo. – Jeśli kiedykolwiek weźmiemy ślub.

„Jeśli kiedykolwiek weźmiemy ślub”.

Sztynnieję. Czuję, jak puls Wyna przyspiesza i uścisk słabnie. Przystań jest coraz bliżej, a wraz z nią rzeczywistość.

– Dlaczego właśnie ta, Kimmy? – pyta ze śmiechem Cleo.

– Chociażby z powodu tych magicznych momentów! – odpowiada Kimmy. – Nie wystarczy?

– Może i tak – zgadza się Cleo. – Jako że ślub jest czysto hipotetyczny, czemu Springsteen nie miałby nam grać do pierwszego tańca?

– Naprawdę nie chcecie się zenić? – pyta ją Parth.

– Cleo ma ambiwalentne uczucia co do instytucji małżeństwa – wyjaśnia Kimmy. – Ja też specjalnie się do tego nie rwę, dopóki nasz związek trwa i nic nie zapowiada, że miałby się skończyć. Uważam jednak, że sam ślub może być zabawny. Wiesz, taki kosztowny wypas na dopalaczach. Oczywiście nie obrażając waszej imprezy.

Prostuję się i odsuwam od Wyna, ogniskując spojrzenie na stadzie krążących nad naszymi głowami mew.

– Masz rację – przyznaje Parth. – To faktycznie pretekst do imprezy życia, ze wszystkimi, których kochasz, zebranymi w jednym miejscu.

– Z całą szóstką – precyzuje Wyn.

Sabrina wzrusza ramionami, biorąc kurs na wejście do portu.

– Tak było na ślubie moich rodziców. Po prostu idealnie.

– Nie wiedziałam, że tam byłaś – mówię.

Sporo wiem o związku jej rodziców, ale głównie o jego rozpadzie. Podobnie jak moi, raczej się rozmijali, kiedy matka Sabriny zaszła w ciążę. Jednak, inaczej niż moi, kiedy ich szczęście się ulotniło, szybko nastąpił rozwód. Po rozstaniu matka Sabriny kompletnie się posypała, głównie dlatego, że pan Armas nie tracił czasu i rychło poślubił norweską modelkę. Sabrina stała się dla swojej matki powierniczką, instytucją wsparcia i terapeutką w jednym. Tak było, dopóki była pani Armas też sobie kogoś nie znalazła. Z tego, co wiem, letnie sezony spędzane w Knott's Harbor były samotnymi jasnymi punktami w samotnym

dzieciństwie Sabriny. I było to jedyne miejsce, w którym oboje rodzice naprawdę mieli dla niej czas.

– Miałam cztery lata, kiedy wzięli ślub – wyjaśnia. – Były wakacje i trochę jeździliśmy po wybrzeżu. – Pojawia się przebłysk jej idealnie białego uśmiechu, jak gdyby pomimo wszelkich przeciwności wspomnienie tamtego czasu przetrwało, pilnie strzeżone, głęboko w sercu, gdzie nic nie mogło go zniszczyć. – Jest taka duża farma – ciągnie. – I w pobliżu znajduje się kaplica, stojąca przy leśnym szlaku. A właściwie... „kaplica” to nie jest właściwe słowo. Raczej pawilon na polanie wśród lasu, gdzie zza drzew prześwituje morze. Wracając do rzeczy: to był jakiś przypadkowy wtorek, kiedy rodzice postanowili, że wezmą ślub. Znaleźli kapłana i tam, w lesie, był tylko on, oni i ja. Sądzę, że ten gość nie był żadnym księdzem. Raczej jakimś ponurym striptizerem do wynajęcia, którego ojciec wyszukał w książce telefonicznej. Wszystko jedno. Ważne, że byliśmy szczęśliwi. Przynajmniej przez trzy lata.

Wydaje z siebie na wpół uformowany chichot i Parth dołącza do niej przy kole sterowym, obejmując ją w talii.

– A wy? Myśleliście już o waszym perfekcyjnym ślubie? – zwraca się do mnie Cleo, a ja czuję, jak skacze mi puls.

Wyn ratuje sytuację.

– Tak, w gmachu sądu, przed urzędnikiem – odpowiada gładko.

– Nie wierzę. – Kimmy kręci głową. – Jesteście zbyt romantyczni. Na pewno już rozmawialiście o perfekcyjnym czasie i miejscu. Na przykład w tej samej minucie i w tym samym miejscu, w którym wyznałeś Harry miłość, czyli na polu pełnym jej ulubionych kwiatów.

– Nie – odpowiada Wyn. – Może kiedyś tak myślałem, ale teraz uważam, że jeśli naprawdę chce się z kimś być, nie trzeba dążyć do perfekcji. – Jego spojrzenie wędruje ku mnie. – Gdyby tylko Harriet zechciała, byłbym gotów ją poślubić w kaplicy dla kierowców w Vegas następnego dnia po oświadczeniach.

Jego spojrzenie jest mroczne w umierającym świetle dnia – z typu tych, które zapadają jak ciężka kurtyna, odcinająca wszystko, co poza nią.

Tryb warunkowy, którego użył, przecina mnie jak nóż.

– Cholera, to na co czekacie? – pyta Parth. – Jeszcze dzisiaj znajdę wam w necie Elvisa. Załatwimy wszystko w czterdzieści pięć minut i zrobimy podwójny ślub.

Wyn wraca spojrzeniem do przystani.

– Powiedziałem: „gdyby zechciała”. Ale ona nie chce.

„Ty, ty, ty nie chcesz!” – krzyczy moje serce.

Wpływamy do portu.

\* Popularne określenie w dialekcie z Maine znaczące „cholernie dobre”.

## W realu Czwartek

Kiedy wracamy do domu, wszyscy się rozchodzą, żeby przed kolacją zmyć z siebie brud całego dnia. Dziś przypada Taco Czwartek – nasza tradycja, zgodnie z którą Sabrina przygotowuje przeobfity posiłek, podczas gdy reszta kręci się wokół niej w roli kuchennych pomocników.

– Dzisiaj – zarządza Sabrina, kiedy zbliżamy się do wejścia – zrobimy sałatkę z grejpfruta i awokado, polaną cytrynowo-fenkułowym dressingiem. Do tego frittersy z cukinią i grillowaną kukurydzą. I wreszcie tacosy ze smażoną rybą dla mięsożerców z naszego grona oraz wegańskie, z jackfruitem, dla Kimmy i Cleo. – Dodatki się zmieniają, podobnie jak sosy, ale Sabrina konsekwentnie twierdzi, że najgorszą wadą wakacji w Knott’s Harbor jest brak dobrego baru tacos i że ma obowiązek wypełnić tę lukę.

Niespiesznie schodzę na dół, podczas gdy reszta pędzi na górę. Czekam, aż Wyn wyjdzie z pokoju z czystym ubraniem i pójdzie pod prysznic na patio, bo zawsze tak robi.

– Łazienka jest dla ciebie – mówi, ruchem głowy pokazując schody na froncie domu.

– Dzięki.

Oboje przez moment stoimy jak przymurowani do podłogi.

On pierwszy zmierza do tylnych drzwi.

Na górze przeglądam swój bagaż w poszukiwaniu czegoś na tyle wygodnego i ciepłego, abym mogła wysiedzieć na patio w chłodny wieczór, po czym kieruję się do łazienki. Ekran mojego telefonu rozświetla się na nocnym stoliku, więc sięgam po niego.

To esemes od mamy, ale nie mam pojęcia, o co jej chodzi.

**Wiem, że się boisz, ale nie odkładaj tego. Im dłużej zwlekasz, tym będzie gorzej. Musisz jej powiedzieć, Wynnie...**

Odrzucam komórkę, jakby to był wąż, zorientowawszy się, że moja leży po drugiej stronie łóżka.

Cofam się o krok z wściekle bijącym sercem. Sama nie wiem, czy bardziej się boję przyłapania z telefonem Wyna, czy tego, co jeszcze w nim znajdę. Raczej tego drugiego.

Przez długą chwilę nie wiem, co robić. Mój umysł gorączkowo rozważa najgorsze scenariusze. Co Gloria chciała, aby Wyn koniecznie mi powiedział?

Coś o jej zdrowiu.

Coś o jego zdrowiu.

A może zaczął ją przyzwyczajając do myśli o naszym rozstaniu, stopniowo doprowadzając do przekonania, że nie pasujemy do siebie i że nie ma to nic w wspólnego z koniecznością fizycznej rozłąki, spowodowanej opieką nad nią.

To nie ma znaczenia. Już nie. Ta myśl kołata się we mnie jak wściekła kulka w pinballu, odbijająca się od kolejnych przeszkód. Wyn jest szczęśliwy. Mógł pojechać do Monatany, do matki, tymczasem jest tutaj – dla własnej przyjemności.

Ona musi wiedzieć, jaki jest szczęśliwy. Musi wiedzieć, że dojrzał do rzucenia mnie.

Siadam ciężko na brzegu łóżka i po policzkach zaczynają mi spływać łzy. Nie wiem dlaczego, ale to dla mnie jak kolejny etap rozstania. Ostateczne zaakceptowanie faktu, że Wyn idzie dalej sam. Że wszystkie te momenty, których kurczowo się trzymałam – jak małych, mentalnych tratw ratunkowych – dla niego są już tylko wspomnieniem.

A jednocześnie nadal nie wiem, o co chodzi w tym esemesie.

Mogę się nim zamartwiać przez cały dzień, ale to nie moja sprawa. Równie dobrze mogę powiedzieć Wynowi, że moje życie nie jest jego sprawą.

Nie zapytam o to. Nie mogę. Może sam zechce mi powiedzieć, ale minęło wiele czasu od chwili,

kiedy udzielił mi jakichkolwiek odpowiedzi. Więcej niż pięć miesięcy.

Z drżeniem biorę oddech, prostuję plecy i wchodzę pod prysznic.

I tam znów płaczę.

Ty głupie, głupie, głupie serce. Czy nie wiesz, że on już od dawna nie jest twój? Więc za kim tak płaczesz?

## Mroczne miejsce San Francisco, Kalifornia

Mieszkanie z jedną sypialnią, o poszarzałych ścianach, które planujemy pomalować na jasnoniebiesko. Wyszukaliśmy je w internecie i mimo ciasnej kuchni i małych okien uwierzyliśmy, że da się tę norę przekształcić w przytulne gniazdko. Takie, w którym w końcu zaplanujemy nasz ślub, po latach odkładania decyzji.

Wyn nawet nie mrugnął okiem, kiedy po pierwszej wizycie u moich rodziców powiedziałam, żebyśmy poczekali ze ślubem, dopóki nie skończę studiów. I nie chodziło o to, co wtedy w kuchni powiedziała mi mama – choć bardzo chciałam, żeby zobaczyła, jak bardzo się myliła. Chciałam, by zobaczyła, jak ładnie Wyn mnie kocha, jaki jest cierpliwy, dobry i miły.

„Wszystko w swoim czasie”, powiedział.

Kiedy na moim ostatnim roku na Columbii kwestia ślubu ciągle schodziła na margines, stało się jasne, że zaplanujemy go dopiero, kiedy będzie wiadomo, dokąd trafię na staż.

Parę miesięcy zajmuje mi przywyknięcie do pracy w szpitalu. A raczej w szpitalach, bo przerzucają nas, żebyśmy nabyli doświadczenia w różnych miejscach. Świetnie mi szło na studiach, podobnie jak wcześniej w liceum, ale staż to zupełnie inne doświadczenie. Wszystko dzieje się zbyt szybko i ledwie nadążam. Kolana oraz stopy bolą mnie od całodziennego stania, a mózg nie potrafi ogarnąć topografii szpitalnych pięter i wszystko mi się myli, dlatego stale jestem lekko spóźniona. Po czterech tygodniach dziewczyna z czwartego roku stażu, Taye, o bujnych czarnych lokach i figurze modelki, łapie mnie za ramiona, kiedy mijam ją w pędzie.

– Weź parę oddechów – radzi. – W pośpiechu popełnia się błędy, a nas nie stać na błędy.

Kiwam głową na znak, że rozumiem, lecz za moment udowadniam, że jestem mało przekonująca, strącając na odchodnym kubek z długopisami z recepcyjnej lady.

To Wyn znajduje miejsce na wesele – stary, odrestaurowany spichlerz nad zatoką, który przyjmuje rezerwacje na początku zimy.

– Jeśli tobie się podoba, mnie też – mówi.

Wpłacamy zaliczkę, ale mijają miesiące, a my wciąż niewiele realizujemy z tego planu. Zbyt dużo decyzji trzeba podjąć, zbyt duże są koszty, a Wyn, mimo wykształcenia ekonomicznego, nie może znaleźć pracy z pensją powyżej minimalnej.

– Strasznie źle wypadam na rekrutacji – wyznaje pewnego wieczoru, zmęczonym gestem ścierając stres z twarzy po kolejnym mejlu typu: „Przykro nam, lecz profil naszej firmy nie odpowiada pańskim oczekiwaniom”.

– Bo mówisz do siebie. – Siadam mu na kolanach i obejmuję jego szyję. – Następnym razem po prostu odpowiadaj na każde pytanie, tak jak odpowiadasz mnie.

Przytakuje z ponurą miną.

– Czyli jeśli zapytają, jakie mam zalety, powiem, że jestem świetny w łóżku.

Prycham śmiechem z nosem przy szyi Wyna, wdychając jego zapach.

– Przestrzegałam tej zasady przy rozmowach o stażu i mnie przyjęli.

Odgarnia mi włosy z twarzy i całuje kącik moich ust.

– Odpowiadaj im tak, jak ludzie, których kochasz, odpowiedzieliby tobie – radzę.

Więc próbuje. Oboje próbujemy.

Znajduje kolejną posadę w księgarni, ale płacą niewiele więcej niż minimum. Nie wystarczy na czynsz, więc po paru tygodniach po raz kolejny bierze dodatkowe pół etatu w naprawach tapicerskich.

Aż pewnego ranka, kiedy wracam do domu po nocnej zmianie, zastaję go siedzącego przy stole w ubraniu z poprzedniego dnia. Telefon z pękniętym ekranem leży na podłodze.

– Wyn? – Serce podchodzi mi do gardła.

Unosi głowę i osuwa się z krzesła na podłogę, łkając. Dopadam go, klękam i przyjmuję na siebie jego bezwładny ciężar. Wyn wtula się we mnie, z głową na moim ramieniu, wczepiając się rękami w mój lekarski kitel tak mocno, jakby chciał go rozerwać.

Długo nie jest w stanie wydobyć z siebie słów.

Żeby mi powiedzieć, że Hank odszedł.

## W realu

### Piątek

– Jutro powinniśmy wam wyprawić prawdziwe wesele – rzucam przy śniadaniu.

– Och, dzięki Bogu, ktoś to wreszcie powiedział – mówi Kimmy, zanurzając łyżkę w miseczce z jagodami acai.

Parth zerka w stronę Sabriny, które wyciera ręce w serwetkę.

Siedzimy przy białym stoliku z kutego żelaza w kipiącym zielenią ogródku Bluebell Inn, wtulonym w jedno ze zboczy nad przystanią. Kelner podaje nam kolejne cappuccino, po czym przechodzi do następnego stolika.

– Nie potrzebujemy fajerwerków – mówi Sabrina. – Wystarczy nasza szóstka i tylko to jest ważne.

– Nie chodzi mi o fajerwerki – odpowiadam. Kiedy w nocy rozmyślałam, nie mogąc zasnąć, stało się dla mnie jasne, że jeśli mam przeżyć ostatnie dwa dni i się nie posypać, muszę zapewnić jakieś zajęcie swojemu umysłowi. – Tylko o coś takiego jak tort. Fotograf. Może coś starego, nowego i niebieskiego, czy jak to tam szło?

Siedzący obok mnie Wyn tłumy prychnięcie.

– Całkiem fajny pomysł – stwierdza Parth, znów zerkając na Sabrinę.

– To już jutro – przypomina mi Sabrina.

– Parę godzin wystarczy – zapewnia Cleo.

– Jeszcze mniej, jeśli podzielimy role – dodają.

Zadanie do wypełnienia i chwila dla siebie, połączenie idealne.

Sabrina pochyła się i spija piankę ze swojego cappuccino.

– Dobrze. – Kiwa głową. – Okej, działamy. Ty i Wyn załatwicie tort.

O nie, tylko nie to.

– Nie lepiej, aby każdy zajął się jedną rzeczą? Pójdzie jeszcze szybciej – podsuwam.

– Nie, bo zrobi się zamęt i skończy się na sześciu tortach.

– Pewnie dlatego Harriet to zasugerowała – wtrąca Wyn.

Ignoruję go, przegrupowuję psychiczne siły i znów staję do walki.

– Skoro mamy działać w parach, powinnam być z tobą – mówię do Sabriny. – Wtedy będziesz miała taki tort, jaki lubisz.

W odpowiedzi lekko przechyla głowę, a w jej oczach widzę ukryty błysk.

Od czasu, kiedy odebrała mnie z lotniska, praktycznie nie miałyśmy okazji pogadać na osobności i teraz po raz pierwszy się zastanawiam, czy wynika to z jej obawy, że potwierdzę rozstanie z Wynem, czy po prostu Sab woli mnie unikać.

Krótko kręci głową.

– Każdy tort będzie dla mnie dobry. Jeśli zależy mi na czymś poza samą ceremonią, to tylko na wieczorze panieńsko-kawalerskim. I tym zajmę się osobiście.

– Ja bym chciał zaplanować – zgłasza się Parth.

– Jasne, zrobimy to razem, a Cleo i Kim niech załatwią fotografa. Jeśli oczywiście zechcą.

– Z przyjemnością – potwierdza Cleo.

– Ale macie na to nie więcej niż dwie godziny, okej? – zastrzega Sabrina. – Obojętnie, na jakim będziecie etapie, za dwie godziny spotykamy się w domu.

Spojrzenie Wyna mknie ku mnie i wbijam wzrok w podłogę.

To tylko dwie godziny, myślę.

Co ja narobiłam.

Nie wiem, czy wyczuwa mój dyskomfort i reaguje troską, czy jego też coś martwi. Może ta



wiadomość od Glorii, a może coś zupełnie innego. Ale kiedy jeździmy od cukierni do cukierni, niewiele rozmawiamy.

Tak mija popołudnie. Wykorzystaliśmy już dziewięćdziesiąt minut z dwugodzinnego limitu, kiedy w piątej z kolei cukierni mówią nam, że nie obsługują ślubów.

– Nikt tak nie wybrzydza jak rodzice młodej pary – tłumaczy właścicielka o czerwonej twarzy.

– Naprawdę mówiliśmy o ślubie? – Wyn parska śmiechem, zerka na mnie i wali się dłonią w czoło, po czym jeszcze raz zwraca się do kobiety, opierając się o ladę z oszołamiającym uśmiechem z gatunku tych, które wyglądają, jakby mu podciągnięto wargę na haczyku. – Oczywiście chodziło o urodziny. Po prostu od czterech lat gadamy o tym ślubie i wbiło nam się w głowy, stąd przejęzyczenie. Tort ma być urodzinowy.

Właścicielka cukierni przygląda się nam nieufnie.

– Na naszych urodzinowych tortach jest napis „Happy Birthday” – zaznacza.

– Dobrze, a zwykły tort? – pytam.

– One też mają ten napis – odpowiada, najwyraźniej nie chcąc iść na lewiznę.

– Świetnie – kwituje Wyn. – W takim razie poprosimy red velvet.

Kobieta wydyma usta.

– Komu ma być dedykowany?

Dobrze wie, że chodzi o tort weselny, ale usiłuje nam wcisnąć tort z urodzinowym napisem.

– Niech będzie napis: *Happy Birthday, Wicked Pissah* – proponuje Wyn.

– Nie można użyć *wicked pissah* w takim zdaniu – poucza nas cukierniczka.

Liczba warunków, jakimi obwarowany jest ten tort, rośnie z każdą chwilą.

Uśmiech wykwita z kącika ust Wyna.

– To taki żart sytuacyjny.

Babsko nie raczy się uśmiechnąć, ale sięga po notes, aby zapisać naszą nie-ślubną dedykację.

Wracamy do rovera i znów zapada między nami milczenie.

Kiedy jesteśmy w połowie obsypanego dzikimi kwiatami wzgórza, na drodze prowadzącej do letniego domu, Wyn nagle zjeżdża na żwirowy parking z widokiem na ocean.

– No dobrze – mówi, obracając się ku mnie.

– Co? – pytam.

– Co się dzieje?

– Nic – kłamię.

Odrzuca głowę do tyłu w napadzie sfrustrowanego śmiechu.

– Harriet, proszę cię.

– O co ci chodzi?

– Nie udawaj, że wszystko jest w porządku. Odsuwasz się ode mnie.

– Ja się odsuwam? – Z trudem wyduszam słowa ze zdławionego gardła. Nagle czuję się tak sfrustrowana, że dopada mnie jakiś rodzaj klaustrofobii.

Odpinam pas, otwieram drzwi i chwiejnie wychodzę w ostre popołudniowe słońce.

Wyn również wysiada, okrąża maskę i staje przy mnie.

– To nie fair.

Nerwowo macham rękami.

– Co jest nie fair?

– Współpracujemy – mówi. – Działamy jak przyjaciele i nagle ty...

– Przyjaciele? – parskam gorzkim śmiechem. – Ja się nie chcę z tobą przyjaźnić, Wyn!

– Ja też nie! – wykrzykuje.

Odwracam się w stronę szczytu, ale chwytam mnie za rękę i zwraca z powrotem ku sobie. Nie wiem, jak to się dzieje – daję głowę, że nie zwerksłowałam ku jego ustom, ale też nie sposób temu zaprzeczyć, bo mam pewność, że inicjatywa nie wyszła od Wyna. Sam by nie zaczął pocałunku. Tym bardziej ja nie powinnam tego robić. A jednak to robię.

Ja.

Moje palce zaciskają się na jego koszuli; dłonie Wyna przytrzymują moje plecy i całujemy się, zachłannie, w pośpiechu, jakby ktoś nam odliczał ostatnie sekundy.

– O co chodziło w wiadomości? – sapię, kiedy nasze wargi się rozłączają.

- W jakiej wiadomości? – pyta, odsuwając się ode mnie, i opiera się o samochód.
- Od twojej mamy – wyjaśniam. – Widziałam wiadomość od niej.
- O nic – odpowiada krótko, sadzając mnie na masce.
- Wyn.
- Sprawy związane z pracą, Harriet. – Zakłada sobie moje uda na biodra.
- To nie ma sensu – mówię, kiedy sunie pocałunkami w dół mojej szyi, pieścąc palcami ucho.
- Mogę ci to zaraz wytłumaczyć – szepcze. – Albo zamiast tego możemy się kochać w samochodzie. Żar spływa mi od brzucha w dół i ściskam Wynę udami, kiedy pogłębia pocałunek.
- W samochodzie? Jesteśmy niecałą milę od domu.
- Jestem z tobą tu i teraz, Harriet.

Napieram na jego barki i odsuwam go, choć moje ciało lgnie do niego.

– Powiedz mi – nalegam.

Cofa się o krok. Jakieś auto mija nas w pędzie i Wyn mruga, jakby ocknął się z transu. Drgnięcie niepokoju ściąga jego brwi i usta. Teraz widzę, że miałam rację – jest coś, co powinnam wiedzieć.

Wreszcie ze zrezygnowanym westchnieniem wyjmuje telefon z tylnej kieszeni i przez kilkanaście sekund coś w nim klika, w nerwowym skupieniu przygryzając dolną wargę, a ja czekam, z nerwami napiętymi jak struny.

Podaje mi komórkę.

Barkuje mi tchu.

Ma tam otwartą stronę jakiegoś hipsterskiego, minimalistycznego sklepu. Białe tło. Eleganckie menu. Galeria. Kontakt. Social media. Pod nimi fotografia masywnego dębowego stołu na cokole ustawionego na zielonej łące. Otaczają go krzesła, każde z innego kompletu; spomiędzy ich nóg wykwitają polne kwiaty. Na horyzoncie linia gór rysuje się na bezchmurnym niebie.

Ten obraz jest tak piękny, że aż boli. Czuję ten sam tęskny smutek, który mnie ogarniał, kiedy w dzieciństwie jechałam o zmierzchu rowerem do domu, mijając oświetlone kuchenne okna i widząc śmiejących się ludzi, nakrywających do stołu albo myjących naczynia.

Stukam palcem w zdjęcie. Wyskakuje opcja zakupu stołu.

– Piętnaście tysięcy dolarów? – wykrzykuję. – Amerykańskich dolarów?

– Ten jest najtańszy – odpowiada.

Gapię się na niego wielkimi oczami.

– Wyn, kupujesz stół za piętnaście tysięcy dolarów? To ja się dziwiłam, że stać cię na snobistyczny album, a ty kupujesz stół dla milionerów?

– Kupuję? – Śmieje się z przymusem. – Nie, Harriet. Ja go nie kupuję, ja... zrobiłem ten stół.

Szczęka mi opada.

– Mówisz, że... – Patrzę to na niego, to na stół na zdjęciu. – Zaraz. Zrobiłeś go czy tylko wykonałeś renowację?

Policzki mu się czerwienią.

– Zrobiłem. Dla tego sklepu z wyposażeniem domu w Bozeman. Jak oni się nazywają? Juniper and Sage?

Juniper and Sage. Kiedyś byłam tam z rodzicami Wynę i Hank żartował, żebyśmy nie dotykali żadnych wazonów, bo jak któryś się stłucze, będą musieli zastawić dom.

– Biorą je ode mnie w komis – wyjaśnia Wyn. – Pierwsze dwa już się sprzedały. Tego tutaj miałem już dosyć i zdaje się, że milionerzy z Bozeman byli podobnego zdania, bo stała na wystawie tygodniami. Ale przez ten czas zakręciłem się koło innych zleceń. Głównie dla letnich domów, lecz mam też zamówienie z hotelu za sześćdziesiąt tysięcy dolarów. Praktycznie co parę dni ktoś się zgłasza. Turyści szukają lokalnych wyrobów. Jeśli tak dalej pójdzie, będę musiał zatrudnić kogoś do pomocy, żeby... Co jest?

– Nic. – Odwracam wzrok ku oceanowi i gorączkowo mrugam, zmagając się z nawałem emocji.

– Harriet?

– Wyn, jesteś... – Kręcę głową. – Jesteś niesamowity. Cała ta sprawa jest niesamowita.

Kącik jego ust drga i spojrzenie opada na wodny przestwór w dole.

– Cóż, na coś mi się jednak przydał ten dyplom z zarządzania.

Przewijam zdjęcia w galerii, a Wyn zerka na mnie kątem oka, jakby nie był w stanie otworzyć śledzić

moich reakcji.

Ciemny orzechowy stół, stojący w górskim strumieniu, a na nim wazon z kompozycjami z jeżówki preriowej, gałązek pospolitej czeremchy wirginijskiej i porostu brodaczkę z Gór Skalistych. Cedrowy stół z litego drewna, królujący wśród sosen niczym ołtarz w leśnej katedrze.

Ostatnia fotografia budzi w moich członkach niedookreślony ból. Pragnienie, aby tam być czy nawet robić sesję zdjęciową z mężczyzną, który stworzył ten stół.

– W ich naturalnym środowisku... – komentuję.

W twoim naturalnym środowisku.

Przypominają mi się nasze telefony, kiedy wrócił do domu, do Montany. Nawet podczas wideorozmowy widziałam, jak po miesiącach mgły i mżawki w San Francisco na jego policzki wracają kolory.

– Wiesz, to tylko stół... – Chce mi zabrać telefon, ale mu nie pozwalam. – Żaden stół nie jest tyle wart.

– Ten jest.

Unoszę wzrok i widzę, że na mnie patrzy, niepewnie, z drżeniem, ale i z nadzieją.

– Jestem pod wrażeniem – mówię. – Nie wiedziałam, że coś tworzysz. Kiedy to się zaczęło?

Wyn drapie się w tył głowy.

– Jeszcze w San Francisco.

– Co?

– Ta moja druga praca. Nie robiłem tapicerki. Praktykowałem u projektanta mebli.

Normalnie tego typu tajemnica w związku nie byłaby niczym zdrożnym i w sumie powinnam się cieszyć, ale jestem zdezorientowana, bo to oznacza, że rozłam pomiędzy nami zaczął się wcześniej, niż myślałam.

– Czemu mi nie powiedziałeś?

– Nie wiem. Było mi głupio.

– Głupio? – powtarzam, jakbym pierwszy raz słyszała to słowo. – Czego miałbyś się wstydzić?

– Nigdy nie byłem taki jak ty, Harriet – mówi. – Tak błyskotliwy i zdolny. Nie wyznaczałem sobie tysiąca celów. Pierwsze trzydzieści lat życia przeciekło mi przez palce.

– To nieprawda! – zaprzeczam żywo.

– Harriet. – Wyn przygląda mi się spod rzęs, a szarości i zielenie w jego oczach uwydatniają się w blasku odbitego od fal w dole słońca. – Cudem dostałem się na studia i ledwie je ukończyłem. A potem pojechałem z tobą do San Francisco i mimo że miałem dyplom, odpadałem na każdej rozmowie o pracę, nawet słabo płatną. Gdybym miał spieprzyć jeszcze tę praktykę u projektanta, nie chciałbym, abyś się o tym dowiedziała. Historyjka, że dorabiam sobie u tapicera, była pod tym względem bezpieczna, bo takie zajęcie można porzucić bez szkody i znaleźć sobie podobne.

Twarz mnie pali. Ekran telefonu rozplywa mi się przed oczami.

– On niezbyt mnie cenił – dodaje Wyn, a gdy unoszę wzrok, wyjaśnia: – ten projektant mebli, u którego praktykowałem. Powiedział, że nie mam nosa do projektów.

– Co takiego? – pryham. – Jesteś psem gończym czy jak? Co za dupek.

Wyn uśmiecha się blade.

– Kiedy to rzuciłem i wróciłem do domu, byłem przekonany, że nie ma sensu nawet próbować. Pomyślałem, że już do końca życia będę się zajmował renowacją.

– I co sprawiło, że zmieniłeś zdanie?

Opiera się o rozgrzaną maskę auta.

– Trudno to wytłumaczyć.

Wracamy do starej zabawy w naciski i uniki, kiedy z trudem udaje mi się wycisnąć krople prawdziwego Wyna, po czym pojawia się susza.

A ja nigdy nie umiałam łykać go w małych dawkach. Jedna kropla tylko zwiększa pragnienie.

– No cóż, jestem z ciebie dumna – stwierdzam sztywno, splatając ręce na piersi, jakbym chciała się od niego odgradzić, tak jak on odgradzał się ode mnie.

Wraca do mnie spojrzeniem.

– Mógłbym ci taki zrobić, jeśli zechcesz.

– Stół? – upewniam się, a gdy kiwa głową, mówię: – Nie mam takiej kasy, Wyn.  
– Wiem. Nie o to mi chodziło.  
– Nie przyjąłabym tak cennej rzeczy za darmo.  
– Niepotrzebnie masz skrupuły, Harriet. Aż tak bardzo nie potrzebuję pieniędzy. Pewnie słyszałaś, że teraz mieszkam z mamą?

Śmieję się.

– Chyba mówili o tym w telewizji.

Dotyka grzbietu mojej dłoni, opartej o maskę, i niech mi Bóg wybaczy, odwracam ją, żeby spleść nasze palce. Potrzebuję go tak trzymać, właśnie teraz; poczuć zgrubienia, które odcisnęły mi się w pamięci.

– Bardzo chciałbym zrobić dla ciebie taki stół – szepcze Wyn. – Mam czas i nie potrzebuję pieniędzy. – Widząc moją minę, dodaje: – Albo jeśli nie chcesz takiego...

– Nie o to chodzi. – Potrząsam głową. – To piękna sprawa. Widzę, jaki jesteś szczęśliwy.

Przez moment mierzy mnie uważnym spojrzeniem, po czym przytakuje.

– Zgadza się. Jestem naprawdę szczęśliwy.

Mam wrażenie, że pierś mi się zapada.

– Bardzo się cieszę.

– Ty też jesteś szczęśliwa, tak? – Patrzy mi w oczy.

Huśtawka we mnie się rozpędza.

– Tak. Ja też.

– Dobrze – mówi cicho.

– Dlaczego Gloria nalegała, żebyś mi powiedział? – pytam.

– Bo myśli, że nadal jesteśmy razem. – Spojrzenie ma poważne i mroczne. – Myśli, że czekasz, aż wrócę.

Do San Francisco.

Do mnie.

Nie czekam. Od miesięcy wiem, że nie wróci.

Dlaczego więc te słowa tak boją?

Dźwięczy moja komórka i zrywam kontakt wzrokowy, mrugając gwałtownie, kiedy otwieram wiadomość.

– Sabrina – mówię, ześlizgując się z maski.

Usta Wyna drgają w szczątkowym, mało przekonującym uśmiechu.

– Czas nam się kończy.

Już się skończył, myślę. Tylko ból ciągle jak nowy.

## Mroczne miejsce San Francisco, Kalifornia

Hank umarł, ale Wyn uważa, że nie musimy się wyprowadzać. Nie chce, żebyśmy stracili z trudem zdobytą miejscówkę i depozyt. Ale mało co je i prawie nie śpi.

– Tak jest łatwiej – przekonuję. – Będę miała więcej czasu na staż, a potem zobaczymy, co dalej.

Mijają miesiące; jego rozpacz nie słabnie. Mój stan jest niewiele lepszy, wiem, że w każdej chwili grozi mi załamanie psychiczne. Ciągłe myślę o Hanku, o tym, jak musi się czuć Gloria oraz co się dzieje w głowie i sercu Wyna.

Bywa, że coś tak niewinnego jak reklama samochodu potrafi mnie skruszyć. Biorę długie prysznice, aby zmyć ból, zanim na dobre wedrze się do mojego wnętrza. Wyn zaczyna biegać, żeby spalić to wszystko.

Nie malujemy ścian w mieszkaniu. W któryś weekend Wyn proponuje, że to robi, ale przy dwóch pracach niedziela jest jego jedynym dniem wolnym, a wygląda już na bardzo zmęczonego.

– Kiedyś to zrobimy – mówię.

– Przepraszam – szepcze z bólem. Chwyta mnie za biodra, przyciąga do siebie i wtula twarz w mój brzuch.

– Nie masz za co przepraszać.

– Chciałbym być dla ciebie lepszy.

– Przestań. Nie potrzebuję tego. Nie musisz nic dla mnie robić. Daję radę.

To nieprawda. Żyję w ciągłym strachu, że Wyn nigdy nie będzie taki jak dawniej. Że zabrałam go od przyjaciół, od zajęcia, które kocha, i od rodziny, a teraz, kiedy tak bardzo mnie potrzebuje, nie mam dla niego czasu.

I jeszcze strata Hanka, taty z moich marzeń, i to poczucie winy, kiedy o tym myślę – świadoma, czego musiał się wyrzec mój ojciec, aby zapewnić mi w życiu start. Każde jego poświęcenie, prace, których nienawidził, a jednak je podejmował – wszystko to składało się na jego miłość do mnie. Ale nigdy nie dał mi ciepła. Dopuszczał mnie do siebie tylko do pewnego momentu.

W czasie naszej ostatniej wizyty u Connorów, niedługo przed swoją śmiercią Hank płakał ze szczęścia na nasz widok. Gdy wieczorem rozchodziliśmy się do spania, uścisnął mnie serdecznie, mówiąc: „Śpij dobrze, kochany dzieciaku”. Zamknęłam się potem w łazience i długo stałam pod strumieniem wody, płacząc z powodów, które nie całkiem pojmowałam.

Może chodziło o moją tęsknotę za domem. O ten bolesny obraz cudzych kuchni, rozświetlonych i ciepłych.

Słowa „kochany dzieciaku” były refrenem dzieciństwa Wyna. On i jego siostry kazali je sobie wytatuować, napisane ręką Hanka, przed jego pogrzebem w Montanie. Powiedzieli, że ja też mogę, ale dla mnie to byłoby nie fair. Hank nie był mój. A teraz już nigdy nie będzie.

Nasze szlaki rozchodzą się coraz bardziej, ale w chwilach, kiedy jesteśmy ze sobą, moja miłość ciągle wydaje się tak wielka i gwałtowna, że mogłaby mnie spalić.

Co jakiś czas Wyn pyta, czy mam ochotę coś zwiedzić, zobaczyć albo zaliczyć darmową degustację słodkości. Usiłuje być szczęśliwy. A ja usiłuję mu wystarczyć w tym małym, malutkim świecie, do którego go wciągnęłam.

– Może później – odpowiadam zwykle. – Mam masę roboty w szpitalu.

Nie chcę go zmuszać do świętowania. Nie chcę, aby traktował bycie szczęśliwym jako swoją powinność w czasie, kiedy ciągle się aklimatyzuje w świecie bez Hanka Connora.

To nie powinno być się zdarzyć. Owszem, Hank był o jedenaście lat starszy od Glorii, ale dopiero zaczął siedemdziesiątkę. A czy dawna siedemdziesiątka nie jest dzisiaj pięćdziesiątką?

Czasami udaje się nam zjeść razem kolację, pomiędzy jedną pracą Wyna a drugą. Jednak przez

większość wieczorów się rozmijamy i spotykamy dopiero w momencie, gdy przychodzi i całuje mnie w głowę, kiedy czytam w łóżku, zanim uda się pod prysznic. Czasami, kiedy wraca i myśli, że śpię, wreszcie pozwala sobie na płacz, a ja błagam w myślach, choć nie wiem kogo ani co: Proszę, proszę, pomóż. Proszę, pomóż mu, żeby tak nie cierpiał.

Targuję się ze wszechświatem: jeśli zadbam, żeby mieszkanie było przytulne. Jeśli nie będę narzekała na pracę. Jeśli uda mi się oswoić te ciągle deszcze. Jeśli nic nie będę od niego chciała, wszystko będzie z nim dobrze.

Przejdziemy przez to.

Pewnego wieczoru ktoś ze stażystów zaprasza mnie wraz z całą grupą na wypad do miasta. Zawsze tak robią. I zawsze odmawiam. Jednak ostatnio Wyn zaczął mnie namawiać, żebym poszła.

– Mnie i tak nie będzie w domu – argumentuje. – Potrzebujesz mieć przyjaciół.

– Mam przyjaciół.

– Ale nie tutaj. Tu też musisz jakichś mieć.

Więc wychodzę i jest fajnie. Jestem zdezorientowana. Nie wiem, jak do tego podejść.

Nazajutrz rano, kiedy mu mówię, że za nim tęskniłam, odpowiada:

– Nie było za czym tęsknić. Przyszedłem do domu i złapałem doła.

Potem wychodzę jeszcze parę razy z Taye, tą dziewczyną z czwartego roku stażu, która przygarnęła mnie jak bezpańskiego kota, oraz z parą pierwszoroczników, Grace i Martinem, dla których Taye jest nieoficjalną mentorką. Miło znowu mieć towarzystwo. Samotność tak nie dokucza.

Wreszcie, kiedy Wyn ma mieć wolny wieczór, zapowiada, że dołączy do nas w barze niedaleko szpitala. Jestem podekscytowana, spięta i trochę mi żal, że nie spędzimy tego czasu razem w domu – jednak on uważa, że wyjście jest ważne.

Martin, Grace i Taye przez cały czas gadają o szpitalu albo o najgorszych profesorach, jakich mieli na studiach. Widzę, że Wyn się wyłącza, zapada wewnątrz, i nie mam pojęcia, jak go z tego wybić, utrzymać na powierzchni, przy sobie.

W końcu Martin pyta go, gdzie pracuje, a Wyn opowiada o tapicerze.

– Jakie do tego trzeba mieć wykształcenie? – dopytuje Martin.

Nie sądzę, żeby miał złośliwe intencje, ale tak to brzmi i Wyn reaguje jak zawsze, kiedy pojawia się sugestia, że jest tym gorszym. Podchwytuje to. Żartuje, że zrobił dyplom z fotelologii stosowanej, choć zajęło mu to dodatkowy rok, i wszyscy się śmieją.

Od tego czasu przez kolejne dni sprawia wrażenie jeszcze bardziej zamkniętego w sobie. Moje serce krzyczy: „Wyn, Wyn, Wyn!”, kiedy patrzę, jak wpada w czarną studnię, ale jestem jak sparaliżowana, nie potrafię znaleźć do niego dojsca.

Ile razy go pytam, co się dzieje, bierze moją twarz w dłonie, całuje mnie w czoło i mówi z przekonaniem: „Jesteś idealna”, a ja na chwilę zapominam o wszystkim poza naszymi ustami i skórą. Dopiero potem, kiedy leży, dopasowując się do mnie niczym znak zapytania, uświadamiam sobie, że nie dał mi odpowiedzi.

Wkrótce przychodzi drugi cios – wiadomość, że Gloria ma parkinsona. Przyznaje się, że choruje już od lat, ale po śmierci Hanka jej stan zaczął się gwałtownie pogarszać.

– Jestem stara! – mówi w trakcie połączenia wideo, z lekceważącym gestem. – Gdybyśmy z Hankiem wcześniej mieli dzieci, śmigałabym dalej bez problemu. Ale nie mieliśmy i teraz wszystko zaczyna się sypać.

Nie jest stara. Owszem, starsza niż moi rodzice, ale nie na tyle, aby Wyn, Michael i Lou musieli się liczyć ze stratą matki, zwłaszcza że niedawno pożegnali ojca.

Dzięki Martinowi, który zgodził się mnie zastąpić, wyrywam się na parę dni ze szpitala i lecę z Wynem do Montany. Trójka dzieci Glorii i ta, która wkrótce ma zostać jej synową, po długich podróżach zjawiają się w ich małym domku. Wyn wraca do życia. Odpuszcza żalobę, działa.

A ja po raz drugi skrywam się w zaciszu ich maleńkiej łazienki na piętrze i stoję pod strumieniem wody, łkając, bo już wiem, że nie może wrócić ze mną do San Francisco.

Nie wyobrażam sobie, że miałabym być osobą, która wyrwie go z miejsca, do którego przynależy.

Kiedy mu mówię, że moim zdaniem powinien zostać i zająć się mamą, wpatruje się we mnie przez długi czas.

– Jesteś pewna?

– Na sto procent.

Uzgadniamy, że zostanie na miesiąc, a w tym czasie wraz z Michael i Lou wypracują długoterminowy plan opieki.

Lecę do domu sama. Jak tylko wchodzę do mieszkania, dopada mnie przecucie.

Podskórnie wiem, że on nie będzie już tu mieszkał.

Początkowo rozmawiamy w każdej wolnej chwili. Potem mamy coraz więcej pracy. Wyn bierze się do renowacji, których nie zdążył skończyć jego ojciec. Ja jestem wykończona beznadzieją kolejnych dni, kiedy po niekończącym się myciu rąk przed operacjami stoję w kręgu podobnie wymytych chirurgów i stażystów, tak ciasnym, że rzadko udaje mi się zobaczyć skalpel. Kiedy moi przyjaciele stażyści przeklinają te sytuacje przy drinku, udaję, że się z nimi zgadzam, choć prawda jest taka, że nawet założenie szwu byłoby dla mnie w tej chwili zadaniem ponad siły.

Lou został jeszcze jeden rok studiów humanistycznych w Iowa. Po dyplomie ma wrócić do Montany. Wyn oznajmia mi to jako wielką nowinę.

– Kiedy mnie zastąpi, wrócę do domu – zapowiada.

Ty już jesteś w domu, myślę. I zastanawiam się, czy ja kiedykolwiek będę.

Cleo pisze, pytając, jak sobie daję radę bez Wyna. Moje poczucie winy jest zbyt głębokie, abym odpisała coś więcej niż standardową formułkę: „Wszystko dobrze, a co słyhać u Ciebie?”

Regularnie wychodzę z Taye. Zaliczamy happy hours i nocne quizy w barach oraz jej wieczór panieński. Jednak czas wolny spędzam głównie w łóżku, z kubkiem herbaty, ubrana w sprany, powyciągany T-shirt Wyna z Mattingly, przysypiając w trakcie odcinków *Napisała: Morderstwo*.

Wieczorem, przed jego wylotem do mnie, Gloria znów się przewraca i łamie nadgarstek, więc Wyn musi odwołać lot.

– Nie ma sprawy – mówię. – Po ciężkim tygodniu w weekend i tak bym padła.

Coraz rzadziej rozmawiamy. Czasami jestem tak zmęczona, że zasypiam na kanapie, czekając, aż Wyn zadzwoni. Czasami on tak się zatapia w pracy, że traci poczucie czasu. Zawsze po czymś takim przeprosza, bije się w piersi i obiecuje poprawę.

– Wyn – mówię – nic się nie stało. Po prostu oboje jesteśmy zapracowani.

Pracuję w Boże Narodzenie, więc Wyn planuje przylecieć w następnym tygodniu. Wpada w poślizg w drodze na lotnisko. Nie odnosi żadnych obrażeń, ale spóźnia się na samolot.

– Jutro przylecę – zapewnia.

Jutro mam jedyny dzień wolny w czasie jego wizyty, a tymczasem będzie dobrze, jeśli uda mu się przylecieć wieczorem.

– Jasne – mówię. – Wspaniale.

Przybywa na trzydzieści sześć godzin, a potem znów znika.

W głębi duszy się łudzę, że jeśli dam mu swobodę i czas, wszystko się naprawi.

Pewnego wieczoru, po nieudanym połączeniu wideo, postanawiam dołączyć do stażystów w ich ulubionym barze z happy hours – ale nie ma tam Taye i Grace.

– Grace ma jakiś rodzinny ślub w Monterey i chyba wzięła ze sobą Taye – informuje Martin.

Taye uwielbia imprezy, im większe, tym lepiej. W jakiś sposób przywodzi mi na myśl Partha, z jego zdolnością do wyłapywania osoby najbardziej nieśmiałej, wycofanej i niezbornej i wywlekania jej na światło reflektorów. Pewnie dlatego wzięła mnie pod swoje skrzydła.

Tego wieczoru nie myślę o tym, bo jest Martin. I ja. I noc. Pozwalam sobie postawić jeszcze jednego drinka – a kiedy zaczynam padać, Martin oferuje, że odwiezie mnie do domu.

Gdy tam docieramy, chce mnie odprowadzić do drzwi. Przyjmuję to bez żadnych podtekstów. Przez Wyna. Ileż to razy sugerował, abyśmy odwiedzili Sabrinę w akademiku w czasie jej letniego stażu, by nie musiała sama wracać do domu? Jak często odwoził Cleo do jej kwatery w odległym końcu kampusu Mattingly?

Przed drzwiami Martin ścisza mnie na pożegnanie – a przynajmniej z początku tak sędzę. Gdy dociera do mnie, co robi naprawdę, paraliżuje mnie szok.

Niech ten pocałunek się zdarzy. Kiedy pojawia się następna myśl, żeby jednak go odepchnąć, Martin już widzi swój błąd, bo nie odwzajemniam pocałunku. I natychmiast się peszy.

Co tylko pogłębia moje poczucie winy. Czy wysłałam mu jakiś sygnał? Czy z nim flirtowałam? Nie

mam pojęcia. Za moim prawym okiem rodzi się przeszywający ból. Mam wrażenie, że mózg przelewa mi się w czaszce.

– Jestem... już zajęta – mamroczę. – Przecież wiesz.

Martin się śmieje.

– Ten gość od mebli?

Robi mi się niedobrze.

– Wyn – mówię.

– Jego tu nie ma, Harry – przekonuje Martin. – I nie będzie. Ja jestem.

Odwracam się i wpadam do środka. Natychmiast dzwonię do Wyna, choć jest już późno, więc w Montanie musi być jeszcze później. Odzywa się poczta głosowa. Dzwonię jeszcze raz i odbiera po trzecim sygnale, zaspanym głosem.

Opowiadam mu wszystko, tak szybko, że połykam słowa, żeby natychmiast pozbyć się tej trucizny z krwi.

Kończę i muszę błagać, żeby coś powiedział. Kiedy to robi, jego głos brzmi głucho:

– To już nie działa.

Żałuję, że nie mogę cofnąć prośby. Chcę go błagać, żeby nic nie dodawał.

Ledwie słyszę, co jeszcze mówi. Tylko strzępki zdań, głuszonych moim rozszalałym sercem.

„...dzieci, gdy się poznaliśmy... teraz inaczej... najlepsze dla...”

Nie płaczę. To nie może się dziać naprawdę. Obiecał, że zawsze będzie mnie kochał. To nie może dziać się naprawdę.

Ale jakiś głos w głębi duszy, który zawsze tam był, mówi mi, że taki koniec był do przewidzenia. Już od pierwszej podróży do Indiany powinno być dla mnie jasne, że nie sprawię, aby Wyn był szczęśliwy; nie będę w stanie dać mu takiej miłości, jaką widział u swoich rodziców, bo moi rodzice byli zupełnie inni i tak naprawdę niewiele wiem o prawdziwych uczuciach.

Dwa dni po tej rozmowie przychodzą kartony z moimi rzeczami. Bez żadnej wiadomości.

Nie mówię o tym nikomu. Nie jestem w stanie.



## W realu

### Piątek

Każdy siedzi w swoim kącie domu, gotowy do wieczoru kawalersko-panieńskiego, który planują Parth i Sabrina.

Też powinnam być w gotowości. Tymczasem moje myśli wracają do tamtej mrocznej krawędzi, od której całe miesiące się odwracałam. Nie patrz, nie patrz, nie patrz. Ból jest zbyt wielki. Może mnie wessać i nigdy już się od niego nie uwolnię.

Odpuść sobie, proszę siebie w myślach.

Nieważne, że nie mam jasnych odpowiedzi na pytanie, co zdecydowało o zerwaniu. Ważne jest tylko to, że zerwaliśmy. I że Wyn jest szczęśliwy w swoim nowym życiu.

Jakoś przeżyjemy do jutra, a potem każde pójdzie swoją drogą. Kiedy już oznajmimy wszystkim, że nie jesteśmy razem, powiemy, że rozstaliśmy się w zgodzie i że nie muszą się martwić.

Ale nie mogę odpuścić.

Próbowałam od miesięcy i nie znalazłam pokojowego rozwiązania. Teraz mam niepowtarzalną okazję, swoją ostatnią szansę. Być może popełnię błąd, poszukując odpowiedzi, ale wiem, że jeśli nie spróbuję, będę żałować już do końca życia.

Tego oczekuję od naszego tygodnia – czegoś, co uzasadni torturę.

Wychodzę z sypialni i idę korytarzem pośród szumu pryszniców i popiskiwanie starych rur.

Wszystko wydaje się dziwne i nierealne, jak ze snu: wydeptane drewniane stopnie, przyjazne dla stóp, ukłucie zimnego powietrza, kiedy wychodzę na zewnątrz, szumiący odgłos przypływu zalewającego skały w dole klifu. Przechodzę przez patio, kierując się ku bocznej furtce, ciągle otwartej po szalonym biegu Cleo do basenu któregoś wieczoru. Za furtką zaczyna się ścieżka, wijąca się pośród zarośli.

Słońce jeszcze całkiem nie zaszło, ale gęste listowie sprawia, że droga do domku dla gości jest mroczna, podświetlona jedynie punktowo przez solarne lampki.

Poruszam się, jakbym była zanurzona w galarecie. Każdy krok jest powolny i ciężki. Wreszcie pojawia się obity gontem budynek. Skręcam za róg, gdzie znajduje się zewnętrzny prysznic ze ściankami z cedrowego drewna.

Widok Wyna mnie zaskakuje, jakbym nie przyszła tutaj wyłącznie dla niego.

Jedynie tył głowy, szyja i barki wystają sponad cedrowych ścian. Lekki wiatr rozwiewa srebrne pasemka pary. Poczucie straty, ciężkie jak worek z piaskiem, wali mnie w splot słoneczny.

Nie dam rady, myślę. Nie chcę wiedzieć. Nie chcę pogorszyć sytuacji.

Odwracam się. Zaczepiam rękawem o zwisającą gałąź i wilgoć z liści pryska na sprężystą leśną ziemię.

Wyn obraca się i z rozbawieniem unosi brew.

– Mogę ci czymś służyć?

Wydaje się szczerze uradowany moim widokiem. W jakiś sposób jest to dla mnie kolejny cios.

– Wątpię – mówię.

– Może jednak mogę coś dla ciebie zrobić? – nalega.

– Chcę tylko porozmawiać! – Cofam się o krok. – Ale poczekam. Aż nie będziesz taki...

– Zajęty?

– Goły.

– Na jedno wychodzi.

– Dla ciebie pewnie tak.

Marszczy czoło.

– Co masz na myśli?

– Szczerze mówiąc, nie wiem.

Opiera się rękami o górną krawędź ścianki i czeka. Aż podejde bliżej – albo ucieknę.

Teraz, kiedy wreszcie mam okazję, możliwość otrzymania niechcianej odpowiedzi wydaje się dużo gorsza niż jej ostateczny brak.

– Nic – odpowiadam. – Zapomnij.

– Nie potrafię. – Ociera wodę z oka. – Ale jeśli chcesz, żebym udawał, mogę spróbować.

Robię kolejny krok w tył. Wyn nie spuszcza ze mnie wzroku.

Jak zawsze coś w jego twarzy wywabia ze mnie słowa, zanim umysł zdecyduje, czy je wypowiedzieć.

– Wykończę się, jeśli nie będę wiedziała.

Ściągnięte brwi łagodnieją, wargi rozchylają się w gasnącym świetle.

– Choć minęły już miesiące, wykańcza mnie pobyt tutaj i udawanie, że między nami nic się nie zmieniło – tłumaczę. – Co gorsza, to nie jest nawet udawanie, bo... – Głos mi się łamie, ale przeszłam już punkt krytyczny i nie mogę przestać mówić. Obojętnie, jak bardzo mogę mu się wydawać bezbronna, spragniona go i zdruzgotana, taka jest prawda i właśnie ją ujawniam. – Bo tak po prostu odszedłeś, Wyn – ciągnę. – Zostawiając mnie bez wyjaśnienia. Odbiliśmy czterominutową rozmowę telefoniczną i wkrótce pudło z rzeczami wylądowało pod moimi drzwiami, a ja nie miałam pojęcia, co zrobiłam źle. Tłumaczyłam sobie, że chodziło o ten moment z Martinem. Że przestałeś mi ufać. – Widzę, że Wyn krzywi się niedostrzegalnie na dźwięk tego imienia, ale nie odpuszczam. – Miesiącami próbowałam wzniecić w sobie gniew na ciebie – mówię dalej ochryplym głosem. – Za to, że winiłeś mnie i osądziłeś za coś, czego nie zrobiłam. A potem przybyłam tutaj i zobaczyłam, że zachowujesz się, jakbyś naprawdę mnie winił. Jakbyś mnie nienawidził albo, co gorsza, w ogóle nic do mnie nie czuł. Po czym nagle znów stajesz się dawnym Wynem, jakby nic się nie zmieniło. Mówisz, że zawsze miałeś do mnie zaufanie, i całujesz mnie, jakbyś mnie kochał.

– Ty też mnie całowałaś, Harriet. – Głos ma niski i napięty.

– Wiem. Tak było i naprawdę nie rozumiem, jak po tym wszystkim mogłam sobie na to pozwolić. I ciągle sobie pozwalam. W każdej sekundzie każdego dnia czuję się tak, jakby wydarto mi ze środka kawał mnie, nawet nie wiem kiedy. Noszę tę otwartą ranę i nie mam pojęcia, dlaczego zostałam zraniona. Dobija mnie słuchanie, jaki jesteś szczęśliwy, i nie mogę pojąć, co ja... – Głos mi drży, oddech staje się płytki. – Nie wiem, czemu przy mnie byłeś taki nieszczęśliwy.

Wreszcie otwiera usta.

– Harriet.

Zasłaniam twarz dłońmi. Łzy wzbierają mi pod powiekami, a plecy się garbią, kiedy łzy zaczynają płynąć.

Zgrzyta zasuwka i drzwi prysznicowa otwierają się gwałtownie. Słyszę szelest ręcznika, ściąganego z wieszaka i owijanego wokół ciała. Uderza we mnie wilgotna ściana gorąca i wzdrygam się, czując na ramionach ciepło dłoni Wyna. Nie mogę się zdobyć, żeby na niego spojrzeć – nie teraz, kiedy się rozpadam. Nie po tym, jak obnażyłam swoje najbardziej obolałe miejsca.

– Hej... – szepcze i mokrymi dłońmi przyciąga mnie do siebie. – Chodź tutaj. – Tuli mnie do piersi. Woda spływa z jego skóry, ściekając mi po ramionach i plecach. Zanurza usta w moich włosach. – Nie chodziło o ciebie. – mówi. – Przysięgam, że nie chodziło o ciebie. Byłem w pieprzonej czarnej dupie, Harriet. Po stracie ojca zacząłem tonąć.

Tuli mnie mocniej.

– Przepraszam... – Głos mi się łamie. – Chciałam ci pomóc. Tylko nie wiedziałam jak. Nigdy nie wiedziałam, co robić z cierpieniem, Wyn. Potrafię się jedynie przed nim chować.

Jego dłoń muska moje ucho.

– Nic nie mogłabyś zrobić, Harriet. To nigdy nie miało związku z tobą. Po prostu... Straciłem najwspanialszego człowieka, jakiego znałem, i to było tak, jakbym nagle przestał umieć żyć. Jakby świat stracił cały sens. Ty miałaś swoje nowe życie, o którym od tak dawna marzyłaś, nowych przyjaciół, a ja... Chciałem mieć dla siebie cały twój czas i nienawidziłem się za to, że dla ciebie nie umiem być szczęśliwy. Nienawidziłem siebie, że nie jestem dla ciebie wystarczająco dobry, wystarczająco fajny czy wystarczająco rozwojowy.

– Pieprzenie. – Usiłuję się od niego uwolnić.

Trzyma mnie mocno, nie puszcza, a ja się wkurzam, że robi to teraz, kiedy jest już za późno.

– Posłuchaj... – szepcze. – Pozwól mi to powiedzieć.

Wreszcie unoszę głowę i napotykam jego spojrzenie. Myślę o pierwszym razie, kiedy widziałam jego twarz z tak bliska, i o tym, jak uderzyła mnie kontrastowość jego rysów – ta niezwykła mieszanka magnetyzmu i zdystansowania. Chcę cię mieć blisko, ale nie patrz na mnie. Teraz ta twarz jest niczym ruchove piaski. Nieskamieniała. Całkowicie otwarta.

– Zatraciłem się – kontynuuje. – Choć kochałem swoich rodziców i zawsze wiedziałem, że jestem przez nich kochany, dorastałem w poczuciu, że jestem rozczarowaniem. Miałem dwie niesamowite siostry, istne pieprzone kosmitki, niepodobne do moich rodziców ani do nikogo w tym mieście. Odkąd pamiętam, wszyscy wiedzieli, że dokonają czegoś wielkiego. Rozumiesz, kiedy miałem dwanaście lat, a Lou miała dziewięć, ludzie już gadali, że pewnego dnia dostanie Pulitzera. Mnie nikt nie przyznawał nagród awansem.

– Wyn...

Oboje zbyt często wpadaliśmy w te tory.

– Nie mówię, że uważano mnie za przygłupa, ale tak się czułem – ciągnie, jakby mnie nie słyszał. – Jak ktoś, kto niczym specjalnym się nie wyróżnia poza tym, że jest miły.

– Miły?

Nie kryję niedowierzania. Owszem, życzliwy, myślący, ciekawy wszystkiego, do bólu empatyczny, zabawny, otwarty, ale nie miły. Bycie miłym to tylko dyżurna maska Wyna Connora.

– Chciałem być wyjątkowy, Harriet – wyznaje. – A ponieważ nie byłem, postanowiłem sprawić, że wszyscy będą mnie kochali. Wiem, że to śmiesznie brzmi, ale tak było. Całe życie polowałem na rzeczy i ludzi, dzięki którym mogłem się poczuć ważny.

To boli, kłuje gdzieś pod mostkiem. Znowu mam ochotę się wycofać. Ręka Wyna przesuwana się na mój kark, lekka i czuła.

– A potem poznałem cię i przestałem się czuć zagubiony i pozbawiony celu. W całej tej pustce, w jakiej istniałem, pojawiło się poczucie, że kochanie cię jest właśnie tym, do czego zostałem stworzony. I przestało się liczyć, co inni sobie o mnie pomyślą. Ani to, że nie mam żadnych większych planów co do siebie. Czułem, że wszystko jest nieważne, dopóki będę cię kochał.

– Więc o to chodziło? – pytam zmęczonym głosem. – Zabrałam ci cały tlen, a ty mi nic nie mówiłeś, dopóki nie zacząłeś się dusić. Aż przestałeś mnie kochać i nic już nie mogłam z tym zrobić.

– Zawsze będę cię kochał – zapewnia żarliwie. – W tym rzecz, Harriet. To jedyne, co przychodzi mi naturalnie. Coś, nad czym nie muszę pracować. Kochałem cię w każdym miejscu tego cholernego kraju i nawet w swoich najgorszych, najciemniejszych dniach nadal kocham cię bardziej niż kogokolwiek w świecie. Ale po śmierci taty byłem totalnie nieszczęśliwy. Czekałem, aż poczuję się choć minimalnie lepiej, lecz nie byłem w stanie się z tego wydobyć. A na dodatek cię także unieszczęśliwiłem.

Otwieram usta, ale nie daje mi dojść do słowa. Mówi dalej, cicho, gładząc moje włosy:

– Harriet, proszę, nie kłam. Tonąłem i ciągnąłem cię za sobą na dno.

Z wysiłkiem usiłuję przełknąć. Siła emocji zaciska mi gardło.

Wyn opuszcza wzrok. Głos mu drży.

– Kiedy wróciłem do Montany, czułem jego obecność.

– Wyn...

Obejmuję dłońmi jego szczękę, a on kłoni ku mnie czoło. Przymyka oczy; jego głęboki wdech przybliży nas do siebie.

– Było mi strasznie głupio, że uciekam od tego wszystkiego. Że tak bardzo się staram być inny niż on, a przecież Hank był najwspanialszym człowiekiem, jakiego znałem.

– Zawsze byłeś do niego podobny, w wielu ważnych aspektach – przekonuję.

Kącik ust Wyna podjeżdża do góry, ale wiem, że to wyraz napięcia, wymuszona reakcja. Drży z chłodu, a może z nadmiaru adrenaliny.

– Ja po prostu... – Bierze oddech. – Mam poczucie, że go zawiodłem, podobnie jak mamę i cię. Chciałem, żebyś była szczęśliwa, Harriet, a ta sprawa z Martinem... może potrzebowałem pretekstu, ale byłem w takim dole, że autentycznie sobie wmówiłem, że to facet, z którym chcesz się związać. Zwłaszcza że ciągle odkładałaś nasz ślub. I nawet nie chciałaś o tym rozmawiać. Nie chciałaś rozmawiać o żadnych planach i kiedy cię zobaczyłem z tymi nowymi przyjaciółmi, pomyślałem... Pomyślałem, że powinnaś się

związać z kimś równie zdolnym jak ty, kto by pasował do świata, o który walczyłaś przez tyle lat.

– To nie fair, Wyn! – krzyczę.

– A co miałem myśleć, Harriet? – pyta bezradnie. – Gdybym odwołał przyjazd tutaj, nie przejęłabyś się. Nie opieprzyłaś mnie, kiedy przegapiłem telefon. Nigdy się na mnie nie wkurzyłaś. Nie kłóciłaś się ze mną. Miałem wrażenie, że z powodzeniem mogłabyś się obyć beze mnie.

Znów zaczynam łkać, porażona prawdą jego słów. Cały czas i energia, które poświęcałam, próbując być dla niego jak najlepsza, próbując się nie załamać pod ciężarem swojej pracy i nie żądać od niego niczego, czego nie mógłby mi dać – to wszystko jedynie oddalało mnie od niego w coraz szybszym tempie.

– Wiedziałem, że nigdy ode mnie nie odejdziesz – ciągnie głosem szorstkim jak papier ścierny. – Nawet wtedy, kiedy byłem takim cholernym wrakiem. Ale nie chciałem dla ciebie tej niewoli. Nie chciałem, abyś pewnego dnia obudziła się i zrozumiała, że żyjesz niewłaściwym życiem i że to ja cię w nie wpakowałem. Dlatego tamta rozmowa była taka krótka. Żeby nie zdążył zmienić zdania. I dlatego tak szybko odesłałem twoje rzeczy. Nie zniósłbym widoku najmniejszego drobiazgu należącego do ciebie. Bo zawsze będę cię kochał. Bardziej niż czegokolwiek pragnę, abyś była szczęśliwa. I teraz jesteś, Harriet. Ja też. Może nie cały czas, ale jest dużo lepiej niż wcześniej, więc kiedy zadzwoniła Sabrina i zaprosiła mnie tutaj, uznałem, że dam radę. Pomyślałem, że przyjadę, zobaczę cię i przekonam się, że jesteś szczęśliwsza beze mnie. Potwierdzę, że dobrze zrobiłem, wyzwalając cię z tego związku. Cholernie ciężko nad sobą pracowałem przez te ostatnie pięć miesięcy, Harriet, i dobrze mi idzie. Jestem z rodziną, wykonuję pracę, którą lubię, biorę leki...

– Jakie leki? – przerywam mu.

– Pytałaś wcześniej, co sprawiło, że zmieniłem podejście do pracy. No właśnie to. Leki. Na depresję. Czuję ucisk w gardle. Jeszcze jedna rzecz, której o nim nie wiedziałam.

– Depresję po śmierci ojca?

Wyn kręci głową.

– Też tak myślałem, ale kiedy zacząłem brać prochy, zrozumiałem, że śmierć tylko pogorszyła sprawę. Bo to we mnie tkwiło od zawsze. Sprawiało, że wszystko wydawało się trudniejsze, niż było. Jakby... – Drapie się w skroń. – W liceum miałem takiego przyjaciela z drużyny futbolowej. Pewnego dnia po meczu nagle upadł. Miał ból w klatce piersiowej i usiłował ściągnąć z siebie koszulkę, bo czuł, że się dusi, lecz nie dawał rady. Myśleliśmy, że ma atak serca, ale okazało się, że to astma. Ten gość przez siedemnaście lat żył, wykorzystując tylko pięćdziesiąt pięć procent pojemności swoich płuc, i nie zdawał sobie sprawy, że oddychanie wcale nie musi być takim wysiłkiem. Podobnie stało się ze mną, kiedy zacząłem brać antydepresanty. Odkąd pamiętam, czułem się jak kapeć, i nagle przestałem. I wtedy wszystko stało się możliwe. Mój umysł poczuł się... chyba po prostu spokojniejszy. Lżejszy.

Mrugam, żeby przegonić piekące łzy.

– Nie miałam o tym pojęcia – bąkam.

– Ja też nie – odpowiada. – Traciłem mnóstwo energii, usiłując być fajnym facetem, i teraz wreszcie wszystko zaczęło mi sprzyjać. Więc pomyślałem, że jeśli zjawię się tutaj i zobaczę cię, będzie to dowodem, że jesteśmy dokładnie tam, gdzie powinniśmy być. Tymczasem zjawiłem się, a ty byłaś na mnie wściekła. I wiesz, co poczułem?

– Ty też byłaś wściekła na mnie, Wyn – ripostuję.

Zdecydowanie kręci głową.

– Ulgę. Poczulem ulgę. Bo wreszcie dostałem sygnał, że ci zależy. Skoro byłaś na mnie wkurzona, musiałaś mieć serce tak samo złamane jak moje. Sądziłem, że jeśli znajdę sposób, żeby stać się szczęśliwym, będę o tobie mniej myślał, tymczasem to jest jak... jakby teraz, kiedy depresja już mnie nie dławi, otworzyła się nowa przestrzeń do kochania ciebie. Ale nie możemy do siebie wrócić, więc nie wiem, co z tym wszystkim zrobić. Nawet nie wiem, czy ty czujesz tak samo, i to też mnie wykańcza. Miotam się, uważając, że cię krzywdzę samą swoją obecnością tutaj, aby za chwilę pomyśleć, że po tym wszystkim nie możesz mnie dalej kochać. Jakaś częśćka mnie chce udawać, że ciągle cię mam, choć to nierealne, podczas gdy inna się obawia, że umrę, jeśli mi nie powiesz, że mnie kochasz, nawet gdyby to nie mogło już niczego zmienić. Nawet gdybym miał usłyszeć te słowa po raz ostatni. Wszystko jest inne i jednocześnie nic się nie zmieniło, Harriet – ciągnie. – Kurwa, tak się starałem uwolnić cię ode mnie, pozwolić, żebyś znalazła swoje szczęście, ale kiedy cię widzę, ciągle mam poczucie, że... że jesteś moja. A ja jestem twój. Pozbyłem się wszystkiego,

co było twoje, jakby to miało coś dać, jakbym mógł odciąć cię od siebie. Ale skutek jest taki, że widzę cię wszędzie tam, gdzie powinnaś być.

Wpatruję się w niego, a moje serce rozpęka się pod ciężarem uczuć, które się we mnie kłębią.

– Powiedz coś... – prosi szeptem.

Łzy wzbierają mi w oczach. W gardle. Znow skrywam twarz w dłoniach.

– Myślałam, że już mnie nie chcesz, więc próbowałam pokochać kogoś innego – wyduszam z siebie. – Czy choćby kogoś polubić. Całowałam się z kimś innym. Spałam z kimś innym, a i tak nadal czułam, że należę tylko do ciebie. – Zaciskam powieki, powstrzymując kolejną falę łez. – Że ty należysz do mnie.

– Harriet – zadziera mi brodę – spójrz na mnie.

Czeka.

– Harriet, proszę.

Potrzebuję paru sekund, żeby się zmusić od uniesienia powiek. Kropelki wody ciągle wiszą mu na brwiach. Z włosów spływają wąskie strużki na żuchwę i szyję. Muska kciukiem szczyt mego policzka.

– Jestem – mówi. – Ciągle jestem twój.

Gwóźdź, który przez cały tydzień był coraz bliżej i bliżej mego serca, wreszcie dosięga celu.

Opuszki palców Wyna przesuwają się po mojej dolnej wardze. Spojrzenie ma łagodne, a każdy ulotny dotyk zdejmuję kolejną warstwę z mego serca.

Tylko czy fakt, że należymy do siebie, ma jakiegokolwiek znaczenie, skoro nie możemy być razem? Nasze drogi zostały rozdzielone, już na zawsze. Teraz wszystko wygląda inaczej niż dziesięć minut temu, ale jednocześnie nic się nie zmieniło. Wyn jest mój, choć nie mogę go mieć.

Wczepiam dłonie w jego mokre włosy, jakbym chciała zatrzymać go przy sobie. On robi to samo ze mną.

– Co to znaczy? – szepcze.

Chcę, żeby znaczyło i „Przepraszam”, i „Wybacz mi”, i „Obiecaj, że nigdy mnie nie opuścisz”, a także milion innych rzeczy, których nie jestem zdolna wypowiedzieć.

Wyn jest wreszcie szczęśliwy. Ma życie takie, jakie powinien mieć. Robi karierę, z której może być dumny, pracując w swojej ukochanej Montanie, a nawet gdyby nie miał tej pracy, jest tam Gloria, która go potrzebuje. Daje jej swój czas, którego nie zdażył dać Hankowi. A ja jeszcze przynajmniej parę lat spędzę w Kalifornii, będąc coraz bliżej celu, ale nie na tyle, żebym widziała światełko w tunelu.

Być może w innym życiu sprawy mogłyby się potoczyć inaczej. W tym możliwe jest tylko jedno.

– Myślę, że to ostatnie „kocham cię” – mówię równie cicho.

Wyn zaciska palce na moim ciele, na moment wstrzymując oddech. A potem, jakby zebrał się do odpowiedzi, nabiera powietrza i jego usta dotykają moich.

Mój drżący oddech ulatuje, gdy język Wyna wślizguje mi się w usta. Jego smak sięga głęboko i uwalnia coś, co tłumiałam całym miesiącami. Pożądanie rozprzestrzenia się we wszystkich kierunkach, budząc moją skórę, krew i nerwy. Wyn zadziera mi głowę, pogłębiając pocałunek, a jego język zagarnia mój, czuły i spragniony. Z gardła wyrывa mi się jęk.

Jego dłoń sunie płasko po moim brzuchu, odnajdując drogę pod bluzkę, a ja wyginam się ku niemu; każdy mój mięsień pragnie jego bliskości. Otacza mnie ramieniem i kieruje pod prysznic. Napiera barkiem na drzwi kabiny, wciąga mnie do środka i zamyka je za nami.

Moje ubranie zdażyło przemoknąć w jego mokrych objęciach i miejscami lepi mi się do skóry, ale Wyn ma na to sposób. Ściąga mi bluzkę i wiesza ją na przepierzeniu kabiny razem ze swoim ręcznikiem. Opieram się plecami o ścianę, wstrzymując oddech, kiedy metodycznie odpina guziki moich szortów. Niespiesznie zsuwa mi je z nóg razem z majtkami od bikini – i oto stoję przed nim, z mrowiejącą skórą, nierównym oddechem i pożarem umysłu. Dół mojej garderoby także odwiesza, nie spuszczaając ze mnie wzroku.

– Czy to się dzieje naprawdę? – pytam.

Sięga do mojej talii.

– A jak miałyby się dziać?

– We śnie – odpowiadam.

Przyciąga mnie do siebie, a ja przywieram ciasno do jego ciepłego, mokrego brzucha.

– To nie może być sen, Harriet. W moich snach jesteś zawsze na górze.

Mój śmiech się pogłębia, kiedy Wyn obwodzi kciukiem krągłość mojej piersi. Zarzucam mu ramiona na szyję, a wtedy on jednym gładkim ruchem mnie unosi. Oplatam nogami jego pas i z gardła wyrывa mi się cichy okrzyk, tuż przy jego ustach. Rzeźbione mięśnie jego brzucha tężeją. Moje wargi rozchylają się łakomie pod jego pocałunkami. Rozwiązuje górę kostiumu i odrzuca ją, a moje serce łomocze, napędzane jego pożądanym dotykiem. Szepcze moje imię z ustami przy mojej brodzie, a woda z odkręconego prysznicza spływa mu po barkach, opływając nas ciepłą kaskadą.

Wyn pojękuje, pieszcząc moje piersi kolistymi, namiętnymi ruchami, od których mój oddech przyspiesza. Sunie ustami wzdłuż mojej szyi i szepcze:

– Na pewno tego chcesz?

Przyciągam go do siebie bliżej. Próbuje się odchylić, żeby jeszcze raz zapytać, ale trzymam go mocno i wdzieram się językiem w jego usta, odnajdując gorzkawy, drożdżowy smak corony z ostrą nutą limonki. Wsuwam rękę pomiędzy nasze ciała i przechodzi mnie rozkoszny dreszcz, kiedy czuję, jak rośnie mi w dłoni.

Wyn kłoni głowę na moje ramię, jedną ręką chwytając ściankę kabiny nad moją głową.

– Nie mam tu kondomów – mówi, ale żadne z nas nie przerywa akcji, szukając nowych podniet i doznań. Mięśnie jego pleców, brzucha i ramion kamienieją z napięcia, kiedy nasze podbrzusza się stykają. Wyn gwałtownie zagarnia moje biodra i przyciąga je do siebie. – Nie powinniśmy tego robić, kiedy jesteś taka spięta – mówi.

Gładzę jego wzwód.

– Wyluzuję, kiedy we mnie wejdiesz.

Otocza moją dłoń swoją i trzyma mnie przez chwilę. Nasze serca łomoczą w jednym rytmie, podczas gdy spływa po nas gorąca woda.

– Nie mamy zabezpieczenia – powtarza.

Wydaję z siebie jakiś żalony skrzek sprzeciwu i Wyn dziwnie łatwo zapomina, co powiedział. Przypiera mnie mocniej do ściany. Zgodnie pracujemy biodrami; paznokcie ślizgają się po mokrej skórze. Podciąga mnie jeszcze wyżej i teraz celuje dokładnie we mnie. Ale to nie wystarczy. Tak przyspieszamy, że musi się chwycić ściany obiema rękami.

– Harriet... – chrypi do mojego ucha. – Pieprzę, jaka ty jesteś miękka.

– Dzięki – odpowiadam, zdyszana. – Przyznam, że nie ćwiczyłam.

– Nie rób sobie jaj – prosi. – Później pożartujemy. A teraz powiedz mi, czego chcesz.

– Już ci mówiłam.

– Nie możemy, Harriet – stwierdza. – Postaram się załatwić coś, kiedy wyjdziemy na kolację.

Śmieję się z ustami przy jego szyi, a strużka wody cieknie mi po języku.

– Masz zamiar zacząć się w zaułku i zaczepiać ludzi, czy mają zapas gumek?

– Myślałem raczej o sklepie nocnym lub aptece – ripostuje. – Choć twój pomysł bardziej mi odpowiada.

Cofa się i asekuje mnie, aż dotykam stopami cedrowych desek podłogi. Wszystko we mnie się burzy w proteście do chwili, kiedy Wyn mnie odwraca, zaciska moje dłonie na górnej krawędzi ściany, po czym zsuwa ręce po moich ramionach i wzdłuż boków. Jedną obejmuje moje biodro, a potem wsuwa mi ją pomiędzy nogi, napierając na mnie od tyłu.

Na sekundę tracę oddech. Najwidoczniej pożądanie dotarło nawet do moich organów wewnętrznych, bo zapomniały, że mają działać. Wszystkie fale mózgowe są skupione na wrażeniach wywołanych przez dotyk jego dłoni. Wyn drugą ręką otacza mnie w talii i mocno przyciąga do siebie, z ustami na styku mojej szyi i ramienia.

– Czy taki był twój cel na ten weekend? – pytam.

Skubie mi zębami szyję.

– Bynajmniej. Moim celem było pozostanie dżentelmanem do samego końca.

– Ideały są nudne – zauważam. – Ich upadek może wyjść tylko na dobre.

– Komu? Tobie? – prowokuje.

Wypinam się ku niemu i błagam:

– Proszę...

Wyn z przekleństwem chwyta mnie za biodra i znów obraca, dociskając mnie plecami do ściany, po czym klęka przede mną.

Mam wrażenie, że stawy mi się rozpływają, kiedy całuje wnętrze mojego uda i sunie ustami wyżej. Poruszam biodrami, poddając się presji jego warg. Lewą dłonią pieści mój brzuch, a prawą zagarnia pupę, podciągając mnie wyżej ku sobie.

Próbuję go ponaglić, żeby poszedł dalej, ale on nie zmienia pozycji. Natarczywy żar jego ust doprowadza mnie do szaleństwa.

– Wyn...

Gęsia skórka pokrywa mu szyję.

– Chodź do mnie, Harriet.

Próbuję walczyć, żądać więcej, ale moje ciało wygina się ku niemu. Jego imię wypowiada się samo w zdyszonym błaganiu. Wyn porywa mnie na falę tak potężną i mroczną, że przez chwilę nie ma nic, tylko doznania. Nie ma lasu ani cedrowego prysznicza, są tylko jego gorące usta.

Kiedy fala się cofa, bezwładnie opieram się o ścianę, czując słabość w kolanach. Wyn wstaje z kolan i przygarnia mnie do siebie, aż mój podbródek opiera się o jego ramię. Gorąca woda leje się na nas, kiedy sunie pocałunkami po moim gardle.

– Dzięki – szepczę przez mgłę upojenia.

Czuję jego uśmiech na skórze.

– Jaka uprzejma. – Kołysz mnie w przód i w tył pod płynącą wodą. – Czekają na nas.

– Nie zamierzam być uprzejma. – Zadzieram brodę, żeby spojrzeć mu w oczy. – Mogą poczekać.

– Zaraz zawyje syrena – mówi.

– Chwila czekania nikomu nie zaszkodzi.

– No, nie wiem. W tym tygodniu byłem bliski śmierci.

– Słusznie – mówię. – Czekanie może być niebezpieczne, dlatego nie powinniśmy czekać.

Jego śmiech kończy się jękiem niespełnienia.

– Później, Harriet. A teraz pozwól, że postawię ci obiad.

– Jestem nowoczesną kobietą, Wyn. Ja ci postawię. Choć mogę nie sprostać finansowo, bo teraz pewnie jadasz na bogato.

– Wystarczy hot dog na stacji, Harriet Kilpatrick – mówi, całując kącik moich ust. – A ja postawię ci najlepszą noc w twoim życiu.

Zamykam oczy, próbując zatrzymać ten moment, ale już minął.

Jeszcze jeden dzień, myślę.

## W realu

### Piątek

Większość atrakcji Festiwalu Homara dzieje się na drugim końcu miasta, ale tłumy ściągają tutaj, do pokrytych solą stołów piknikowych ustawionych na Nabrzeżu Homarowym, gdzie poławiacze w rybackich kombinezonach roją się wokół zacumowanych kutrów, magazynów i chłodni.

Choć złożyliśmy zamówienia, musimy czekać, aż zwolni się stolik w rogu, w głębi nabrzeża. Gdy wreszcie siadamy na ławkach, Wyn pod białym kładzie mi dłoń na udzie. Ja kładę dłoń na jego dłoni, chłonąc to doznanie i starając się zachować je na przyszłość.

Pojawiają się kubeczki z frytkami i chrupiące bułki wypełnione delikatnym homarowym mięsem, mocno przyprawionymi krążkami marynowanej cebuli i kawałkami smażonego łupacza, tak miękkimi, że plastikowe widelczyki wchodzi w nie jak w masło. Do tego kolby kukurydzy i tragiczne sałatki z czerwoną cebulą oraz krojoną rzodkiewką, a do popicia jagodowa lemoniada w czerwonych kubkach.

– Sprawdź, ile ten bar ze mnie zedrze, jeśli zamówię do tego wódkę. – Kimmy robi ruch, żeby wstać.

– Może na razie sobie daruj – sugeruje Sabrina z tajemniczym uśmiechem.

Zerkam na Partha, który wzrusza ramionami na znak, że trzeba milczeć.

Kimmy opada z powrotem na ławkę z podejrzanym błyskiem zadowolenia w oczach.

Usta Wyna dryfują ku płatkowi mojego ucha. Dopiero po sekundzie, poprzez wir strzępków wcześniejszych wspomnień, dociera do mnie, że coś mówi.

– Myślisz, że Sabrina zamówiła na nasz stół dostawę magicznych grzybków?

Odwracam się ku niemu i czubki naszych nosów niemal się stykają. Oczy mu błyszczą w blasku świetlnych kul nad naszymi głowami.

– Albo to, albo zabierze nas stąd prosto do aerotunelu, żebyśmy sobie polatali – mówię.

Dłoń Wyna zakrada się wyżej, kiedy on sam pochyła się ku mnie. Wykręcam się, żeby lepiej słyszeć jego szeptałą odpowiedź, ale zamiast tego czuję wargi przysysające mi się do skóry za uchem w niespiesznym, delikatnym pocałunku, który wprawia mnie w drżenie.

Sabrina wstaje, zgniatając serwetkę.

– Kto dojrzał do następnej fazy wieczoru?

– Mówiłam, latanie – komentuję cicho.

Maszerujemy reprezentacyjnym nadmorskim bulwarem. Nawet tutaj słyszeć dźwięki muzyki dochodzące z festiwalowych terenów w dalekim końcu nabrzeża i równoległe do nich pobrzękiwania portowej kapeli, jakby przeciwległe brzegi konkurowały ze sobą niczym piano bary po dwóch stronach ulicy.

Kiedy Sabrina prowadzi nas długim, wąskim mostem dla pieszych, dźwięki *Long Ride Home* Patty Griffin mieszają się z *It's Still Rock and Roll to Me*.

– Dokąd idziemy? – dopytuje Cleo.

– Zrealizować dalekosiężny cel – woła Sabrina przez ramię, przyspieszając kroku.

Napięcie wisi w powietrzu. Coś się kroi.

Może to emanuje od Wyna i ode mnie. Może za każdym razem, kiedy nasze ręce się dotykają albo kiedy przyciąga mnie do swojego boku czy zatrzymuje, aby przyprzeć mnie do mostowej barierki i skraść mi całusa, podczas gdy inni idą dalej. Na pewno mamy swój udział w zwiększaniu potencjału tego wybuchowego ładunku.

– Chodźcie szybciej – ponagla nas Parth.

Wyn ostatni raz muska moje wargi.

– Później znajdziemy na to czas – mówi.

Za mało czasu, myślę z bólem. Jak zdołam upchnąć tyle długo tłumionej, łatwopalnej miłości



w jednym krótkim dniu? Jak zdołam w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin zebrać w jedno wszystkie kawałki Wyna, a potem pozwolić mu odejść, tak jak tego pragnie? Jak na to zasługuje.

Zmuszam się, żeby przytaknąć, i zrównujemy się z innymi.

Nabrzeże rozciąga się nisko w zatoce, z restauracjami i przystaniami nad wodą, podczas gdy miasto wznosi się w górę płataniną ulic, wijących się i krzyżujących. Bujna, dzika zieleń przelewa się nad chodnikami; niskie paprocie obramowują trawniki hotelików bed-and-breakfast o ścianach wytrawionych wiatrem i solą.

Skręcamy w jedną z takich uliczek, z ciemnymi oknami fabryki słodczy Fudge & Taffy oraz Skippy's Popcorn, i mijamy witrynę firmowego sklepu, w której pyszną się setki kolorów. Otworzy się później, w weekend; tego wieczoru wszystkie sklepy są zamknięte. Za Gorącym Kubkiem skręcamy w cichą Easy Lane. Dopiero po chwili pojmuję, czemu kojarzę to miejsce – nazwa ulicy była w planie tygodnia dostarczonym nam przez Sabrinę. Jutro rano, przed ślubem, Sab zaplanowała spersonalizowane niespodzianki dla każdego z nas. Moja jest ukryta pod adresem 123 Easy Lane. Od razu zwróciłam na to uwagę, bo nazwanie ulicy Easy Lane zamiast Easy Street wydało mi się celowo niewykorzystaną szansą\*.

Za pierwszą przecnicą Sabrina znów zbacza w uliczkę. Tylko w dwóch domach palą się jeszcze światła – w niskim budynku hotelu z pubem pod szyldem Ogar i Oset oraz w lokalu z czarną fasadą i oknem z białym napisem prostą czcionką „Tempest Tattoo”.

W końcu staje i obraca się ku nam, szerokim gestem rozkładając ręce.

– No i co o tym myślicie? – pyta.

– Sab! – woła Kimmy. – Robisz sobie tatuaż?

– Ciepło, ciepło... Każdy z nas robi sobie tatuaż.

Nikt nie reaguje, nie licząc wymuszonego uśmiechu Partha i drgnięcia palców Wyna w mojej dłoni. Spojrzenie Kimmy pomyka ku Cleo i jej uśmiech błędnie na widok oszołomionej miny partnerki.

– Od zawsze o tym rozmawiamy – tłumaczy Sabrina. – I wreszcie jest idealny moment. Okazja do upamiętnienia naszej ostatniej wyprawy do domu nad morzem i dziesięciu lat naszej przyjaźni. Coś, co już zawsze będzie nas łączyć.

Żołądek mi się ściska, a serce miota w piersi jak szalony ptak, który chce mi wylecieć przez gardło. Jedna rzecz to pogodzenie się z faktem, że zawsze będę w jakimś stopniu zakochana w Wynie Connorze. Inną rzeczą jest zafundowanie sobie stałej pamiątki po nim na własnym ciele.

Zanim zdążę wymyślić, jak się z tego wymiksować, Cleo mówi:

– Nie sądzę, Sab.

Nasze zaskoczone milczenie powinno przygotować Sabrinę na taką odpowiedź, a jednak wygląda, jakby zaliczyła cios w splot słoneczny.

– Co rozumiesz przez „nie sądzę”? – pyta.

Cleo wzrusza ramionami.

– Nie sądzę, że powinniśmy sobie dzisiaj zrobić identyczne tatuaże.

Kimmy dotyka jej ramienia w milczącym porozumieniu.

Sabrina reaguje śmiechem.

– Czemu nie?

– Bo tego nie chcę – odpowiada Cleo. – I mam wrażenie, że nie tylko ja.

Sabrina mruga, wodząc po nas spojrzeniem.

– Wiesz – odzywam się – to po prostu... wyszło zbyt nagle.

– Rozmawiamy o tym od dziesięciu lat!

– Ale nigdy nie postanowiliśmy, że tak ma być – argumentuje Wyn.

– No to co? Przecież chodzi o naszą więź.

– Może następnym razem – sugeruję. – Dzisiaj wybierzemy wzór, potem każdy się z tym prześpi, a potem...

– Ale ja już wpłaciłam zaliczkę – protestuje Sabrina. – I są otwarci specjalnie dla nas.

Cleo pociera sobie punkt pomiędzy brwiami.

– Sab, powinnaś nas najpierw zapytać. Nie możesz zakładać, że zgodzimy się na wszystko, co wymyślisz.

– Cleo, co to ma znaczyć, do licha? – urażona mina Sabriny mówi więcej niż słowa.

– Chodzi jej o to, że zrobienie sobie tatuażu to poważna decyzja – tłumaczę. – Wszyscy potrzebujemy czasu, żeby się z nią oswoić.

– Nie to miałam na myśli – odpowiada spokojnie Cleo. – Chodziło mi o to, że ona nie może decydować za nas, a potem nas zmuszać, żebyśmy jej posłuchali.

– Sab nikogo nie zmusza – stwierdza Parth, stając u boku Sabriny. – Robi to dla was. Cały ten wyjazd jest dla was. Wszystko.

– Skoro wszystko jest dla nas – podchwytuje Cleo – musisz przyjąć do wiadomości, że nie zrobię czegoś, co mi nie odpowiada.

– I ty to mówisz? Przecież masz chyba dziesięć różnych tatuaży! – oburza się Sabrina. – Czemu akurat ten jeden ci nie pasuje?

– Czy naprawdę musimy to ciągnąć? – rzuca Cleo, odwracając spojrzenie.

– Jasne – odpowiada Sabrina. – Kończę temat. Tak samo jak ten, że jedna z najlepszych przyjaciółek stale sabotuje moje plany, a druga ledwie raczy odpisywać na moje wiadomości. Że mój ojciec sprzedaje jedyne miejsce, w którym czułam się choć trochę jak w domu, i mam wrażenie, że wszyscy poza mną mają głęboko w dupie fakt, że się tu więcej nie spotkamy.

Odwraca się i rusza do miejsca, gdzie zostawiła samochód.

– Porozmawiam z nią – mówię i spieszę za nią.

Kiedy się zrównujemy, sięgam do jej przegubu.

– Sabrina, zaczekaj.

Próbuje iść dalej, zmuszając mnie, żebym podbiegła i ją przytrzymała.

– Przyjaźń jest bardzo ważna dla nas wszystkich – zapewniam. – Tylko po prostu wszystko stało się...

Obraca się ku mnie gwałtownie. Oczy ma mokre od łez.

– Zbyt nagle?

Mam wrażenie, jakby serce spadło mi do stóp. Nie rozumiem, czemu jest aż tak urażona, ale najwyraźniej ją to trzępnęło. Sabrina nigdy nie płacze.

Ale teraz płacze. Łzy płyną jej po twarzy, a ja muszę coś z tym zrobić. Przekonać ją, że nie chodziło o nią osobiście.

W tym momencie, w ostatnim momencie, muszę podjąć decyzję. Nie ma innego wyjścia.

– Nie chodzi o przyjaźń – mówię.

– Ależ oczywiście, że chodzi. Ty się wymigujesz, a Cleo nie widzi żadnej...

– Mnie chodzi o Wyna – mówię szybko, zanim rozmowa zdąży zejść na niepożądane tory. Sabrina patrzy na mnie ciemnymi oczami szklistymi od łez. Włosy wiją się jej od wilgoci.

– Nie mogę mieć z nim takiego samego tatuażu, Sab. Bo nie jesteśmy już razem.

Kiedy się odzywa, głos ma cichy, zmęczony.

– Wydaje się, że kryzys macie już za sobą.

Kręcę głową, usiłując rozszyfrować jej słowa.

– Co takiego?

– W ciągu tego tygodnia sprawialiście wrażenie, że wróciliście do siebie.

Wróciliście do siebie?

Jak ktoś, kto nie wiedział, że zerwaliście, może sądzić, że do siebie wróciliście?

Chyba że Sabrina wiedziała.

\* Być może autorce chodzi o grę słów – *easy lane* można tłumaczyć jako „łatwy tor, bezpieczna ścieżka”, zaś idiom *be on the easy street* oznacza „bogactwo, bezpieczeństwo finansowe”.

## W realu

### Piątek

– Ty wiedziałaś?

Milczy.

– Sabrina! – warczę.

Rozkłada ręce.

– Oczywiście, że wiedziałam! I oczywiście, że nie od ciebie. Bo jakoś tak się składa, że ostatnio najlepsi przyjaciele nic mi nie mówią o swoim życiu.

Mam wrażenie, jakbym się potknęła na szczycie schodów i dopiero wtedy zauważyła, że prowadzą na skraj przepaści.

– Jak? – bąkam.

– Parth odwiedził Wyna parę tygodni temu.

Nabrzeże kołysze mi się pod nogami.

– I on... mu powiedział?

– Bynajmniej. – Sabrina krzyżuje ramiona na piersi. – Wyn poszedł do łazienki, a Parth chciał ci wysłać zdjęcie czy coś tam z jego telefonu. Ale kiedy otworzył twój watek wiadomości, zobaczył, że od miesiący nic się tam nie dzieje. A ostatnia długa wiadomość była niewysłana. Wyn przeproszał w niej, że tak się to wszystko skończyło, lecz pozostała tylko w wersji roboczej.

– I Parth ją przeczytał – dopowiadam, czując gorzki posmak słów na języku.

– To nie było zamierzone – tłumaczy Sabrina. – Wizyty też nie planował. Ale wystarczyło, żeby się domyślił.

– Dlaczego nic nie mówiłaś?

– Ja? Przecież to ty wszystko ukrywałaś, Harry. Od miesiący nie mówiłaś mi prawie nic o sobie, a w tym czasie Cleo ciągle odwoływała kolejne plany, Wyn zaś w ogóle nie chciał przyjechać na ten tydzień i musiałam go błagać...

– Zaraz. – Przymykam oczy i kręcę głową.

Niemożliwe. A jednak.

– To po co było to wszystko? – Otwieram oczy i napełniam płuca. – To całe spotkanie?

Sabrina prostuje plecy i unosi brodę.

Myślę o tych wszystkich momentach, kiedy popychała mnie i Wyna ku sobie. Jakie uniki robiła, gdy choć przez chwilę była ze mną sam na sam. Nawet wioząc mnie z lotniska, podkreśliła muzykę i opuściła szyby tak, by – nawet gdybym chciała jej powiedzieć o Wynie – mogła z czystym sumieniem stwierdzić, że niczego nie słyszała.

Zalewa mnie gniew, jakiego nigdy dotąd nie czułam.

– Ten tydzień wspomnień? Pieprzona łazienka bez drzwi? Wszystko... było dla ciebie tylko grą?

– Grą? – powtarza. – Harriet, my usiłowaliśmy ci pomóc. Ty i Wyn jesteście sobie pisani.

– Jak mogłaś nas w to wpuścić? – Moje struny głosowe dygoczą z gniewu.

Oczy Sabriny błyszczą, ale nie otwiera ust.

– Zmusiłaś nas, żebyśmy przez cały tydzień analizowali swoją relację. Torturowałaś nas. Jak mogłaś?

– My nie wiedziałyśmy – odzywa się spokojny głos.

Odwracam się. Za nami stoi Cleo. Światła Ogara i Ostu obrysowują jej postać czerwonozłocistą poświata.

– Nie wiedziałyśmy, że zerwałaś z Wynem – mówi. – Nie wiedziałyśmy, że cały ten tydzień to jedna wielka lipa.

– Żadna lipa! – oburza się Sabrina. – Chcieliśmy im pomóc.

– W czym? – cedzę.  
– W powrocie do siebie! – odpowiada.  
– Gdybyśmy chcieli do siebie wrócić, dawno byśmy to zrobili! – protestuję.  
– Och, błagam, Harriet. Przecież ty sama nie wiesz, czego chcesz! Tracisz miłość życia, bo jesteś tak niedecyzyjna, że nie potrafisz wybrać daty ani miejsca ślubu.

Furia, rozpalona do białości, bucha ze mnie wszystkimi porami.

– Nie jesteśmy ze sobą, bo tego nie chcemy, rozumiesz, Sab? Bo nie potrafimy dać sobie szczęścia, choć tak bardzo się staraliśmy.

– Serio? – Głos Sabriny ocieka sceptycyzmem. – Pamiętaj, że Parth widział, co napisał Wyn, i wynikało z tego jasno, że biernie patrzysz, jak życie przecieka ci przez palce, zamiast walczyć o to, na czym ci zależy.

– Nie możesz decydować, co jest dla kogoś najlepsze – wtóruje mi Cleo. – I nieważne, jak szlachetne miałaś intencje. Zmanipulowałaś nas. Wiedziałaś, jaką napinkę miałam w związku z tym tygodniem; wiedziałaś, dlaczego Wyn nie chce przyjechać, a mimo wszystko stawiałaś na głowie, żeby nas tu ściągnąć.

– Robiłam to, co powinnam – odpowiada Sabrina. – Tak jak zawsze, bo innym nie chciało się kiwnąć palcem w tej sprawie. Gdybym liczyła na was, już dawno by było po przyjaźni i dobrze o tym wiecie. Wysłałam pierwszą wiadomość. Dzwoniłam. Nagrywałam się na pocztę głosową. Planowałam wasze loty, a kiedy je odwoływaliście, rezerwowałam inne terminy i choć nie potrafiliście mi dać jednoznacznych odpowiedzi, po paru dniach dzwoniłam kolejny raz i ustalałam wszystko od nowa.

– Każdy miał jakieś swoje sprawy – mówi Cleo. – Nie możemy wszystkiego rzucić na jedno twoje słowo, nawet jeśli pragniesz wskrzesić chwałę dawnych dni pod swoim patronatem.

Po minie Sabriny momentalnie się orientuję, że Cleo uderzyła w czuły punkt. Bardzo czuły.

Cała moja złość pierzcha, mgła rozplywa się na tyle, aby ujawnić przepaść przed nami. Nadal czuję gniew, ale strach dokucza mi bardziej, wrastając we mnie i wrzeszcząc: „Stop, zatrzymajcie to, zanim zrobi się gorzej! Zanim ktoś odejdzie! Zanim ich straciecie!”

– Ochłońmy wszyscy – bąkam.

Cleo szuka mojego spojrzenia.

– Nie jestem zła – stwierdza chłodno. Nie kłamie. W jej oczach nie ma żaru, tylko zmęczenie, rozczarowanie. – Po prostu przestałam udawać – dodaje.

Mam wrażenie, jakby chodnik zapadał się pode mną, jakby świat się rozstał. Jeśli natychmiast czegoś nie zrobię, ten rozdziew będzie się powiększał, aż naprawdę ich stracę. Aż zostanę sama jak palec.

– Co udawać? – dopytuje Sabrina.

– Że to są nasze dni chwały – odpowiada Cleo. – Że jesteśmy sobie bliscy. Że jesteśmy jednością, choć prawda jest inna. My jesteśmy inni.

– Cleo – upominam ją cicho, błagalnie.

Ona jednak ciągnie:

– Życie każdego z nas podąża innymi torami. Nasze plany też są zupełnie inne. Już nie lubimy podobnie spędzać czasu. Wyn jest w Montanie, Harriet odcięła nas od swojego świata, ale ty i Parth nadal marzycie o jednej wielkiej imprezie, choć to niemożliwe! Mamy różne rzeczy przesrane w życiu i nie ma już miejsca na rozmowę o tym.

– Nie odcięłam was od swojego świata – protestuję. – Po prostu ja i Wyn nie chcieliśmy ci mówić o czymś tak bolesnym, że nikomu nie byłam w stanie o tym opowiedzieć. Nawet trudno mi o tym myśleć... o nim... nie mając poczucia, że... życie mi się pruje w szwach.

Oczy Cleo są mroczne, płonące.

– Właśnie w takich chwilach powinnaś mieć oparcie w nas, a tymczasem ty przestajesz z nami rozmawiać i kiedy wszystko... kiedy sytuacja staje się nie do zniesienia, co nam pozostaje?

– Och, Cleo, daj spokój, wcale nie jesteś lepsza – kontruje Sabrina. – Sabotujesz moje plany od miesięcy. Nie skłamię, jeśli powiem, że ja jedna próbuję utrzymać nas wszystkich razem, choć równie dobrze moglibyście się już nie widywać.

– Widzimy się przez cały tydzień i co się dzieje? – odparowuje Cleo. – Ty nam mówisz, że to wszystko było jakimś makiawelicznym planem, Harriet wyznaje, że ona i Wyn od dawna nie są parą, i poznamy prawdę dopiero na koniec, jakby to nie było ważne. Bo ty wolisz siedzieć w kinie przez pięć

godzin, tylko dlatego, że kiedyś tak robiliśmy, niż przyjąć do wiadomości, że moglibyśmy wymyślić coś zupełnie innego! Nie jesteśmy już wszyscy razem w jednym miejscu. Dorośliśmy. – Głos jej drży. – Każdy idzie w swoim kierunku. Są rzeczy, o których już nie pogadamy, i pewnie nie możemy się z tym pogodzić albo udajemy, że tego nie zauważamy, gdy tymczasem powinniśmy to zaakceptować. Już nie jesteśmy dla siebie tym, czym byliśmy kiedyś. I tak jest dobrze.

– Dobrze? – powtarza Sabrina głucho.

– Wszystko się zmienia. Już się zmieniło. Nigdy nie należałam do osób, które godzą się na to, czego nie chcą, ale tak postawiłaś sprawę, że musiałam się zgodzić. Wszystko musiało być na twoich warunkach.

– Nikt cię nie zmusza, żebyś tu była! Jeśli chcesz odejść, odejź!

Cleo wbija wzrok w chodnik, gdzie ze szczeliny wyrasta mała paproć, dokładnie pomiędzy jej stopami.

– Dobrze – mówi. – Kimmy i ja znajdziemy sobie hotel na tę ostatnią noc.

Znów ten zimny śmiech Sabriny.

– Jednym słowem świadomie chcecie wziąć rozwód z naszą przyjaźnią?

– Potrzebuję przestrzeni.

– Śmieszna jesteś. W tym okresie na całym wybrzeżu nie znajdziesz wolnego miejsca.

Cleo zaciska usta.

– W takim razie dzisiaj prześpiemy się w domku gościnnym.

– A potem?

– Jeszcze nie wiem. Może wyjedziemy.

Nie mam pojęcia, jak ją od tego odwieść – a może po prostu nie chcę tego robić. W głowie mi pulsuje. Wszystko poszło nie tak.

Wreszcie Sabrina mówi:

– Idę po samochód.

A potem odwraca się i odchodzi.

Spoglądam w kierunku, z którego przyszłyśmy. Sylwetki Kimmy, Wyna i Partha są sztywne i spięte. Wszystko słyszeli.

Powtarzam sobie, że w pewien sposób dobrze się stało, że powiedzieliśmy sobie prawdę tak otwarcie.

Gdybym jednak mogła cofnąć czas, zrobiłabym wszystko, aby wrócić do tego szczęśliwego miejsca, gdzie czas nie obowiązuje i realne życie nie ma do nas dostępu.

## W realu

### Piątek

W drodze do domu milczymy. Teraz, kiedy prawda wyszła na jaw, nie możemy z Wynem nawet na siebie patrzeć. Wyn nie patrzy też na Partha, wzrok ma wbity w okno samochodu.

Jak tylko docieramy na miejsce, wszyscy się rozchodzą. Nie chcąc ryzykować kolejnych trudnych rozmów, od razu umykam do swojej klitki, czyli toalety na pierwszym piętrze. Kiedy stamtąd wracam, mijam się na schodach z Kimmy i Cleo, znoszących bagaże do domku gościnnego.

Cleo nie patrzy na mnie. Żadna nic nie mówi. Kimmy posyła mi tylko napięty uśmiech i w przelocie ściska moją rękę.

Gula rośnie mi w gardle na dźwięk otwieranych frontowych drzwi.

Nie idę do pokoju, który dzielę z Wynem. Pękła bańka, rozpadł się kieszonkowy wszechświat. Zamiast tego kieruję swoje kroki do pokoju dziecięcego. Jest czysty, a bliźniacze łóżka, starannie zasłane, wróciły na dawne miejsca pod ścianami. Dziewczyny nie zostawiły po sobie śladu, jeśli nie liczyć zanikającej woni olejku miętowego Kimmy.

Siadam na krawędzi materaca, czując narastającą samotność. Nie wiem nawet, czy napiera na mnie z zewnątrz, czy rodzi się we mnie.

Tak czy inaczej nie ucieknę od niej. Od mojej wiernej, starej towarzyszki.

Zrzucam z siebie ubranie i wpełzam pod kołdrę. Nie płaczę, ale też nie mogę zasnąć.

Niedawna rozmowa odtwarza mi się w myślach w dręczącej pętli, aż słowa mieszają się ze sobą, tracąc sens.

Raz po raz zadaję sobie pytanie: dlaczego im nie powiedziałam? Te same, ułomne odpowiedzi krążą w moim umyśle, aż mam dosyć siebie tak, jak pewnie inni mają dosyć mnie.

Odwracam się na plecy i gapię w sufit, przecięty strugą księżycowego światła.

Przyczyną nie była obawa, że będą na mnie wściekli za takie zakończenie znajomości z Wynem. Nie, ja bałam się ich smutku. Bałam się, że zepsuję ten wyjazd, który tak wiele dla nich znaczył. I miejsce, gdzie zawsze byli szczęśliwi. Bałam się, że mnie potępia, choć mi tego nie powiedzą. Że bez Wyna nie będą już mnie lubić, tak jak ja nie lubiłam siebie bez niego.

Obawiałam się, że będą dopytywać, co poszło źle w naszej znajomości, i obojętnie, jaką odpowiedź udałoby mi się odtworzyć z tych gruzów, i tak mnie przejrzą.

Wiedzieliby, że za mało się starałam.

Nie jestem znakomitą lekarką, jaką chcieliby mnie widzieć rodzice. Nie jestem kobietą, która dałaby Wynowi szczęście, na jakie zasługuje. I nie jestem przyjaciółką, jakiej potrzebują Sabrina i Cleo.

Tak bardzo starałam się być dobra, starałam się zasłużyć na tych bliskich mi ludzi, a tymczasem udało mi się ich wszystkich skrzywdzić.

W pościeli jest mi za gorąco, materac jest zbyt miękki. Kiedy się przewracam na łóżku, walę w ścianę.

Gdyby był tu telewizor, włączyłabym sobie *Napisala: Morderstwo* i zasnęła w niebieskawej poświacie, z wesolutką ścieżką dźwiękową.

Cisza zostawia za dużo miejsca na pytania. Na wspomnienia, które oplatają mnie jak bluszcz i więżą.

Nie chodzi w nich o nasze perypetie, lecz o mroczne miejsce. O tydzień przed utratą Wyna i po niej. O płkanie w poduszkę, która zachowała jego zapach. O budzenie się ze snów o nim z zaciśniętymi węzłami w piersi. O próbę wypłukania go z mojego krwiobiegu przez podwójną randkę z Taye, jej chłopakiem i z ich przyjacielem.

O powrotach do domu z mdlącym uczuciem w żołądku i pucowaniu mieszkania. Jakby czyszczenie fug i blatów z resztek jedzenia mogło zmienić moje nastawienie do życia. Jakby mogło zmienić mnie.

Pamiętam, jak stałam w kuchni, z telefonem w ręce, żałując, że nie mam do kogo zadzwonić.

Gdybym zadzwoniła do matki, mogłabym usłyszeć: „Wracaj do domu. Zajmę się tobą”.

Gdybym zadzwoniła do Wyna, jego łagodny głos mógłby mi powiedzieć, że to wszystko było błędem, nieporozumieniem i że zawsze będzie mnie kochał, tak jak obiecywał.

Nawet gdybym wtedy zdobyła się na wyznanie im prawdy, o takiej porze Sabrina i Parth właśnie by zasypiali, Cleo i Kimmy zaś za parę godzin musiałyby wstać. Gdybym zadzwoniła do Eloise, pomyślałaby, że ktoś umarł, bo nigdy nie rozmawiamy przez telefon.

Byłam bliska zadzwonienia do Wyna – tamtej nocy, kiedy zablokowałam jego numer.

Im dłużej zwlekałam z zadzwonieniem do kogokolwiek, tym bardziej wydawało mi się to niewykonalne i tym bardziej zawstydzala mnie prawda.

Przez całe życie dążyłam do swojego wymarzonego celu i co? Nie było tak, jak sobie wyobrażałam.

Nie, było gorzej. Bo szczerze mówiąc, nie zadałam sobie trudu, żeby naprawdę uruchomić wyobraźnię.

Wyobrażałam sobie, jak dostarczam rodzinie budujące wieści ze szpitala, na które tak czekali. Wyobrażałam sobie szczęście i dumę swoich rodziców, ich twarze w tłumie na uroczystości rozdania dyplomów, ich adorujące wpisy na kartkach świątecznych. Wyobrażałam sobie dom z klimatyzacją, która działa, i zawsze otwartymi drzwiami; długie kolacje w modnych lokalach, śmiech przy stole i zaróżowione policzki. Wyobrażałam sobie urlopy, przemyślane prezenty dla mamy i taty, rodzinne wakacje, których nigdy nie było, i spłacenie ich długu. Wyobrażałam sobie, że cała ich ciężka harówka w końcu przyniosła owoce, a ich poświęcenie nie tylko zostało docenione, ale i wynagrodzone.

Wyobrażałam sobie, jak myślą, że było warto. I mówią mi, jak bardzo mnie kochali.

Przez całe życie, myśląc o przyszłości, właśnie tak sobie ją wyobrażałam. Nie karierę, tylko to, co miało się z nią łączyć.

Szczęście, zdrowie, bezpieczeństwo.

To marzenie wystarczyło mi na długo. W końcu czym jest nauka, jeśli nie szansą zyskania własnej wartości? Udowodniania raz za razem, że jest się wymiernie dobrym w tym, co się robi.

Jeszcze jedna umowa, jaką zawarłam z bezinteresownym wszechświatem: Jeżeli okażę się wystarczająco dobra, będę szczęśliwa.

Będę kochana.

Będę bezpieczna.

Zamiast tego odepchnęłam każdego, kogo kochałam.

Serce telepie mi się w piersi. Nigdy nie ucieknę od tych odczuć.

Wstaję z łóżka, zdieram z niego prześcieradło i zarzucam je sobie na ramiona jak płaszcz. Choć na korytarzu jest chłodniej, gdy schodzę na dół, ciągle jest mi duszno i gorąco.

W kuchni zastaję istne pobożowisko. Odwieszam prześcieradło na krzesło i w samej bieliźnie biorę się do porządków. Chowam do szafek czyste naczynia, a brudne wkładam do zmywarki. Wycieram blaty. Zamiatam podłogę. Wmawiam sobie, że to coś da. Że jutro, kiedy wszyscy zejdą na dół, nasza wieczorna klęska nie będzie wyglądała tak strasznie.

Jednak niepokój nie odpuszcza. Moja skóra jest zbyt napięta, rozpalona i swędząca. Znów zakładam na siebie prześcieradło i wychodzę na patio.

Wiatr niewiele łagodzi moje odczucie gorączki. Schodzę w dół, do pomostu. W ciemności ocean wydaje się głośniejszy i potężniejszy niż zwykle. Wyobrażam sobie, jak by to było, gdybym się w nim zanurzyła i dała się unosić prądom. Gdybym została zabrana z tego życia i obudziła się w innym miejscu.

Nagle coś, co powiedziała Sabrina, wdiera się w moje myśli:

„Tracisz miłość życia, bo jesteś tak niedecyzyjna, że nie potrafisz wybrać daty ani miejsca ślubu”.

Wiem, że sprawa jest bardziej skomplikowana, ale jej słowa nie chcą mnie opuścić, splatając się z tym, co wcześniej powiedział mi Wyn.

„Autentycznie sobie wmówiłem, że to facet, z którym chcesz się związać. Zwłaszcza że ciągle odkładałaś nasz ślub. I nawet nie chciałaś o tym rozmawiać. Nie chciałaś rozmawiać o żadnych planach... Nigdy się na mnie nie wkurzyłaś. Nie kłóciłaś się ze mną. Miałem wrażenie, że z powodzeniem mogłabyś się obyć beze mnie”.

Tyle odczuć przed nim ukrywałam z obawy, że ciężar moich emocji jeszcze bardziej go ode mnie

oddali, wypchnie za drzwi, których nie będę umiała otworzyć. I nawet kiedy mi to dzisiaj powiedział, zatrzasnęłam się w sobie, niezdolna wydusić z siebie słów. Teraz kłębią się we mnie i zapadają coraz głębiej, ugruntowując swoją pozycję.

Gdy tylko podejmuję decyzję, czas przyspiesza. Strome stopnie na zboczu, patio, skrzypiące schody, korytarz – rozmywają się w pędzie, aż stoję przed jego drzwiami.

Pukam cicho. Wystarczy, bo drzwi od razu się otwierają, jakby na mnie czekał. To wyjaśnia, czemu jest ubrany, ale nie wyjaśnia, czemu wygląda na zaskoczonego. Czemu jego usta się rozchylają, a czoło się marszczy, kiedy zdaję się płynąć ku niemu w powietrzu, napompowana swoją decyzją niczym balon helem.

A już na pewno nie wyjaśnia spakowanej torby stojącej przy drzwiach.

Na ten widok rozżarzony węgiel przesuwam mi się w przełyku, opada na dno żołądka i syczy.

– Wyjeżdżasz?

Stalowszarskie spojrzenie Wyna biegnie ku torbie.

– Pomyślałem, że tak będzie łatwiej.

– Łatwiej – mamrocze. – Czyli jak? Z tutejszego lotniska są trzy rejsy dziennie, ale nic nie odlatuje w środku nocy.

Chwyta za drzwi i zatrzaskuje je za moimi plecami.

– Nie wiem – przyznaje.

Wreszcie udaje mi się to powiedzieć:

– Nie.

Wyn unosi brwi.

– Co „nie”?

– Jeszcze nie skończyliśmy się kłócić – mówię.

– Myślałem, że nigdy się nie kłóciliśmy – odpowiada.

Zbliżam się do Wyna na tyle, że czuję emanujące z niego ciepło.

– Żremy się jak jasna cholera.

Odwraca wzrok. Kąciki jego ust opadają.

– O co?

– Na początek o to, że spakowałeś się w środku nocy – informuję, napierając na niego. Cofa się o pół kroku. Mój głos lekko się chwieje. – A ja nie chcę, żebyś wyjeżdżał.

Obejmuje dłońmi moje biodra, ale trzyma mnie na dystans.

– Przede wszystkim nie powinienem był tu przyjeżdżać – stwierdza. – To był błąd.

– Nieprawda.

– Był – upiera się.

Napieram mocniej. Nasze klatki piersiowe na moment się stykają.

– No właśnie.

– Co „właśnie”?

– O to też musimy się pokłócić – odpowiadam.

Nieznacznie, opornie, ale jednak się uśmiecha. Tylko przez chwilę, bo potem umyka spojrzeniem w bok i ściąga brwi.

– Cholernie mi przykro, Harriet – mówi. – Gdybym, tak jak zamierzałem, odmówił przyjazdu, nie...

Gdy kładę mu dłonie na barkach, rzuca mi szybkie, nagle ożywione spojrzenie. Delikatnie naciskam i Wyn siada na krawędzi łóżka, przekrzywiając głowę, aby widzieć mnie w świetle lampki nocnej. Jego uda się rozszerzają, kiedy wciskam się pomiędzy nie. Moje ręce z ciepłych barków wędrują ku jego żuchwie. Przymyka oczy i wtula twarz w moją dłoń, całując jej wnętrze.

Obejmuje mnie w tali, a ja przekładam nogę za jego biodro. Otwiera oczy, czarne jak atrament, i podtrzymuje mnie, kiedy to samo robię z drugą nogą. Teraz nad nim góruję.

– To ma być kłótnia? – mruczy.

Kiwam głową i osuwam się na niego. Jabłko Adama porusza się na jego szyi. Palce zaciskają się na moich udach. Ciągłe mam na sobie prześcieradło.

– To twój strój bojowy? – pyta.

– Jestem debiutantką. Nie wiedziałam, jakie jest standardowe umundurowanie. Mam iść się przebrać?

Taksuje mnie spojrzeniem.



– Nie masz na stanie czegoś mniejszego?

Kręcę głową.

– Nie, chyba że wymyślisz, jak się ubrać w szczoteczkę do zębów.

– Pomyślmy. Dobra, o co konkretnie się kłócimy? – pyta rzeczowo.

– O wszystko – odpowiadam.

Jedną ręką obejmuje mój kark, a drugą podciąga mnie wyżej, aż ciasno przylegamy do siebie.

– Zwykle łatwiej jest zacząć od czegoś mniej ważnego i stopniowo eskalować spór, aby finalnie pokłócić się o wszystko. Przynajmniej tak robili moi rodzice – mówi.

– Twoi rodzice się nie kłócili – zauważam.

– Kto się czubi, ten się lubi, Harriet. Rzecz w tym, jak się to robi.

– Są jakieś reguły?

– Oczywiście.

– Na przykład mundur – dopowiadam.

– Na przykład bez wyzwisk.

– Może być „kotku”?

Przesuwa ręce w górę moich ud, wodzi po nich w tył i w przód, a znajoma szorstkość jego palców pobudza moją skórę.

– Muszę się skonsultować z szanownymi Parthem i Sabriną, ale sądzę, że „kotek” jest dopuszczalny – stwierdza. – Żadne jury by się nie przyczepiło. Tylko wystrzegaj się czegoś bardziej wulgarnego.

– Co jeszcze powinnam wiedzieć?

– Można poprosić o przerwę. Mówi się: „Nigdy nie idźcie do łóżka pokłóceni”, ale ktoś może zwyczajnie potrzebować czasu do namysłu. Czyli wolno ci, ale powinnaś mi powiedzieć, bo inaczej... – Szczeka mu drga, kiedy przełyka. – Bo inaczej druga osoba może pomyśleć, że odeszłaś na dobre.

Ja też przełykam i przysuwam się bliżej. Nasze klatki piersiowe stanowią teraz jedność.

– Jeszcze coś? – dopytuję.

– Nie ma potrzeby podziału na wygranego i przegranego. Musisz po prostu brać pod uwagę, co czuje druga osoba. To ważniejsze niż udowadnianie, że masz rację.

– To nie brzmi jak kłótnia – komentuję.

– Ta wskazówka pochodzi wprost od Hanka.

Nie potrafię powstrzymać uśmiechu.

– Czyli warto ją zastosować.

– To co, spróbujemy? – zachęca Wyn.

– Na początek coś drobnego? – upewniam się.

Kiwa głową.

– Źle wstawiasz naczynia do zmywarki – mówię.

Uśmiecha się.

– Źle?

– Dobra, korekta. Robisz to w sposób, którego nienawidzę.

Już nie tłumi uśmiechu. Teraz śmieje się całą gębą.

– Dalej. Nie przestawaj – ponagla.

– Za dużo ładujesz do dolnej szuflady – kontynuuję posłusznie – i woda nie dochodzi do góry.

Ponadto niedokładnie splukujesz rzeczy przed włożeniem i na dnie misek zostają na przykład resztki płatków.

Wyn usiłuje przybrać ponurą minę.

– Przepraszam. Masz rację. Zawsze się spieszę, kiedy ogarniam naczynia, i potem mam więcej pracy.

Co jeszcze?

– Nie lubię, kiedy bagatelizujesz swoją inteligencję.

– Pracuję nad tym – wyjaśnia. – Szczerze mówiąc, prochy mi pomagają. Na samopoczucie w pracy też.

Mam wrażenie, że moja klatka piersiowa się kurczy – a może to serce rośnie.

– Dobrze. Powinieneś być przynajmniej odrobinę tak dumny z siebie, jak ja jestem dumna z ciebie.

– To nie są słowa kłótni – stwierdza ze spokojnym uśmiechem.

- Bo teraz twoja kolej. Ty też jesteś na mnie zły.
- Serio?
- Dobra, niech będzie, że wściekły – poprawiam się.

Przyciska mnie do siebie.

- Wściekły – mówi cicho. – Za co?

W mojej głowie znów odtwarzają się słowa Sabriny: „Tracisz miłość życia, bo jesteś tak niedecyzyjna, że nie potrafisz wybrać daty ani miejsca ślubu... Parth widział, co napisał Wyn... Biernie patrzysz, jak życie przecieka ci przez palce, zamiast walczyć o to, na czym ci zależy”.

Mój żołądek fika koziołka.

- Może chodzi o ślub.

- Jaki ślub?

- Nasz ślub – wyjaśniam.

- Nie wzięliśmy ślubu.

– Może myślałeś, że mi nie zależy. Albo że się bałam zaangażować w ciebie i dlatego nie potrafiłam podjąć decyzji. Mogłeś uznać, że celowo ją odkładam.

Znów przetyka z wysiłkiem.

- A nie było tak? – pyta cicho.

W głowie mi się kręci, bo odpowiedź jest twierdząca. Ostatni element układanki wskazuje na swoje miejsce, o pięć miesięcy za późno. Oczy mi się szklą od łez.

To nie był jeden moment, kiedy wszystko poszło źle, kiedy straciliśmy się nawzajem. Były ich dziesiątki – i to po obu stronach. Przeoczone sygnały. Niewypowiedziane w porę słowa.

Świadomość tego jest kurewsko bolesna. Zrozumienie, że pozwoliłam, aby Wyn pomyślał, że go nie chcę.

– Chciałam być bezproblemowa, Wyn – wyrzucam z siebie. – Byłeś taki nieszczęśliwy, a ja nie chciałam na ciebie naciskać, kiedy przeżywałeś żalobę. Nie chciałam cię potrzebować, kiedy byłeś w rozpacz, więc udawałam, że wszystko jest w porządku. Wpadłam w przerażenie, gdy się przekonałeś, jakim jestem ludzkim wrakiem. Bałam się, że nie będziesz mnie chciał, więc cię odpychałam.

Jego usta łagodnieją, ale palce się zaciskają.

– Harriet – mówi z szorstką troską. Dokładne zaprzeczenie Wyna Connora zawarte w jednym słowie. – Zawsze cię pragnąłem.

Potrzebuję chwili, żeby się ogarnąć.

– Kolejną rzeczą, która mnie wkurza, jest... Nienawidzę, kiedy ranię twoje uczucia, a ty mi nic nie mówisz, więc próbuję sama dojść, co zrobiłam źle i jak to naprawić. Tak jak dzisiejszego wieczoru.

- Dzisiejszego?

- Kiedy wracaliśmy do samochodu. Nawet na mnie nie spojrzaleś.

– Kurwa, Harriet. Po prostu byłem cholernie zakłopotany. Całym tym pieprzonym tygodniem. Faktem, że wpędziłem cię w tę sytuację, zupełnie niepotrzebnie, jak się okazało.

– Ale kiedy mi nie mówisz, że coś jest nie tak, ja muszę się domyślać, Wyn. I ciągle to do mnie wraca, bo uważam, że znów coś namieszałam.

- Bardzo niezdrowe podejście – zauważa.

- Wiem, ale tak jest.

– No właśnie, i to mi się nie podoba – stwierdza. – Powinnaś się czuć bezpieczna przy mnie. Nie powinnaś non stop dociekać, co ja czuję, kiedy od ośmiu lat otwarcie ci o wszystkim mówię.

– A ty powinieneś wiedzieć, że nie chciałam nikogo innego... – Głos mi się łamie, a serce idzie w jego ślady. – Powinieneś wiedzieć, że byłeś mi przeznaczony, od pierwszego wieczoru, kiedy się poznaliśmy. Robiłam wszystko, żeby utrzymać nasz związek, ale ty nie chciałeś dla mnie walczyć. Choć mówiłeś, że będziesz, a ja ci wierzyłam, Wyn. Teraz rozumiem, dlaczego tego nie robiłeś. Ale nie wybaczyłam ci, że zламаłeś mi serce. Dalej: jestem na ciebie wściekła, że wieczorem mnie nie szukałeś – kontynuuję.

Zadzierza mi brodę i całuje bok mojej szyi, szepcząc cicho:

- W końcu bym to zrobił.

- Spakowałeś się – wytkam mu.

Śmieje się nierównym śmiechem z ustami przy mojej skórze. Wraca rękami do moich ud, unosząc mnie, żebym do niego przyłgnęła.

– Idiotyzm. Pragnęłam przekonać siebie, że najlepiej będzie, jeśli zostawię cię samą. Co gorsza, uwierzyłem w to, Harriet. Jednak nie zamierzałem wyjechać. Kiedy zapukałaś, właśnie chciałem wyjść i cię poszukać. Nie zdziwiło cię, że tak szybko otworzyłem? I że mi stał?

Miły dresczyk przenika mi uda.

– Może rozwiązywałaś krzyżówkę – podsuwam.

Muska ustami delikatną skórę za moim uchem.

– Nie mógłbym zostawić cię samej, Harriet. Nie byłbym do tego zdolny.

– Zostawiłeś mnie na całe pięć miesięcy – zauważam.

– Zablokowałaś mój numer – odpowiada i czuję ucisk jego palców przez cienkie prześcieradło. – Gdyby nie to, wiedziałabyś, jak jest naprawdę. Parth widział tylko jedną niewysłaną wiadomość, Harriet. Było ich więcej. Pisałem do ciebie, a ty nie odpowiadałaś.

Serce trzepocze mi w gardle niczym spłoszony kanarek. Wyn ujmuję w dłonie moją twarz i całuje mnie głęboko, chciwie. Moje zakończenia nerwowe rozjarzają się w koncentrycznych kręgach, które szybko się rozchodzą. Komórkowe fajerwerki. Rusza neurologiczny diabelski młyn. Wczepiam ręce w jego włosy, kiedy rzuca nas na wielkie łóżko, a pościel opada na nas jak śnieg. Na moment uwalnia mnie od swojego ciężaru, żebym mogła ściągnąć z niego koszulkę, po czym znów przykrywa mnie sobą i nasze usta się zderzają. Wsuwa mi kolano pomiędzy uda. Spragnione dłonie ugniatają moje ciało. Orzę paznokciami jego ciepłe plecy.

Wyn wędruje pocałunkami w dół, do mostku, wsuwając język pod stanik i skubiąc zębami moją skórę. Krzyczę z radości, czując nasze obopólne pragnienie. Napieramy na siebie. Jego dłoń znajduje zapięcie stanika i po krótkich zmaganiach rozpina go i odrzuca. Nasze nagie piersi wreszcie się stykają; mój biust rozpląszcza się pod jego naporem. Jęk wyrывa mu się z ust. Zachłannie zagarnia mój biust, waży go w dłoniach, by podać sobie do ust.

Łóżko skrzypi od naszych ruchów.

Wyn jedną ręką opiera się na łokciu, a drugą zsuwa po moich żebrach i talii, aż trafia na gumkę majtek na biodrze. Ściąga mi je z jednej strony i muska palcami udo.

– Dawno cię nie słyszałem – mruczy mi do ucha. – Tych wszystkich dźwięków, które wydajesz.

Same te słowa wystarczą, żeby usłyszał próbkę mojego repertuaru.

– Powinniśmy się częściej kłócić – mówię.

– Popieram. – Opuszcza mi majtki z drugiej strony, a ja sięgam do jego rozporoka. Z jękiem odrzuca głowę w tył, kiedy wsuwam mu palce w spodnie.

– Kupiłeś kondomy? – szepczę.

– Tak, przed kolacją. – Wyciąga z kieszonki opakowanie i rzuca na łóżko. – Nosilem je przy sobie cały wieczór jak pieprzony nastolatek na balu maturalnym, marzący, że załapie się na numerka w kiblu.

– Gdybym wiedziała, kłócilibyśmy się bez jednej przerwy.

Wyn chwyta moją łydkę i zakłada ją sobie na biodro.

– Tylko proszę, nie odchodź – mówi chrapliwym głosem. – Nie idź spać do innego pokoju. Zostań ze mną do rana.

– Nie odejdę – obiecuję, zrzucając majtki.

Wyn przetacza nas tak, że leżę na nim. Unosi biodra na tyle, żeby zsunąć slipy, a gdy to robi, przywieram do niego ciasno. Teraz już nic nas nie dzieli. Nic nie jest cudowniejsze od tego prostego kontaktu. Zagarnia moje biodra i podciąga mnie wyżej. Nasz oddech przyspieszają. Chwyta mnie za nadgarstki i zakłada sobie moje ręce za głowę, tak by mógł pieścić mój biust językiem i rozchylonymi wargami.

Macam po łóżku, znajduję prezerwatywy, otwieram jedną i nakładam ją Wynowi. Znów odrzuca głowę w tył z gardłowym pomrukiem. Unoszę biodra i przyjmuję go w siebie. Jest taki znajomy, taki na miejscu, ale po tylu miesiącach tak dziwnie nowy.

Nasze ruchy są niespieszne, lecz nagłe; tak intensywne, że na długą chwilę zapominam o oddychaniu, jakby nic innego poza samym aktem nie było mi potrzebne do życia. Czułe dłonie dotykają mojej twarzy, miękkie usta muskają moje wargi. Język Wyna gości w nich niemal nieśmiało, aż nie mogę już

dłużej znieść tej łagodności, tego wstrzymywania się. Męczy mnie, kiedy tak dozuje mi siebie.

Gdy mu to mówię, obraca nas po raz kolejny i przyszpila mi ręce nad głową. Nasze ciała lśnią od potu, kiedy gorączkowo przyspieszamy. Prężę się pod nim, zgrywam się z jego rytmem, usiłując się nie wyłamać, jeszcze nie teraz. Wymawiam jego imię jak zaklęcie.

Albo jak „do widzenia” i „kocham cię”. Jak obietnicę.

I wiem, że moje serce przytakuje: „Ty, ty, ty”.

Leżymy, sklejeni potem. Wyn nawija mój lok na palec. Jego pierś unosi się i opada niczym łódka na falach.

– Wybaczysz im? – szepczę.

– Szczerze mówiąc, trudno mi się na nich wkurzyć – przyznaje. – Oczywiście nie powinni kłamać, ale... sam nie wiem. Nie żałuję, że dałem się tutaj ściągnąć. Że się spotkaliśmy. Warto było.

– Ja też nie żałuję. – Tulę go mocniej. Po chwili dodaje: – Myślisz, że oni nam wybaczą?

– Tak – odpowiada z przekonaniem.

– Wcześniej o tym nie myślałeś – wytykam mu.

– Nie musiałem.

Unoszę się na łokciu i zaglądam mu w oczy.

– Skąd jesteś taki pewien?

– Kolejne mądrości Hanka. Miłość oznacza, że ciągle przepraszasz i starasz się, żeby było lepiej.

Uśmiecham się, igrając palcami po piersi Wyna.

– Dobrze cię wychował, Wynie Connor. Byłby z ciebie dumny.

Ciasno otacza mnie ramionami.

– Cieszę się, że tak uważasz.

Nie mija klika minut, jak usypiam. Śnię o słonecznym sosnowym lesie, o ciepłym drewnianym blacie stołu, o wszechobecnym zapachu koniczyny. Znam to miejsce, choć nie potrafię go nazwać. Wiem, że tam jestem bezpieczna, że do niego należę.

## W realu

### Sobota

Wyn zostawił otwarte okna i rozsunięte zasłony, więc rankiem pokój jest chłodny i jasny; bryza niesie słońcą woń i daleki skwir mew popielatych. Mam wrażenie, że moje ciało jest jak stopione lody, w najlepszym znaczeniu tego słowa. Strzępki obrazów z nocy dryfują w moim sennym umyśle: palce zaciskające się na pościeli, włosach i skórze, zdyszane szeptu i zaklęcia.

A potem przyływa reszta.

Kłótnia. Cały ten tydzień. Wszystko, co dotyczy Wyna.

Dzisiaj jest ostatni dzień naszego wyjazdu.

Mija przyjemne odrętwienie. Teraz czuję się tak, jakbym wpadła pod autobus, wyleciała spod kół i została potrącona jeszcze raz. Wyn śpi mocno; jedna jego ręka nadal spoczywa na mojej piersi, kącik ust jest uniesiony. Serce mi się ściska na ten widok.

Zwykle sypia na plecach. Owszem, zasypialiśmy przytuleni do siebie w ten sposób, ale potem wiercił się we śnie, dopóki nie zajął ulubionej pozycji. Tak samo się wiercił, kiedy leżeliśmy na łyżeczkę – i gdy znów się nam zachciało, znajdowaliśmy drogę do siebie w półsennej mgłę pożądania. Co było wspaniałe, ale nie rano, kiedy trzeba wstać do szkoły albo do pracy.

Tym razem wytrzymał tak przytulony całą noc, chociaż ta noc dla nas trwała zaledwie parę godzin.

Porusza się nieznacznie, kiedy wysuwam się spod niego. Zawsze we śnie wyglądał młodziej. Zastanawiam się, czy to nie jest swego rodzaju ewolucyjne przystosowanie – bo jakie zwierzę zaatakuje kogoś, kto wygląda tak pokojowo i niewinnie?

Okej, mogłabym to być ja, ale postanowiłam być miła i go nie budzić.

Wkładam dzinsy, sweter i wymykam się z pokoju, na korytarze cichego domu. Bardzo bym chciała wiedzieć, jak inni czują się po tym wieczorze, ale wszyscy albo jeszcze śpią, albo nie wystawiają nosa ze swoich pokoi.

Po paru minutach bezcelowego krążenia po kuchni postanawiam się przejść do miasta i przynieść dla wszystkich picie z Gorącego Kubka jako fajkę pokoju.

Często myślałam, że świat zachowuje najlepszą pogodę na czas, kiedy czujesz, że wszystko idzie nie tak, jak powinno – i dzisiaj nie jest inaczej. Dzień wstał cudownie słoneczny, z rześkim wiatrem. Kiedy słońce znajdzie się w zenicie, Knott Harbor z pewnością zaleje upał. Podobnie jak całe tutejsze wybrzeże, co jest cudownym luksusem w porównaniu z parnymi bagiennymi letnimi miesiącami w południowej Indianie czy do skupionego jak w soczewce lipcowego upału w Nowym Jorku.

Za takim letnim dniem na wybrzeżu Maine tęskni się w środku zimy.

Po dziesięciu minutach marszu krętą drogą, wytyczoną przez zarośla rododendronów, z rzędami knajpek o poszarzałych dachówkach, odnawianych i odmalowywanych po raz setny przez wiele lat, zacznę żałować, że nie włożyłam topu na ramiączkach pod sweter.

Stwierdzam, że z powrotem wezmę taksówkę, co w miasteczku tej wielkości wcale nie jest łatwe. Zwykle transport zapewniała nam Sabrina, ale tym razem wolę na nią nie liczyć w tak napiętej sytuacji.

„Gdybym liczyła na was, już dawno by było po przyjaźni”, powiedziała. I niewiele się myliła. Przyjaźń z Sabriną, z całą naszą grupą, zawsze przypominała mi wartki nurt, w którym mogłam się zanurzyć. A to miałam opanowane do perfekcji – płynięcie z prądem kaprysów i uczuć innych.

Nigdy nie przyszło mi do głowy, że to mogło być postrzegane jako bierność. Że inni mogli sobie pomyśleć, że mi nie zależy. Przeszywa mnie ukłucie winy.

Popękany chodnik prowadzi mnie krętą drogą do miasta i naszej ulubionej kawiarni. Pod zblakłą markizą, przy przeszklonych drzwiach, widzę Cleo trzymającą pojemnik z kawami na wynos.

Nieruchomieje na mój widok i z wolna unosi rękę na powitanie.

Odpowiadam tym samym gestem.

Przez moment obie tkwimy w miejscu, aż barista woła „Doug!” i jedyny klient, nie licząc Cleo, zbliża się do lady, żeby odebrać swoje zamówienie.

Cleo rusza ku mnie. Spotykamy się w połowie drogi, przed radośnie kolorową ławką, ustawioną pod włoską restauracją. Pośród śmiesznych czerwonych homarów z kartonu ustawiono napis wykonany ozdobną czcionką: „Tylko dla klientów!”.

– Cześć – wita mnie.

– Cześć – odpowiadam.

Podsuwa mi tackę.

– Kawy?

– Jak wezmę, zostaną ci tylko trzy – mówię.

Uśmiecha się z wysiłkiem.

– Latte solony karmel jest dla ciebie.

Patrę na tackę. Są na niej trzy średnie porcje i jedna mega.

– Widzę, że brakuje superenergetyka i dopalaczy – komentuję.

Cleo uśmiecha się szeroko.

– Pojemnik mieści tylko pięć kubków. Dlatego wzięłam jedną big-ass Americano dla Sabriny i Partha na spółkę, czarną kawę dla Wyna i matchę dla Kim.

Czuję ukłucie w piersi.

– Zapamiętałaś, co pijemy.

Wzrusza ramionami.

– Znam cię.

Znów chwila ciszy.

– Chcesz się przejść kawałek? – pyta.

Kiwam głową.

Cleo stawia pojemnik na ławce i wyjmuje z niego kubek z moją kawą.

– Zaraz ci prześlę kasę Venmo – mówię.

Krzywi się.

– Daj spokój.

Schodzimy ku wodzie. Powietrze robi się gęste od soli.

– Wiesz, nie umiem walczyć – wyznaję po chwili.

Zerka na mnie z ukosa.

– Zwłaszcza z ludźmi, na których mi zależy – dodaję. – To znaczy nie ze wszystkimi. A już zwłaszcza nie z tymi, których kocham. W gruncie rzeczy umiem tylko unikać kłótni. Na ile potrafię.

Obserwuje mnie z marsem na czole.

– Nie wiem, jak powinny się kończyć kłótnie, gdy kochasz kogoś, z kim się kłócisz – ciągnę. – W mojej rodzinie zawsze znikano, gdy coś poszło źle. Eloise wypadała z pokoju albo rodzice odsyłali ją do jej pokoju, po czym sami dekowali się w dwóch odległych krańcach domu i sytuacja po czymś takim nigdy się nie polepszała. Przeciwnie, było raczej gorzej. I chyba po prostu myślałam, że jeśli nie będę dopuszczać do kłótni, nikt nie odejdzie. Nigdy nie próbowałam kogoś odprawić. Dokładne przeciwieństwo tego, co miałam w domu. I od dawna nie było mi z tym wszystkim dobrze, Cleo.

Ściąga brwi z wyrazem tak totalnego zdumienia, że aż się zastanawiam, czy nie wypowiedziałam ostatniego zdania od tyłu.

– Rzecz w tym – dodaję – że mam poczucie winy. Powinam była powiedzieć ci o Wynie i o sobie. Powinam była częściej dzwonić.

Mija jeszcze chwila i Cleo kieruje spojrzenie ku wodzie.

– Byłam niesprawiedliwa wczoraj wieczorem – odzywa się wreszcie. – Rozumiem, dlaczego nam nie powiedziałaś.

– Naprawdę?

Wraca wzrokiem ku mnie i krótko kiwa głową.

– Zazdroszczę ci tego zrozumienia – mówię gorzko. – Możesz mi wytłumaczyć, tylko tak łopatologicznie?

– Zastosowałaś wyparcie – wyjaśnia. – Powiedzenie nam o rozstaniu sprawiłoby, że wszystko stałoby się realne. A gdybyś nawet zdecydowała się na prawdę, miałabyś świadomość, że ona wszystko zmieni, a taka możliwość cię przerażała. Bo ty nas potrzebujesz, Harriet. Jesteśmy twoją rodziną.

Gapię się na nią.

– Cholera.

– Trafiłam? – upewnia się.

Odstawiam kawę na jeden z pachółków wyznaczających krawędź nabrzeża. Pomiędzy nimi jest rozciągnięta gruba lina.

– Powiem więcej: ty chyba jesteś medium!

Śmieje się bezgłośnie i znów spogląda na rozbijające się o nabrzeże fale. Łzy lśnią w kącikach jej oczu.

– Jestem w ciąży – oznajmia nagle.

Wiem, że wokół mnie muszą być dźwięki – szum fal, buczenie syren statków opuszczających port, głosy poławiaczy homarów niosące się w zatoce, przekomarzających się ze sobą w czasie stawiania i wyławiania pułapek.

Tymczasem mam wrażenie, jakby ktoś nagle odciął mi słuch.

Kiedy łączy na nowo, słyszę, jak wybucham płaczem – i Cleo natychmiast robi to samo.

Wyjmuję z jej rąk pojemnik z kawami, stawiam go na następnym słupku i biorę ją w objęcia.

– Dlaczego płaczesz? – pyta, łykając łzy i oplatając mnie ramionami. – Dla ciebie ciąża to o wiele prostsza sprawa.

– Wiem. Po prostu tak się cieszę!

Cleo się śmieje.

– Ja też. I cholernie się boję. Chociaż to ja się zdecydowałam. Wiedziałam, na co się piszę. Bo wiesz, nie jest tak, że wchodzisz sobie do banku spermy i załatwione. Minęły miesiące, zanim znalazłyśmy odpowiedniego dawcę. Tylko... po cichu liczyłam, że będzie to trwało jeszcze dłużej. Że zdążę ułożyć sobie w głowie tę myśl, że będę mamą. Ale się stało – dodaje. – I... teraz się boję, że temu nie sprostam.

Odchylam się, żeby popatrzeć jej w oczy, kiedy ociera łzy.

– Ty chyba żartujesz! Będiesz idealną mamą. Mało tego, będziesz mamą 2.0 i... zaraz! Który to miesiąc? Od jak dawna się starałyście?

Patrzy na mnie z ukosa.

– Jak już mówiłam, rozumiałam, dlaczego nie zdradzasz nam swojego sekretu, choć powinnaś.

– Tak.

– No więc wolałam, żeby Sabrina i Parth nie przyjeżdżali do nas na farmę – wyznaje. – Już wtedy miałyśmy tam tony dziecięcych rzeczy. Tata Kimmy codziennie nam coś przysyła, a ja nie czułabym się na siłach tłumaczyć, skąd nagle u nas cztery różne łóżeczka.

– Zawsze mogłabyś powiedzieć, że papcio Kimmy jest zbieraczem z obsesją na temat maluchów – podsuwam.

– Będzie fantastycznym dziadkiem – odpowiada miękko Cleo. – Nie chciałam mu jeszcze mówić, ale Kimmy przypadkiem się wygadała. To dopiero początek. Tyle rzeczy może jeszcze pójść źle.

Chwytam ją za łokcie i potrząsam.

– Równie dużo może pójść dobrze.

Uśmiecha się blado.

– Nie wiem, co to naprawdę dla nas znaczy.

– To znaczy, że zostaniecie matkami – odpowiadam.

Cleo kręci głową.

– Chodzi mi o nas wszystkich, Harry. Jeśli wierzyć doktorowi Google, będę ciągle zmęczona, a im więcej się nałykam tej wiedzy, tym bardziej roztrzęsionym wrakiem się stanę. Już jestem „popsuj-zabawą” dla całej grupy, więc...

Chwytam ją za rękę.

– Cleo, przestań gadać głupoty! Jesteś taka zabawna!

– Kimmy jest zabawna, nie ja. – W jej głosie brzmi sceptycyzm. – I dlatego się w niej zakochałam. Tylko czasami trudno mi się pozbyć wrażenia, że... że wszyscy bardziej lubią moją dziewczynę niż mnie.

Nawet moi najlepsi przyjaciele. A im bardziej wycofuję się w głąb siebie, tym mniej miejsca zostaje tam dla mnie.

– Od jak dawna tak się czujesz?

– Nie wiem. Pewnie od czasu, kiedy przestałam pić.

– Szkoda, że nic o tym nie mówiłaś.

– Bo to wstyd! – wykrzykuje. – Zazdrość o własną partnerkę? Dopiero parę miesięcy temu powiedziałam o tym Kimmy.

– Kocham Kimmy i wiesz o tym – mówię. – Ma wiele naprawdę niezwykłych zalet i stała się jedną z moich najlepszych przyjaciółek. Ale wiesz, co w niej lubię najbardziej?

Kąciki ust Cleo się unoszą.

– Jej seksowne ciało?

– To na drugim miejscu. Numer jeden to jej zdolność czynienia cię tak szczęśliwą. Kiedy zaczęłyście ze sobą chodzić, miało się wrażenie, jakby to był brakujący element puzzla... w tym wszystkim. W naszej rodzinie. Co absolutnie nie znaczy, że stałaś się mniej ważna. Ty i Sabrina jesteście moimi najlepszymi przyjaciółkami. Na zawsze. Wybacz, jeśli dałam ci powód, abyś w to wątpiła.

Oczy się jej szklą, a głos drży, gdy pyta:

– A co będzie, jeśli dziecko mnie zmieni? Jeśli dystans zacznie się zwiększać i zwiększać, aż nie będziemy już mieli ze sobą nic wspólnego?

– Dla mnie nie musisz być wciąż taka sama – zapewniam. – I nie kocham cię za to, co wspólne. Jesteśmy tak różne, Cleo. Wszystkie. Ale mój stosunek do ciebie jest niezmienny. Jak już mówiłam, jesteś brakującym elementem mojego serca, tak jak Sabrina. Jeśli twój rozkład jazdy się zmieni albo zaczniesz nucić piosenki dinozaura Barneya czy staniesz się jedną z tych mamus, które wrzucają na social media posty o pieluchowych katastrofach swoich pociech...

– Wtedy podasz mi pomocną dłoń? – przerywa mi spokojnie.

– Mój Boże, tak! Wyrwę ci telefon i cisnę do morza. Ale nadal będę cię kochała. Jesteś dla mnie jak rodzina. Ty i Sab.

Uśmiech Cleo blednie.

– Właśnie, Sab... Nie powinnam była jej tak dojeżdżać.

– Fakt, można to było powiedzieć inaczej – przyznaję. – Ale myślę, że potrzebowałaś wyrzucić z siebie parę rzeczy. A my powinnyśmy to usłyszeć.

– Być może. – Cleo przygryza wargę. – Sabrina jest bardzo lojalna, ale kiedy czuje się pokrzywdzona...

– Nie mówię, że masz użyć swojej ciąży jako karty przetargowej – tłumaczę. – Po prostu uważam, że kiedy Sab się dowie, z czym musisz się zmagać, na pewno zrozumie. I zaraz zaplanuje ci odlotowe party z hiperrealistycznym tortem w kształcie oseska i żywymi boćkami krążącymi wokół twojego domu.

Cleo wreszcie naprawdę się śmieje, odrzucając głowę na moje ramię.

– Nie mogę się doczekać! – zapewniam.

Splata palce z moimi i tak trwamy przez dłuższą chwilę, obserwując przepływające łodzie i słuchając rozmów prowadzonych z pokładów przez megafony.

Wszystko się zmienia. Bo musi. Nie można zatrzymać czasu.

Można jedynie przyjąć odpowiedni kurs i liczyć na sprzyjające wiatry.

Jeszcze jedna żeglarska metafora. Mało odkrywczą. Ale fakt jest faktem – idą zmiany.

Moje dwie ukochane przyjaciółki będą miały dziecko.

Przeszywa mnie niemal bolesna radość.

– O Boże!

Cleo unosi głowę.

– Hm?

– Właśnie sobie uświadomiłam, że zostanę ciotką!

Prycha śmiechem.

– Harry, ty zostaniesz współmatką chrzestną – mówi.



## W realu

### Sobota

– Będzie zła, że pierwszej powiedziałam tobie – mówi Cleo.

– Mogę udawać, że nic nie wiem – proponuję.

Rzuca mi spojrzenie.

– Albo – dodaję – jesteśmy szczerze i gadamy o tym.

Jeszcze raz mnie ściska.

– Na pewno nie chcesz wrócić z nami? – Sprawdza godzinę w telefonie. Przed paroma minutami zadzwoniła do Kimmy, żeby po nią przyjechała. – Kim powinna zaraz być.

– Nie, dzięki. Później dojdę.

Najpierw muszę znaleźć coś dla Sabriny. Nie zakończymy tego wyjazdu identycznymi tatuażami – bo jak się okazało, większość artystów z zasady nie tatuuje ciężarnych, i taki był prawdziwy powód protestu Cleo – co nie oznacza, że nie można wymyślić innej pamiątki z naszego ostatniego pobytu.

Kiedy Kimmy zabiera Cleo, kupuję drugie karmelowe latte, tym razem mrożone, i zaczynam wędrowkę wzdłuż sklepowych wystaw. Nie mam pojęcia, od czego zacząć. Liczę, że będę wiedziała, kiedy trafię na coś fajnego. Na razie najlepszą opcją wydają mi się T-shirty dla wszystkich z napisem: „Mam dobry homar”, albo „Mainemania” – te ostatnie z homarem w awiatorach.

Na rogu mijam wystawę z lampami i milutkimi kuchennymi ściereczkami, a potem następną, z kolorowymi bojkami malowanymi w przeróżne wzory, sprzedawanymi jako ozdoby ogrodowe. Na skrzyżowaniu stoję, żeby przepuścić brudne subaru, które nie zatrzymało się na czerwonym, i nagle sobie uświadamiam, gdzie jestem.

Easy Lane. Tło naszej przyjacielskiej kłótni. Z przodu, po lewej, widzę salon tatuażu. W pierwszym odruchu chcę się wycofać z miejsca zbrodni, ale zauważam ozdobne złote cyfry na drzwiach po prawej stronie: 125.

Numer 125 przy Easy Lane.

Dopiero po chwili kojarzę, skąd znam to miejsce. Szybko się cofam, żeby sprawdzić, pod jakim numerem są bojki. 127. Muszę zawrócić.

Bo szukam 123.

Czekam, aż kolejne auto przejedzie przez skrzyżowanie, i szybko przechodzę na drugą stronę jezdni.

123 Easy Lane. Tu czeka moja spersonalizowana niespodzianka.

Na szybie naklejone litery tworzą napis „Ceramika”, pod nimi są godziny otwarcia. Zerkam na telefon. Jest 9:16. O ile pamiętam z harmonogramu, spersonalizowana niespodzianka dla mnie była wyznaczona na dziewiątą. Jeszcze chwilę się waham, po czym biorę oddech i wchodzę.

Wita mnie powiew ciepłego powietrza.

– Harriet? – słyszę kobiecy głos.

Mrugam, czekając, aż źrenice zareagują na zmianę natężenia światła.

– Tak, cześć! – zwracam się w kierunku głosu, zastanawiając się, czy ona wie, że jeszcze jej nie widzę, ani całej reszty.

– Twój warsztat czeka tam, w pracowni – informuje.

– Świetnie. – Z jakiegoś powodu dopiero po chwili dochodzi do mnie, że powinnam jej powiedzieć, iż nie mam pojęcia, dlaczego tu jestem. I gdzie w ogóle jest owo „tu”.

Zdolność widzenia mi wraca, kiedy kobieta prowadzi mnie na zaplecze. Widzę ściennie półki zastawione naczyniami na sprzedaż. Miski, talerze i kubki w cukierkowych kolorach pyszną się na tle surowych, białych ścian galerii.

Sprzedawczyni – kobieta w fantazyjnych, rozkloszowanych spodniach z frędzlami oraz z kołami

w uszach, jakby wyjęta żywcem z lat siedemdziesiątych, prowadzi mnie korytarzem do pomieszczenia dwa razy większego niż frontowe.

Drepczę za nią, nie mniej przejęta niż wtedy, kiedy weszłam do domu nad morzem i zobaczyłam Wyna.

– Możesz sobie wybrać koło – informuje. – Do czwartej nie mam żadnej rezerwacji.

Ciągle nie mogę wydusić słowa, kiedy dobiega nas dźwięk dzwonka u wejścia i półbogini z lat siedemdziesiątych mówi:

– Zawołaj mnie, gdybyś czegoś potrzebowała.

Po czym przeprasza i biegnie powitać nowego klienta.

Stoję i się rozglądam. Tylina ściana, cała przeszklona, wychodzi na sąsiednią ulicę. Inną zajmują drewniane półki, takie same jak te w pierwszej sali, zastawione miskami, wazonami i kubkami. Po prawej wiszą na wieszakach upaprane gliną fartuchy w pastelowych kolorach, a pośrodku gładkiej betonowej podłogi stoi długi drewniany stół, na którym w równych odstępach zamocowano koła garncarskie. Przy każdym stanowisku jest stołek. Przy ścianie po lewej znajduje się długi blat ze zlewem oraz rząd szafek z szufladami. Z podwieszonych pod sufitem doniczek niczym żywe wstęgi spływają stopłaty i filodendrony, łapiąc światło słoneczne, gdy doniczki okręcają się w przeciagu to w jedną, to w drugą stronę.

Gula rośnie mi w gardle.

Najwyżej parę razy wspomniałam Sabrinie o swoim kursie ceramiki, gdyż mówienie o tym było dla mnie kłopotliwe. Obawiałam się, że ludzie potraktują to zbyt serio, a potem się rozczarują, kiedy stwierdzą, że mój talent jest co najwyżej przeciętny. Z drugiej strony paradoksalnie się obawiałam, że nie wezmą tego serio, zbywając moją opowieść schematycznym: „No cóż, każdy potrzebuje jakiegoś hobby”, podczas gdy dla mnie garncarstwo jest czymś więcej.

Nie o karierę chodzi, bo nie jestem w tym aż tak dobra. O coś jeszcze. O miejsce, do którego mogę się udać, kiedy czuję się więźniem samej siebie. Kiedy ogarnia mnie lęk, że moje najszcześniejsze momenty należą już do przeszłości. Kiedy moje ciało buzuje od nadmiaru albo tęskni za czymś więcej, a życie czyha przede mną niczym groźba.

W paru rozmowach telefonicznych, które odbyłam po rozpoczęciu kursu, Sabrina zadała mi szereg konkretnych pytań, ja udzieliłam jej zwięzłych odpowiedzi, po czym rozmowa przeszła na inne tematy. Był to kolejny kawałek mojego życia, którym nie byłam gotowa podzielić się z innymi aż do tego tygodnia – a jednak Sabrina go dostrzegła i zobaczyła we mnie więcej, niż mogłam przypuszczać.

Bowiem w tym wspólnym tygodniu nie chodziło jej o torturowanie Wyna i mnie, nie chodziło też wyłącznie o utrzymanie naszych spraw w delikatnej równowadze. Wszystko, co robiła Sab, udane czy nie, wynikało z czystej miłości do nas. Miłości kogoś, kto nas zna i dba, żebyśmy byli szczęśliwi.

Podchodzę do ściany z wieszakami, wybieram kwiecisto-różowy fartuch i zakładam go na siebie. Następnie z szuflad po drugiej stronie biorę potrzebne materiały. Napełniam miskę wodą i stawiam ją na stole wraz z paroma narzędziami, gąbką i bryłą gliny.

Brak konkretnego pomysłu, zanim zacznę tworzyć, rzadko wychodzi mi na dobre, ale teraz się tym nie martwię. Nieważne, co robię – ważny jest czas spędzony na tworzeniu. Jak dobrze jest formować palcami glinę i pochylać się nad kołem garncarskim aż do bólu w krzyżu.

Wybieram stanowisko blisko okna i wyrabiam z gliny kulę. Potem kładę ją na kole i rozplaszczam nasadami dłoni. W momencie, kiedy zanurzam ręce w wodzie i puszczam koło w ruch, spływa na mnie spokój. Stado myśli odpływa. Naciskam pedał i zaczynam toczyć glinę, która wyciąga się w górę i centruje na wirującym kole. Zatracam się w rytmie swoich palców.

Nie będę miała czasu wypalić mojego dzieła przed wyjazdem z Knott's Harbor, a jeśli nawet, nie znajdę na nie miejsca w bagażu. Ale na razie o tym nie myślę. Mój umysł jest jak ocean w słoneczny dzień – myśli przyjemnie dryfują pośród światła, wzbierając falami, wznoszącymi się i opadającymi w nieskończonym ruchu.

Apka medytacyjna często mi podpowiada, abym zwizualizowała swoje myśli i odczucia jako chmury, a siebie jako górę, nad którą przepływają. Przy kole nawet nie muszę się starać. Staję się ciałem, sekwencją organów, żył i mięśni, zgranych ze sobą.

Zwalniam obroty, pozwalając formie się otworzyć. Moje łokcie przywierają do boków, kciuki zanurzają się w środku i glina rozchyła się na boki. Palce cisną, rzeźbią, ścieniając ścianki pod górną

krawędzią. Ziemia woń rozchodzi się wokół. Kropelki potu znaczą mój kark. Odbieram sygnały o bólu pleców, ale to tylko informacja, niewymagająca działania. Nie ma potrzeby niczego poprawiać, niczego zmieniać.

Po prostu kolejna przepływająca chmura.

Wstępny zarys naczynia pojawia się pod moimi rękami. Sięgam po żółtą gąbkę i przyciskam ją lekko do podstawy, wygładzając pierścienie. Teraz już pot perli mi się na czole. Ból z pleców pełźnie ku ramionom. Przytrzymuję grubą krawędź naczynia i wyciągam je w górę, rozciągając glinę, podpędzając ją wyżej i wyżej. Kiedy wznosi się do granicy bezpieczeństwa, powracam rękami do podstawy, wymuszając lejkowaty kształt, formując zakończenie.

To mój ulubiony etap – kiedy z gliny tworzy się stabilny cylinder, reagujący zmianą kształtu i formy na najmniejsze dotknięcie. Uwielbiam to napięcie, kiedy wszystko nagle może się rozpaść, i ekstazę, z jaką wchodzę w twórczy trans, i wiem, że nic złego się nie zdarzy. Aby to wiedzieć, nie muszę znać zasad fizyki ani pytać, dlaczego jest tak, a nie inaczej. Gлина staje się moim przedłużeniem, jakby tworzywo ściśle współpracowało ze mną.

Ta myśl przypomina o czymś, co dawno temu powiedział mi Hank – o dorastaniu na ranchu i trenowaniu nowych koni. Najwyraźniej był w tym dobry i tłumaczył to spokojem. Cierpliwością w przeczekiwaniu każdego złego nastroju. Złość zwierzęcia go nie frustrowała. „To mi pomaga lepiej je zrozumieć – mówił. – Nie chcesz, aby gniew stał się strachem. Pragniesz go przekuć w zaufanie”. I choć wielu prac na ranchu nienawidził, uwielbiał uczucie tworzenia więzi z innym żywym stworzeniem, zrozumienia wzajemnych potrzeb, dawania wolności, kiedy dana chwila tego wymagała, i ograniczania jej, gdy było to konieczne. „Wynnie też byłby w tym dobry – powiedział mi. – Zawsze umiał słuchać”.

W pierwszym momencie przypisałam szczypanie spływającemu na oczy potowi. Dopiero kiedy poczułam ciepłe strugi, wędrujące w dół po policzkach, zrozumiałam, że płaczę.

Nowy rodzaj płaczu, inny niż cała paleta łez, jakie wylewałam w tym tygodniu.

Bez łkania. Bez szlochu, napływającego falami. Tylko powolny, wzbierający strumień emocji.

Śmieję się cicho, przez łzy, ale moje dłonie ani na moment nie przerywają pracy, kształtując tę piękną, delikatną rzecz, powstałą z mojej czystej radości.

Kiedy unoszę głowę i widzę go, stojącego w drzwiach, mój żołądek fika koziołka, a serce mówi: „Ty”.

Jakby wezwało go tu swoim biciem.

Wstaję ze stołka, z rękami uwalanymi mokrą gliną.

– Co ty tu robisz?

Prawy kącik jego ust podjeżdża w górę.

– Przyszedłem odegrać scenę z *Uwierz w ducha* – odpowiada, a widząc, że nie kojarzę, dodaje: – Obudziłem się i zobaczyłem, że cię nie ma.

Wycieram dłonie w fartuch.

– Poszłam kupić kawę i w drodze przypomniałam sobie o niespodziankach, które zaplanowała Sabrina. Nie wypada, żeby się zmarnowały.

– Wiem. Ja swojej nie zmarnuję.

Zerkam na zegar nad drzwiami. Jestem tu dłużej, niż myślałam. Dwie godziny nad jednym naczyniem.

– Jak mnie znalazłeś?

Przekrzywia głowę.

– Nie zapomina się adresu Easy Lane 123.

– Przez tę niewykorzystaną aluzję.

Uśmiech rozkwita delikatnie.

– Powinno być Easy Street, wiem.

– Ci z Maine starają się jak cholera, żeby ich miasta nie były zbyt urocze – komentuję.

Podchodzi bliżej i patrzy na koło.

– Co robisz?

– Szczerze mówiąc, nie zastanawiałam się – przyznaję.

– Wygląda jak wazon.

– Lepiej załóż okulary – radzę.

Unosi spojrzenie.

– Trudno się robi takie coś?

– Moim zdaniem trudne jest w tym to, żeby robić mniej, niż się wydaje konieczne.

Przekombinowanie i nadmierne starania nie pomagają. Przynajmniej w moim przypadku.

Jego uśmiech jest mało entuzjastyczny.

– Jak w życiu.

– Chcesz spróbować? – pytam.

Niemal się cofa.

– Nie chciałbym tego zepsuć.

– Czemu?

– Bo tak ładnie wygląda. I tak ciężko nad tym pracowałam.

Z prychnięciem podchodzę do wieszaka i wybieram dla niego bladożółty fartuch.

– To tylko mokra glina – mówię, wręczając mu go. – Nie stłucze się.

– A wygląda tak delikatnie.

– Owszem, jeśli ją trącisz czy zgnieciesz, ale się nie rozpadnie. A ja i tak nie miałam zamiaru kończyć tego wazonu, więc nic się nie stanie, jeśli zaczniemy od nowa.

– Czy to nie smutne? – pyta, unosząc brwi. – Pracować nad czymś, czego nie ma się zamiaru skończyć?

– Najważniejsze, że dobrze się bawiłam.

Uśmiech Wyna się rozszerza.

– Czyli Sab miała dobry pomysł.

– Owszem. A jaka jest twoja niespodzianka?

– Kajaki.

Parskam śmiechem.

– Podoba mi się, że dla ciebie wymyśliła sport, a dla mnie tkwienie na stołku i babranie się w błocie.

– Nie ciekawi cię, co miała dla Cleo i Kimmy?

– A już to robią? – pytam, zastanawiając się, czy Cleo zdążyła porozmawiać z Sabriną.

Wyn kiwa głową.

– Niech zgadnę – mówię. – Muzeum rolnictwa dla Cleo i halucynogenna sesja dla Kimmy.

– Ciepło. Masaż dla par. – Widząc moją minę, dodaje: – Zdziwiona?

– Zaskoczona – przyznaję.

– Czemu?

– Bo takie masaże odbywają się na stole. Czyli coś dla nas, a zwłaszcza dla ciebie jako twórcy stołów.

– Nie. Przecież nie znosisz, kiedy dotyka cię ktoś obcy – protestuje.

Serce bije mi mocniej. Kolejne drobne przypomnienie, jak dobrze ci ludzie mnie znają, choć tak wiele starałam się ukryć – niemiłych bądź trudnych cech swojej osobowości, których się wstydziłam, a które przez lata po trochu wychodziły na światło dzienne.

Przełykam z wysiłkiem, tłumiąc narastające emocje, i daję Wynowi znak głową.

– Siadaj.

Zakłada fartuch na szyję, wiąże go za plecami i siada. Minę ma spiętą.

– Wyluzuj. – Klepię go po ramieniu i przysuwam sobie sąsiedni stółek. – To jest jak prowadzenie samochodu. Zmocz lekko ręce.

– Och, nigdy nie prowadziłem z mokrymi rękami.

– Cóż, twój pierwszy błąd. Tu się nie prowadzi z suchymi rękami.

– Chyba w tej Montanie jest inne prawo.

– Nie bądź śmieszny. W Montanie nie ma żadnych praw. Jeśli masz wystarczająco rozdęte ego, możesz żądać, czego zechcesz, i będzie twoje.

– Fakt, kiedyś w ten sposób zażyczyłem sobie sieci Walmartów.

– Aż przebił cię gość z jeszcze większym ego. Ale ja nie każę ci aż tak się spinać, Wyn. Myślałam, że chcesz spróbować.

– Chcę – potwierdza. – Po prostu się waham, bo nie chciałbym zniszczyć twojego dzieła.

– Już ci mówiłam, że nie możesz tu niczego zniszczyć. I na tym polega cała zabawa. Dobra, zamocz rękę. – Pochyliłam się i przysuwam mu miskę. Krzywi się, ale zanurza w niej dłonie. – Okej, teraz lewą ręką będziesz lekko naciskał na bok wazonu. Prawa służy raczej do utrzymania równowagi oraz wyznaczenia wysokości naczynia.

Ustawia dłonie przy glinie.

– Co dalej? – pyta.

– Zaczynj cisnąć pedał.

Wykonuje polecenie, a ponieważ jest Wynem, robi to cudownie. Jednak kiedy koło się rozpędza, naciska zbyt mocno, więc szybko chwytam jego prawy przegub, stabilizując dłoń, zanim przyszedł wazon zdąży się zapaść.

– Mówiłem ci, że go zniszczę.

– Nie dramatyzuj. – Czule muskam nosem jego szyję. – Niczego nie zniszczysz. Po prostu zmienimy mu kształt.

Wychylam się i kładę swoją drugą rękę na jego lewej dłoni, korygując nacisk, aż wazon znów się zwęży i wystrzela w górę.

– Teraz naprawdę jest jak z *Uwierz w ducha* – komentuje Wyn.

– Nie całkiem. Ale pamiętaj, że nie mam na tyle długich rąk, aby siedzieć z tyłu i robić to razem z tobą.

– Ewidentnie nie masz – potwierdza. – Ale możesz mi usiąść na kolanach.

– Wybacz, ale ja tu decyduję. Na czyichś kolanach siedzą tylko amatorzy.

– Aha, czyli ja mam usiąść na twoich.

– Jeszcze mi życie miłe! – zastrzegam ze śmiechem.

– A mnie miło to słyszeć.

Znów się skupia na glinie. Jakimś cudem udaje się nam wspólnie utrzymać nasze dzieło w pionie. Kształt to rozkwita, to się zwęży, zmienny, ale stabilny.

Łapię się na tym, że gapię się na Wyna, zapominając o rozmowie.

Kiedy unosi wzrok, moje serce gubi rytm.

Ściąga usta.

– Co jest?

– Muszę ci coś powiedzieć – szepczę.

Zdejmuje stopę z pedału i jego uśmiech blednie.

– Okej.

Zbieram się w sobie. Czuję się jak galareta. Żałuję, że nie jesteśmy w ciemnościach, na bliźniaczych łózkach pod przeciwległymi ścianami pokoju dziecięcego. Ileż trudniej jest mówić takie rzeczy w świetle dnia.

Zamykam oczy, żeby nie widzieć jego reakcji; żeby nie widzieć, czy świat nagle się nie zawali po moich słowach.

– Wydaje mi się, że nienawidzę swojej pracy.

Czekam.

Nic.

Nie słysząc przeraźliwego huku pękającej ziemi. Moi rodzice i współpracownicy ze szpitala nie pędzą do mnie z widłami. Moja komórka nie rozdzwania się telefonami od każdego nauczyciela, tutora i wykładowcy, którzy pisali dla mnie listy polecające, włączali mnie do szkoleń albo wysyłali gratulacyjne mejle.

Ale takie ciosy nie spadłyby na mnie od razu.

W danym momencie liczy się tylko reakcja Wyna – i to jej obawiam się najbardziej.

Doznania sygnalizują, że narasta we mnie bańka paniki – fala palącego gorąca w ciele, ściśnięte gardło, nagła pustka w żołądku.

– Harriet – mówi cicho. – Spojrzysz na mnie?

Biorę głęboki oddech i otwieram oczy.

Czoło ma zmarszczone; spojrzenie i zarys ust są łagodne. Jemu też nie jest łatwo.

– Czy coś się stało w szpitalu? – pyta.

Ucisk w żołądku się nasila. Gdybyż to było takie proste – jeden wyraźny moment, kiedy wszystko zaczęło się walić.

Potrząsam głową.

Umazane gliną palce Wyna muskają moje przeguby.

– Więc co?

– Trudno wytłumaczyć.

– Spróbuj – prosi.

Przełykam z wysiłkiem.

– Tu nie chodzi o mnie, tylko o to, że powinnam pomagać ludziom.

– Chodzi o ciebie – mówi Wyn.

Jak to wszystko podsumować? Problem jest złożony. Z jakiegoś powodu przez dziewięćdziesiąt procent czasu jestem głęboko nieszczęśliwa, a im bardziej próbuję z tym walczyć, tym bardziej rośnie moje przygnębienie i zgryzota zdaje się rozsadzać mnie od środka.

Rzecz w tym, że kiedy nie jestem tutaj, czuję się jak duch. Jakby moja skóra stawała się tak przezroczysta, że nie wytrzymuje słońca i włosy nie umieją już tańczyć na wietrze.

– Nie jestem w tym dobra, Wyn – wyduszam.

Delikatnie potrząsa moimi dłońmi.

– Jesteś świetna – odpowiada.

– A jeśli nie? Włożyłam w to wszystko, co mam, cały swój czas i energię. I pieniądze. Boże, pieniądze. Pożyczki na setki tysięcy dolarów, z których część musieli wziąć na siebie rodzice, bo ja miałam niską zdolność kredytową i... i zbudowałam na tym życie polegające na wiecznym czekaniu. Czekaniu, aż skończy się operacja. Czekaniu na koniec dnia. Czekaniu, aż znajdę się tutaj, gdzie się czuję...

Wargi Wyna się rozchylają, a jego spojrzenie jest wręcz boleśnie łagodne.

– Tak jak ja tutaj. Jakbym był we właściwym miejscu.

We właściwym wymiarze wieloświata, myślę. Gdzie nadal jesteś tak blisko, że mogę cię dotknąć, smakować cię, czuć twój zapach.

– Uwielbiałam studia, ale nienawidzę szpitali – ciągnę. – Nienawidzę woni dezynfektantów. Głowa mnie boli od blasku lamp. Plecy mnie boją, bo nie mam kiedy odpocząć. Wszystko tam jest takie... straszne. I każdego dnia po powrocie do domu nie czuję ulgi i nie potrafię się odprężyć, bo wiem, że nazajutrz muszę tam wrócić. I... i czekam, aż coś się zmieni, coś kliknie i nagle poczuję się tak, jak powinnam, jak sobie wymarzyłam. Tymczasem nic się nie dzieje. Jestem coraz lepsza w tym, co robię, ale moje odczucia co do tego się nie zmieniają.

Ręce Wyna nieruchomieją. Opuszcza wzrok, kiedy mówi drżącym głosem:

– Dlaczego mi tego nie powiedziałaś?

– Właśnie ci mówię.

– Nie – odpowiada szorstko. – Wcześniej, kiedy przy tobie byłem. Kiedy mnie potrzebowałaś, a ja nie potrafiłem do ciebie dotrzeć, obojętnie, jak bardzo się starałem. Dlaczego nie dopuszczałaś mnie do siebie?

– Bo się wstydziłam. Przenosiłaś się razem ze mną do różnych miejsc i nie było łatwo ani tobie, ani nam. Bałam się, że mogę tylko pogorszyć sytuację. Chciałam być tą, za którą ty i cała reszta mnie uważacie, lecz nie potrafiłam. Bo nią nie jestem. A jednocześnie nie chciałam cię zawieść.

Przygląda mi się przez długą chwilę, a potem się śmieje, gorzko, bez wesołości.

– Ja nie żartuję, Wyn.

Przysuwa się do mnie, aż kolana więzną mi pomiędzy jego kolanami. Ciągłe trzyma mnie za przeguby i pięści je kciukami, które lekko drżą.

– Nie śmieję się z ciebie. Po prostu jestem strasznie głupi.

– Ty? To ja jestem kimś, kto poświęcił dziesięć lat życia i wielką sumę pieniędzy istniejących tylko na bankowym koncie na coś, czego nienawidzi.

– Harriet... – Wyn przenosi spojrzenie na nasze ręce. – Cierpiałas, a ja tego nawet nie zauważyłem. A może widziałem, ale myślałem, że chodzi o mnie. Spieprzyłem sprawę i przez to cię straciłem.

Gwałtownie potrząsam głową.

– Miałeś ważniejsze rzeczy na głowie.  
– Nie ma ważniejszej rzeczy od ciebie – mówi twardo. – Przynajmniej dla mnie. Zawsze będziesz najważniejsza.

Krew napływa mi do policzków, szyi, piersi. Przęłykam boleśnie.

– Może dlatego było mi tak ciężko – mówię. – Podporządkowałeś swoje życie moim planom. Rozstałeś się z naszymi przyjaciółmi i brakowało ci czasu dla twojej rodziny. Dla Hanka. Tego już nie naprawię. Zrobiłeś to wszystko dla mnie. A ja nie jestem nawet osobą, za którą mnie masz.

– Harriet. – Czułość w jego głosie, w jego dłoniach otwiera szwy naprędcie założone na moje pęknięte serce. – Ja dokładnie wiem, kim jesteś.

Unoszę wzrok.

– Naprawdę? Bo ja nie wiem – mówię niepewnie.

– Wiedziałem, kim jesteś, jeszcze zanim się poznaliśmy. Bo wszystko, co mi o tobie powiedzieli przyjaciele, okazało się prawdą.

– Chcesz powiedzieć, że zobaczyłeś nagą prawdę w moim akcie? – żartuję smętnie.

Uśmiecha się i muska palcami moją brodę. Żadne z nas nie przejmuje się już gliną.

– Chcę powiedzieć, że masz najbardziej dziwaczny śmiech, jaki znam, Harriet – mówi cicho. – Za każdym razem, kiedy go słyszę, kojarzy mi się z łykiem tequili. Jakbym mógł się upić samym jego dźwiękiem, tylko bez kaca. W każdym widzisz to, co najlepsze, i sprawiasz, że ludzie, których kochasz, czują się docenieni, nawet ze swoimi wadami. Uwielbiasz się uczyć i dzielić swoją wiedzą. Zawsze pragniesz być w porządku i uwzględniać punkt widzenia innych, do tego stopnia, że trudno ci spojrzeć na nich własnymi oczami, ale przecież masz swoje opinie. Nawet kiedy jesteś na mnie wściekła, pragnę być blisko ciebie. I żadna z tych rzeczy, nic z tego, co lubię w tobie i co sprawia, że jesteś tym, kim jesteś, nie ma związku z twoją pracą lekarki. Nie dlatego cię kocham, Harriet. Nie dlatego wszyscy cię kochają.

– Może i nie – odpowiadam słabym głosem. – Ale z powodu tej pracy wszyscy są ze mnie dumni. I cieszą się z tego.

Przygląda mi się uważnie.

– Mówisz o rodzicach?

Kiwam głową.

– Chodź tu – nakazuje, przyciągając mnie jeszcze bliżej.

– Dlaczego?

– Bo ja tak chcę – odpowiada.

– Co się stało z twoimi montańskimi manierami?

– Harriet, chodź, proszę.

Pozwalam się wciągnąć głębiej na jego kolana. Jedną ręką otacza mi plecy, druga spoczywa na moim udzie, plamiąc dżinsy gliną.

– Twoi rodzice cię kochają – mówi. – I wszystko, co robią i do czego cię popychają, wynika z pragnienia, żebyś była szczęśliwa. Nie znaczy to jednak, że z automatu nieomylnie wiedzą, co jest dla ciebie najlepsze. Zwłaszcza że nie powiedziałaś im, jak się z tym wszystkim czujesz.

– Czuję się strasznie egoistycznie, nawet kiedy o tym mówię – przyznaję. – Jakby wszystko, co dla mnie zrobili, w ogóle się nie liczyło.

– Pragnienie szczęścia nie jest egoizmem, Harriet.

– Kiedy zamiast tego mogłabym leczyć ludzi? Nie, Wyn, myślę, że to jednak egoizm.

– Och, pieprzyć takie podejście – prycha. – Szczęśliwa garncarka wyjdzie na lepsze temu światu niż nieszczęśliwa chirurżka.

Palące ciepło rozlewa się na grzbiecie mojego nosa.

– Nie jestem garncarką, Wyn. Nie zarabiam w ten sposób na życie.

– Nie zarabiasz i nie musisz, jeżeli nie zechcesz. Ale o to właśnie chodzi. Nie musisz się identyfikować ze swoją pracą. Ona może być po prostu miejscem, do którego chodzisz i gdzie zarabiasz na życie, ale które nie ma cię definiować czy też unieszczęśliwiać. Zasługujesz na to, żeby być szczęśliwa, Harriet. – Odgarnia mi pasmo włosów z policzka. – Wszystko jest lepsze, kiedy ty jesteś szczęśliwa.

– Lepsze dla mnie – mówię.

– I dla mnie! – dodaje z ożywieniem. – Dla Cleo, Sabriny, Partha, Kimmy i twoich rodziców. Dla

każdego, dla kogo jesteś ważna. Świat zawsze będzie potrzebował chirurgów, ale misek i wazonów też. Zapomnij o tym, czego chcą od ciebie inni. Ważne, czego ty chcesz!

Próbuję się śmiać, ale nos piecze mnie tak paskudnie, że wychodzi mi prychnięcie.

– Nie możesz mi po prostu powiedzieć, co mam robić?

Wyn obejmuje mnie mocniej. Wtulam się w jego pierś, wdycham go i czuję, jak moje ciało się odpręża.

– A gdybym... – Zbieram się w sobie, usiłując wykrzesać z wnętrza całą odwagę, lecz nie jest tego dużo. Odchylam się, aby widzieć jego twarz. Mój głos zdaje się zanikać, gdy pytam: – Gdybym przyjechała do Montany?

Opuszcza wzrok, rzęsy kładą się cieniem na jego policzkach.

– Harriet – mówi głosem tak napiętym, jakby wymówienie mojego imienia sprawiało mu ból.

Moje serce trzepocze boleśnie, bo znam Wyna Connora.

I wiem, jak będą brzmiały przeprosiny w jego ustach.

Unosi spojrzenie; zieleń mchu w jego oczach jest miękka i ciepła. Ciężar uciskający mi pierś grozi zmiążdżeniem żeber, które przebijają serce.

Moje oczy robią się mokre, ale jakimś cudem znajduję w sobie siłę, aby wyszeptać:

– Dlaczego nie?

– Bo nie możesz dalej robić tego, czego chcą inni – odpowiada ochryłym głosem. – Nie możesz podążać za mną tak, jak ja podążałem za tobą. To nie wystarczy.

– Ale ja cię kocham.

– Ja też cię kocham – mówi z udręką i czuję na ciele jego niespokojne dłonie. – Tak bardzo cię kocham. – Całuje wilgotną plamę na moim policzku i przykładą czoło do mojego czoła. – Ale nie możesz iść za mną. Ja tak zrobiłem i to nas rozdarło, Harriet. Nie pozwolę, żebyś budowała swoje nowe życie pod moim kątem. To by znów wykończyło nasz związek, więc nie mogę... Musisz zrozumieć, czego ty naprawdę chcesz.

Mam wrażenie, że ktoś rozciągnął mi serce na średniowiecznym kole tortur i wrywa z niego kawałek po kawałku.

– A jeśli naprawdę chcę ciebie?

– W tej chwili chcesz – mówi cicho. – A co później? Kiedy ochłoniesz i uświadomisz sobie, że pozwoliłem, abyś poświęciła dla mnie wszystko? Nie mogę do tego dopuścić.

Tamte miesiące, kiedy patrzyłam, jak tonie, jak szarpie się z życiem, które mu nie pasuje, powracają nagle w moich myślach. Zbudował swój świat w oparciu o mnie i omal nas to nie wykończyło. Drenowało naszą miłość, aż praktycznie zanikła.

Zarzucam mu ręce na szyję i chłonę go chciwie, na zapas, tak żeby wystarczył na lata.

– Nie chcę się więcej tak czuć – mówię.

– Nie będziesz – obiecuje ochryple, muskając kosmyk za moim uchem. – Z czasem zapomnisz.

Ta myśl boli. Nie chcę tego. Pragnę każdego świata, tylko nie tego. Chcę tych pozostałych, gdzie jest on i jestem ja, rozsiani w czasie i przestrzeni, bez końca znajdujący drogę do siebie – tę jedyną stałą podstawę.

Nie stać mnie na to, żeby teraz pozwolić mu odejść. Ale jest tak, jak powiedział.

Nasz czas się kończy.

– Musimy iść – szepczę.

Wyn gestem brody pokazuje na wazon.

– Mamy go tak zostawić? – pyta głucho.

Kręcę głową.

– Zapewne mi go przyślą, kiedy zostanie wypalony.

– Naprawdę go chcesz? – upewnia się.

Patrzę na nasze dzieło w całym jego falistym, zawiadackim kształcie. Żebra mam tak ściśnięte, że nie mogę głębiej zaczerpnąć oddechu, ale moje serce bije równo i mocno.

– Rozpaczliwie go chcę.



## W realu

### Sobota

Kiedy wchodzimy do domu, od razu czuję, że coś nie gra. Jest za cicho, za spokojnie. Kierujemy się z Wynem do kuchni, po drodze nie spotykając ani nie słysząc nikogo.

– Gdzie oni mogą być? – pyta, sprawdzając godzinę na kuchence. – Powinni już wrócić.

– Sprawdzę, czy Kimmy i Cleo nie ma w domku dla gości – mówię. – Ty zobacz na górze, czy są Parth i Sabrina.

Wyn kiwa głową, a ja wychodzę na patio, kierując się ku bocznej bramie.

W domku gościnnym nie widać oznak życia, lecz mimo to pukam do drzwi. Gdzie wszyscy się podziali? W drodze z powrotem na patio piszę wiadomość na naszej grupie. Przechodząc obok schodów prowadzących na pomost, w nagłym odruchu skręcam ku nim.

Parth siedzi na skałach w dole; słońce lśni na jego czarnych włosach, połami kurtki szarpie wiatr. Schodząc, wołam go z góry. Zerka przez ramię, ale za moment znów wbija wzrok w wodę.

– Gdzie jest Sabrina? – pytam.

Odpowiada wzruszeniem ramion. To wywołuje niemiły ucisk w moim żołądku. Siadam koło Partha na skale, wyciągając w stronę wody nogi w poplamionych gliną dżinsach.

– Wierz mi, mnie i Wynowi jest strasznie głupio, że wam nie powiedzieliśmy – mówię.

Unosi głowę.

– Powinniście byli. Ale ja też nie jestem bez winy, bo powinienem był z wami pogadać zaraz po zobaczeniu tego esemesa.

Podążam za jego spojrzeniem ku małej białej łódce sunącej do jednej z przybrzeżnych wysepek.

– Mam nadzieję, że nam wybaczysz.

Wraca spojrzeniem do mnie.

– Wybaczyć wam? Harriet, ja już ci dawno wybaczyłem. Jesteś dla mnie jak siostra, wiesz? Zawsze będę ci wybaczał. Jesteś rodziną.

Czuję ukłucie w sercu.

– Myślałam, że rodzina jest po to, aby się trzymać razem pomimo skrywanych uraz.

Parth obejmuje mnie z gorzkim uśmiechem.

– Może dla wielu tak jest, ale nie w naszym wypadku.

– Skoro nie siedzisz tutaj, bo przeżywasz rozczarowanie nami, skąd w takim razie to dramatyczne spojrzenie utkwione w morzu?

Uśmiecha się, lecz jego uśmiech zaraz blednie.

– Pokłóciliśmy się z Sabriną. I poszła sobie.

– Boże, Parth! Tak mi przykro. To moja wina. Zaraz do niej zadzwonię i...

Cofa rękę i obraca się ku mnie.

– To nie twoja wina. Prawdę mówiąc, od czasu, kiedy się zaręczyliśmy, w głębi duszy się bałem, że ona się wycofa. Rozumiesz, zgodziła się na ten ślub, bo jej świat się rozpadał. Nieważne co mówiła, było jasne, że potrzebuje oparcia, kotwicy. I podświadomie się spodziewałem, że tak to się skończy. Wczoraj w nocy się pokłóciliśmy, Sab zeszła na dół, żeby ochłonać, a kiedy się obudziłem, już jej nie było. Cały dzień nie odbiera telefonu.

– Bo jest przerażona, Parth – tłumaczę.

Wzrusza ramionami.

– Pamiętaj, że mówimy o Sabrinie. Ona się niczego nie boi.

Przez długą minutę się zastanawiam, jak to wytłumaczyć.

– Pamiętasz, co mi powiedziałaś? – mówię wreszcie. – Że jesteśmy rodziną?

Kiwa głową.

– Cóż, dla ciebie, Cleo, Wyna i Kimmy rodzina znaczy jedno, a dla Sabriny i mnie drugie. W naszych rodzinach nie było zawieszenia broni po kłótniach. Jej ojciec wolał się rozwodzić, niż przeproszać, w moim domu zaś każda kłótnia kończyła się demonstracyjnym odejściem wszystkich uczestników. Problem zawsze pozostawał nierozwiązany i wszyscy zapiekali się w swoim gniewie.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – pyta Parth.

– Sabrina nie uciekła dlatego, że cię nie chce – tłumaczę. – Uciekła, bo się boi, że w końcu okaże się niewarta całego twojego zachodu.

Spojrzenie Partha spotyka się z moim i zrozumienie pojawia się na jego twarzy.

– Cholera. – Zrywa się ze skały. – Musimy ją znaleźć.

– Znajdziemy – obiecuję.

Kiedy dochodzimy do domu, okazuje się, że Cleo i Kimmy już wróciły z masażu. One też nie wiedziały o Sabrinie i kiedy próby dzwonienia do niej i pisania zawiodły, uznaliśmy zgodnie, że musimy wyruszyć na poszukiwania.

– Mielicie spędzić ten poranek razem. Jakie były plany? – dopytuje rzeczowo Cleo.

– Nie wiem – przyznaje Parth. – Ona wszystko planowała, a w harmonogramie nie było żadnych szczegółów.

– Ani adresu? – pyta Wyn.

Parth patrzy na niego.

– Och, był adres... Ale jak mógłby nam pomóc? – zastanawia się z coraz bardziej przerażoną miną. – Nijak! Przecież wyjechała stąd w środku nocy. Pewnie teraz leży na jakimś szpitalnym łóżku!

– Znajdziemy ją – zapewnia Wyn. – Nie możesz zakładać najgorszego.

– To moja wina – upiera się Parth. – Byłem zdenerwowany tym wszystkim, co się wydarzyło wczoraj, i winięm ją za to. Jakbym sam stał z boku! Byłem w to totalnie zaangażowany, a kiedy wrzód pękł, odwróciłem się plecami. No i teraz jej nie ma.

– Musimy pomyśleć logicznie – mówi Cleo.

– Wiem, że nie będziecie zachwyceni tą koncepcją – odzywa się Wyn – ale może byśmy zadzwonili do jej rodziny?

– Wykluczone, żeby do nich pojechała – stwierdza Parth. – Sab rzadko cokolwiek im mówi. Wiecie, moja rodzina już nam zaplanowała wielki, wypasiony ślub, a Armasowie nawet nie wiedzą, że jesteśmy zaręczeni.

– W takim razie będziemy szukać w mieście – podsumowuje Cleo.

– Znajdziemy ją – zapewnia Kimmy, klepiąc Partha po ramieniu.

– Powinniśmy się rozdzielić – proponuję.

Wyn i Parth biorą land rovera. Cleo i ja wyruszamy jej kombi. Kimmy zostaje w domu na wypadek, gdyby Sab wróciła.

Większość miejsc w mieście regularnie odwiedzaliśmy w czasie kolejnych pobytów, ale jest jeszcze sporo plaż i parków wartych sprawdzenia oraz parę innych pobliskich miejscowości, w których od czasu do czasu bywaliśmy.

Kiedy wchodzimy do Bernie's – pełnego ludzi za sprawą słonecznej pogody i festiwalowego weekendu – łapię się na myśli, że po prostu zastaniemy ją tu przy kawie, na patio, obserwującą walczące o resztki frytek mewy.

– Zapytajmy kelnerkę, może ją widziała – proponuje Cleo.

Nikt jednak nie widział Sabriny. Z drugiej strony ulicami przelewa się tak niezmierny tłum turystów, ludzi z pomalowanymi twarzami i jedzących lody, że nawet Sabrina mogła się w nim roztopić.

Sprawdzamy kino Roxy i wypyujemy kasjera (dziś ma na głowie kapelusz pork pie). Kiedy zamiast odpowiedzi, wzrusza ramionami, kupujemy bilety i rozdzielamy się, żeby obszukać wszystkie sale. Nadal bez rezultatu.

Jedziemy do Przeczytała: Morderstwo, na przystań i do Lobster Hut, gdzie zaglądamy do pobazgranych graffiti toalet. Nie odpuszczamy nawet salonowi tatuażu – z nikłą nadzieją, że w odruchu buntu kazała sobie zrobić własny tatuaż z *wicked pissah*. Niestety, Sab przepadła jak kamień w wodę, a kolejna próba dodzwonienia się do niej rozbija się o jej pocztę głosową.

– Musiał się jej rozładować – mówi Cleo.  
– To do niej niepodobne – stwierdzam.  
– Myślisz, że kłamała o tym obłożeniu hoteli? Nie mogła się w którymś zameldować?  
Odpalam internet i wchodzę do bazy miejsc hotelowych w okolicy. Wszystko zapchane na ful – hotele, motele, pensjonaty i hostele. Nie ma szans.

Kiedy na naszą grupę przychodzi wiadomość, obie podskakujemy.

Ale to tylko Wyn, którego numer odblokowałam.

**Wiadomo coś?** – pisze.

**Nic. A u ciebie?** – pytam.

**Parth na serio się martwi** – odpisuje. – **Chce dzwonić po szpitalach. Dla pewności.**

Ściska mnie w dołku.

**W kontakcie.**

**Wy też.**

Cleo marszczy nos, przeglądając naszą listę punktów do przeszukania.

– To zwykle miejsca, znane do znudzenia. Jeśli naprawdę ją nosiło... mogłaby wypłynąć samotnie, nie sądzisz?

Krew odpływa mi z głowy.

– Jest dobrą żeglarką. I faktycznie, woda to jej szczęśliwe miejsce. Żeglowanie przypomina jej o mamie i... – Na moment się wyłączam, zapominając o Cleo.

– Harry? – dopytuje. – Co jest?

– Jej mama.

– Co z nią?

– Może nic, ale mamy jeszcze jedno miejsce do sprawdzenia.

– Zatrzymaj się! – wrzeszczę tak stanowczo, że Cleo odruchowo wciska hamulec na środku drogi.

Na szczęście owa droga jest tylko leśnym duktem, na który wprowadził nas GPS. Teoretycznie na końcu powinien być parking, ale to już nie jest ważne, bo po pierwsze zza drzew po prawej przeziera mała plenerowa kaplica, a po drugie na poboczu stoi wiśniowy jaguar.

Cleo szybko do niego zawraca. Najpierw sprawdzamy auto – jest puste – po czym wchodzimy przez przejście w niskim kamiennym murku i wkraczamy po schodach na wzgórze.

Wilgotny zielony las ustępuje miejsca wypiełgnowanemu parkowi. W jego centrum stoi pawilon z szarego kamienia, z lewej strony obrośnięty bluszczem. Motyle leniwie krążą pośród kwitnących krzewów, rosnących po obu stronach schodów, a jedynym dźwiękiem jest odległy szum fal.

Nic dziwnego, że ślub rodziców wywarł na Sabrinie takie wrażenie. To miejsce jest piękne. Pozwala myśleć, że zło i kłopoty nie mają do niego dostępu.

Rwę się na górę, ale Cleo zwleka.

– A jeśli ona chce być sama? – sugeruje z wahaniem.

Słusznie. To możliwe.

Tyle że ludzie nie uciekają ani się nie ukrywają, kiedy po prostu chcą być sami.

– A jeśli tylko tak się jej wydaje? – rzucam.

Cleo bierze mnie za rękę i razem wchodzimy do pawilonu.

W środku, na kamiennej podłodze, stoi parę podniszczonych, starych klęczników, a po obu stronach znajdują się drewniane podesty. Przed kapliczką, w oddali, kamienny łuk stanowi ramę dla widoku błękitnego oceanu, bez którego nie byłoby Maine.

Właśnie pod tym łukiem Sabrina siedzi po turecku, wpatrzona w dal. Cała scena emanuje łagodnością, podkreślaną świergotem ptaków. Na dźwięk naszych kroków ogląda się przez ramię.

Spinam się, oczekując jakiejś poirytowanej reakcji, ale kiedy widzę jej ściągnięte rysy i opuchnięte, czerwone od płaczu oczy, wczorajsze nieporozumienia przestają się liczyć.

Obie jak na komendę pędzimy do niej, klękamy i otaczamy ją ramionami.

– Przestraszyłaś nas – mówi Cleo.

– Nie chciałam – szepcze Sabrina.

Puszczamy ją i siadamy w trójkącie, jak robiłyśmy to przez wiele nocy w naszym zapyziałym pokoju w internacie na pierwszym roku studiów.

– Parę godzin temu padła mi komórka – mówi wreszcie Sab. – I... myślę, że chciałam uniknąć nieuniknionego.

– Nieuniknionego? – podchwytuje Cleo.

Sabrina przyciąga kolana do piersi i oplata je szczupłymi rękami.

– Końca pobytu? Pożegnania? Wszystko się zmienia, a ja nie jestem na to gotowa.

Mam wrażenie, jakby ktoś przyłożył mi do piersi łyżeczkę do lodów i zaczął drążyć.

– Nie chciałam tego przyznać, ale Cleo ma rację – mówi dalej. – Nasze drogi rozchodzą się już od lat.

– Sab – mówię – nie masz pojęcia, jak strasznie mi przykro, że nie powiedziałam ci, co się dzieje.

– Chodzi też o inne rzeczy. – Sabrina unosi brodę. – Kiedy się dowiedziałam o waszym rozstaniu, byłam zdruzgotana, potem się wściekłam, a potem... sama nie wiem. Uświadomiłam sobie, że nasza szóstka zna się od dawna, piątka jeszcze dłużej, a trójka niemal od niepamiętnych czasów. I nie chodzi wyłącznie o to, że ukrywałaś przed nami taką bombę. Po prostu... zaczęłam się bać, że jeśli ty i Wyn nie będziecie ze sobą, nie będziecie też chcieli być z nami. Że jedno i drugie zacznie nas usuwać ze swojego życia.

– Sabrino, nie! Zapewniam, że tak nie było. I nie będzie.

– Możesz to robić nawet podświadomie – upiera się. – Dlatego nam nie powiedziałas, prawda? Bo przyjaźnimy się z Wynem, a ty przyjaźnisz się z nami. Nasze więzy są sprzężone i skoro zerwaliście...

– Wyn i ja nie zerwaliśmy ze sobą. – Mój głos jest niewiele głośniejszy od szeptu. – Odepchnęłam go, tak samo jak resztę. Zawsze chodziło o mnie, a nie o ciebie czy kogoś z was.

– Nie chodziło tylko o ciebie, Harriet – mówi Sabrina.

Cleo dotyka jej ręki.

– Dla mnie też... sprawy się skomplikowały, Sab. Tylko tyle.

– Posłuchajcie. – Sabrina śledzi spojrzeniem krążącego nad kwiatem motyla. – Jako dziecko byłam bardzo, bardzo szczęśliwa. I moi rodzice byli szczęśliwi. A potem już nie. Kiedy się rozstali i każde poszło swoją drogą... po jakimś czasie oboje znów znaleźli szczęście. Czy raczej gorsze wersje szczęścia, które mieli. Z nowymi partnerami i nowymi dziećmi. Oboje zaczęli od nowa. Ale ja nie stałam się częścią tych układów. Ja należałam do ich dawnego układu. Kiedy się skończył, przerzucali mnie między sobą jak niechcianą pamiątkę. Jedynym stałym miejscem, gdzie czułam się u siebie, był ten dom nad morzem. – Jej głos wchodzi na wyższe tony. – Dopóki nie poznałam was dwóch.

Sab zawsze była twarda, dlatego gdy słyszę w jej głosie nutę bezradności, coś we mnie pęka.

– Poznałam was i wreszcie znowu znalazłam swoje miejsce.

– Ja też tak się poczułam, Sab. – Przysuwam się do niej bliżej.

– I ja – dorzuca Cleo. – Liceum było dla mnie piekłem. Wybrałam Mattingly, bo wiedziałam, że nikt z mojej szkoły tam nie pójdzie. Bo dla mnie wymarzoną opcją funkcjonowania wśród ludzi była całkowita anonimowość. Pierwsze parę tygodni nauki było przedziwnym doświadczeniem, podobnym do wychodzenia z ciała. Nigdy dotąd nie miałam przyjaciółek, z którymi można wszystko robić i o wszystkim gadać. I przyznam, iż ciągle podświadomie oczekiwałam, że obie znajdziecie sobie lepsze towarzystwo i mnie zostawicie. Aż pewnego dnia, niedługo przed przerwą jesienną, kiedy żegnałyśmy się czule przed wyjazdem, uświadomiłam sobie, że przestałam się bać waszego zniknięcia. To się stało samo, całkiem niepostrzeżenie. Wiedziałam, że mam was na całe życie. Tak moi rodzice mówili o sobie. Gdyż bez względu na wszystko zawsze dążą do bycia rodziną. Podobnie jest z wami. Nasza znajomość może tysiące razy zmieniać swój kształt, ale zawsze będziecie obecne w moim życiu. Przynajmniej tego pragnę.

– Ja też – potwierdzam. – Obojętnie, co będzie dalej z Wynem, zawsze będę należeć do ciebie. Nigdzie nie odejdę. Kocham cię, Sab, i strasznie mi przykro, że przeze mnie poczułaś się tak, jakbyś była tylko częścią mojej relacji z Wynem. Ty jesteś częścią mnie. Tkwisz w moim sercu tak głęboko, że nie mogłabym cię z niego usunąć, nawet gdybym chciała. Ale oczywiście nie chcę. Jestem szczęściarą, że mogę mieć ciebie. Mieć ludzi, którzy mnie kochają, nawet wtedy gdy boję się ich do siebie dopuścić.

Cleo i Sabrina chwytają mnie za ręce i splatamy palce.

– Boże, ile ja przeplakałam w tym tygodniu – wzdycha płacząco Sabrina.

– Ja też – mówię. – To chyba magia tego domu.

– I ja – odzywa się Cleo. – Choć w moim przypadku mogą szaleć hormony ciążowe, więc...

– Cooo?! – Sabrina obraca się ku niej gwałtownie i wyszarpuje dłonie z naszych rąk, aby ująć w nie

twarz Cleo jak w tej kultowej scenie z Macualayem Culkinem w *Kevin sam w domu*.

– Cholera! – wykrzykuje Cleo. – Miałam ci wygłosić całą przemowę, a nie tak w paru słowach!

– Ty, kurwa, mówisz serio? – drze się Sabrina.

– Jesteśmy w kaplicy...

– Och, wyluzuj. Bóg i tak wszystko słyszy. Ale ja? W życiu bym nie przypuszczała, że jedna z moich najlepszych przyjaciółek oznajmi mi, że jest w pierdolonej ciąży!

– No cóż, jestem w pierdolonej ciąży. Niespodzianka.

Sabrina zanosí się swoim firmowym chichotem.

– Zanim zrzucisz mnie pytaniami – uprzedza Cleo – wiedz, że jako pierwszej powiedziałam Harry, choć nie zamierzałam. Po prostu dzisiaj rano zastawiła na mnie pułapkę i wylało się ze mnie, tak jak teraz z ciebie.

– Błogosławiona pułapka Harry! – Sabrina krztusi się tym swoim skrzeczącym, bezdechowym śmiechem. – Słuchajcie, jeśli coś jeszcze leży wam na wątrobie, walcie śmiało, bo to dobry moment! Mam wrażenie, że jestem chwilowo niezdolna do wkurwu, więc korzystajcie.

– W college’u zepsułam ci prostownicę do włosów – przyznaję się ochoczo.

– A ja raz miałam na noc dziewczynę, która użyła twojej szczoteczki do zębów, bo myślała, że jest moja – wyznaje Cleo.

– Fuj, obrzydliwe! – Sabrina się krzywi. – Tego drugiego wolałabym nie wiedzieć.

– A ja zgubiłam te zabytkowe ray-bany, które nosiłyśmy na spółkę – dodaję. – Kurczę, ale mi ulżyło!

– To jeszcze nic! – piszczy Cleo. – Powiedziałam temu gównianemu poecie, z którym się prowadziłaś, że jestem wiedźmą i jeśli jeszcze raz się z tobą umówi, rzucę na niego zaklęcie i odpadnie mu fiut.

Sabrina składa ręce na piersi, ewidentnie poruszona.

– I właśnie dlatego będziesz wspaniałą matką.

– Nie wiedziałam, że zrobiłaś coś takiego – zwracam się do Cleo. – Gdybym była na twoim miejscu, nie ośmieliłabym się powiedzieć chłopakowi, że mój stary jest w mafii.

Sabrina zalicza kolejny napad wesołości.

– Mam najlepsze przyjaciółki na świecie! – woła.

– Masz najlepszą rodzinę – poprawia ją Cleo.

Słodki ból w moim sercu jest całkiem przyjemny. Napływa do rąk i nóg, aż robią się ciężkie, jakby miłość miała własną masę.

– Wiesz – mówię do Sabriny – Parth też nigdzie się nie wybiera.

Odwraca wzrok.

– Jeśli ty i Wyn nie potrafiliście się dogadać...

Chwytam jej twarz w dłonie.

– Wy nie jesteście nami. Jesteś dużo, dużo bardziej dzielna niż ja, Sabrino.

Unosi oczy do nieba.

– Mówię serio. Uda ci się, jeśli tylko będziesz chciała.

Jej głos jest ulotnym szeptem, kiedy się odzywa:

– Będę chciała. On jest miłością mojego życia. Chcę za niego wyjść.

– W takim razie wracamy do domu – decyduje Cleo.

Sabrina dyskretnie ociera łzy.

– Tak, jedźmy do domu – mówi z ulgą. Teraz, kiedy już podjęła decyzję, przestała się wahać.

Idąc do auta, Sabrina po raz ostatni ogarnia spojrzeniem kaplicę, drzewa w dole i daleki ocean. Uśmiecha się, jakby patrzyła za siebie, w przeszłość, widząc jedynie tamten szczęśliwy dzień, który przeżyła tutaj z rodzicami, a nie wszystkie bolesne, które przyszyły później.

Bo nawet jeśli coś pięknego się zepsuje, liczy się moment, kiedy się to tworzyło.

**Szczęśliwe miejsce**  
**Knott's Harbor, Maine**  
**Sobotnie popołudnie**

Ślub. Uproszczone do maksimum. Bukiety ze słoneczników dla wszystkich, dostarczone pod same drzwi i tort z napisem *Happy Birthday, Wicked Pissah*, z jadalnymi kwiatami.

Na widok min Sabriny i Partha wzruszam ramionami.

– Nikt w okolicy nie ma w ofercie tortów weselnych – wyjaśniam.

– Dobra, ale kto ci pozwolił wykorzystać w ten sposób to hasło? – pyta Sabrina.

– To najlepsze urodziny w moim życiu! – zapewnia szybko Parth.

Ma na sobie garnitur, w którym wygląda jak James Bond w wersji wakacyjnej. Sabrina jak zwykle preferuje jachtowy szyk. Reszta paraduje w kultowych koszulkach z Lobster Hut, mocno znoszonych i lekko już przyciasnych.

Fotograf pojawia się o wpół do czwartej, aby zrobić nam zdjęcia, jak siedzimy nad basenem w raczej nieformalnych strojach, wymyślając coraz bardziej szalone imiona dla dziecka Cleo i Kimmy.

Kiedy dziewczyny mówią Wynowi i Parthowi o ciąży, Parth mruga, zaskoczony i oniemiały, a Wyn zrywa się i zaczyna śmiać, tocząc po nas dzikim spojrzeniem, jakby czekał, że ktoś krzyknie: „Mamy cię!”.

– Serio? – upewnia się wreszcie Parth. – Nosisz w sobie dziecko? Właśnie teraz?

Cleo się śmieje.

– Tak, mam je w środku.

– To jest... O Boże! – wykrzykuje Wyn. – Ty masz dziecko!

– Trzymajcie Wynniego, bo zaraz nam zemdleje – ostrzega Kimmy.

Tymczasem Wyn obchodzi kuchnię, ściskając wszystkich po kolei, a potem przenosi spojrzenie na mnie. Oczy ma czyste i błyszczące, bez śladu depresyjnej mgły. Jakby sprawdzał, czy dzielę z nim tę niezmaconą radość, jaką zareagował w pierwszym odruchu.

To sprawia, że moje serce zrywa się do lotu, wibruje i płonie nadzieją.

Pijemy szampana i cydr, skrzące się w słońcu, usiłując zmusić naszych przyjaciół, aby nadali dziecku imiona Kardashian Kimberley Cleopatra Carmichael James, podczas gdy profesjonalny fotograf robi nam zdjęcia.

Osoba, która ma udzielić ślubu, przyjeżdża o czwartej.

O piątej Sabrina stoi na pomoście; światło igra na jej włosach, a oczy lśnią od łez i wzruszenia, pewnie na myśl o tym, że będą się kochali aż do śmierci. Cleo i ja rzucamy się sobie w ramiona, słonecznikowe bukiety więzną pomiędzy nami, gdy usiłujemy się nie poryczeć.

O wpół do szóstej skaczymy z końca pomostu, śmiejąc się i wrzeszcząc przy zetknięciu z lodowatą wodą mimo zasady „zero wrzasku”, po czym wbiegamy na górę, aby cieszyć się komfortem ciepłego basenu.

Zamawiamy pizzę – nikt nie ma ochoty ruszać się z domu, a w małym Knott's Harbor dostawa przychodzi szybko – i jemy, popijając Veuve Clicquot. Nie rozmawiamy o jutrze, dniu, kiedy trzeba się będzie pożegnać. Ze sobą, z domem i z całą epoką naszego życia, która miała trwać wiecznie.

Gdy słońce zaczyna się chylić ku zachodowi, wdrapujemy się na skały, żeby patrzeć, jak zapada noc. Rozpalamy ognisko i pieczemy pianki. Sabrina przypala swojego marshmallowa na skwarę, a Parth cierpliwie czeka, aż jego się zarumieni.

Kiedy Wyn widzi, że zaczynam dygotać, zdejmuje swoją znoszoną bluzę z Mattingly – jemu zawsze jest ciepło – i zarzuca mi ją na ramiona, z uśmiechem zawiązując rękawy pod szyją. Bluza pachnie dymem, słoną oceaniczną wodą i oczywiście nim. Chciałabym nigdy jej nie zdejmować.

Odpalamy zimne ognie, które Parth znalazł w garażu, i wypisujemy nasze imiona na tle ciemności, ulotne, ale jasne i płonące. Zwykle myślałam w ten sposób o miłości. Jak o czymś tak delikatnym, że nie

sposób tego złapać, żeby się nie rozplynęło. Teraz wiem więcej. Wiem, że płomień może się rozbuchać i podsycić od wiatru, ale zawsze będzie we mnie płonął.

Rozmawiamy o nocnym niebie. Wspominamy klimat naszego starego dormitorium. Jaskrawofioletowe kwiaty, które co roku bujnie rozkwitały wzdłuż długiej drogi do Mattingly, i połamany okap dachu naszego nowojorskiego mieszkania, z którego zwisały sople jak wielkie sztylety. Rozmawiamy o rzeczach, które pamiętamy i będziemy pamiętali.

– Wrócimy tu – mówi Kimmy. – Dziecko musi poznać magię Maine.

– Sama nie wiem – zastanawia się Sabrina. – Może w przyszłym roku przyjedziemy w jakieś inne miejsce.

Dłoń Wyna zaciska się na mojej, jakby sama wzmianka o przyszłym roku miała nas puścić z dymem.

Ale nawet ten ból jest rodzajem przyjemności; poczucia, że się jest kochanym i że tak mocno się kocha.

Siedzimy, dopóki Cleo nie kładzie głowy na ramieniu Kimmy, a Sabrina nie zacznie ziewać – więc mówimy sobie „dobranoc” jak każdego innego wieczoru. Jakbyśmy jutro mieli się obudzić i rozpocząć tydzień od nowa.

Kiedy Wyn i ja przekraczamy próg sypialni, stajemy, tuląc się do siebie w ciemności. Zarzucam mu rękę na szyję, a on opiera o mnie głowę i tak oddychamy sobą.

Moje ciało zawsze go kochało, bez wahania i oporów. Wiedziało swoje na długo przed moim umysłem – i nadal wie.

Jego szyja, barki, talia, smuga miękkich włosów znikająca pod paskiem spodni, biodra. Gładka linia pleców i tarka mięśni brzucha. Każda cząstka Wyna, o której myślałam, marzyłam, za którą tęskniłam.

– Masz zimne palce – szepcze, unosząc moją dłoń do ust.

Niespiesznie się rozbieramy, znajdując drogę do siebie. Nie udajemy, że jutra nie będzie, tylko oddajemy się cali teraźniejszości.

Płatanina pościeli, ręk i nóg. Skóra ślizgająca się po skórze. Palce wpijające się w kark, w miękkie partie bioder, w twarde mięśnie ud.

– Kocham cię – mówi Wyn prosto w moje usta, a ja żałuję, że nie mogę tych słów połączyć, aby już na zawsze zatrzymać ich brzmienie i moment, w którym zostały wypowiedziane.

Nos mnie pali. Głos mi się łamie, gdy szepczę:

– Nie mów tak.

– Czemu? – odszeptuje.

– Bo te słowa już do mnie nie należą.

– Oczywiście, że należą – zaprzecza żywo. – Należały do ciebie, zanim jeszcze cię zobaczyłem.

Należą do ciebie w każdym świecie równoległym, w jakim istniejemy, Harriet.

Zamykam oczy i próbuję się trzymać jego deklaracji, choć palą mi dłonie.

Zanim poznałam Wyna, mogłam się bez niego obyć. Teraz zawsze już będę czuła, że go nie ma.

„Chcenie” jest rodzajem kradzieży. Jest jak drzwi w twoim sercu. Kiedy zdajesz sobie sprawę z ich istnienia, całe życie marzysz o tym, co za sobą kryją.

Wyn spleta palce z moimi, mówiąc mi, że mnie kocha, w każdy możliwy sposób.

Kiedy już prawie zasypiam, odpływam ze skronią przyciśniętą do jego piersi, słyszę, jak szepcze po raz ostatni:

– Kocham cię.

Spowita w zwiewne zasłony snu, słyszę swój szept w odpowiedzi:

– A ja ciebie.

## W realu Niedziela

Budzę się, zanim zadzwoni alarm, i wyłączam go jeszcze przed pierwszym piknięciem. Wyn śpi smacznie, nagi i piękny w błękitnej poświacie wczesnego poranka.

Powinam go obudzić.

Ale nie mogę znieść, że nasza ostatnia wspólna chwila ma być pożegnaniem. Pragnę zapamiętać go takim jak teraz – kiedy jest jeszcze mój, a ja jestem jego.

Cicho kończę się pakować i na paluszkach schodzę na dół.

Cleo i Sabrina są już w kuchni i piją – jedna herbatę, druga kawę.

– Wezmę taksówkę na lotnisko – mówię cicho, dołączając do nich.

Sabrina nalewa mi kawy.

– Nie ma mowy, żebyś ostatnie chwile w Knott's Harbor spędziła z kimś obcym – stwierdza stanowczo.

– Ostatnie minuty w Knott's Harbor spędzę z Rayem – koryguję ją.

– Tym bardziej trzeba cię podwieźć. To mogą być ostatnie minuty twojego życia. Kropka – ucina.

Cleo prychna herbatą do kubka.

– Sabrina!

– Dobra, żartowałam. Wyn schodzi?

– Nie budziłam go.

Obie wymieniają spojrzenia.

– Wiem – mówię. – Ale tak będzie lepiej.

Sabrina otacza mnie ramieniem.

– Jak sobie życzysz, kochana.

Jedziemy na lotnisko roverem. Sabrina i Cleo upierają się, żeby wjechać na parking i odprowadzić mnie do samych bramek odprawy. Przez chwilę czekamy, aż je otworzą – zjawiłyśmy się dużo za wcześnie jak na tak małe lotnisko – a ja cierpię, bo nie znoszę długich pożegnań. Czekanie nieznośnie się przeciąga.

Wreszcie ściskam je szybko i obie naraz, żeby się nie rozpląkać. Przygryzam usta, kiedy obiecujemy sobie, że wkrótce się zobaczymy. I kiedy Sabrina mówi, że zawsze jest dla mnie miejsce na kanapie w jej nowojorskim mieszkaniu.

Ciągle nie wiem, co będę robiła, kiedy wrócę do San Francisco, i co powiedzą, kiedy wyznam im prawdę o swoim stosunku do pracy. Nie chciałam im mówić wcześniej, żeby mi nie doradzały, co mam zrobić. Sama muszę dojść do tego, czego chcę.

Cleo, jakby czytała mi w myślach, trąca mnie w łokieć i mówi:

– Nie ma złych odpowiedzi.

Jeszcze ostatni wspólny uścisk i stykamy się w milczącym geście obietnicy czubkami palców wskazujących z bliznami po oparzeniu na opuszkach – pamiątki po pierwszym pobycie w domu nad oceanem.

Mówię sobie, że nie spojrzę za siebie. Ale to robię.

Moje przyjaciółki płaczą, więc ja też się mażę i w rezultacie cała nasza trójka na odchodnym wybucha śmiechem.

– Proszę przechodzić – ponagla mnie funkcjonariusz i jeszcze w skanerze na wpół się śmieję, na wpół płaczę.

A kiedy idę dalej, co chwila zerkam przez ramię i widzę oddalające się, machające postacie, aż korytarz skręca w prawo, więc macham po raz ostatni i znikam za rogiem.

Zanim docieram do bramki, ogarniam się. Poczekałnia jest pusta. Na tak małym lotnisku można by



się na dobrą sprawę pojawić dwadzieścia minut przed startem, ale ja mam zapas czasu większy niż zalecane dwie godziny i mogę go poświęcić niekończącym się rozmyślaniom.

Wyjmuję książkę, którą kupiłam w Przeczytała: Morderstwo i chyba przez dwadzieścia minut gapię się na pierwszą stronę, lecz widzę tylko dwa słowa: „piękne wnętrze”.

Wsuwam książkę z powrotem do torby i wyjmuję komórkę.

Moje serce gubi rytm na widok obrazu na ekranie. Zdjęcie z katalogu, które na moją prośbę Wyn przesłał mi wczorajszego wieczoru, ciągle tam jest. Dębowy stół na soczyście zielonej łące, z nogami w polnych kwiatach, na tle horyzontu z linią fioletowych górskich szczytów.

Na moment brakuje mi oddechu. Nie samo piękno obrazu mnie poraża, tylko tęsknota i pragnienie, które przenikają mnie do głębi.

To, myślę. To jest to, czego chcę.

Zalewa mnie fala adrenaliny. Puls przyspiesza. Mrowienie rozprzestrzenia się po skórze z szybkością pożaru lasu.

Zrywam się z siedzenia, porwana pierwotną, radosną siłą nowej myśli.

Wyn wydaje się szczęśliwszy i w lepszej formie niż sześć miesięcy temu, a ja teraz potrafię dużo bardziej szczerze mówić o swoich uczuciach, ale przecież go znam, każdy jego cal. Pamiętam rytm jego oddechu we śnie i zapach jego skóry w słońcu. I wiem, kiedy się boi.

Fakt, nie od razu do tego doszłam, bo nie mam jeszcze zwyczaju ufać własnym odczuciom. Zbyt długo pozwalałam, by kierowali mną inni, przedkładając cudze sądy nad własne. Ale teraz to widzę.

Wyn się boi.

Nadal nie wierzy, że potrafię go pokochać na zawsze. Jakaś jego cząstka czeka, aż wybiorę coś innego. Uważa, że nie powinien być moim wyborem. Myśli, że w ten sposób mnie chroni, ale chroni także siebie.

Ale pod jednym względem ma rację. Nie może mi powiedzieć, czego chcę.

Przez całe życie dawałam posłuch innym głosom, które zagłuszały mój własny.

Jedno słowo. Tyle wystarczy, aby odpowiedzieć na pytanie, które nie może czekać.

„Ty”.

Chwytam torbę i pędzę z powrotem. Lecz nie mam poczucia, że się cofam.

Przeciwnie – to jest jak pierwszy krok ku nowemu.

## W realu Niedziela

Nie mam pojęcia, dlaczego pędzę przez terminal. Nie spieszę się na samolot, nie goni mnie żaden termin.

I nie jest to moja ostatnia szansa, aby powiedzieć Wynowi, co czuję.

Nie, po prostu w ten sposób najszybciej mogę go złapać. Nie zamierzam tracić ani minuty. Truchtam korytarzem, przez bramkę, ciągnąc za sobą torbę. Omal nie wpadam na szklane drzwi, tak wolno się rozsuwają, i wybiegam na zewnątrz, mrużąc oczy w słońcu i drżąc w chłodzie poranka.

Żadna taksówka nie stoi na podjeździe. Wyciągam telefon i w pośpiechu wpisuję „przewóz osób w Knott’s Harbor”. Pierwszy numer, jaki wybieram, jest zajęty. Nie zdawałam sobie sprawy, że istnieje jeszcze sygnał zajętości. Wydaję z siebie poirytowane sapnięcie, wyłączam wybieranie i bezradnie rozglądam się po parkingu w nadziei, że złapię stopa.

I wtedy to dostrzegam. Błysk czerwieni, na którego widok serce mi staje.

Auto wjeżdża na podjazd. Wyskakuje z niego mężczyzna; wiatr rozwiewa mu włosy, rozjaśnione słońcem.

Wstrzymuję oddech, tak nagle mi się objawia; jego obecność jest zawsze bardziej realna niż cała reszta świata wokół mnie.

Kiedy nasze spojrzenia się spotykają, zamiera w połowie ruchu na tle otwartych jeszcze drzwi auta. Mam wrażenie, że płynę ku niemu ponad jezdnią, dopóki nie ściąga mnie na ziemię ostrzegawcze trąbienie innego samochodu.

Puszczam się biegiem. Wyn pędzi mi naprzeciw. Spotykamy się na nierównym chodniku.

– Jesteś... – mówi bez tchu. – Nie pożegnałaś się.

– Nie mogłam – wyduszam z siebie.

Ściąga brwi. Moment napięcia trwa.

– Tylko tyle? – pytam.

– Co?

– Pędziłeś tutaj, żeby mi powiedzieć „do widzenia”?

Skrobie się w tył głowy, zerka na pas drzew na końcu parkingu, po czym wraca spojrzeniem do mnie. Jego usta się zaciskają, a moje serce powtarza ten ruch, pompując mi w żyły ostatnią dawkę miłości.

– Dlaczego nie jesteś w samolocie? – pyta.

– Bo nie leci tam, dokąd trzeba – odpowiadam.

Nieznacznie potrząsa głową i mars na jego czole tężeje.

– Powiedziałeś, że muszę wiedzieć, czego chcę – dodaję. – Że nie mogę dalej robić tego, co inni uważają za stosowne dla mnie.

– Tak mówiłem. – Głos mu drży.

– Ty też zaliczasz się do tych innych?

– Co masz na myśli?

– Że... – Przysuwam się, aby móc go wdychać; moje napięte ramiona odprężają się z ulgi, że znów jest blisko. – Czy jesteś w stanie mi powiedzieć, co mnie uszczęśliwi, a co nie?

Wyn ściąga brwi.

– Nie próbowałem tego.

– Owszem, próbowałeś. I rozumiem dlaczego. Bo mogłabym przyjechać do Montany i pewnego dnia doszłabym do wniosku, że chcę... nie wiem... zająć się klaunadą czy coś w tym stylu.

Kącik jego ust drga.

– Klaunadą?

– Dobra, może być biologia morska. Wiesz, zajęłabym się wielorybami albo ośmiornicami.

– To już lepiej.

– I wszystko znów by się rozpadło – mówię. – Katastrofa byłaby nawet gorsza niż ostatnio. Tak fatalna, że nie zdołalibyśmy już wrócić do siebie.

Krótkim ruchem chyli głowę. Jego głos traci pewność, gdy mówi:

– To możliwe.

– Masz rację, że nie wiem, co dalej robić – przyznaję. – Dlatego zamierzam znaleźć dla siebie mniej znienawidzone zajęcie, żeby spłacić kredyt, a przez ten czas muszę się zastanowić, czego chcę. Ale na pewno wiem, czego nie chcę. Nie chcę tego wiecznego zmęczenia – mówię z rosnącym ożywieniem. – Nie chcę, żeby moich planów nie dało się pogodzić z planami tych, których kocham. Nie chcę telefonów wzywających mnie do szpitala w czasie randek. Nie chcę być non stop na nogach przez wiele godzin i nie chcę, żeby zimą na mrozie krwawiły mi kłykcie, bo mam skórę rąk wyjałowioną od ciągłego mycia. Nie chcę poczucia, że nie mam czasu ani energii, aby spróbować czegoś nowego, bo całe swoje zasoby wkładam w pracę, której zwyczajnie nie lubię. Nie chcę, aby moje życie było jak triathlon, gdzie liczy się tylko zdobycie mniej lub bardziej symbolicznej nagrody. Chciałabym, aby bardziej przypominało... garncarstwo. Chcę się nim cieszyć dla samej radości tworzenia, a nie tylko dlatego, że może mnie do czegoś doprowadzić. I nie chcę, żeby kawał kraju dzielił nas od siebie. I od twojej rodziny. Chcę z nimi spędzać wszystkie wolne dni. Nie wyobrażam sobie, żebym zasypiając, nie mogła wsunąć zmarzniętych stóp pomiędzy twoje ciepłe łydki. Nie chcę się rozstawać z twoją koszulką rodeo, a przede wszystkim nie chcę, żebyś stąd odjechał bez przekonania, że mówię to wszystko z całą odpowiedzialnością, bo wreszcie ufam sobie. Możesz mi teraz kazać zniknąć z twojego życia i tak zrobię, ale nie powinieneś sądzić, że robisz to dla mojego dobra. I że postąpiłeś właściwie.

Oczy Wyna się rozszerzają.

– Co masz na myśli?

– Wszystko! – wrzeszczę. – To, że myślisz, że cię nie chcę! Że myślisz, że nie potrafisz dać mi szczęścia! Że jeśli teraz wrócę do Kalifornii, nie będzie to miało nic wspólnego z tym, czego pragnę. Że w naszym związku ty byłeś szczęściarzem, podczas gdy było odwrotnie. Że Zajebisci Zakupowicze nie są prawdziwą grą i że nie należy wstawiać kieliszków do dolnej szuflady zmywarki. Możesz mi powiedzieć „nie”, Wyn, ale nie wmówisz sobie, że tego właśnie pragnę. Jeśli się za bardzo obawiasz, jeśli nie możesz we mnie uwierzyć, każ mi odejść, ale nie możesz się usprawiedliwiać, że zrobiłeś tak, bo to ja tego chciałam!

– Harriet – mówi chrapliwym szeptem.

Serce huśta mi się w piersi, szykując się do wzlotu w niebo – lub do spektakularnego upadku.

Wyn ujmuje moją twarz w dłonie.

– Jestem przerażony – przyznaje.

Moment ciszy. Tylko nasze oddechy i zimny wiatr szarpiący kosmykiem opadającym mu na twarz.

– Och... – wrywa mi się.

Jego leciutki uśmiech otwiera mnie jak suwak, od góry do dołu, krąg po kręgu. Wyn wsuwa mi palce we włosy. Grdyka mu chodzi, gdy przelżyka ślinę.

– Kiedy dziś rano się obudziłem, twoje miejsce w łóżku już wystygło. – Unosi spojrzenie, jasne, prawie niezmacone. – Zrobiłem wszystko, żebyś do mnie wróciła, i starałem się do ostatniej chwili. Ale mi się nie udało, więc po prostu pojechałem za tobą. Gdybyś nie wyszła przed terminal, kupiłbym bilet. Gdybym był już w środku, a ty byś siedziała w samolocie, wszedłbym na pokład i zaczął z rozmową, aż wylądujemy w Bostonie. A gdybyśmy jakimś cudem rozminęli się przy wysiadaniu, złapałbym cię w trakcie przesiadki, przy kolejnych bramkach. Kiedy jechałem tutaj i w głowie układał mi się ten pieprzony, głupi plan dogonienia ciebie i pożegnania się, uświadomiłem sobie, dlaczego my to wszystko robimy.

Moje serce wychyla się ku niemu jak przyciągane magnesem.

– Dlaczego?

Uśmiecha się do mnie, a ja mam wrażenie, że na moim sercu zaciska się pięść, mocno, jakby chciała doprowadzić mnie do zapaści.

– Bo nie ma miejsca, do którego bym nie dotarł w pogoni za tobą. I gdybyś zjawiła się w Montanie i zdała sobie sprawę, że jednak wolisz inne miejsce, gotów byłbym zrobić wszystko, żeby ci pomóc. Bo wolałbym widywać ciebie choćby tylko przez pięć dni w roku niż inne osoby na co dzień. Wolałbym się

z tobą kłócić, niż nie rozmawiać w ogóle. I bez względu na to, czy bylibyśmy ze sobą, czy nie, zawsze będę twój. Więc bądźmy razem, Harriet. Na tyle, na ile możemy. Tak długo, jak nam się uda. Najlepiej zacznijmy od zaraz, a dalej jakoś pójdzie.

– Wyn... – wypowiadam jego imię drżącym szeptem. Jego palce drgają, mocniej ściskając moje kędziory. – Chcesz powiedzieć, że mogę wrócić do domu?

– Chcę powiedzieć – odpowiada miękko, cichym głosem – że nie ma domu tam, gdzie nie ma ciebie.

Biorę go w ramiona, a moje serce dziko przyspiesza, gdy szarpie nami wiatr.

– Kocham cię – wyznaję.

– W każdym świecie – odpowiada i mnie całuje.

Zbłąkany kosmyk płacze się nam po wargach. Całujemy się, jakby to był pierwszy i ostatni raz.

Koniec jednej epoki i początek nowej.

To jest właśnie miejsce, w którym chcę być, myślę.

## W realu

### Ten poniedziałek

W dniu, w którym zrezygnowałam ze stażu, dzwonię do rodziców z tą wieścią.

Tak jak przewidywałam, są w szoku. Chcą natychmiast przylecieć do San Francisco.

– Musimy porozmawiać – mówi tata.

– Chcemy ci pomóc w poradzeniu sobie z tym – mówi mama.

– Nie podejmuj żadnych decyzji, dopóki nie przylecimy – mówi tata.

Nigdy dotąd mnie nie odwiedzali.

Uderza mnie ironia tej sytuacji – tak ciężko się napracowałam, żeby zasłużyć na ich miłość i uznanie – i wcale nas to do siebie nie zbliżyło. Przeciwnie, teraz mi się wydaje, że dystans jest jeszcze większy.

– Już podjęłam decyzję – odpowiadam. – Rezygnuję. Ale spłacę wam cały dług. O to nie musicie się martwić.

Mama zaczyna płakać.

– Nie rozumiem, skąd ci się wziął taki pomysł.

– Z księżycyca! – basuje jej tata.

– Nie. Ta decyzja dojrzywała we mnie od dłuższego czasu. I już mam nowe zajęcia.

– Zajęcie? Jakie? – dopytuje mama.

– Tworzenie ceramiki – odpowiadam.

– Skorupy? – Tata brzmi, jakbym mu przedstawiła marketingową strategię sprzedaży metamfetaminy dla psów.

– Nigdy czegoś takiego nie robiłaś – zauważa mama.

– Robiłam. Choć jeszcze nie wszystko mi wychodzi. Moje dzieła może nie bardzo się nadają na świąteczne pocztówki, ale właśnie tym się teraz zajmuję.

– Dlaczego tracisz czas na takie zajęcia? – Tata nie kryje dezaprobaty.

– Bo robiąc to, jestem szczęśliwa – tłumaczę. – I nie uważam tego za stratę czasu.

– Może ty po prostu potrzebujesz przerwy – mówi mama.

– Potrzebuję żyć – odpowiadam. – Nie pokochałam chirurgii tak, aby była moim życiem. Chcę się wysypiać. Chcę siedzieć do późna, wyjeżdżać na wakacje z przyjaciółmi, mieć siłę i ochotę do upiększania swojego mieszkania i próbowania nowych rzeczy. W tym stanie zmęczenia nie było mnie stać na nic. Wiem, że was rozczarowałam, ale taki jest mój wybór.

– Harriet. – Mama tak łatwo się nie podda. – Popelniasz ogromny błąd, którego będziesz żałowała do końca swoich dni.

– Możliwe. Ale nie darowałabym sobie, gdybym nie spróbowała. I zapewniam, o nic nie będziecie się musieli martwić.

– Spokojnie – mówi tata. – Zaczekaj, aż przyjedziemy i zastanowimy się wspólnie, co z tym zrobić.

– Nie ma sensu, żebyście przyjeżdżali.

– Jesteśmy twoimi rodzicami! – wykrzykuje mama.

– Oczywiście. I jeśli za parę tygodni zechcecie mnie odwiedzić, serdecznie zapraszam. Jednak zdania nie zmienię i nie ma sensu, żebyście teraz lecieli do San Francisco, bo mnie tam nie będzie.

– Jak to cię nie będzie? Gdzie ty właściwie jesteś?

Z głośnika rozlega się komunikat. Otwierają moją bramkę.

– Na lotnisku w Denver – informuję. – Przepraszam, teraz muszę kończyć, ale zadzwonię, jak będę na miejscu.

– Czyli gdzie? – Mama mówi podniesionym tonem, jakiego nigdy wobec mnie nie używała.

– Czyli w domu – odpowiadam. I uściślam: – W Montanie.

Znów ta cisza.

– Kocham was. – Wyznanie brzmi nienaturalnie, co nie znaczy, że nie jest prawdą. Po prostu od bardzo dawna im tego nie mówiłam. – Zadzwoń wieczorem.

Wyłączam się i idę dalej. Po drodze wstępuję jeszcze do Cinnabon, na cynamonkę i kawę mrożoną. Kiedy sadowię się na obdartym barowym fotelu obitym sztuczną skórą, wibracja komórki sygnalizuje wiadomość.

Odruchowo się spinam, oczekując kolejnych pouczeń czy perswazji. Zamiast tego widzę, że to Eloise. Jesteśmy siostrami, które nader rzadko się ze sobą kontaktują.

**Mama do mnie dzwoniła. Szaleje** – pisze.

Krzywię się.

**Przykro mi. Mam nadzieję, że dałaś radę** – odpowiadam.

Widzę, że odpisuje, ale przerywa, wobec czego wracam do swojej kawy i cynamonki.

Wtem dźwięczy odpowiedź: **Nie odpowiadasz za reakcje mamy. Tak przynajmniej twierdzi mój terapeuta. Chciałam tylko sprawdzić OCB, bo ona jest przekonana, że masz poważną załamkę. Masz?**

Eloise jest jedyną osobą, jaką znam, która esemesuje całymi zdaniami, z interpunkcją, ale od czasu do czasu, ni z tego, ni z owego, wtrąca dziwne skrótów. Tym razem jednak nie o formę chodzi, lecz o treść, która jest dla mnie prawdziwym szokiem.

Nie miałam pojęcia, że siostra chodzi na terapię. W ogóle mało wiem o Eloise. Nigdy sobie szczerze nie pogadałyśmy i teraz jestem dziwnie poruszona.

**Mogę mieć** – odpisuję. – **Tak naprawdę nie chciałam tej chirurgii. Po prostu lubiłam, jak ludzie byli ze mnie dumni. No i chodziło o forszę.**

**Kurde!** – odpisuje i przez minutę nic więcej nie przychodzi. I pewnie nie przyjdzie. Tyle w temacie siostrzanej więzi.

Ale po kolejnych dziesięciu minutach pojawia się następna wiadomość.

**Powinam ci już dawno wyznać, że cię nienawidziłam, bo IMO byłaś jak oni i zawsze bardziej cię lubili. Teraz widzę, jaką presję musiałaś czuć. NWM, może gdybyśmy wcześniej były jak siostry, nie byłoby aż takich napinek. W każdym razie wiedz, że jestem z ciebie dumna. A mamie z czasem przejdzie. Tak jak jej przeszło z moim kolczykiem w pępku, LOL.**

**Serio?** – odpisuję.

**Tak. Nie powiedziała tego jasno, ale przestała zerkać na mój brzuch i wzdychać. Z tobą pewnie pójdzie jej szybciej. 3mam za ciebie.**

Opieram się ciężko na blacie, kiedy to wszystko po mnie spływa.

**Dzięki** – piszę. – **Przykro, że między nami tak wyszło. Żałuję.**

**Nie martw się** – odpowiada. – **Byłaś jeszcze dzieckiem. Niewiele miałyśmy do powiedzenia, ale teraz mamy. Robisz to, co jest dla ciebie najlepsze. I tak 3maj. DOZO.**

Poważnie się zastanawiam, czy po przyjeździe nie wydrukować tego tekstu, w którym powaga miesza się ze skrótami, i nie przytwierdzić go na pamiątkę do drzwi lodówki Connorów. Co prawda ja i Eloise nie mamy zdjęcia w identycznych siostrzanych kostiumach halloweenowych, ale się kochamy. Jest dla nas nadzieja. Jeśli chcę, żebyśmy się do siebie zbliżyły, muszę nad tym pracować.

Tata pierwszy się łamie. Zaczyna mi przysyłać artykuły o terapeutycznych dobrodziejstwach garniarstwa i podsyła namiary na telewizyjne show dla ceramików.

Mama jest ulepiona z twardszej gliny. Kiedy oboje wreszcie przylatują w odwiedziny do nas, do Montany, pierwszego dnia praktycznie milczy.

Zabieram ich do antykwariatów i funduję im lekcję jazdy konnej dla początkujących. Zaliczamy happy hours w barze, który reklamuje się hasłem Szlachetne Łowy. To jedna z tych modnych, nowych knajp ściągających z miasta urlopowiczów, którzy chcą zasmakować prowincji.

– Hank nienawidził tego miejsca! – oznajmia uszczęśliwiona Gloria, kiedy kelner przyjmuje nasze zamówienie. – Nie chciał tu ze mną przychodzić, więc musiałam wyciągać naszą sąsiadkę, Beth Anne.

Moi rodzice zaliczają także zajęcia dla początkujących, przy których asystuję w miejscowym ośrodku sztuki ceramicznej. Tata za wszelką cenę usiłuje wykrzesać z siebie entuzjazm, a mama po prostu włącza

tryb przetrwania.

Po warsztatach pokazuję im swoje najświeższe dzieła. Mama sięga po misę we wszystkich odcieniach niebieskiego, analizuje ją uważnie i w końcu mówi:

- To jest ładne.
- Dzięki – odpowiadam. – Zrobiłam ją dla Sabriny i Partha.
- Tych przyjaciół, co niedawno brali ślub? – upewnia się tata.
- Tak – mówi mama. – Dla tych prawników.

I znów się zastanawiam, czy tylko swoich przyjaciół odepchnęłam od siebie. Za każdym razem, kiedy skupiam się na tym, za co, moim zdaniem, kochają mnie rodzice, tracę szansę, aby poznali resztę.

Są momenty, kiedy świetnie się bawimy, i takie, kiedy chcę się zapaść pod ziemię. Wreszcie nadchodzi koniec. Żółta taksówka podjeżdża przed dom Connorów i Wyn dyskretnie się wycofuje, abyśmy mama, tata i ja mogli się pożegnać we własnym gronie.

Rzucam się do uścisków, zanim sobie uświadomię, że w mojej rodzinie takich form serdeczności raczej się nie uprawia. Odwzajemnianie idzie nam kulawo, więc tata i ja przez chwilę po prostu trzymamy się sztywno w ramionach. Za chwilę zaliczam to samo z mamą.

Tata wsiada do samochodu i mama idzie za nim, ale za moment staje i odwraca się na chrzęszczącym żwirze podjazdu.

– Nigdy nie chodziło o kartkę świąteczną, Harriet – mówi. – Musisz to zrozumieć.

Nos mnie piecze. Uśpione instynkty ożywają w przekonaniu, że taki przyływ emocji oznacza niebezpieczeństwo. System nerwowy każe mojej głosi się otworzyć, aby wpuścić więcej tlenu niezbędnego do ucieczki. Ale ja nie uciekam.

– Zrezygnowałam ze wszystkiego – mówi cicho.

– Wiem, mam. Poświęciłaś się dla nas i rozumiem, ile cię to kosztowało, tym bardziej jest mi strasznie...

– Harriet, nie. – Chwyta mnie za łokieć. – Nie to miałam na myśli. Zrezygnowałam ze wszystkiego dla twojego ojca. On chciał pracować. On chciał się przeprowadzić do Indiany. A ja myślałam, że wystarczy, aby był szczęśliwy. Nie chodzi o to, że nie byłam z ciebie dumna, Harriet. Bałam się o ciebie. Bałam się, że pewnego dnia się ockniesz i stwierdzisz, że zbudowałaś swoje życie wokół drugiej osoby i że nie ma tam miejsca dla ciebie. Nigdy nie chodziło o pocztówki świąteczne. Chciałam, żebyś była szczęśliwa.

– Jestem szczęśliwa, mam – zapewniam. – Nie przyjechałam tu dla Wyna, tylko dla siebie. Nie wiem, co będzie dalej, ale już wiem, czego chcę.

Łzy napływają jej do oczu. Z wymuszonym uśmiechem poprawia mi włosy za uchem.

– Nigdy nie przestanę się o ciebie martwić.

– Może jednak powinnaś się ograniczać – radzę. – Powiedzmy, limit dwudziestu minut dziennie na martwienie się o córkę. Bo mi jest naprawdę dobrze. A jeśli coś się będzie działo, na pewno ci powiem.

Gładzi mnie po włosach.

– Na pewno?

– Jeśli tego sobie życzysz.

Kiwa głową.

– Kocham cię.

– Wiem – mówię. – Ja też cię kocham.

Jeszcze raz kiwa głową, po czym dołącza do ojca na tylnym siedzeniu taksówki.

Kiedy macham im na pożegnanie, skrzypią drzwi moskitiery. Sosnowy zapach Wyna ogarnia mnie, zanim zostanę zamknięta w jego objęciach i wtopię się w niego. Ostrzygł włosy, zgolił brodę i teraz wieczorny cień zarostu drapie mnie w skroń, lecz za nim pojawia się miękkość ust.

Stoimy, słuchając dalekiego pohukiwania sowy i patrząc na znikające za zakrętem czerwone światła.

– Głodna? – pyta w końcu Wyn.

– Jak wilk!

## Szczęśliwe miejsce

### W realu

Nasz dom. Drewniany stół, wazon z pękiem dzikich kwiatów, złotozielone pole. Długie spacerzy z Wynem i krótsze z Glorią.

Siedzenie na werandzie i palenie jointa z mężczyzną mojego życia i jego mamą. Chichotliwy nastrój, gastrofaza i pieczenie konopnych brownie w przegrzanej kuchni. Spanie w pokoju wypełnionym futbolowymi pamiątkami Wyna z liceum – dzięki czemu nie musimy wracać do naszego nowego mieszkania nad drogim sklepem papierniczym w centrum miasta.

Nasza nowa zapowiedź terminu ślubu wisi dumnie na lodówce Glorii.

Zapamiętuję wszystkie trzeszczące i skrzypiące klepki podłogi, aby rano zejść na dół na paluszkach, nikogo nie budząc, wziąć jeepa i pojechać do miasta po słodką latte dla siebie i czarną kawę dla nich, a do tego pomarańczowe cynamonki. Jeśli chodzi o te ostatnie, Wyn z grzeczności odgryza kęs, a ja pochłaniam resztę.

Przechadzam się chwilę, napawając słodko-gorzkim zapachem sosen i osik.

Jest tu cały sklep z sosami, syropami i olejami. W zeszłym tygodniu, po wypróbowaniu wielu różnych rodzajów, kupiliśmy z Wynem podwędzany syrop klonowy, sezonowany w wypalanych beczkach po bourbonie. Smażymy naleśniki na urodziny Glorii, a ta, posmakowawszy syropu, mówi:

– Smakuje jak biwak.

I na chwilę milknie, bo ona i Hank uwielbiali biwaki.

– Biwakowaliśmy, kiedy zaczęliśmy ze sobą chodzić i nie mieliśmy pieniędzy – wyjaśnia nam. Po czym dodaje z gorzkim śmiechem: – Później, kiedy byliśmy starym małżeństwem, też nie mieliśmy pieniędzy.

Wyn wstaje i ją obejmuje, a Gloria poklepuje go po ramieniu, szybko dochodząc do siebie. Dopiero wtedy rozumiem, jak wielkim przywilejem jest takie cierpienie – kiedy kochało się kogoś tak bardzo, że prosty smak syropu wywołuje jednocześnie płacz i śmiech.

Ale teraz już wiem, że ja też potrafię tak kochać. Wiem, że wybrałam właściwy świat.

Ta myśl każe mi otworzyć serce na własnych rodziców. Na ojca, który pracował dodatkowo w prawie każdy poniedziałek i piątek i tak nie lubił tej pracy, że nie chciał nawet o niej mówić. Zrozumiałam, że coś mu zostało zabrane, lecz to zaakceptował. Bo go potrzebowaliśmy, a przynajmniej tak uważał. I na mamę, która wyszła za nim z jednego domu i nigdy już tak naprawdę nie znalazła innego.

Wchodzę do sklepu i kupuję cztery butelki biwakowego syropu klonowego.

Jedną dla Partha i Sabriny, jedną dla Cleo i Kimmy i po jednej dla każdego z moich rodziców. Chcę, żeby się cieszyli każdą kroplą.

Chcę, żeby mieli wszystko, czego zapragną.

Ciągle są jednak chwile, kiedy się zastanawiam, czy dobrze zrobiłam – kiedy się martwię, czy rodzice kiedykolwiek zrozumieją moją decyzję, czy zrozumieją mnie. I czy ja sama na pewno znajdę coś dla siebie.

Gdy pojawia się we mnie potrzeba szczęśliwego miejsca, ciągle myślę o domu nad oceanem. A może nie tyle o samym domu, ile o kryjówce pod piwnicznymi schodami, pachnącej Wynem; o nasłonecznionym pomoście i Cleo, pytającej o nasze alternatywne światy; o Sabrinie i Parthu, kłócących się nad pasjansem, i o Kimmy, śpiewającej Crash Test Dummies z drewnianą łyżką w roli mikrofonu.

Myślę o nas – trzech przyjaciółkach siedzących na długim łożu w woniejącym wilgocią pokoju w internacie, oglądających *Słodkie zmartwienia* przy sufitowych panelach świetlnych, zasłoniętych apaszkami, żeby zakryć ich ostry blask.

Myślę o farmie na północnym krańcu Nowego Jorku i o pierwszym razie, kiedy trzymałam w ramionach Zorę, moją córkę chrzestną, i nie mogłam się napatrzeć na te maciupkie paluszki i złotobrzowe



oczy jej mamy, patrzące na mnie, podczas gdy moje serce śpiewało: „Cud, cud, cud!”.

Ponownie przeżywam jazdę z San Francisco z mamą, kiedy to spakowałyśmy resztę moich rzeczy do wynajętej półciężarówki i ruszyłyśmy z nimi do Montany. Obskurne hotele, w których się zatrzymywałyśmy, odcinki *Napisala: Morderstwo*, które tam oglądałyśmy, objadając się słodyczami z automatów. I choć podróż obiektywnie była męcząca i stresująca, te gorsze momenty nie zapisały się w mojej pamięci.

W drodze mama opowiadała mi, jak ona i jej siostry udawały czarownice w lasach Kentucky, gdzie mieszkała w dzieciństwie, ugniatając jeżyny z błotem i rysując sobie tą mazią na czołach znaki, które miały je uczynić niewidzialnymi.

Wtedy też poprosiła mnie, żebym jej opowiedziała całą historię poznania Wyna i wszystko, co działo się później. A potem powiedziała przez łzy:

– Ja tylko chcę, żebyś była szczęśliwa, córeczko.

– A ty? – odpowiedziałam. – Nie chcesz być szczęśliwa?

Zrobiła zaskoczoną minę, jakby taka myśl nigdy nie przyszła jej do głowy. Po tylu latach, po tylu nieprzespanych nocach w swojej małej żółtej sypialni i targowaniu się z niebem, żeby pomogło mi spełnić jej życzenia, wreszcie zrozumiałam.

– Cudze szczęście nie może być twoim, mamo. Nawet moje – powiedziałam jej. – Musisz odnaleźć swoje własne.

Od czasu do czasu piszemy do siebie z Eloise, głównie ogólnikowo, ale będę próbować. Nie tracę nadziei.

Niekiedy wybiegam też myślą w przód. Myślę o rustykalnym ranchu zamienionym na ośrodek eventowy, na który Wyn i ja wpłaciliśmy kaucję. Wyobrażam sobie wczesnojesienny dzień, rześkie powietrze, słodką woń siana i ostry zapach opadłych liści. Wyobrażam sobie przyjaciół i rodzinę stojących przed jednym z Wynowych stołów, okrytym starym haftowanym obrusem, z kocami na oparciu każdego krzesła, aby goście mieli się czym okryć, gdy słońce zajdzie. (Albo o swojej podróży panińskiej do Vegas, którą Sabrina już zaczęła organizować).

Ale najczęściej, kiedy chcę poczuć szczęście i bezpieczeństwo, zamiast wspominać te różne miejsca, po prostu wracam do domu.

I bez względu na pogodę – czy śnieg po kolana, czy wypalające spragnione pola słońce – kiedy wchodzę na ganek i wkładam klucz do zamka, czuję drgnienie w piersi i mam niezachwianą pewność, że on będzie tam czekał, upaprany trocinami, pachnący sosną. I zanim jeszcze go zobaczę, moje serce zacznie śpiewać swoją ulubioną pieśń:

„Ty, ty, ty”.

## Podziękowania

Przede wszystkim i najbardziej dziękuję ekipie, która towarzyszyła mi na każdym etapie tworzenia: Amandzie Bergeron, Dache' Rogers, Danielle Keir, Jess Mangicaro, Sareer Khader i Taylor Haggerty. Moje ostatnie trzy książki nie powstałyby bez Was i jestem Wam niezmiennie wdzięczna. Dzięki, dzięki, dzięki!

Ogromne podziękowania należą się także Alison Cnockaert, Anthony'emu Ramondo i Sandy Chiu – za wspaniałe okładki i szatę graficzną, jak również moim niesamowitym redaktorkom i korektorkom – Angelinie Krahn i Jamie Thaman.

Niekończące się wyrazy wdzięczności dla Cindy Hwang, Christine Ball, Christine Legon, Craiga Burke, Ivana Helda, Jeanne-Marie Hudson, Lindsey Tulloch i całej załogi z Berkley.

Muszę także podziękować naszej zamorskiej ekipie z Viking, a zwłaszcza Vikki, Ellie, Lydii, Georgii, Rosie i mojej fantastycznej twórczyni okładek, Holly Ovenden.

Pragnę wyrazić wdzięczność Holly Root, Jamine Brown, Stacy Jenson oraz reszcie drużyny Root Literary, podobnie jak mojej agentce na zagranicę, Heather Baror-Shapiro oraz jej ekipie Baror International.

Rynek wydawniczy charakteryzuje wyjątkowa zmienność, ale jedna osoba była ze mną od samego początku – moja niezrównana agentka filmowa i mistrzyni w swoim fachu, Mary Pender, oraz jej ekipa z United Talent Agency. Jestem szczęściarą, mogąc Cię mieć u swego boku od tak dawna.

W procesie tworzenia tej (i innych) książek szczególne podziękowania należą się tym, którzy na moją prośbę czytali fragmenty w ekspresowym tempie, zwracając uwagę na słabości narracji albo luki w rysie psychologicznym bohaterów. Brittany Cavallaro, Isabel Ibanez, Jeff Zentner i Parker Peevyhouse – nie wiem, jak mam Wam dziękować za czas, energię, zaangażowanie i pasję, jakie oferowaliście mi jako przyjaciele i koledzy. Jak mawia Jeff: „Jesteśmy jednym kombem”.

I tu zaczyna się problem, gdyż przez lata tak wielu ludzi na tak wiele sposobów wspierało mnie i moje książki, że mogę zrobić tylko jedno: podziękować tym wszystkim dziennikarzom, podkasterom, recenzentom, klubom książki, blogerom, magazynom, rozgłośniom radiowym, księgarzom, księgarzom, perfumeriom i zaprzyjaźnionym ludziom pióra, którzy kiedykolwiek przyczynili się do powstania moich książek. Ogromnie kocham swój zawód i jestem nieskończenie wdzięczna wszystkim, którzy umożliwiają mi jego wykonywanie.

Moje książki o przyjaźni, rodzinie i miłości nie powstałyby, gdyby nie ludzie, których mam szczęście nazywać swoimi przyjaciółmi, rodziną i kochankiem. Dzięki za Waszą miłość i za to, że jesteście.

Na końcu, jako ostatnim, lecz pewnością nie najmniej ważnym, pragnę podziękować moim czytelnikom. Za wszystko. Jestem wdzięczna, że nasze ścieżki mogły się skrzyżować w ten zaiste niezwykły i cudowny sposób.

Dziękuję.



Fot. Devyn Glista / St. Blanc Studios

EMILY HENRY jest autorką bestsellerów „New York Timesa” *Beach Read. Wakacyjny romans* i *Ludzie, których spotykamy na wakacjach*. Studiowała pisarstwo kreatywne w Hope College. Obecnie spędza większość czasu w Cincinnati w stanie Ohio, a część w leżącym poniżej Kentucky.

[EmilyHenryBooks.com](http://EmilyHenryBooks.com)

Instagram: [EmilyHenryWrites](https://www.instagram.com/EmilyHenryWrites)